

PROWINCJA

KWARTALNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY DOLNEGO POWIŚLA I ŻUŁAW • NR 4 (18) • 2014





Spółdzielcza Grupa Bankowa
Bank Spółdzielczy w Dzierzgoniu

Publikacja została dofinansowana przez
Bank Spółdzielczy w Dzierzgoniu



Wydawnictwo kwartalnika wspiera
Zarząd Fobos Invest:
Jacek Szarycki i Witold Zapolski-Downar



Publikacja została dofinansowana z budżetu samorządu
Województwa Pomorskiego w ramach programu
„Rozwój kultury w województwie pomorskim w 2014 roku”

Wojewódzka Biblioteka Publiczna
im. Josefa Unrota Korzeniowskiego
Pracownia Regionalna
przegrońska poczta. Nr 447
80-958 Gdańsk 50
tel. 301-48-11 do 14 w. 237

PROWINCJA

**KWARTALNIK
SPOŁECZNO-KULTURALNY
DOLNEGO POWIŚLA I ŻUŁAW**

Nr 4 (18)

2014

Redakcja

Leszek Sarnowski - redaktor naczelny
Wacław Bielecki - sekretarz redakcji
Marek Stokowski
Janusz Ryszkowski
Andrzej Kasparek

Projekt okładki: Mariusz Stawarski

Reprodukcje obrazów na III i IV str. okładki: Zbigniew Chrostek

Druk: Drukarnia W&P
ul. Akacjowa 29, 82-200 Malbork

Wydawca:

Stowarzyszenie Inicjatyw Obywatelskich „TAKA GMINA” w Sztumie
82-400 Sztum, ul. Królowej Jadwigi 10, tel. 693 527 614
prowincja@onet.pl

Redakcja składa serdeczne podziękowania za wsparcie naszej inicjatywy wydawniczej:

Andrzejowi Krzysztofiakowi, burmistrzowi Kwidzyna
Jerzemu Godzikowi, staroście kwidzyńskiemu
Wojciechowi Cymerysowi, staroście sztumskiemu
Leszkowi Taborowi, burmistrzowi Sztumu
Markowi Charzewskiemu, burmistrzowi Malborka
Mirosławowi Cząpli, staroście malborskiemu
Elżbiecie Domańskiej, burmistrzowi Dzierzgonia
Jackowi Michalskiemu, burmistrzowi Nowego Dworu Gdańskiego

Dziękujemy również za współpracę przy promocji kwartalnika:

Sztumskiemu Centrum Kultury
Dzierżońskiemu Ośrodkowi Kultury
Kwidzyńskiemu Centrum Kultury
Żuławskiemu Parkowi Historycznemu w Nowym Dworze Gdańskim
Stowarzyszeniu Inicjatywa Aktywny Malbork
Stowarzyszeniu Malborskie Centrum Kwadrat
www.marienburg.pl
www.tvmalbork.pl

Miejsca w których można kupić kwartalnik „Prowincja”:

Kwidzyńskie Centrum Kultury
Sztumskie Centrum Kultury
Żuławski Park Historyczny w Nowym Dworze Gdańskim, ul. Kopernika 10
Księgarnia „Bestseller” w Sztumie ul. Reja 13
Agencja Reklamowa „Aliem” Sławomira Michalika, Sztum, ul. Galla Anonima 8
Cafe Figaro, Sztum, ul. Władysława IV
Sklep papierniczo - biurowy „Kopiał” w Malborku ul. Żeromskiego 5

Redakcja prowadzi również sprzedaż wysyłkową –
zamówienia można składać pocztą elektroniczną na adres wydawcy.

Wszystkim, którzy zechcą wesprzeć finansowo nasz kwartalnik podajemy numer konta wydawcy –
Stowarzyszenia Inicjatyw Obywatelskich „Taka Gmina” w Sztumie:

Bank Spółdzielczy w Sztumie: 42 8309 0000 0002 6741 2000 0010
ISSN 2082-0291

www.prowincja.com.pl
Nakład 400 egzemplarzy

SPIS TREŚCI

Osiemnasta „Prowincja”	5
Poezja	
Zbigniew Stelmach	6
Sylwia Stankiewicz.....	8
Grzegorz Wąsowski	15
Proza	
Janusz Moździerz – Pretekst – do prozy... czyli gdzie jest kot pogrzebany.....	16
Maciej Kraiński – O tym jak to Pan Hrabia poszedł na polowanie i kłaniać się kozłowi raczył.....	20
Esej	
Andrzej C. Leszczyński – Okruchy	24
Wędrowki po prowincji	
Krystyna Błaszczyk-Ryszkowska, Janusz Ryszkowski – W cieniu wielkiego drzewa.....	31
Andrzej Kasperek – Żuławski chłop potęgą jest i basta.....	40
Teodor Sejka – Zamek pana feudalnego górował nad całą okolicą.....	51
Kordian Kuczma – Mieszkańcy Powiśla w historii Sopotu.....	60
Marek Opitz – Muzeum Żuławskie – nowe otwarcie.....	65
Andrzej Kasperek – Europejskie Dni Dziedzictwa na Żuławach.....	72
Aleksandra Paprot – W poszukiwaniu tożsamości Żuław i Powiśla	75
Jerzy Kosacz – „Drzewa umierają stojąc”	80
Na tropach historii	
Roman Niemczyk – Traktat w Sztumskiej Wsi na tle wojen polsko-szwedzkich w I połowie XVII wieku	82
Janusz Namenanik – Trzy najstarsze rysunki Dzierzgonia	87
Jan Chłosta – Dawna „Gazeta Olsztyńska” na Powiślu	95
Jan Makowski, Bronisław Lubiński, Adam Śmigielski – Kronika szkoły w Janowie....	101
Bogumił Wiśniewski – 25 sierpnia 1939 r.	112
Leszek Sarnowski – Ostatki PRL-u w sztumskiej PZPR.....	120
Marta Chmielińska-Jamroz – Czy znaleźli „Inkę”?	136
Emil Klingenberg – Sentymentalne odwiedziny.....	141

Pasjonaci

- Marta Chmieleńska-Jamroz – Zbigniew Cempa – pasjonat z Mikołajek 144
Piotr Piesik – Nigdy nie jest za późno 149
Magdalena Grodecka – Komu więcej poruczono, od tego więcej wymagać będą 154

Galeria Prowincji

- Jarosław Denisiuk – Co po narracji? O twórczości Zbigniewa Chrostka 162

Muzyka-Plastyka

- Wacław Bielecki – Z notatnika melomana 166
Wacław Bielecki – Muzyczna eskapada do Lubeki i Hamburga 174
Jacek Albrecht – Sezon operowy w Ełblągu 181

Recenzje

- Agnieszka Kołwzan – Homo viator 183
Adam Langowski – Sztumska monografia 185
Leszek Sarnowski – Więzienne historie 187

Listy do Redakcji 188

Noty o autorach 189

- Z graficznej teki Paulusa 197

OSIEMNASTA „PROWINCJA”

Dzięki Bogu i kilku ludziom udało się zdążyć przed świętami. Osiemnasty numer kwartalnika „Prowincja”. Kolejny zestaw lokalnych historii, ciekawostek, pasji, ludzkich losów. Na zimowe wieczory w sam raz.

Prozatorskie nowinki od Janusza Moździerza i Macieja Kraińskiego, tym razem w roli opowiadacza, a nie felietonisty. Poza tym poetyckie refleksje Zbigniewa Stelmacha, Sylwii Stankiewicz i naszego przyjaciela z Gronowa Elbląskiego – księdza Grzegorza Wąsowskiego. Andrzej C. Leszczyński, filozof z Gdańska, uderza w nasze prowincjonalne nuty, choć nie tylko.

Duża dawka prowincjonalnych peregrynacji. Krystyna i Janusz Ryszkowscy prowadzą nas do Jasnej w gminie Dzierżoń, w okolice nieistniejącej już wieży Bismarcka, Marek Opitz do Żuławskiego Parku Historycznego, a Teodor Sejka do Benowa. Ola Paprot szuka tożsamości, tym razem na Powiślu, Andrzej Kasperek porównuje losy reymontowskiego, polskiego chłopca z żuławskim gospodarzem z XIX wieku, a Kordian Kuczma szuka śladów powiślańskich w ... Sopocie.

Jak zwykle spora dawka lokalnej historii autorstwa Romana Niemczyka, Janusza Namehanika, Jana Chłosty, Bogumiła Wiśniewskiego, Leszka Sarnowskiego, Marty Chmielińskiej-Jamroz, Emila Klingenberga i fragmenty historii szkoły w Janowie, w opracowaniu Andrzeja Lubińskiego.

W dziale „Pasjonaci” opowieść o zamiłowaniach i wędrówkach Andrzeja Podolskiego ze Sztumu, Marta Chmielińska-Jamroz prezentuje sylwetkę Zbigniewa Cempy z Mikołajek Pomorskich, a Magdalena Grodecka analizuje fenomen ruchu rycerskiego przy okazji dwudziestolecia Bractwa Rycerzy Ziemi Sztumskiej.

Jak zwykle bogata część muzyczno-plastyczna kwartalnika. Wacław Bielecki podsumowuje swoje wakacyjne wojaże muzyczne po salach koncertowych Gdyni, Gdańska, Olsztyna, Bydgoszczy, przenosząc nas też w nie tylko operowe klimaty Lubeki i Hamburga. Jacek Albrecht podsumowuje sezon operowy nowojorskiej Metropolitan Opera w ... Elblągu. W naszej „Galerii” tym razem niebanalny artysta z Dzierżonia Zbigniew Chrostek, w recenzji Jarosława Denisiuka. Ponadto recenzje ostatnio wydanych książek i prezentacja graficznych prac zaprzyjaźnionego z kwartalnikiem gdańskiego artysty Pawła Paulusa Mazura.

Życzymy miłej lektury na coraz zimniejsze wieczory, radosnych, rodzinnych świąt Bożego Narodzenia i dobrego Nowego Roku, w którym spełnią się nadzieje, nie zawiodą przyjaciele, spadną kursy walut, przybędzie w portfelu, przyjdą na świat nowe dzieci, pojawią się wnuki, przybędzie miejsc pracy, wróci zdrowie, spadną czynsze i podatki i znowu będzie można marzyć...

Z najlepszymi życzeniami i nieustającą sympatią -

Redakcja

Zbigniew Stelmach

JERUZALEM

I oto jestem... Ja
Świątynia Boga
Przez Niego i dla Niego zrodzony
Aby mógł we mnie zamieszkiwać
Kiedy tylko zechce
Ja z matki której nie wszystko się w życiu udało
Z braku odwagi i z ojca
Który był aż za nadto odważny
Robię Mu u siebie miejsce mówiąc
Przychodź
Nie jestem murem skałą ani inną opoką
Pałacem twierdzą czy strzelistą katedrą
Najczęściej ruiną po kawałku rozkradaną
Zapraszam Boga do siebie mówiąc
Przyjdź Przyjacielu usiądź i odpocznij sobie
Zanim zrobią Ci krzywdę
Bo wszystko tutaj to
Tylko władza pieniądze i inne żądze
Do dzisiaj czekają na nowego Proroka
Ale kiedy przychodzi to mu nie wierzą
Zasłaniając się wyimaginowaną
Niedzisiejszą interpretacją
Żelazna różga pasterza który
Przechadza się między ślepcami
Chłoszcze i mnie za Saligia
Kara i nagroda ... dobro i zło... mówię zatem
Ty który znalazłeś mnie na krańcach ziemi
Skrój się u mnie
Bo nie ma już świętych miejsc miast ani ścian
Ja jestem nowe Jeruzalem
Jak i każdy kto zechce
Który już jest nim nie wiedząc
Otwieram bramę aby wpuścić baranka który płacze
Bo cóż może Mu uczynić człowiek taki jak ja
A jednak płacze i boi się bólu jak każdy z nas

Żyjemy obok siebie i razem
On Sacrum i ja Profanum
Jak mury które rozsypują się z czasem
A które Ty odbudowujesz jeśli zechcesz
Nawet w trzy dni bez pośpiechu
Tak ja staję się Jeruzalem jeśli zechcę
Teraz siadam sobie pod własnymi murami
Jak współcześni żebracy pod kolońską katedrą
I żebrzę u Boga łaski odpuszczenia mi i nam
I u ludzi łaski odpuszczenia Jemu
No bo jakże inaczej
Albo... pozostaje nam tylko Golgota

A wydawałoby się, że wierzyć to takie proste

Köln, 19.03.2013

Sylwia Stankiewicz

DZIADY WAPLEWSKIE

Kaplica. Stoi kilka trumien, a przy nich przykucnięte, z opuszczonymi głowami postacie z rodziny Sierakowskich. Z boku stoi niewidoczny chór. Półmrok. Jest puszczona jedna smuga światła na postać, która wypowiada swoją kwestię.

CHÓR

Ciemno wszędzie, głucho wszędzie,
Co to będzie, co to będzie?

GUŚLARZ

Zamknijcie drzwi od kaplicy
I stańcie dokoła trumny;
Żadnej lampy, żadnej świcy,
W oknach zawieście całuny,
Niech księżyc jasność blada
Szczelinami tu nie wpada.
Tylko żwawo, tylko śmiało.

STARZEC

Jak kazałeś, tak się stało.

CHÓR

Ciemno wszędzie, głucho wszędzie,
Co to będzie, co to będzie?

GUŚLARZ

Hej, czyścicowe duszyczki!
W jakiegokolwiek świata stronie
Czyż można was policzyć?
Zapełniacie całe błonie!
Spieszcie dzisiaj do gromady!
Gromada niech się tu zbierze!
Oto obchodzimy Dziady!
Jest jedzenie, napitek, pacierze.

CHÓR

Oto obchodzimy Dziady!
Jest jedzenie, napitek, pacierze.

GUŚLARZ

Naprzód wy z lekkimi duchy,
Coście wśród tego padolu
Ciemnoty i zawieruchy,
Nędzy, płaczu i mozołu
Zabłysnęli i spłonęli!

Jednakże swego dopięli.
Dobrzeście gospodarzyli,
Na pomorskiej ziemi tkwili
Jak chorągiew w bitwie z wrogiem,
Polską stopą, polskim progiem.
Bramy wam dziś otwieramy,
Zaklinamy, przyzywamy!

CHÓR

Ciemno wszędzie, wicher wieje
Przypomnijcie swoje dzieje.

STARZEC

Patrzcie, patrzcie, coś się rusza!
To zbłąkana jakaś dusza.
Podąża tu, do nas, żwawo.
Powiedz, kim jesteś zjawo?

TEODOR SIERAKOWSKI

Jam nie żadna jest potwora,
Jam jest postać Teodora,
Ziemiańska pomorskiego
Tu, w Waplewie osiadłego.
Od wieków te polskie ziemie
Zagrabiło pruskie plemię.
I wprowadza rządy swoje.
My dźwigamy ciężkie znoje...

CHÓR

Od wieków te polskie ziemie
Zagrabiło pruskie plemię.
I wprowadza rządy swoje.
My dźwigamy ciężkie znoje...

GUŚLARZ

Współczuję ci, Teodorze,
Czy coś tobie pomóc może?

TEODOR SIERAKOWSKI

Nie potrzebuję pomocy.
Posiadłości strzegę w nocy.
Nie potrzebuję ratunku.
Ja stoję na posterunku!

CHÓR

Nie potrzebuje ratunku.
On stoi na posterunku.

STARZEC

Widzę jakąś nową postać!
Nie wie, czy ma iść, czy zostać...

KAJETAN SIERAKOWSKI

Jeśli dziś kto tego nie wie,
 Byłem panem na Waplewie,
 Posłem na Sejm Czteroletni,
 Który sam król Staś uświetnił.
 Założyłem park z altaną.
 W niej to widzę ukochaną
 Moją Annę Teodorę!
 Czy przychodzę w dobrą porę?

CHÓR

Miał on żonę Teodorę.
 Czy przychodzi w dobrą porę?

STARZEC

Sprawiedliwe zrządzenie Boże.
 Przychodzisz o dobrej porze!
 A ja stary wzrok wytężam.
 Znów widzę jakiegoś męża!

ANTONI SIERAKOWSKI

Przeszedł tędy Bonaparte,
 Ziemie z plonów tak odarte.
 Celem - dobrze gospodarzyć
 I rachować, mierzyć, ważyć...
 Szkołę polską postawiłem.
 Prusakowi to niemiłe!
 Lecz Waplewo - szaniec polski
 Na Powiślu, tu w Pomorskiem!
 Zbierałem książki, obrazy,
 Najwspanialsze mam okazy.
 Chopin nawet u mnie bywał,
 W mym salonie, tu, przygrywał.

CHÓR

Chopin też u niego bywał
 I w salonie mu przygrywał.

STARZEC

Kimże jesteś, wielki panie?

ANTONI SIERAKOWSKI

Jam Antoni, na wezwanie.

GUŚLARZ

Chodźże do nas, do gromady,
 My dziś urządzamy Dziady.

CHÓR

Chodźże do nas, do gromady,
 My dziś urządzamy Dziady.

STARZEC

Ktoś nadchodzi, kręci węża.
Czy to postać jest Alfonsa?

ALFONS SIERAKOWSKI

Jam ci w własnej jest osobie.
Chcę przypomnieć wam i tobie,
Żem ja z Marią trwał w Waplewie.
Ile pracy, mało kto wie,
W rozwój pałacu włożyłem.
Pięknie go wyposażyłem.
Oświata ludowa była
Mym myślom i sercu miła.
Spotykałem się w Waplewie
I z Kraszewskim i z Kolbergiem
W stulecie pierwszego rozbioru,
W imię polskiego honoru.

CHŁOP

Znam ja, znam ja tego pana!
Dobroć jest w nim niesłychana.
Dawał szczerze tam, gdzie trzeba.
Nie zabrakło przy nim chleba.
Przyjacielski i gościnnie.
Najważniejszy - dom rodzinny.
Postać mam w pamięci żywą.
Przed nim chyłę głowę siwą...

CHÓR

Postać ma w pamięci żywą,
Przed nim chyli głowę siwą...

GUŚLARZ

Kroczy dumnie i dostojnie
Jakaś nowa, dziwna zjawa.
Kto zrozumie to i pojmie,
Jaka ją tu wiedzie sprawa?

CHÓR

Kto zrozumie to i pojmie,
Jaka ją tu wiedzie sprawa?

ADAM SIERAKOWSKI

Chcę wygłosić krótką mowę.
Byłem członkiem, wielce czynnym
W Towarzystwie Naukowym
I w działaniu dobroczynnym.
Byłem w Indiach i w Afryce,
Na Kaukazie i na Krymie,

Na Sycylii i Korsyce,
 W Neapolu, no i w Rzymie.
 Opis wypraw moich służy
 Czytelnikom również dzisiaj,
 Bo to „Listy są z podróży”,
 Cóżem przeżył, tom opisał.

STARZEC

Tyś jest Adam, co alejką
 Przechadzałeś się z Matejką!

ADAM SIERAKOWSKI

To się zgadza, ja w tej dobie
 Jestem w własnej tu osobie.

GUŚLARZ

W imię Ojca, Syna, Ducha!
 Czy kto widzi, czy kto słucha?
 To zupełnie niesłychane!
 Idą dwie dusze nieznane!

CHÓR

To zupełnie niesłychane!
 Idą dwie dusze nieznane!

GUŚLARZ

Skąd jesteście, jak i po co,
 Wędrujecie tędy nocą?
 Stanisław i Helena Sierakowscy idą pomału i milczą.

STARZEC

Milczą...
 Dziwne to są jakieś sprawy.
 Idzie jakiś upiór krwawy!

CHÓR

Dziwne to są jakieś sprawy.
 Idzie jakiś upiór krwawy!

GUŚLARZ

Czego chcesz ty, duchu młody?
 Prosisz o chleb, o łyk wody?
 Jest dostatek mleka, chleba...
 Czy chcesz dostać się do nieba?...

Widmo milczy.

CHÓR

Ciemno wszędzie, głucho wszędzie,
 Co to będzie, co to będzie?

GUŚLARZ

Odpowiadaj, maro błada!
 Cóż to, nic nie odpowiada!

CHÓR

Cóż to, nic nie odpowiada...

GUŚLARZ

Gdy gardzisz mszą i pierogiem,

Idźże sobie z Panem Bogiem.

A kto prośby nie posłucha,

W imię Ojca, Syna, Ducha,

Czy widzisz Pański Krzyż?

A kysz, a kysz, a kysz!

CHÓR

Czy widzisz Pański Krzyż?

A kysz, a kysz, a kysz!

Zjawa milczy i nie odchodzi.

GUŚLARZ

Przebóg, cóż to za szkarada?

Nie odchodzi i nie gada!

CHÓR

Nie odchodzi i nie gada...

GUŚLARZ

Dajcie z ołtarza kropidło!

Tym przepędzę to straszdyło!

Kropi, zjawa nie znika.

GUŚLARZ

To jest nad rozum człowieczy!

W tym są jakieś straszne rzeczy.

Zwraca się do Stanisława i Heleny.

Po kim nosicie żałobę?

Odezwijcie się, choć słowem!

HELENA SIERAKOWSKA

My znamy dobrze tę zjawę!

STANISŁAW SIERAKOWSKI

Bardzo złą ona ma sławę!

To jest oprawca z Rypina!

HELENA SIERAKOWSKA

Zginęła nasza dziecina...

STANISŁAW I HELENA

I na nas zemścił się krwawo!

Za polską byliśmy sprawą...

CHÓR

I na nich zemścił się krwawo,

Oni za polską byli sprawą...

GUŚLARZ

Duszo przeklęta, w te pędy

Opuszczaj święte obrzędy!
Precz stąd, na lasy, na rzeki,
I zgiń, przepadnij, na wieki!

CHÓR

Precz stąd, na lasy, na rzeki,
I zgiń, przepadnij, na wieki!
Widmo odchodzi.

GUŚLARZ

Czas odemknąć drzwi kaplicy.
Biesiada na dziś skończona.
Bije zegar o północy,
Spada ciemna zasłona...
W imię Ojca, Ducha, Syna
Sierakowskich tu rodzina
Przypomniała to, co trzeba.
Niech idzie w spokoju do nieba!

CHÓR

Przypomniała to, co trzeba.
Niech idzie w spokoju do nieba!

Grzegorz Wąsowski

Kiedy będę stary
Zacznę zauważać schody
Z przytulanką poręczy
Noc będzie pocięta na krótkie odcinki
Oswojone z mrozem niepotrzebnych wspomnień
Odejdą już w mrok twarze dziewcząt
Do których bezczelnie mówiłem prawdziwe słowa
Kiedy będę stary
Ciało budzić się będzie wcześniej niż ja
Natarczywie złoży wizytę samotność
Częstowany kolekcją pastylek
Zasiądziemy na krawędzi nocnego stolika
Którego nie przyjdzie mi na myśl już zmieniać
Kiedy będę stary
Może dziś jeszcze jakiś wiersz napiszę?
Zawinę w niego kawałek piernika
By po cichu w kotlince w chruśniaku
Schrupać go do spólki z łobuzerskim Księżycem
Lecz nie – On dzisiaj w nowiu
O naszych umowach z pełni już nie pamięta
Może dziś jeszcze jakiś wiersz napiszę?
Uczynię go żagielkiem na łódce z orzecha
Rzeka leniwa, stara znajoma
Poniesie go w nieznanie.
Lecz nie – Ona teraz skuta lodem
Szarpie się by oddechu zaczerpnąć
W sekrecie przed mrozem
Może dziś jeszcze jakiś wiersz napiszę?
Lecz nie – Błade usta ponurego świtu
Zapraszają znowu
By wyruszyć w drogę.

Szukam słów takich które powie burza
Których nie wstydzi się strumień i łąka
Szukam i takich co czoło nachmurzą
Które wyszepcze deszcz do pająka
Mam przed oczyma świetlne przestrzenie
I pokój gdy wieczność bierze do siebie
Poznałem te słowa tak czyste jak tchnienie
Ojciec nasz ty który jesteś w niebie

Janusz Moździerz

PRETEKST – DO PROZY... CZYLI GDZIE JEST KOT POGRZEBANY

Kot polował na wzgórzcu na mysikróliki, zresztą może wcale nie zasadał się na te płochliwe ptaszki, a chyba to też nie było żadne wzgórze, wręcz kotlina; a kot wcale nie musiał być buro szarym kotem, o jakim śpiewa się rzewnie maluchom przed snem. Ot, po prostu sytuacja stanowiła pretekst do rozstrzygnięcia zagadnienia czy literatura *wcale nie taka znowu płochliwa, jak się czasem wydaje niektórym* popelniającym – *o nie!* – *zdecydowanie nie!* W kwestii popelniania oczywiście; *prozy się nie popelnia nawet w grzesznych myślach...Popelniaczu, kabotynie, znarowiony sukcesem łowco, pozerze; żonglujesz cudzą mową myślą i uczynkiem: przy okazji frymarczysz własną słabością z czytelnym zamiarem zdobywania chwały prymitywną manierą – dosyć...!* – tak bardzo pochłania, jeśli rozumiesz o co mi chodzi...Wiesz, jak bywa z tym chłonięciem, każdym kawałkiem dobrego tekstu się zachłystuje człowiek i potem niezauważalnie ta kwestia wciąga niby macki z założenia niewidzialne, chociaż do zachłanności a pewnie i skuteczności prawdziwej oceanicznej ośmiornicy jeszcze bardzo daleka droga. Całe mile przestrzeni, nawet kubiki wyobraźni do pokonania. Albo coś niby labirynt niezbadany nigdy do końca chociaż z obiecany wyjściem, a czasem i kilkoma pokątnymi prowadzącymi zresztą w ten sam zaułek. Dupa mokra! Więc chyba jednak mimo wszystko kot – niekoniecznie jak zaznaczono uprzednio: szarobury – stanowił całkiem przyzwoity pretekst, a zwłaszcza kot polujący. Drapieżnik. Skupiony w zasadzce. Wyczekujący okazji do wykazania instynktu. Udowodnienia *sobie?! - ejże, bez głupich pytań proszę, to tylko test dla wcale niemałej garści naiwniaków...* własnej sprawności. Sprawności nie spapranej dostatką karmy. Uważaj: tej Karmy! W ryzykownej rozgrywce. Sam na sam. A jeśli spłoszy zwierzyne?! Sfuszeruje atak. Co?! Już słyszę ten cichutki, niczym zamierający strumyczek, kiedy źródło wysycha bez podania przyczyny, chichot pobrzmiwający; *Miałeś chamie etc...* Albo: *O cześć wam panowie magnaci, za naszą itede...* Zaraz niecenzuralne teksty w głowie chlupoczą bracie. Bracie ?! Ejże, nie próbuj się bratać z kim nie należy, a nawet nie wolno. Uważaj! Brat łąta; a gówno prawda. Łatka – i owszem. Cienias. Przyszywany raczej. Na okrętkę. Zgrzebnym szpagatem. Ze stuloną gębą. Sza, sza, sza..!

Poszukujesz. To już jest coś o czym można napomknąć. Cicho, bez rozgłosu. Chłód zmienia barwę. Ciepło, ciepło...prawie gorąco. Kot – wciąż tego samego umaszczenia *co wcale nie wydaje się być obojętne!*, jakby zaczynał drugą rundę rozgrywki. Wycofywanie. Pomrukuje do siebie. Rozprasza się. To niezbyt dobrze rokuje. Nawet kiepsko. Wytrwałość kruszeje. Jeszcze niedostrzegalnie, choć zdecydowanie zyskuje *może tylko obiera bezwiednie?* niepożądany kierunek. Chociaż szansa wciąż pulsuje. Jednak coraz wyraźniej traci równomierność tempa. A poprzednia ufność wymyka się zawiłą drogą, jakby wiedziona podświadomym

impulsem. Zdradliwa zdzira! Cholera! – ona zawsze daje w długą, kiedy nadchodzi czas istotnego wyboru. Chytreńka niczym chłop na przednówku. *Jaki znowu kurwa chłop; pan rolnik kurwa, rozumiesz – chamie zbuntowany ?!!! Może masz kapinkę racji...Bo ja wiem... Mówią gdzieś tam, że teraz same pany...ale bida z nędzą jak mawiała babcia Karolina też egzystuje... Bidulka jedna; nie wie, że można ją wystawić do wiatru byle jakim efektownym zagraniam; omamić, pozbawić pełni oddechu i zepchnąć na bocznicę. I wio na cudzych barkach frontem do...Chwilka!*

Dokądże znowu?! Korci jak wszyscy diabli; aż dech zapiera, żeby nawet na ośle, byle ruszyć...Głupi, pierdolony przymus: *Rzucić wreszcie te perły...*

Nie ma kota. Nawet szaroburego. Absolutnie. Nie było kota. Żadnej maści. Nikt nie polował na nikogo. Coś się komuś przywidziało; zwyczajna złuda..! Zwiewna. Niczym fatamorgana przed oczyma umierającego z pragnienia, zbyt zafascynowanego własną misją, eksploratora zagubionego na bezdrożach na Atacamy. Dociekliwość skarcona. Skonać można. Z pragnienia... Zwyczajne to to?! Czyżby?! Ambivalencja...

Ale numer! Przekręt kiepskiej jakości.

Mogło być zupełnie inaczej. Ot, choćby tak: Wyszedł faciu za drzwi; szaruga, zamieć; rozpiął z trudem wilgotny rozporek, wyciągnął fajfusa, objął zgrabiałymi palcami i co z tego że się wyszczał zostawiając na śniegu nietrwały ślad ludzkiej, krótkotrwałej obecności..? I strzepnął dokładnie ile razy należało. Wyłącznie jego sprawa. Przymus fizjologiczny jedynie. Codziennie robią tak miliony championów podbechtanych wizerunkiem swojego fallusa. A to powinno być na prawie wyłączności. Więc puste trafienie w loterii. *Umoczony*. Chyba, żeby stało się tak: facio na dźwięk słowa „sztuka” sięga do rozporka – własnego... Jakby trochę wyższy poziom nadawania. Prawie artystyczny. No, nie, nie! – głupowaty lans. Czy taka pseudo zgrabna zagrywka z pozoru prawdopodobna: Dobrych żeglarzy pochłania morze – kiepscy nie wypływają z portu...Jeszcze gorzej. Płycizna zupełna, prawie dno. Bagno nieledwie. *Trafiony zatopiony jak w tej grze, kiedy nuda wszechobecna dopada i gadać się nie chce za bardzo, a robić coś wypada...* Dupa jeszcze bardziej umoczona, tak nie może być za cholere; konieczna zmiana kursu o kąć półpełny. Ileś tam rumbów i szlus. Tak...Szybko i sprawnie. Uf, milej się robi, kiedy można dostrzec lepszy zamiar; zdecydowanie korzystniejszy. Powrót na szlak pierwszej, intuicyjnej inspiracji. Bez oglądania się i spluwania przez ramię na psa urok...Zaraz – jakiego znowu psa?! Kot się obrazi. Bez urazy panie i panowie biegli w kynologii itepe...To byłaby kompletna zmyłka i oszustwo, a nawet niegodna podróbka, prawie plagiat. Albo przynajmniej frajerska spółka z oo. Hola, hola! Stop! Banałom i bałwanom mówimy stanowcze i bohaterskie – Nie!!!

To musi być kot – kot w dodatku łowny. Nasz: szarobury. Z pioseneczki dziecięcej. Idzie w miasto. Maszeruje. Rażno. Mruczy. Węszy. Wokoło inne koty. Tłum. Kłębiąca się, miaucząca tłuszczka. Konkurencja czy wsparcie? Za firanami okien daleko na zamazanym horyzoncie sylwetki nadciągających kotów, et cetera...Wszędzie burasy. Setki, tysiące wypełzające z mroku, torujące drogę następcom. W oczach rosną drgające zniecierpliwieniem cienie.

I wtedy myśl jasna wyprzedza podły czyn: kot jest pełen treści !!! Zwłaszcza kot szarobury... Kot narodowy! Okey..?!

Czyżby tak wolno było szastać bez opamiętania świętością...? Chyba...*Więc rażno marsz – do kastracji: lewa, prawa, lewa....*

Albo taka nawijka:

Pierwszy dzień na *wolce*. Zajarzał z rozmachem. Puścił w niebo kilka kółek dymu. Przetarł zaparowane pingle: filunek. A tu koło nosa śmiga za kierownicą znajomy papuga, co zawsze przymilnie wykrzywia dziób niczym Tatar dupę, jak mawiała śp. babcia Karolina, i w dodatku kupił jaguara, czy jak tam spece od szpanu motorowego wymawiają dzagiuara, i nim *rozetom* dupę zawracał i w nim je obracał czasem jak mu kucina nie zastrajkowała, bo wiadomo, że takie otłuszczone męczydusze nie dysponują odpowiednimi siłami i przyrządami męskimi do robienia dobrze laseczkom, a tym bardziej rasowym profesjonalistkom ze stażem. No są jednak sposoby podnoszenia nie tylko na duchy i pigulek nie brakuje też. Cóż na forszę nie ma silnych i lasy to kąsek taka papuga, co niby jest dla obrony prawa z pozoru zresztą wykształcona, bo końcówki wyrazów, kiedy gładzi te swoje gówniane argumenty, łyka jak nie przymierzając ten kawior, co to mogli próbować wyłącznie smakosze elitarni i nieliczni zresztą, a naszym rodzicielom i krewniakom i całkiem obcym tylko ślinka gęsta mogła ściekać po wychudłych policzkach poradlonych – aż hej !!! Papuga a gdał pod całą niczym pospolity kurak swojsko wiejski; ciekawy przypadek wynaturzenia w hierarchii gatunków czy raczej ewolucyjna podróba; bliżej to drugie; nawet na pewniaka być musi! Nie ma co gadać więcej: dupoślizg pałacowy w tym znaczeniu, co to poeta pisał, że mieszka teraz w pałacu a srać chadzał za chałupę. Gęba pełna frazesów – mało się nie porzygasz człowieku na samą myśl. A w spec. night clubie otoczony wianeczką zwolenniczek mamony, w oparach whisky i dymu cygara made in hawana, rozparty niczym duperszmonc – to znowu babcina ocena sprzed lat wielu tych sobiepanków – płacący zawsze banknotem ze ściśniętego gumką do włosów walcowatego zwitka sałaty noszonego w wewnętrznej kieszeni całkiem przyzwoicie skrojonego gajerka, w przypływie weny dowcipkowej deklamował z pamięci po raz n-ty zachęty i przestrogi dla płci poszczególnej z osobna. Więc propozycja nie do odrzucenia dla dam: „Zrób mi laskę i zrób mi laskę”, a faciom gał bojowo: „ Na każdym froncie – chrońcie pracę!” I czekał na rehot aprobaty – a ona była na każde zawołanie. Ustawiony sukinsyn. *Tyle dobrego o nim i toczka*. Więc wcale nie próbował udawać, że go poznał; po prostu odwrócił twarz do wiatru i tyle. A właściwie odwrócił się dupą do tamtego. Całą. Dupą...o nie !!! Przerypane wymieszane z podejrzenie porypanym...*Nie! Herbatnik z cwelem do spóły...Bez kiciora!* Idiotyczny zestaw. Wykluczenie na samym wstępie. Pełny cykor, że szkoda gadać.

Spaprana sprawa. Mus wracać do kota. Na kolanach. Po prośbie. Z desperacją i lękiem czy pozwoli sobą dysponować...*Kot się nie spietra, nie ma obawy...Kot jest zawsze sobą. Jest prawdziwy. Przynajmniej na takiego pozuje. I wara od niego. Po prostu na kota nie ma silnych!* Oby tylko nie okazał się czarny – w drodze. Na szlaku.

Zgoda. Wszechogarniająca. I poprawność. Do trzech razy sztuka; udało się jakoś wybrnąć bez większej wpadki. Wreszcie można zaczynać. Więc: był sobie kot w siedmiomilowych butach, *itedeitepe...I jeszcze: kici, kici i ...co?! Blef...!!!* To kot dachowiec znajda, ulicznik; nie lasi się do nikogo...Nigdy!? *Bzdura! Życie go nauczyło spadania na cztery łapy!*

postscriptum

Nie. Nie napiszę o tych byłych, aktualnych i przyszłych cwaniaczkach przebiegłych, do-robkiewiczach rąbniętej chwały narodowej, geszefciarzach, lichwie, pokrętnych totumfac-kich, zwinnych linoskoczkach meandrujących pomiędzy ludzkimi słabostkami i niewiedzą, pokurczach ducha, lawie głupoty zalewającej rozumu nieczułe, wszechobecnym zapaszku fikcji, o podróbach; zwyczajnych chwastach pleniących się na odradzającej się wciąż jesz-cze połoninie, o jednodniowych idolach żerujących na poletku żądy sławy, showmanach wagi papierowej, o wdeptywaniu w głębę towarzysza z szeregu, taplaniu, o wszech pra-niu na oczach publiki nieczystości rodzimego chowu, o podlizywaniu i podbechtywaniu wzajemnym podgryzaniu, o zaparciu – i jego wcieleniach – i wielu innych spec. zabiegach prowadzonych w pełnym uniesieniu i trudzie na ciele i umyśle zbyt leniwym, by dawać jednoznaczny odpór prymitywnym zabiegom. Umyśle niechętnym. Zakochanym w iner-cji własnego intelektu. Z rzadka prawdziwie zatroskanym. Nie – nie będę tych popłuczyn człowieczych traktował słowem. Nie chcę. I nie ma ku temu żadnej potrzeby. Ani mikrona. Napiszę – bo tak trzeba i warto podjąć próbę – o wyzwalaniu się samotnym malutkiego człowieczka – Mareczka. O wymykaniu spod ucisku obręczy zniewalającej woli, o jego usta-wicznych zrywach, ucieczce swawolnej ku nieznanym krainom dziecięcej swobody nieskrę-powanej żadnymi pętami. O jego maleńkiej – jakże ogromnej niezrozumianej samotności, przemierzającej obszary zapełnione obrazami, o których dawno zapomnieliśmy; wyparli-śmy ze świadomości lub nie poznaliśmy ich wcale, więc nigdy nie potrafimy nadążyć za pragnieniami malca. Roman, przyjacielu książki – tak się stanie. Napiszę o fantastycznym człowieczku, nieposłusznym uciekinierze spod rodzicielskiej kurateli – jego bezpardono-wej walce o swoją maleńką niezależność. Istocie człowieczej, niepokornym ludziku prowa-dzącym samotnie nieprzerwaną batalię przeciwko całemu światu. Dużemu światu małych dorosłych ludzi... Napiszę o tym dzielnym mikrusie. Tylko.

Maciej Kraiński

O TYM JAK TO PAN HRABIA POSZEDŁ NA POLOWANIE I KŁANIAĆ SIĘ KOZŁOWI RACZYŁ

Siedzę sobie na miłorzębie, w parku waplewskim i oglądam świat z wysoka. Kiedy się zastanawiam, od kiedy ja na tym jurajskim drzewie tkwię, to gubię się w rachubie lat i epok. Chyba od początku tego miejscowego dziania się, czyli od Prusów i bagnisk wokół. Wszystko płynie, pały nabijane krzemieniem zmieniają się na laserowe pukawki, przemykające przez park postaci odziane w skóry przeobraziły się w wandali w chińskich gatkach. Wszystko spsiało. Nie ma już prawdziwego Pana, cò lał w gębę, aż puchła jak Pan Bóg przykazał, a jak nagradzał to przez calutkie życie człek na samo wspomnienie z wdzięczności płakał. Gdzie hrabiowie nasi miejscowi, co jak do parku szli, to z drzewami gadali, obejmowali je z troską i gwizdali z kosami. Gdzież Oni znający każdy kwiatek i krzaczek z nazwy i potrzeb. Gdzież Oni ze zwierzętami po polach i lasach gadający, w pas kłaniający się jeleniom, dziptom sarnom... Znikło prawdziwe Państwo. Te obecne to... szkoda gadać. Jak długo żyję, a żyję długo, z chama pana nie zrobisz. Ze trzy pokolenia trzeba, by z tego czegoś Panisko prawdziwe wykluc się zechciało. A poprawnością to mi nikt gęby nie zatka. Siedzę tak już tyle czasu, że nawet jak jaki tfu... współczesny polityk, pożał się Boże, przyjdzie i zadzierając głowę wycierać pysk swój demokracją będzie, to ja mu tylko łapką pokiwam i:

- Bywaj tu! Odkrzyknę. A dyrdymały swoje zostaw na dole.

Niech wlezie na moją gałąź i posiedzi ze sto lat to pojmie na czym świat się zasadza. Broda siwa i długa powiewa mi z tego miłorzębu, a ja trwam, pogryzając listki Ginkgo Bilboa, jak miś koala eukaliptusa. Serce jak dzwon mam, wzrok sokoli, i co widziałem i widzę w lepetynie, odkładam sobie. Pamiętam. Wszystko pamiętam.

Na przykład, ten ostatni, wysoki jak tyczka chmielowa, z małym pucułowatym na pałkowatych nogach, chadzał na polowania. Ilekroć wychodzili w pole mówiłem sobie: -O... Don Kichote ze swoim Sancho kroczy. - No bo dziwny trochę był ten tu ostatni Pan z Pannów. Wysoki i mocny jak dębczak, a kruchy i delikatny jak szparag z tej tu naszej szparagarni. A jego żona owijała go sobie wokół palca, jak wełnę przy dzierganiu swetra. A on do niej tylko tak miękko:

- Ależ Halko, Halko...

A było tak, że Pan hrabia Stanisław pewnego dnia zaordynował polowanie. Dni były długie trawy soczyste i zielone, zioła pachniały, że w głowie zawrót, kozły zaś na łąki wycho-

dziły. Pan Stanisław lubił polowania na które per pedes chadzał ze swoim chłopcem stajennym będącym jego okiem i uchem. Prawe oko wydziobał sobie nożyczkami przez nieuważę bony flirtującej z kuczerą, miast małym hrabiczem się zajmować. Kiedy bona zobaczyła nożyczki w oczodole dziecka uciekła gdzie pieprz rośnie i tyle ją było widać. Stasiowi gdy dorósł wstawiono, w Berlinie, piękne nowe szklane oczko i jedynie wtajemniczeni wiedzieli na czym polega magnetyzm przeciągłego, uważnego spojrzenia panicza z Waplewa. Był pewien problem z polowaniem, ale przyuczył się do strzelania z lewego ramienia, a robił to tak dobrze, że o jego przewagach na niwie łowieckiej mówiono z podziwem. Dubeltówki i sztucery robiono na prywatne zamówienie, nie było zatem szczególnego kłopotu z policzkiem po prawej stronie kolby. Jak mówią myśliwi - broń mu leżała jak ulał. Jego afrykańska przygoda z boyem, z plemienia Kikuju, okradającym nagminnie namiot swojego bwany, znalazła się w kanonie opowieści przy leśnym ognisku i bigosie. Otóż przemyślny hrabia wpadł na koncept, rodem z Zagłoby, mianowicie w obecności murzyna wyjął oko i kładąc je na stoliku w namiocie oświadczył, że on teraz wychodzi, ale oko i tak wszystko widzi. Zzieleniały z przerażenia złodziejaszek zaprzestał niecnego procederu. Po pewnym jednak czasie znów zaczął podbierać różne drobnostki. Okazało się bowiem, że oko nie widzi jak je przykryć fezem.

Z safari zarówno Stanisław, jak i jego ojciec Adam zwany „Brahmaputrą”, przywozili trofea, które zdobyły hol i pokój myśliwski pałacu. Obwieszano ściany spreparowanym porożem antylopy gnu, Thomsona, kudu, impala i bawoła afrykańskiego. Wisiały wypchane krokodyle, stał niedźwiedź pełniąc rolę stojaka na laski - hrabina Helena nie szczególnie go lubiła, uważała bowiem, że jest siedliskiem moli. Cóż miała jednak robić skoro mąż się zaparł i wyrzucić nie pozwalał.

- Ależ Halko ja niedźwiedzia z Siedmiogrodu, spod zamku Drakuli Palownika wiozłem i wyrzucić nie mogę. Trwał zatem miś na posterunku pilnując srebrnych gałek na laskach.

Pchać kazała Pani ziele bagna w pysk, a kulki naftaliny w uszy i jakoś to było.

Ad rem. Przeszli przez mostek w parku, obok daglezji bijącej wysoko w niebo, po prawej zostawili samotnika platana, minęli kamienny stół i ławeczkę, skręcili w lewo i wyszli w otwartą przestrzeń pól z dorodną pszenicą. Pan przystanął, gospodarskim gestem przeciągnął po ciężkich kłosach chylących się pod dorodnym ciężarem. Zerwał jeden i roztarł na dłoni, zdmuchnął źdźbła, pozostały ziarna. Dłoń zwinął w rurkę i wsypał pszenicę do usta. Były twarde nadchodził czas żniw.

- Trzeba będzie podkaszać – pomyślał.

Chłopiec był niezbyt wysoki, nieco pucułowaty, sprytnie małe oczka penetrowały pagórkowaty teren rozpościerający się w prawo do Brzozówki i Telkwic i lewo do Starego Targu zwanego też Altmarkiem. Mój Sancho Pancha, podśmiewał się Pan Stanisław w duchu. Ma dryg do polowań, pewnie trzeba go będzie wykierować na gajowego. Byle nie kłusował.

- Daj - powiedział myśliwy do małego zwiadowcy, który zdjął z ramienia niesiony dotąd podwójny sztucer marki Merkel i podał do wyciągniętej ręki. Hrabia wyjął ze skórzanej tuby lunetę i wpasował ją w obsadę na szynie sztucera. Szybki skład, by sprawdzić krzyż w okula-

rze i wyregulować ostrość, jeszcze założyć czarną harmonijkę gumy chroniącą łuk brwiowy przed odrzutem po strzale i express 7x64 gotowy. Pieszczotliwie przeciągnął po oksydzie luf. Lubił tę broń, była rasowa. Dwa szybkie strzały bez repetowania, to jest to czego trzeba wytrawnemu myśliwemu. Jak nie trafiłeś, toś pudlarz i zwierze dostało swoją kolejną szansę. Trzeba być fair. Repetery strzelające raz za razem są bez klasy. Trzeci strzał i tak jest zwykle za daleki, i jeżeli trafia to zazwyczaj rani, i jest kłopot z dochodzeniem postrzałka. Najgroźniejsze są źle strzelone odyńce, te potrafią szarżować jak bawoły afrykańskie, a szable rozjuszonego dzika są naprawdę groźne, tną jak brzytwa. Polowanie to nie jest strzelecka zabawa z kwiatkiem w budzie jarmarcznej w Sztumie.

Kierowali się na okrągły lasek wokół którego rozpościerały się podmokłe łąki okolone karłowatą wierzbą i olszyną. Chłopiec szedł przodem, Droga prowadziła lekko pod górę. Za wzniesieniem rozpościerały się łąki. Należało podejść bezgłośnie na szczyt pagórka i niezauważenie wysadzić głowę sprawdzając czy kozioł się pasie. Słońce zwolna zachodziło w cień drzew. Hrabia przystanął wsadził wskazujący palec głęboko do ust i mokry śliną uniósł wysoko do góry. Po chwili opuścił rękę i sprawdził z której strony palec wysechł. Schylił się, podniósł bryłkę ziemi i rzucił w Sancho. Chłopiec się odwrócił i na przygiętych nogach podbiegł do myśliwego.

- Tak Panie - powiedział, stając przed hrabią.

- Mamy zły wiatr. Musimy zająć bardziej w lewo by dojść od Starego Targu.

Po dłuższej chwili podchodzili pod Okrągły Lasek od Starego Targu. Wiatr wiał w twarz.

Przodem lekko przygarbiony, skradający się chłopiec, nieco z tyłu wysoki Pan Stanisław z merklelem przełożonym przez zgiętą lewą rękę.

Chłopiec opadł na cztery łapy i niczem wyżeł z wysuniętą głową i wyprężonym ciałem wychynął z nad wierzchołka wzniesienia. Przez moment tak trwał lustrując łąkę, poczem przywarł do ziemi i jął się wycofywać, pisz wymaluj, zwiadowca Apacz z westernu.

Myśliwy stał obserwując nieco komiczne ewolucje. W pewnym momencie jego Sancho wysunął dwa wskazujące palce powyżej czoła nadając sobie wygląd diabelka z jaselek.

- Jest kozioł - odczytał pantomimę myśliwy.

Schylony podbiegł do czubka wzniesienia i wysunął głowę, chłopak wskazał ręką na spokojnie pasącego się kozła. Hrabia przyłożył lornetkę do oczu. W okularach na wyciągnięcie ręki zobaczył wspaniałego szóstaka z mocnymi, uperlonymi tykami i cudnymi różami.

- Już od trzech lat wodzisz mnie za nos mój piękny spryciarzu - wyszeptał.

Kozioł uniósł głowę, ale nie złapał wiatru. Pasł się spokojnie. Hrabia usiadł na ziemi. Rękę przełożył przez pas, blokując drgania sztucera, czubek krzyża lunety umieścił na komorze zwierzęcia. Oddychał równo regulując przyspieszone bicie serca. Wziął wdech i powoli wypuszczając powietrze nacisnął spust. Usłyszał kłaśnięcie uderzającego pocisku. Kozioł wspiął się do skoku i padł w ogień. Wstali jednocześnie. Podprowadzający wskazał ręką miejsce gdzie powinno leżeć zwierzę. Hrabia wyjął papierosa z płaskiej, srebrnej pa-

pierośnicy, popukał ubijając żółty tytoń i podpałił go uderzając dłonią w kółko zapalniczki. Zaciągnął się kilka razy. Kluchowaty nos chłopca zachłannie wciągnął aromatyczny dym z tureckiego tytoniu. Rzucił spory niedopałek wdeptując go w ziemię. Chłopak z żalem patrzył na pańską rozrzutność.

- Chodźmy, już można - rzekł hrabia.

Znaleźli go tam gdzie padł. Leżał z przygryzionym językiem i otwartym okiem.

Wieczorem chłopak opowiadał w stajni, że Pan zdjął swój angielski kaszkiet i głęboko pokłonił się ubitemu kozłowi. Potem jeszcze chwilę stał zamyślony i powiedział.

- Wypatrosz go. Ale głowy nie ruszaj. Piękna sztuka.

Spreparowana głowa kozła ze złotym medalem z wystawy łowieckiej zawisła w gabinecie hrabiego. Na drewnianej tarczy pod głową z tykami wypisano rok, wagę i miejsce odstrzelenia. To był najwspanialszy kozioł hrabiego Stanisława Sierakowskiego z Waplewa.

Pewnego dnia rodzina musiała opuścić swoje gniazdo na Powiślu zabrano część trofeów myśliwskich do Osieka pod Rypinem, kozioł powędrował z Panem. Co było z nim dalej, Bóg jeden raczy wiedzieć, bo nastał czas kiedy się truchłami zwierzęcymi nie interesowano.

A hrabiego zastrzelono na rozkaz Alvenslebena, takiego degenerata, grafa, Niemca. Mówili, że dostał za naszego Pana medal od Himmlera.

Andrzej C. Leszczyński

OKRUCHY

PROWINCJA

Pojęcie prowincji w najwcześniejszym rozumieniu (prōvincia) odnosiło się do „wydzielenia”, „wyznaczenia” – zakresu działania, zadań do spełnienia, terytoriów podbitych przez Rzymian i podlegających zarządcy (prokonsul, propretor). Mieszkaniec tych terytoriów to *prōvinciālis*, prowincjusz (określenie to nie było jeszcze nacechowane wartościująco). Dziś termin ten oznacza jednostkę podziału terytorialnego państwa (Kanada, Włochy), także obszar kilku diecezji w Kościele rzymskokatolickim podległych prowincjałowi. W języku potocznym prowincja to miejsce oddalone od centrum politycznego, kulturalnego czy naukowego, jakim zazwyczaj jest stolica. Oddalone, czyli peryferyjne. Greckie *perí* (*περί*) mówi o tym, co „wokół”, „dookoła”, „w okolicy”; *περιφέρεια* to „obwód”, „okrąg” – to, co zewnętrzne wobec „środką”, oddalone od „centrum”. Rozróżnienie tego, co „centralne” i tego, co „peryferyjne” („prowincjonalne”) utrzymywało się jako coś zupełnie oczywistego. Różnie oceniana jest ta różnica. Bohaterki *Trzech siostr* Antona Czechowa odczuwały swą prowincjonalność jako upokorzenie i marzyły o wyjeździe do Moskwy. Coś podobnego zauważyłem u znajomego, mieszkającego w półmilionowym Lyonie – mieście przepięknym, z wyjątkowej urody budowlami (katedra św. Jana Chrzciciela, bazylika Notre-Dame de Fourvière) i muzeami. Podczas rozmowy co i rusz odwoływał się do dokonań artystycznych uznawanych i cenionych w Paryżu, każdego tamtejszego krytyka traktował jako wyrocznię we wszelkich sprawach, w których się wypowiadał, zamawianie potraw cieszących się uznaniem w paryskich lokalach uznawał za wyraz elementarnej ogłady. Rita Gombrowicz wspomina, że jako dwudziestolatka z Quebecu fascynowała się modnym wtedy egzystencjalizmem: *my, prowincjusze, naśladowaliśmy to, co działo się w Paryżu. Na przykład kupiłam sobie czarny golf – taka była wtedy moda.*

Moje odczucia są raczej odmienne, myślę, że im dalej od Paryża (Warszawy, Moskwy, Ulan-Bator), tym lepiej. A najlepiej, gdy nie zna się w ogóle tych nazw. Centra, stolice, metropolie kojarzą mi się z jałowością właściwą podmiotom stadnym. Bliska jest mi opinia Williama Somerseta Maughama, piszącego, że *W wielkich miastach ludzie są jak kamienie w worku; ich krawędzie się ścierają, aż kamień staje się gładki niczym kula.* Na tym właśnie polega żarłoczność miejskich molochów trawiących wszelką indywidualność i niszczących autentyzm. *Paryże i Londyny – mówi Andrzej Stasiuk – są pełne ludzi, którzy snują refleksje na ich temat. Tam wszystko jest już wydobyte, opisane na tysiące sposobów. [...] Miasto mi się wydaje w Polsce czymś umownym. Takim parkiem tematycznym pt. »Cywilizacja Europy Zachodniej«.* Autorzy protestu przeciwko odwołaniu Ewy Wójciak ze stanowiska dyrektorki Teatru Ósmego Dnia piszą o kulturalnym wyjałowieniu i „prowincjonalizacji” Poznania, który staje się „niewiele znaczącą stacją kolejową między Berlinem a Warszawą”. Powinni jednak pamiętać, że to właśnie prowincjonalne teatry polskie bardziej są dziś znane w Eu-

ropie niż stołeczne (co oczywiście nie oznacza nobilitacji Poznania, który nie prowincją się staje, a raczej – jak przed laty pisał o swoim mieście Filip Bajon - zatęchłym mieszczańskim grajdołem). Pełnej magii wyobraźni dzieci, z którymi pracowałem w „świecie obok” – w małych miasteczkach i wsiach na Kaszubach - mogliby tylko pozazdrościć ich rówieśnicy z Trójmiasta.

Niezależnie od tego, czy prowincjonalność, lokalność, swojskość, inność, tutejszość ocenia się pozytywnie, czy też negatywnie – określenia te wyznaczały strukturę świata niejednorodnego, zróżnicowanego wewnątrznie, przepełnionego napięciami będącymi znakami życia. Sławomir Mrozek (*Małe listy*) zauważa, że *każdy człowiek, z prowincji czy nie, jest prowincją. Obszar każdej pojedynczej świadomości jest prowincją*. Mrozek pisze o filmie Amarcord Federico Felliniego jako o dziele artysty ukształtowanego przez prowincję, który z tej prowincji się wyzwolił i zatęsknił do niej. Tą prowincją jest Rimini; „amarcord” w tamtejszym dialekcie znaczy „pamiętam”. *Prowincja jest szkołą tęsknoty. Najlepszą i nigdy niezapomnianą*. Właściwa prowincji tęsknota za Wielkim Światem to, zdaniem Mrozka, wyraz tęsknoty za transcendencją, dążność do przekroczenia siebie i swego miejsca: *My tu, a tam Wielki Świat. Gdzie? Wszędzie tam, gdzie nie my*. A kiedy już dokona się owo przekroczenie, niemal natychmiast rodzi się tęsknota za tym, co opuszczone, co przyobleka się w kształt symbolicznego Raju utraconego. Andrzej Muszyński (*Dzieciństwo chłopca z Nazaretu*) przytacza słowa mówiące, że *„Być może te dwie tęsknoty -/ Prowincji do wielkiego świata i/ Wielkiego świata do prowincji,/ Są siłami, które spajają świat”*.

Użyłem przed chwilą czasu przeszłego – „wyznaczały” - ponieważ odmienności te znikają, giną na naszych oczach. Spłaszcza je kultura popularna i jej potężne narzędzie, jakim są media nowej generacji. Czytam przygnębiającą książkę Bogusława Dziadzi pt. *Naznaczenie popkulturą. Media elektroniczne i przemiany prowincji* (Wydawnictwo Naukowe Katedra, Gdańsk 2014). Autor – socjolog i medioznawca z Uniwersytetu Śląskiego – skutki tytułowego „naznaczenia” dostrzega tam, gdzie docierają media elektroniczne, media drugiej generacji (Web 2.0) – czyli właściwie wszędzie. Mottem swej rozprawy czyni, przytoczony przed chwilą przeze mnie, fragment Małych listów Mrozka, mówiący o tym, że człowiek z samej istoty jest bytem „osobnym”, „wydzielonym”, czyli „prowincjonalnym”. Dalsze rozważania dezaktualizują tę wypowiedź, pokazując, że popkultura unifikuje swych odbiorców w stopniu wcześniej nie spotykanym. Owszem, zanika dzięki temu negatywny sens takich wyrażen, jak „prowincja” czy „prowincjonalizm”. Zanika jednocześnie coś stokroć ważniejszego - tożsamość składników budujących rzeczywistość wielobarwną, żywą. Rozmywiają się wszystkie w tandetnej uniwersalności. „Rzeczpospolita” (*Zamożni przenoszą się na prowincję*) pisze o ucieczce z miast ludzi majątnych. Oni nie poszukują na wsi lokalnego kolorytu, który chcieliby zgłębiać i rozwijać, lecz zadowolają się możliwą gdziekolwiek ciszą i spokojem w domu z ogródkiem. Zapewne nie czytali Plutarcha, który po ukończeniu platońskiej Akademii w Atenach powrócił do Cheronei, prowincjonalnego miasteczka w Beocji, gdzie się urodził. Pisał: *Ja sam mieszkam w małym mieście i nie chcąc, by ono jeszcze bardziej podupadło, chętnie w nim pozostaję*.

ZAKAŁY MIAST

Liczna zarejestrowanych na świecie aut dawno przekroczyła miliard. Wysysają z ziemi co tylko mogą, by w smrodzie i hałasie zaspokajać swe nienasycone trzewia. Blaszone pojemniki wyposażone w silniki paskudzą właściwie wszystko. Niczym komórki rakowe niszczą tkankę miejską, tną jezdniami środowiska ludzkie, rozczłonkowują organizmy dzielnic i osiedli, każą mieszkańcom pokornie czekać, aż na chwilę zapali się zielone światło na którymś z nielicznych przejść dla pieszych. Gdańskie Śródmieście oddzielone jest od Dolnego Miasta agresywnym pod każdym względem Podwalem Przedmiejskim; Stocznia została rozcięta Nową Wałową, o mojej Kartuskiej nie będę nawet wspominał. Co jakiś czas słychać głosy kierowców domagających się wycinania drzew przydrożnych, psioczących na rowerzystów itp. Michał Beim, uniwersytecki badacz transportu miejskiego, mówi, że hierarchia powinna być taka: pieszy jest święty, potem jest rowerzysta, a na końcu kierowca. Takiemu zamysłowi mają służyć podmiejskie systemy Park&Ride. *Kierowcy powinni zostawiać samochody na takich parkingach przy stacjach kolejowych, wsiadać w pociąg, wjeżdżać do centrum i tak przesiadać się do tramwaju, metra czy na rowery.* Piękne eksperckie marzenia. Iza Szuszkowska, gdańszczanka z ul. Św. Ducha, pisze do redakcji jednej z gazet: *Dziś na trawniku nie ma ani kawałka trawy, bo w kilku rzędach stoją samochody, jedynie do obrysu starej piaskownicy nie wjeżdżają, bo się nie da. Pamiętam, gdy były tam ławki, piaskownice, dzieci, zadbane krzewy i drzewa. [...] Rozumiem, że miasto ma w dupie mieszkańców, ale przecież turyści nie przyjeżdżają tylko po to, by się upić w knajpie. Też posiedzieliby chętnie na ławce w zadbanej zieleni.* Muszę wyznać, że po przeczytaniu tego listu moje oburzenie na kolesia, który niedawno, podczas nocnego spaceru po Siedlcach i Wrzeszczu, podpalił dwadzieścia samochodów, nie było już tak kategoryczne; przypuszczam, że znacznie bardziej oburzyłoby mnie podpalenie lasu, mieszkania czy choćby stogu siana.

Tak jest w całej Polsce – najbardziej zakorkowanym państwie UE, z najbardziej zatłoczoną stolicą, gdzie zarejestrowano grubo ponad milion aut (gorzej jest tylko w Moskwie i Stambule - w Berlinie samochodów jest o ponad połowę mniej). W Europie prestiż buduje rower, nie auto. Rowerami jeżdżą menadżerowie, dyrektorzy i premierzy, samochodami robotnicy. Owszem, europejskie wojaże cywilizują i przynoszą zmiany także w Polsce. W Warszawie rowerzyści stanowią już 2,5% ruchu miejskiego i zdarza się, że nawet pani prezydent Hanna Gronkiewicz-Waltz korzysta z jednoślada. Jednak problem pozostaje i dotyczy całego Zachodu. Znakomity malarz Balthus (Balthasar Kłossowski de Rola) wspomina w rozmowie z Francoise Jaunin: *„W tamtych czasach, na początku lat sześćdziesiątych, Rzym był jeszcze owym czarownym miejscem, gdzie dobrze się żyło. Ludzie tam byli pogodni, znacznie bardziej niż w Paryżu. Dopiero później to miasto stało się piekielną karuzelą samochodów, jaką jest do dzisiaj”.* Maciej Krupa, etnolog, podczas pobytu w Piscataway – amerykańskim miasteczku w stanie New Jersey – postanowił się przejść. Opisuje to w „Kontekstach”: *Wyszedłem z budynku, wokół były liczne parkingi oddzielona od dalszych rejonów miasta wianuszkiem dróg i autostrad. Obszedłem cały teren, nigdzie nie było żadnych pieszych przejść przez liczne jezdnie, po półgodzinie wróciłem do budynku witany uprzejmymi uśmiechami skrywającymi niewypowiedziane zdanie: no i po co ci to było? Tam nikt nie chodził, wszyscy wszędzie jeździli samochodami, tam nie było gdzie chodzić, nie dało się chodzić. Tam chodzenie wyszło ze zwyczaja-*

ju, wyszło z mody. Niechęć do warczących blaszaków staje się coraz bardziej powszechna, czego symbolicznym wyrazem jest Światowy Dzień bez Samochodu (22 września). A wiadomo, że akty symboliczne – takie jak godziny bez prądu, miesiąc bez alkoholu (sierpień) czy dni bez Żydów (organizowane przez endeckie korporacje na uniwersytetach w latach trzydziestych) – ujawniają cechy świadczące o stanie kultury.

W związku z dniem bez aut Metropolitalny Związek Komunikacyjny Zatoki Gdańskiej wydał specjalny numer „Przystanku Metropolitalnego”, z główniakiem zatytułowanym *Jak przesadzić kierowcę samochodu do autobusu lub tramwaju?* Odpowiedź była taka, że trzeba by mu ten samochód zabrać – inaczej nie zrezygnuje z wątpliwych najczęściej korzyści, w tym tak istotnej, jaką jest poczucie władzy nad maszyną, którą kieruje. Bywa zresztą, że władza ta zamienia się w czyste poddaństwo, co pokazuje przykład mego byłego sąsiada z bloku. Zauważyłem, że lubił przesiadywać w swej syrence nawet wtedy, gdy stała na parkingu. Siedział z rękami na kierownicy i poruszał wargami: coś do syrenki mówił. Nie byłbym zaskoczony, gdyby były to wyznania, jakich nigdy nie usłyszała jego małżonka. Uczuciom swym dawał też wyraz bardziej, by tak rzec, namacalny wczolgując się pod syrenkę i pieszcząc ją naoliwioną szmatką.

Antoni Słonimski wyraził opinię, że dzieci są prawdziwą zakałą ludzkości. Pomyślałem, że prawdziwą zakałą miast są auta. Z prof. Jackiem D., akademickim specem od urbanistyki i architektury, przy butelce singletona wspominaliśmy Mariana Zdziechowskiego, rektora uniwersytetu wileńskiego, który do samej śmierci (1938) nie wsiadł do samochodu, korzystając wyłącznie z dorożek. Próbowaliśmy wyobrazić sobie, jak wyglądałby cały Gdańsk i poszczególne jego dzielnice bez ani jednego samochodu. Pusto, nic nie jeździ. - I nic nie stoi, całkowicie puste parkingi – dodał Jacek po wychyleniu kolejnej szklaneczki. - Jak to: nic nie stoi - zdziwiłem się. - A co się stało z tymi wszystkimi autami. - Nie ma ich – odpowiedział z błyskiem szaleństwa w oczach. – Po prostu ich nie ma i nigdy nie było, ani samochodów, ani parkingów, ani nawet tych słów.

KROWY

Otworzyłem komputer, żeby zapisać to, co w wywiadzie drukowanym w „Więzi” Andrzeja Stasiuk powiedział o krowie. Pytany, co niepowtarzalnego jest w tym zwierzęciu, odpowiada: *Spokój! Krowa jest cudownym stworzeniem, bardzo dobrze pomyślanym. Rodzi, karmi, daje mleko, rodzi, karmi. Nie rzuci się pod auto, centymetry obok niej można przejechać. Ta tu, krowa na fotografii, jest z delty Dunaju. Chodzi, patrzy sobie spokojnie na Stambuł.*

Jakiś czas potem włączyłem komputer z powodu felietonu Krzysztofa Rutkowskiego (nie detektywa!). *Krowy jechały ściśnięte na platformie ciężarówki ulicą Mińską, w kierunku Dworca Wschodniego. Nie wiem, dokąd jechały krowy. Były czyste i zadbane, prawie pluszowe i bezwiednie zalotne w platformianym znieruchomieniu. Jednak bałem się o nie, potknąłem się o splekany bruk i padłem. [...] Podniosłem się z padnięcia z trawą w zębach. [...] Wyplułem trawę i wyjątkowo nie poszedłem do Biedronki po szynkę i parówkę.*

Przypomniałem sobie, że kiedyś też pisałem o krowach. Uruchomiłem natychmiast komputer, żeby przytoczyć tamte zdania. *Krowy, u których zostawałem czasami na noc, nie*

były przywiązywane na noc do żłobu. Rozłożone szeroko na czystej ściółce zaczynały dopiero przeżuwać trawę pochłanianą pracowicie w ciągu dnia. Muzyka tego przeżuwania, zapach mleka wydobywający się ze skóry, wzbudzanej od czasu do czasu łagodnymi dreszczami, były znakami bezpieczeństwa i pozwalały mi szybko zasnąć.

Dodam jeszcze, że wśród obrazów wiszących nad moim kuchennym stołem szczególne miejsce zajmuje portret czarnobiałej łaciatej krowy na tle pastelowych pól i łąk, namalowany i подарowany mi przez Kasię Nowowiejską.

AŚKA

Mieszkała w Mławie. Niezbyt dobre skojarzenia budzi nazwa tego niewielkiego miasta. Krzysztof Teodor Toeplitz pisał o stereotypie wyrażającym się w zwrocie: „Mława atakuje”, odnoszącym się do prowincjonalnego, agresywnego niechlujstwa, chamstwa, knajackiej tandety. Romscy krezusi pobudowali tu wystawne pod każdym względem posiadłości, niedługo potem opuszczone i popadające w ruinę. Co jakiś czas można było usłyszeć o konfliktach między Romami i miejscowymi. Wiedziałem, że z Mławy pochodzili muzycy, moi niedysyjni studenci, Waldemar Tkaczyk i Grzegorz Skawiński. Pierwsze bezpośrednie wrażenia też nie były najlepsze. W tutejszym muzeum zabroniono mi fotografowania eksponatów bez wcześniejszego uiszczenia dziesięciozłotowej opłaty. Kiedy powiedziałem, że w Luwrze fotografuję wszystko za darmo, byle bez flesza (i tak błyskają wszędzie), że odbywają się tam codziennie szkolne lekcje rysunków, podczas których dzieci kopiują mistrzów i też robią zdjęcia – usłyszałem poirytowane: to jak, płaci pan czy nie?

Aśka mieszkała z Waldkiem w domu, który wybudował jeszcze za swych małżeńskich czasów na obrzeżach miasta, na ulicy Dalekiej. Dwa psy, Niunia i Bas, ogród z warzywami, porzeczkami i czereśnią, dalej już tylko szosa na Nidzicę. Podczas jedyne go wspólnego wyjazdu z Klementyną i Wojtkiem piekliśmy tu kielbaski przy ognisku, opychaliśmy się leniwymi pierogami, lepionymi wspólnie pod baczny okiem Aśki. Waldek bywał rzadko. Przed jego powrotami robiło się ciut nerwowo, gospodarz winien być zadowolony ze stanu posiadłości i inwentarza. Aśka domyślała się chyba pozamuzycznych powodów coraz dłuższych pobyków w Siedlcach, paliła coraz więcej papierosów, wypełniała czas rozwiązywaniem krzyżówek, mały czarnobiałe telewizorek w kuchni grał na okrągło. Kiedy mogła, uciekała z Mławy, odwiedzała przyjaciół i znajomych. Przyjeżdżała do mnie do Orłowa, potem do Gdańska. Spotykaliśmy się coraz rzadziej. Od znajomych dowiedziałem się, że Waldek sprzedał dom i wyprowadził się do dziewczyny w Siedlcach, że oddał Niunię i Basa do schroniska (chyba najbardziej tego nie potrafiliśmy zaakceptować) i że Aśka wróciła na Sienkiewicza, do mamy. Kiedy jako nastolatka zaczynała śpiewać, odnosić pierwsze sukcesy, myślała że będzie tak zawsze. Nie dbała o kształcenie głosu, nie próbowała w muzyce improwizować, szukać siebie, własnego tonu, własnej formy. Wzorowała się na gwiazdach piosenki popularnej, starając się perfekcyjnie je imitować, była też całkowicie posłuszna kompozytorskim oczekiwaniom Waldka. Nie podjęła studiów. Teraz daremnie szukała sposobu by przekonać się, że jest coś warta. Czuła się upokorzona nielicznymi składanymi jej

ofertami. Pracowała krótko w biurze, potem niewiele dłużej w domu opieki społecznej.

Byłem w Moskwie, gdy zadzwoniła po ponad roku milczenia. Powiedziała: cześć Do-cent, potem tylko płakała. Kiedy przerwała połączenie, dzwoniłem raz za razem, ale wyłączyła komórkę. Później dowiedziałem się, że było to trzy dni przed wyjazdem do Olsztyna – miasta, w którym bywała co roku na Spotkaniach Zamkowych - na operację guza mózgu. Paskudnej odmiany gwiaździaka, jak się okazało. Do Mławy wróciła już do hospicjum na Nadrzecznej. Kilkakrotnie odwiedzałem ją, nie wiedząc początkowo jak się zachować. Z trudem wymawiałem słowa okolicznościowe i nieprawdziwe. Potem nauczyłem się milczeć, trzymać rękę, która czasami lekko się poruszała. Kupiłem radio z magnetofonem, na którym puszczałem Aśce płytkę nagraną podczas wspólnych warsztatów w Wiśniczu-Zamku. Puszczałem też Janis Joplin, której często słuchała. Tłukła mi się po głowie melodia Rzek snu, najpiękniejszej chyba piosenki Waldka. Nie mogłem uwolnić się od refrenu mówiącego o czymś, co nie przeminie, nie zaginie, nie odpłynie. Od obrazu Aśki w białej sukience na scenie Teatru Nowego w Poznaniu, kiedy śpiewała ją podczas Zaduszek Poetyckich.

Niewiele osób odwiedzało Aśkę w hospicjum. Za to wiele wystąpiło w poświęconym jej koncercie w mławskim MDK-u.

DZWONKI

Zarzuca się niektórym członkom Unii Europejskiej egoizm państwowy, związany z przedkładaniem interesu własnych gospodarek nad interes unijnej całości. Zaczął się też ujawniać egoizm narodowy, odnoszący się nie do pieniędzy i produkowania dóbr, lecz do płodzenia (produkowania?) dzieci. „Zrób to dla Danii” – krzyczą tytuły kampanii zachęcającej Duńczyków do uprawiania prokreacyjnego seksu podczas wakacji. Polska znajduje się na szarym końcu Europy w dziedzinie przyrostu naturalnego - alarmuje prezydent Bronisław Komorowski. - To już ostatni dzwonek, by Polki zaczęły rodzić więcej dzieci. O ostatnim dzwonku mówią też antropologowie i biolodzy. Apelują o coś całkowicie odmiennego, o radykalne ograniczenie przyrostu naturalnego w skali globy. W przeciwnym wypadku wyginieemy – istoty ludzkie - prędzej niż można to sobie wyobrazić. Jest nas za dużo, przekonuje z alarmistyczną intencją biolog, prof. Bogusław Pawłowski. Na Ziemi żyje dziś ponad siedem miliardów ludzi; pół wieku temu – trzy miliardy, w 1930 – ledwie dwa. Kiedyś siedemdziesiąt procent ludzi umierało przed osiągnięciem dojrzałości płciowej, dzisiaj to niecały jeden procent. Co dwanaście lat przybywa nowy miliard ludzi, którzy podporządkowują sobie, niszczą biosferę (każdego dnia ginie ponad dwadzieścia gatunków).

Wiele znanych osób, dzisiaj i dużo wcześniej, wypowiadało się w podobnym tonie. Zygmunt Bauman: *Kula ziemiska jest zapelniona. Nie ma miejsc nieodkrytych, gdzie można by uciec przed ladem (a właściwie nieładem) panującym (a właściwie niepanującym) w miejscach już znanych, naniesionych na mapę, pociętych ubitymi szlakami, administrowanych i zarządzanych.* A »poza« tym światem nie ma nic. Stanisław Lem: *Jak chodziłem do gimnazjum, a nie jest to znowu tak strasznie dawno, zaledwie pół wieku temu [wypowiedź z 1991 roku, acł] – było nas wtedy dwa miliardy, a teraz jest ponad pięć i pół! [...]* Jak można wyhamować ten wzrost

po dobremu, perswazyjnie, tego nie wiem, ale też nie wierzę, żeby to w ogóle było możliwe. [...] W większości państw oświeconych ludziom nie zależy znowu tak strasznie, żeby każda kopulacja kończyła się ciężką. Roztropnie byłoby, gdyby każde małżeństwo miało jedno dziecko albo, powiedzmy, jedno całe i dwie dziesiąte, jak chce statystyka. Wtedy liczba ludzi zatrzymałaby się na jednym poziomie. [...] Lat temu dwadzieścia lub trzydzieści tysięcy okres wygaszania funkcji rozrodczych był tożsamy z wiekiem umieralności. My teraz żyjemy, jeśli tak można powiedzieć, dłużej niż natura sobie tego życzyła, kiedy nas ulepiała, ale na to rady nie ma. Claude Lévi-Strauss, pytany o najgorsze zjawisko, jakiego doświadczył w ciągu życia: Kiedy urodziłem się [1908, acl], populacja świata liczyła półtora miliarda ludzi. Kiedy zaczynałem pracować, w latach trzydziestych, liczba ta doszła do dwóch miliardów. Wynosi ona dzisiaj [wypowiedź z 2003 roku, acl] sześć miliardów, i osiągnie poziom dziewięciu miliardów za kilkadziesiąt lat, jeśli wierzyć przewidywaniom demografów. Ten wzrost ludzkiej populacji spowodował ogromne zniszczenia na świecie. To był największy kataklizm, jakiego miałem nieszczęście być świadkiem. Magdalena Abakanowicz: W ciągu mego życia ludzkość potroiła swą liczbę. Ciągłe widzimy, jak instynkty i emocje kształtują zachowania bez udziału świadomości. Postacie w mojej pracowni [Bezglowy tłum, acl] zaczęły powstawać w latach 70., to była konieczność wobec obserwacji, odczuć i lęków. Dziś liczba postaci przekroczyła półtora tysiąca. [...] Z płót, brązu, żeliwa, betonu. Stanowią znak trwającej obawy. Są konfrontacją z ilością i ze sobą samym.

Ograniczenie przyrostu naturalnego przez narody europejskie miałyby znaczenie czysto symboliczne przy niepohamowanej płodności Azjatów i Afrykanów. Skoro jednak znajdujemy wartość w innych gestach symbolicznych, na przykład w gaszeniu na godzinę świateł w miastach, może i ten nie byłby pozbawiony sensu?

KONSEKWENCJE

Nicola Chiaromonte, jeden z najwybitniejszych myślicieli ubiegłego wieku. Urodzony wojażer, transgresjonista intelektualny, uznawał możliwość kariery profesorskiej połączonej ze stanowiskiem akademickim za coś odpychającego. W jednym z listów (drukowały je „Zeszyty Literackie”) pisze o Państwie Platona jako o spójnej myślowo próbie pokazania konsekwencji dążenia do życia bardziej bogatego i złożonego, niż to, jakim zadowala się „uboga, wiejska wspólnota ludzi”. Tekst ten, sądzi Chiaromonte, jest ledwie hipotezą poznawczą, a nie programem politycznym na serio, czymś takim, jak „blueprint” (a tak właśnie odczytywał Platona Karl R. Popper w *Spółczeństwie otwartym i jego wrogach*). Jeśli chcecie państwa doskonałego, mówi Ateńczyk, musicie się liczyć ze wzmoczoną dyscypliną, gęstą siecią zasad życia we wspólnocie, regułami klasztorными. Jedną z takich konieczności byłoby zniesienie rodziny i dzielenie się kobietami. Pisze Chiaromonte do przyjaciółki, siostry zakonnej: *Z drugiej strony idea społeczeństwa, w którym wszyscy młodzi mogą patrzeć na wszystkich dojrzałych mężczyzn jak na swoich domniemanych ojców i na wszystkie kobiety jak na domniemane matki, jest dość »piękna«, nie sądzisz?*

Wędrowki po prowincji

Krystyna Błaszczyk-Ryszkowska

Janusz Ryszkowski

W CIENIU WIELKIEGO DRZEWA

Dla Marysi Kuklik



Kuzynka sióstr Scharmowskich, Lilly z Berlina, w tle Wieża Bismarcka fot. sprzed 1945 r.

PROLOG

Rok 1813. Przy buku rosnącym na Leśnej Górze (Waldberg) Friedrich Hartwisch, pastor z Jasnej (Lichtfelde), pożegnał dwóch zabieranych do wojska synów - Fritza i Wilhelma. Obaj szczęśliwie powrócili do domów, a w 1878 roku ich potomkowie postawili przy drzewie pamiątkową tablicę z informacją o tamtym zdarzeniu. Odtąd (a może i wcześniej?) okazałe drzewo było nazywane Bukiem Hartwicha.

Jeszcze wiele miesięcy po drugiej wojnie światowej Jan Schramowski, mieszkający nie daleko słynnego buka, wyglądał powrotu swoich dwóch córek. Historia ze szczęśliwym zakończeniem nie chciała się jednak powtórzyć.

WSPOMNIENIE (1)

- Był początek kwietnia 1948, miałam siedemnaście lat. Wysiedliśmy z pociągu towarowego na stacji w Starym Polu - wspomina Adela Błaszczyk. - To, co mieliśmy ze sobą, przynosiliśmy na wozy. Przyjechaliśmy na Ziemię Odzyskane spod Kieleckiego w poszukiwaniu lepszego życia. Ktoś powiedział, że mamy kierować na północny zachód. Będzie widać wieżę na dużym wzniesieniu. A za nią przysiółek Steinberg (Kamienna Góra). Tamtejszy „pałac” - to miał być cel naszej podróży i nowy dom.

Wydawało mi się, że jedziemy gdzieś bardzo daleko. Byliśmy już mocno zmęczeni kilkudniowym podróżowaniem. Przyglądałam się jednak z ciekawością nowej okolicy. W pewnym momencie moją uwagę przyciągała okazała budowla na horyzoncie, a obok niej ogromne drzewo. Dopiero później dowiedziałam się, że były to Wieża Bismarcka i Buk Hartwicha.

WIEŻE KANCLERZA BISMARCKA

Otto von Bismarck (1815-1898) stał się „symbolem wrogości do wszystkiego, co polskie” pisał prof. Lech Trzeciakowski, wybitny znawca spraw niemieckich. Nawet niechętni „żelaznemu kanclerzowi” przyznawali, że wywarł wybitne piętno na półwieczu historii nowożytnej. I to nie tylko dlatego, że był architektem zjednoczenia Niemiec pod berłem pruskim.

Jednym z przejawów kultu Bismarcka było budowanie wież nazywanych jego imieniem. Z 40 postawionych na obecnym terytorium Polski zachowało się jeszcze 17. W pozostałych krajach (Niemcy, Francja, Czechy, Rosja, Austria, a nawet Kamerun i Chile) jest ich ponad 150.

Dwie nieistniejące znajdowały się na terenach, którymi szczególnie interesuje się nasza „Prowincja”. Drewnianą wieżę widokową zbudowano na Gęsiej Górze w 1904 roku. Murowaną - i tą zajmiemy się szerzej - w pobliżu wsi Jasna (gm. Dzierzgoń).

„Niewielu mieszkańców zna genezę wieży, chociaż historia tej budowli znacznie przekracza granice powiatu” - tak pisał w 1929 roku Johannes Klosinski w gazecie „Elbinger Zeitung” (tekst przedrukowano w sztumskim kalendarzu za 1932 rok).

Klosinski podaje, że dla upamiętnienia setnej rocznicy urodzin kanclerza Niemiec Otto von Bismarcka, przypadającej w 1915 roku, postanowiono w powiecie sztumskim wybudować monumentalną wieżę. Inicjatorem przedsięwzięcia był Albert Tornier, właściciel

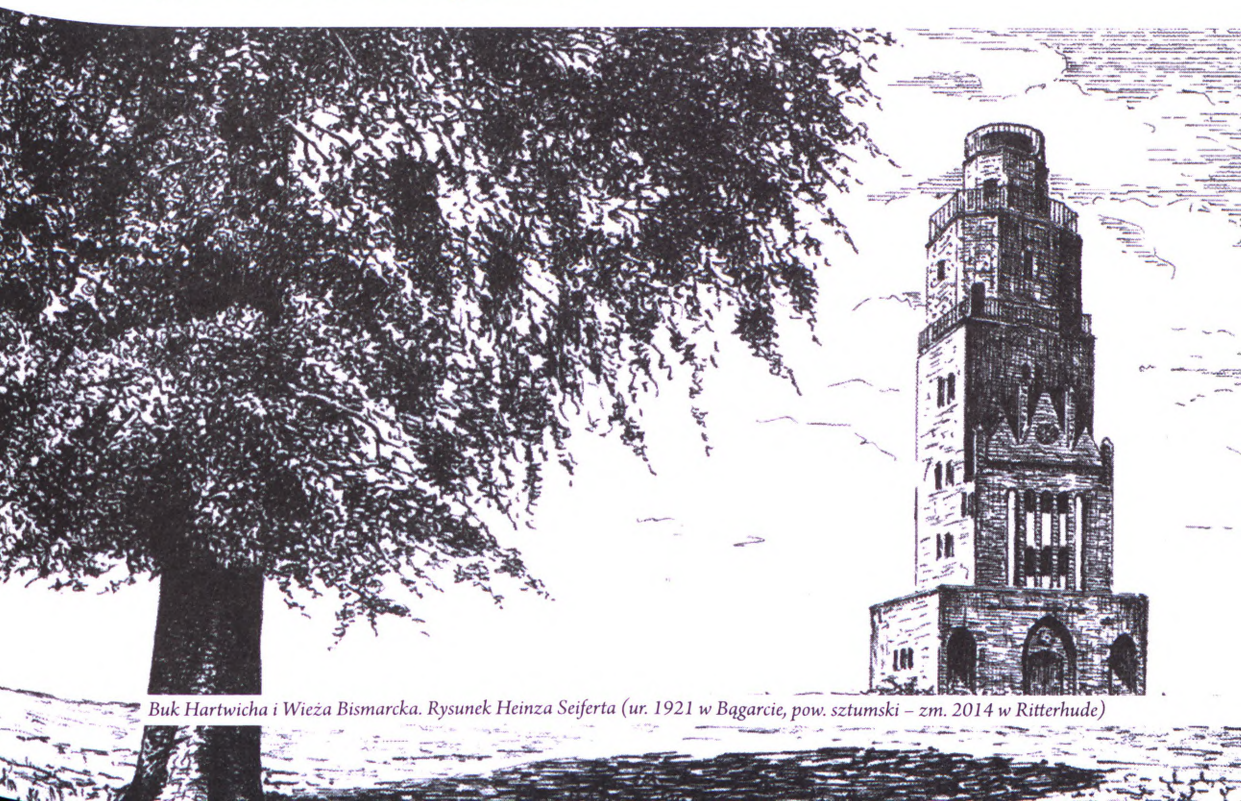
ziemski ze Złotowa (Reichfelde). Był rok 1903. W następnym zarejestrowano „Stowarzyszenie - Wieża Bismarck - Buk Hartwicha”, którym kierował nadzorca wałów, kapitan Funk z Elbląga. Zdecydowano, że wieża stanie na Leśnej Górze, niedaleko Buku Hartwicha.

Dlaczego? Powody nasuwają się dwa. Wzniesienie miało 68 metrów i widać stąd było piękne widoki Prus Wschodnich. Drugim argumentem była dobrze znana historia rosnącego tam buka ...

W ciągu dwóch lat udało się zebrać 5000 marek. Stowarzyszenie zakupiło działkę - jedną morgę - pod budowę. Następne lata nie były jednak łaskawe dla projektu. Zbiórka pieniędzy nie przyniosła spodziewanych efektów. Wówczas to działania stowarzyszenia mocno wsparli m.in. posiadacz ziemski Gunther von Flottwell z Jeziorna (Lautensee), landraci (starostowie) - sztumski, dr Walter von Auwers i malborski Hagemann, dzięki czemu do 1913 roku udało się zebrać 20 000 marek. Kwota ta ciągle nie była wystarczająca, plan finansowy zakładał bowiem, że budowa pochłonie 30 000 marek.

Do bismarckowskiej rocznicy pozostawały już tylko dwa lata. Wtedy to brakującą kwotę uzupełniły powiaty - Sztum przekazał 4000, a Malbork 6000 marek.

Nieco wcześniej rozpisano konkurs na projekt wieży. Wiosną 1912 roku jury wybrało propozycję architekta Ernsta Ranga z Rangsdorfu koło Berlina, jednocześnie powierzono mu nadzór nad inwestycją. Wykonawcą masywnej 29-metrowej wieży, nawiązującej do architektury średniowiecza, został mistrz murarstwa i stolarstwa E. Goldmann ze Zwierzeńskiego Pola (Thiergartfelde) koło Markus. 3 sierpnia 1913 roku położono kamień węgielny pod budowę. Uroczyste otwarcie nastąpiło 1 kwietnia 1915 roku, tak jak zakładał pomysłodawcy, w dzień urodzin żelaznego kanclerza.



Buk Hartwicha i Wieża Bismarcka. Rysunek Heinza Seiferta (ur. 1921 w Bagarcie, pow. sztumski - zm. 2014 w Ritterhude)

Budowlę wzniesiono z czerwonej, palonej cegły. Cokół wieży miał kształt prostokąta, a od frontu można było wejść głównymi oraz dwoma bocznymi drzwiami, bezpośrednio prowadzącymi do holu. Nad wejściem głównym znajdował się medalion z wizerunkiem Bismarcka, wykonany przez rzeźbiarza Klatta z Gdańska. Tablicę z napisem „Naszemu Bismarckowi” ufundował weterynarz dr Schmidt ze Sztumu.

Główna sala miała kształt kwadratu o boku 10 m. Z niej po drewnianych schodach można było dostać się na górną platformę widokową. Schody kończyły się spocznikami (było ich 13). Piętnastometrowy korpus, wzniesiony na cokole, przechodził w ośmiokątną nadbudówkę z platformą widokową, zakończoną kopułą o wymiarach 3 x 3 m z wmurowanym żelaznym paleniskiem. Pałący się tam ogień widoczny był z daleka.

Johannes Klosinski, opisując swoją wyprawę do Wieży Bismarcka (1929 rok), daje nam pewne wyobrażenie o tym miejscu. „Otwierając główne drzwi można dostać się do białej sali. Jedyłą w niej rzeczą jest czarna tablica, zabraniająca pisania po ścianach. Stwierdziłem, że faktycznie nie tylko ściany są upstrzone napisami, ale i całe drzwi, i częściowo również poręcze schodów. Setki nazwisk z całych Niemiec, ale także serdeczne pozdrowienia z powiatu sztumskiego i nie tylko można zobaczyć na metalowych okuciach drzwi. Ta swoista „złota księga” utrwalala gości, którzy tu byli, może mieć też wartość historyczną”.

Dalej Klosinski napawa się wspaniałym widokiem Prus Wschodnich, jaki można było oglądać ze szczytu wieży. Widać było największe miasto przemysłowe w Prusach - Elbląg i Malbork ze swoim zamkiem i mostem na Wiśle.

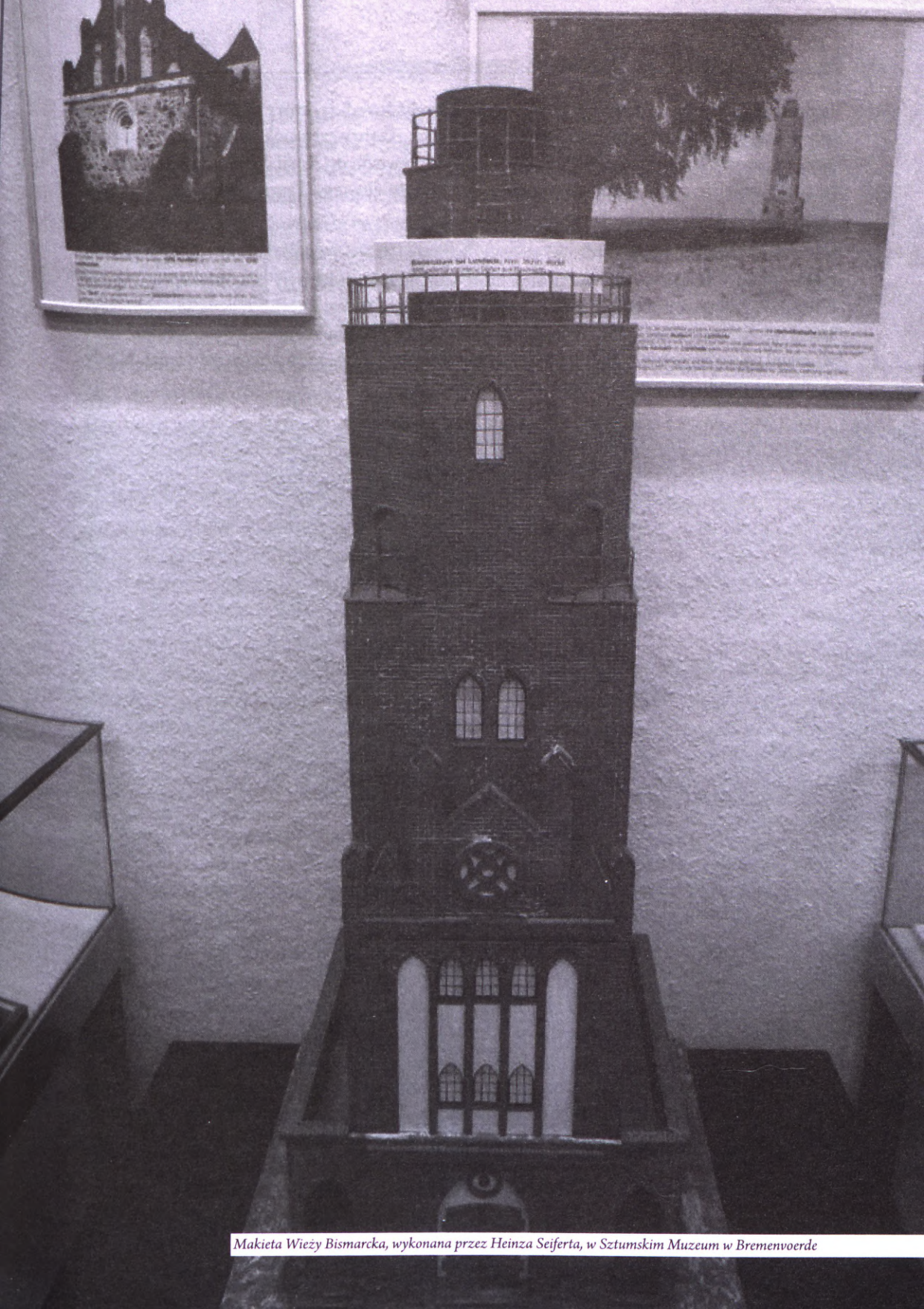
Gdy relacjonował swoje wrażenia, od wybudowania wieży minęło 14 lat. Na budowli, zauważa Klosinski, widać niszczący wpływ surowego, wschodniego klimatu. Potrzebne były prace remontowe. Stowarzyszenie, pomimo starań swojego przewodniczącego, ziemianina Ericha Dycka z Jasnej nie mogło zebrać wymaganej kwoty.

WSPOMNIENIE (2)

Pani Ingeborg Lipińska urodziła się w domu, który znajdował się niedaleko Wieży Bismarcka i Buku Hartwicha. Na starych zdjęciach i pocztówkach zwykle widać w tle te zabudowania. Gospodarstwo po pierwszej wojnie odkupił od brata Stanisława (ten przeniósł się na większe w Ankamatach), jej ojciec, Johann Schramowski. Mieszkał wcześniej z żoną w Berlinie - ona modystka, on kupiec. Wielki kryzys zmusił ich do sprzedaży sklepu i szukania lepszego życia na wsi. Pani Inga do dziś wspomina, jak ciężko było mamie odnaleźć się w nowej roli. Niemal wszystkiego musiała się nauczyć. Tu też przyszły na świat córki. Irmgard w 1921 roku, pięć lat później Felizitas, dziesięć ona - Ingeborg.

Zaradny mąż, dobrze prosperujące gospodarstwo, szczęśliwe dzieciństwo córek były rekompensatą za utratę wielkomiejskiego życia. Felizitas kochała konie, miała swojego ulubionego wierzchowca, chętnie pomagała ojcu w gospodarstwie. Najstarsza Irmgard chciała pójść w ślady matki i uczyła się zawodu w Berlinie.

Obie były w rodzinnym domu, gdy na Powiśle wkroczyła Armia Czerwona. Dla miejscowej ludności nastąpiły ciężkie czasy. Mordy, gwałty, rabunki, terror. Choć minęło tyle lat, pani



Makieta Wieży Bismarcka, wykonana przez Heinza Seiferta, w Sztumskim Muzeum w Bremenoerde

Inga opowiada o tym z trudem. Organista z Żuławki, inwalida, który nie miał ręki, skrępowany drutem został wrzucony żywcem do ogniska ... Dobry człowiek, nikomu krzywdy nie uczynił, za co tak musiał cierpieć? Rozpoczęły się wywózki do Rosji. W marcu do transportu trafiły obie siostry. Zostały zatrzymane, gdy szły do Nowego Targu. Nie pomogły nawet przepustki ...

- Przyjeżdżał do naszego domu rosyjski kapitan. Zawsze samochodem, drzwi szeroko otwierał mu żołnierz - kierowca. Mama hodowała dużo drobiu, były jaja, mleko, twarogi ... On powtarzał; Babuszka, nie płakać, będzie czas, one wrócą. Któregoś razu ze sobą przywiózł nowy rower i duży ser. To dla córek. Jak wrócą do domu, na pewno będą głodne – powiedział na pożegnanie. I dodał, że jak będzie wracał z wojny, to rodziców odwiedzi. Nigdy go nie zobaczyliśmy. Sióstr także ... - kończy pani Inga.

W 1946 roku Schramowscy otrzymali list z Osnabruck. Napisała go w czerwcu tegoż roku Hilda Schnieder, znajoma z Jasnej. Została zabrana razem z innymi mieszkańcami okolicznych wsi nad Morze Kaspijskie. Znalazła się w grupie tych, którzy w sierpniu 1945 roku zostali zwolnieni z robót przymusowych z przyczyn zdrowotnych. Nie pozwolono jej wrócić do Jasnej, która znalazła się w nowych granicach państwa polskiego, transport skierowano do Niemiec. Tam przeszła rekonwalescencję, spotkała brata i męża. W Jasnej u dziadków zostało ich dziecko. Nie miała o nim żadnych wieści, więc pytała w liście, co z nim, czy coś wiedzą?

To Hilda Schnieder opisała losy sióstr Schramowskich. 3 czerwca 1945 roku zmarła z wyczerpania Felicitas. Irmgard, która pracowała w baraku dla chorych, zapadła na malarię. Wydawało się, że organizm zwalczy chorobę, dochodziła już do sił, ale potem nagle osłabła i zmarła 26 czerwca. Na tyfus zachorowały mieszkanki Jasnej - Busch, Liedkie, Kristal Klein, zmarli też Klara Kalinowska ze Starego Targu i Willi Sarnowski z Trop.

WYROK NA WIEŻĘ

Kilka lat po wojnie Wieża Bismarcka stała się uciążliwym reliktem niemieczyny. Niekoniecznie dla mieszkańców, którzy tu napłynęli, ale już na pewno dla władz politycznych. Mieczysław Jankiewicz pracował jako mierniczy w Starostwie Powiatowym w Sztumie od 1 kwietnia 1950 roku.

Po latach wspominał: „Za czasów mojego urzędowania w Sztumie pamiętam sprawę wieży wystawionej ku czci Bismarcka we wsi Jasna. Była to wielka i ciężka budowla z czerwonej cegły. Pobudowana na wzgórzu. Na szczycie tej wieży umieszczony był kocioł wyłożony szamotem. Podczas uroczystości, Niemcy zapalali w tym kotle smołę. Któregoś dnia architekt powiatowy inż. Włodzimierz Bogacki mówi mi o kłopotcie, jaki ma z tą wieżą. W „Dzienniku Bałtyckim” ukazał się artykuł, którego autor zarzucał władzom powiatowym, że przechowują zabytki niemieczyny, chociaż uchwała o rozbiórce tej wieży dawno zapadła, a ona wciąż stoi. Po ukazaniu się tego artykułu, przewodniczący Prezydium Powiatowej Rady Narodowej w Sztumie polecił architektowi, aby natychmiast zajął się zorganizowaniem rozbiórki wieży. Nie lada to była praca i kłopot dla architekta, gdyż wieża wielkością i wyglądem przypominała wieżę dzwonnicy katedry kwidzyńskiej.

Nic więc dziwnego, że nikt się nie kwapił z realizacją decyzji o wymiarze politycznym. Jankiewicz znalazł informację, że wieża figuruje w katalogu punktów triangulacyjnych powiatu i jest objęta ochroną służb geodezyjnych. Poszedł z tą wiadomością do inżyniera Włodzimierza Bogackiego, a ten ucieszony takim obrotem sprawy do przewodniczącego Prezydium. Ostatecznie stanęło na tym, że to Jankiewicz ma postarać się w Głównym Urzędzie Geodezji i Kartografii o stosowną zgodę. Po roku otrzymał odpowiedź z Warszawy, że „wieża może być rozebrana po uprzednim zniwelowaniu przez powiatową służbę geodezyjną reperu [znak geodezyjny – przyp. nasz] znajdującego się na jej cokole i ustabilizowaniu na gruncie punktu triangulacyjnego, którym był maszt flagowy na szczycie wieży”.

Wkrótce Jankiewicz otrzymał polecenie wyjazdu do Jasnej, aby wykonać potrzebne prace. Zaraz po nich do akcji mieli przystąpić saperzy.



Ingeborg Lipińska z porcelanową figurką, kupioną przez mamę w Berlinie

„Na drugi dzień przybyliśmy do Jasnej, gdzie zastaliśmy już saperów zajętych przygotowaniem. Po zniwelowaniu reperu poleciłem zerwać ceglana podłogę na środku sali, aby na przekątnych wkopać kamień odpowiadający masztowi znajdującemu się na szczycie wieży. Wtedy jeden z przyglądających się autochtonów powiedział, że jeżeli szukam kamienia, to on wie gdzie jest i pokazał nam ścianę i kazał na wysokości około 1 metra nad podłogą opukiwać. Domyśliłem się, że chodzi mu o kamień węgielny. Odbito tynk i według jego wskazówek usunięto cegły.

Ukazała się wykuta w piaskowcu skrzynia z wpuszczonym z góry wiekiem. Po otwarciu wieka, ku naszej ogólnej konsternacji, skrzynka okazała się pusta. Wtedy starszy powie-
dział, że oprócz dokumentów były w niej złożone monety od 1 feniga do złotej dwudziestomarkówki, które w czasie pierwszej wojny światowej zabrał murarz zamieszkały w ich wsi.”

Pomiędzy Lisią Górą (po drugiej wojnie przemianowano tak Leśną Górę – bardziej pasowałaby Łysa Góra, bo dawno bez lasu, i być może tak miała się nazywać...) a Kamienną Górą przebiega droga, łącząca Jasną z oddalonym o cztery kilometry Budziszem. Na tej drodze zebrali się zaciekawieni okoliczni mieszkańcy, przyjezdni obserwatorzy, żołnierze.

- To chyba był początek lata, kiedy pod dom w którym mieszkaliśmy przyjechali żołnierze. Zawiadomili nas, że w południe zostanie wysadzona wieża. Musieliśmy otworzyć wszystkie okna i wyjść z domu - wspomina Adela Błaszczuk. - Staliśmy za ogrodem, skąd była najlepsza widoczność na okolicę. Z naszego miejsca widać było krzątających się niedaleko wieży ludzi. Nastąpił głośny wybuch. Wieża jakby podskoczyła do góry, a potem unosiły się tylko olbrzymie tumany kurzu.

„Gdy opadł kłęb różowego kurzu - pisze Mieczysław Jackiewicz - ukazał się pusty zielony pagórek. Miało się wrażenie, że nigdy tu żadnej wieży nie było, a obraz jej przed chwilą widziany z szosy był halucynacją”.

- Żołnierze precyzyjne podłożyli ładunki wybuchowe wewnątrz wieży - wspomina pani Inga. - Kiedy nastąpił wybuch, budowla złożyła w wielki stos gruzu. To, co pozostało, wykorzystano potem do utwardzania okolicznych dróg.

Zostały wspomnienia, pocztówki, fotografie. W Sztumskim Muzeum w Bremenvoerde znajduje się makieta Wieży Bismarcka, ale – co intrygujące – jej oryginalne elementy - metalowa rama okna i cegła z literą „S” (z napisu Bismarck). Jak trafiły do Niemiec?

Otto Tetzlaff, którego rodzina miała duże gospodarstwo z młynem w Budziszu (do dziś mocno zdewastowany zachował się dom i resztki wiatraka a na pobliskim, małym cmentarzu są nieliczne groby jego najbliższych), poszukujący pamiątek do muzeum, którym się opiekował, odwiedzał rodzinne strony od lat siedemdziesiątych ub. wieku. Był też u rodziny pani Ingi. Po tym, jak wysadzono wieżę, jej ojciec wziął taczkę i przewiózł do domu ocalałe okno i jedną cegłę z literą.

EPILOG Z PORCELANA

Nie ma wieży, nie ma też Buku Hartwicha. Tym razem za sprawą natury. Nieszczęście przytrafiło się w latach 70. ub. wieku. W drzewo uderzył piorun, rozłupał je i popalił. To był

początek raptownej agonii. Na Lisiej Górze poszukiwacze śladów niemieckiej przeszłości rozglądają się czasem za Dębem Hitlera. Pani Inga zapamiętała, że na pamiątkę dojścia Hitlera do władzy zostało posadzone drzewko, a obok niego stanął niewielki głaz ze swastyką i napisem.

Bismarckowi postawiono wieżę, dąb miał rosnąć ku chwale Hitlera. Ale drzewko nie przyjęło się, zmarniało. Kamień z napisem został wywieziony po wojnie - przez kogo i dokąd nie wiadomo. Ale w pamięci przedwojennych mieszkańców na długo zapadło w pamięci wydarzenie z 3 grudnia 1935 roku. Wtedy to trzy siostry i brat – Gertrud, Elfriede, Erna i Willy Kowitz postanowili w zawrzeć związek małżeński. Jeden z nowożeńców był właścicielem karczmy i gospodarstwa znajdującego się na skrzyżowaniu dróg w centrum Budzisa. Tam też odbyło się przyjęcie weselne. Podobno Hitler usłyszał o tym wydarzeniu jadąc do Fromborka i postanowił osobiście powinszować nowożeńcom. Nie wysiadł z samochodu, a każda para podchodziła kolejno i przyjmowała gratulacje. Pani Inga zapamiętała tę opowieść, szczególnie komentarz młodych, że „Hitler miał miękką rękę”.

- Na św. Jana obchodzono święto słońca, na uroczystości organizowane przy Wieży Bismarcka licznie przybywali okoliczni mieszkańcy - wraca do dawnych czasów pani Inga.
- Młodzież wносиła drewno do paleniska na szczycie, rozpalano ogień. Drugie ognisko zapalano między wieżą a bukiem...

Po chwili wstaje i sięga po jedną z rodzinnych pamiątek. Porcelanową figurkę, w której od pierwszego wejrzenia zakochała się mama, jeszcze w berlińskich czasach. Tematyka sielska. Pod drzewem stoją chłopak i dziewczyna, obok pasie się koń.

W tekście wykorzystaliśmy m.in.: relację Mieczysława Jackiewicza zamieszczoną w książce: K. Gromek (red.) Kwidzyn ...drogi do małej ojczyzny, Kwidzyn 2009; J. Klosinski: Der Bismarckturm und die Hartwichtsbuche in Lichtfelde, w: Heimatkalender des Kreises Stuhm 1932; www.bismarcktuerme.de

Zdjęcia i reprodukcje Janusz Ryszkowski

Andrzej Kasperek

ŻUŁAWSKI CHŁOP POTĘGĄ JEST I BASTA

Długo zastanawiałem się nad tytułem tego eseju. Wreszcie na pomoc przyszło nieocenne „Wesele” Stanisława Wyspiańskiego. Gospodarz wypowiada w nim słowa:

*A bo chłop i ma coś z Piasta
coś z tych królów Piastów - wiele! [...]
Kiedy sieje, orze, miele,
taka godność, takie wzięcie;
co czyni, to czyni święcie,
godność, rozwaga, pojęcie.
A jak modli się w kościele,
taka godność, to przejęcie;
bardzo wiele, wiele z Piasta;
chłop potęgą jest i basta.*

Polscy pisarze i artyści (bo przecież Gospodarz to w rzeczywistości Włodzimierz Tetmajer ożeniony z chłopką i od lat żyjący wśród włościan w Bronowicach pod Krakowem) chcieli koniecznie zaznaczyć, że chłop to nie ktoś gorszy a człowiek, obywatel, Polak wreszcie. Stąd to podkreślanie jego godności, prawie królewskiej. Ludomani zafascynowani siłą witalną, żywiołowością i zgodnym z naturą życiem polskich wieśniaków nie dostrzegali ich ciężkiej pracy, trudów życia, prymitywizmu egzystencji... Miejskim dekadentom imponowała krzepa fizyczna i prostota chłopskiego żywota. Nawet Władysław Stanisław Reymont, choć znał to życie od podszewki, bo był synem organisty, w swej chłopskiej epopei także nie stronił od uwznioślenia egzystencji ludu wiejskiego, nadawał mu cechy wręcz homeryckie.

Po co piszę to wszystko? Ponieważ przeczytawszy w 15 numerze „Prowincji” „Dziennik z roku 1878” Heinricha Dycka pomyślałem, że warto porównać życie chłopca żuławskiego i polskiego. Zobaczyć w czym są podobne, a w czym się różnią. Tyle, że dokładnego porównania nie jestem w stanie dokonać, bo nie znam żadnego chłopskiego dziennika z ostatniej ćwierci XIX wieku. Gdzie tam polskiemu wieśniakowi było w głowie pisanie – przecież w końcu XIX wieku 80% rekrutów z zaboru rosyjskiego było „niegramotnych”. Uznałem, że ciekawym punktem odniesienia może być powieść „Chłopi” Reymonta, która może służyć jako źródło wiedzy o polskiej wsi po 1864 r., czyli po uwłaszczeniu. Nawet jeśli autor czasem popuszcza wodze fantazji, to dotyczy raczej fabuły a nie faktów. Reymont opisywał realia życia chłopskiego w zaborze rosyjskim, różniło się ono od tego, jak żyli włościanie w zaborze pruskim i austriackim, ale należy pamiętać, że po kongresie wiedeńskim Rosja zajęła 82% terytorium Rzeczypospolitej (w granicach z 1772). Pod berłem cara żyła więc większość polskich chłopów. W obu utworach mamy z opisem jednego roku chłopskiego życia, z tym, że

Reymont zdecydował się, aby podkreślić związek chłopca z naturą, na rok rolniczy. Zaczyna od jesieni i prowadzi nas przez kolejne pory roku. Dyck opisuje literalnie, dzień po dniu jeden rok, ściśle wedle kalendarza. Dla polskich chłopów rok kalendarzowy nie był ważny; nie świętowali Sylwestra, bo cóż mógł w ich życiu zmieniać fakt, że minął 31 grudnia, że mamy 1 stycznia? Czas liczyli według świąt (Gromniczna, Zaduszki, Gody, czyli Boże Narodzenie) i tak było dobrze. Kalendarz jest potrzebny do ustalania czasu umów, płacenia podatków, odsetek bankowych, dat wyborów parlamentarnych i zebrań miejscowej społeczności. Pod koniec XIX wieku, kiedy rozgrywa się akcja powieści, w Lipcach nie był jeszcze potrzebny.

Niektórych czytelników lektura dziennika Dycka może nudzić – kolejny dzień i kolejny zapis: „było mroźno”, „śrutowałem jęczmień”, „pojechaliśmy do Nowego Dworu”; „mocno padał deszcz”, „pszenica ozima została zakonserwowana”, „pojechałem przez kanał do Nowej Kościelnicy”... I tak codziennie: pogoda, informacja o tym, co robił, gdzie pojechał; czasem tylko jakieś rozrywki, wybory, koncert... Nudy! Tak, ale tylko pozornie. Po bliższym przyjrzeniu się odkrywamy, że mamy do czynienia z dziełkiem wyjątkowym. Jest to dziennik prowadzony wyjątkowo rzetelnie, wpisy są regularne, prawie codzienne. Dostajemy cenny dokument jednego roku życia żuławskiego gbura, czyli bogatego chłopca.

Jego obserwacje pogody to dla badacza klimatu rzecz bezcenna. Dla rolnika to czynność wręcz odruchowa. Do dziś chłop jest od pogody i przyrody uzależniony i to się nie zmieni. Dla Żuławiaków ważne było też śledzenie stanu wód, kierunku wiatrów, informacje o lodzie na rzekach. Dyck nie wahał się przejechać kilkunastu kilometrów (często po słabych drogach, po zamarzniętych grudach lub po lodzie na rzekach, który zastępował trakt), żeby naocznie sprawdzić, czy Wisła zamarzała. Groźba powodzi była w tej krainie zawsze aktualna. Pamiętajmy, że dopiero przekop Wisły w roku 1895 poprawił zdecydowanie sytuację.

Wiele razy w artykułach o dawnych Żuławach pojawia się opis raju (tyle, że dziś utraczonego). Francuski dyplomata Charles Ogier podróżujący w 1635 roku z Gdańska do Malborka opisuje świat wręcz arkadyjski: *Wszędzie rozproszone w niewielkich od siebie odstępach domy wieśniaków, porządnie i wygodnie z cegły zbudowane. Wdzięczne ogrody, role najpiękniej uprawiane, siecią strużek wodnych zamknięte i ogrodzone. Bydła na polach ilość niezmierną, wsie bardzo liczne. Tak jest zachwycony, że stwierdza: dość często sobie życzyłem, jako najwyższego szczęścia, aby kiedyś stać się wieśniakiem w Prusiech, tak bardzo ich los wydał mi się szczęśliwy. I pisze to francuski szlachcic!*

Sto pięćdziesiąt lat później Johanna Schopenhauer, matka filozofa Arthura Schopenhauera, opisuje w „Gdańskich wspomnieniach młodości” swą podróż do Sztutowa, gdzie jej ojciec dzierżał spory folwark: *Po drugiej stronie, w przeciwieństwie do tej wspaniałej scenerii, Wisła otacza roześmianą, urodzajną dolinę: ogrody, łąki, krzaki, ożywione pojedynczymi, wielkimi zagrodami i pięknie zabudowanymi, bogatymi wsiami, jakie nie wszędzie w Niemczech spotkać można, a które zamieszkałe są przez ludzi o pięknym typie urody i odróżniających się odrębnymi zwyczajami. To z kolei opinia gdańskiej mieszczańskiej wychowanej na sentymentalnej literaturze, bardzo ceniącej życie bliskie natury.*

I jeszcze dwie relacje z lat trzydziestych i czterdziestych XIX wieku spisane przez polskich szlachciców. Tadeusz Józef Chamski był powstańcem listopadowym, który został in-



Brama do gospodarstwa żuławskiego gbura i zabudowania: dom podcieniowy (z 1806 r.) i stodoła.
Zdjęcie zrobione w Jasionnie gm. Gronowo Elbląskie, fot. www.facebook.com/NaszeZulawy/



Jan Kasprowicz pisał: „Szare chaty! nędzne chłopskie chaty!”,
fot. <http://www.nto.pl/apps/pbcs.dll/article?AID=/20130915/HISTORIALOKALNA/130919767>

ternowany w Prusach, Wincenty Pol w swych wędrówkach po ziemiach dawnej Rzeczypospolitej trafił na Żuławy Gdańskie w 1842 r.

Chamski został zakwaterowany we wsi Heybuden (dziś: Stogi Malborskie) w domu mennonitów. W swych wspomnieniach „Opis krótki lat upłynionych” przedstawia ich obyczaje: *Wszyscy gospodarze na Żuławach, pochodząc w ogólności od Batawów [Holendrów], lubo umieją dobrze po niemiecku, mówią między sobą ich narodowym językiem i zachowują wzorowe przodków zwyczaje pilności, gustu, starań, niezmordowania, co się dotyczy uprawy gruntu, ochędóstwa dobytku i zabudowań gospodarskich, a mianowicie wykwintej czystości domów i izb mieszkalnych, w których [...] drzwi, sufit, ściany, podłoga są białe jak świeżo wyprana bielizna, wszystko, co jest mosiężne, żelazne lub miedziane [...] świeci się jak zwierciadło, bruk z cegieł w sieniach i w kuchni aż pachnie czystością. Słowem w tych domach nie masz prawie gdzie plunąć, chyba w gębę staremu Holendrowi lub obrzydliwej babie Holenderce, bo tam ni smrodu, ni plugastwa nie brakuje z przyczyny używania zbytniego wieprzowiny i pokarmów nieumiarkowanie tłustych.*

Zachwyt nad czystością, gospodarnością i uczciwością miejscowej ludności pomieszany jest ze złością. Zdumiewa autora ich bogactwo, szlachcic nie może się nadziwić, że w domu chłopskim jest takowe, ale jednocześnie dosadne uwagi o swych gospodarzach zdradzają irytację. Do tej pory znał tylko *gmin prosty, chłopski, parobczy, [który] jest jednakowo grubiańskim i też same ma przywary*. Teraz „widok obywatelskich cnót i wzorowej zacności dusz wieśniaków-mennonitów na Żuławach, którzy sami siebie mienią po prostu chłopami (Bauern), niezmierne też na nim zrobił wrażenie moralne. Zobaczył, jak może być włościanin, że może być obywatelem a nie niewolnikiem. Początkowa konfuzja ustępuje mimo wszystko zachwytowi, jaki wywołują „niepokalane Żuławy, mogące się śmiało nazywać rajem”.

Wincenty Pol w swym obrazku pt. „Na groblach” pisał: „Zamożność też tu wielka i przy obyczajach kmiecych bogactwo niezwykle. Czystość budynków i domów iście holenderska!” Opisował z wielką dokładnością bogactwo miejscowej ludności – wyposażenie wewnątrz, „piękne obejścia i piękne bydło” oraz „zatyłych mieszkańców, którzy porośli w pierze”, ale najbardziej mu imponowało, że „każden kawałek ziemi jest użyty i na pożytek obrócony [...] Jaki niczym nie zmacony i nie zakłócony żywot tych ludzi pracy i pokoju! Co za niezmacona cisza, prócz szumu skrzydeł wiatraków, cisza, mówię, moralna i równowaga ducha, kiedy przy wszelkich nabytkach cywilizacji człowiek tu nie odbiegł od prostoty ziemianina, liczącego się z potęgami natury!”

Obaj zauważyli, że to swoboda gospodarowania i wolność osobista, czyli brak pańszczyzny sprawiły, że chłop może być bogatym człowiekiem! Pol zauważa: „na co się tylko dom możnego pana zdobyć może - posiada tu Żuławiak, co się nie leni kosić własną łąkę i stać u steru na własnej berlince [statku rzeczonym]”. Obaj znali do tej pory tylko chłopą polskiego, który tak naprawdę był niewolnikiem, był pół zwierzęciem, jak ten chłopina z „Rozdzióbią nas kruki, wrony...” Stefana Żeromskiego - szczęśliwy z okradzenia trupa powstańca czy ten z „Zapomnienia”, przyłapany na kradzieży drewna na trumnę dziecka. Opis Żeromskiego wywołuje wręcz fizyczny ból u czytelnika: *Miał na sobie dwa kawały płótna: koszulę do kolan zgrzebną [...] do kostek sięgały spodnie, także zgrzebne, a takie stare, takie czarne*



Wrzesień 1939 r. Chłopi, Żydzi i Niemcy na ulicy niezidentyfikowanego polskiego miasta. Bosonogie chłopki idą środkiem ulicy.
Źródło: http://wyborcza.pl/1,76842,8987303,W_imieniu_zamordowanych_Zydow.html#ixzz3JWJq91wu



Szczęśliwa, normalna rodzina mennonity Franka Wichlera w Kleciw, okres przedwojenny, fot. www.kochamyzulawy.com

i tak podarte [...] Kolana miał zgięte raz na zawsze jak konik polny i na tych kolanach dziury w spodniach, nie wskutek rozdarcia powstałe, ale wytarte, okrągłe, jak od wypalenia. Patrzałem na jego nogi, porośłe gnojem, czarne, z wykrzywionymi palcami, z paznokciami jak u zwierzęcia, z piętami splaszczonymi i wypchniętymi w tył, i doszedłem do przekonania, że cywilizacja nie zaniósła chyba do garderoby Obali ani jednej jeszcze pary butów.

Maciej Boryna z „Chłopów” jest gospodarzem zamożnym; przynajmniej w realiach wsi Lipce. Gospodaruje na 32 morgach. Jego synowa Hanka, która po śmierci teścia lustruje gospodarstwo, pieje wręcz z zachwytu nad tym bogactwem: „Trzydzieści dwie morgi, a paśniki, a las, a budynki, a lewentarze, tylachne gospodarstwo!”. Przeliczając morgi na hektary dowiemy się, że najbogatszy chłop w Lipcach miał nieco ponad 18 ha. Zygmunt Gloger w „Encyklopedii staropolskiej” pisał: *morgiem, czyli jutrzyną nazwano taką przestrzeń roli, którą można było parą wołów zaorać przez dzień od rana, włóka oznaczała większe pole, które po zoraniu lub posiewie potrzeba było włóczyć, czyli bronować także cały dzień. Do włóki chełmińskiej i polskiej przywiązano następnie znaczenie przestrzeni 30-morgowej.* Bogacz Boryna gospodarzył na areale trochę większym niż jedna włóka. Heinrich Dyck zaś objął gospodarstwo czterowłokowe. A ściślej otrzymał od ojca ziemię, którą musiał własną pracą osuszyć i zagospodarować. W roku, który opisuje, mieszka jeszcze u swej siostry i dopiero buduje dom.

Jak każdy chłop Boryna marzy o powiększeniu swych włości – doskonałą okazją jest małżeństwo z Jagną. Jej matka stara Dominikowa ma piętnaście mórg, na Jagusię przypada jedna trzecia: „Pięć morgów to rychtyk te pola za mojem kartofliskiem, żyto, widzi mi się, posiały latoś, tak... Pięć morgów do moich to... trzydzieści pięć bez mała! Karwas pola!... Zatarł ręce i poprawił pasa. - To ino młynarz ma więcej... złodziej, krzywdą ludzką a procentami, a oszukaństwem tyła nabrał...” To mówi najbogatszy gospodarz, któremu wszyscy zazdroszczą. A przecież jeszcze sto lat wcześniej przodkowie Heinricha Dycka byli poddanymi króla polskiego, podobnie jak przodkowie Macieja Boryny. Tyle, że na Żuławach szlachty nie było, nie było pańszczyzny a gospodarze lokowani na prawie chełmińskim otrzymywali zwykle nadziały od 2 do 4 łanów, co oznacza, że przeciętny chłop gospodarował na 36 - 72 hektarach. A bogacze nawet na kilkuset!

W tym bogatym Borynow domu możemy podpatrzeć taką scenkę:

„- Zaraz poletę [na pole do Antka i Pietrka, aby zanieść im obiad, czyli kartofle ze zsiąłym mlekiem]. Usmażyć to jajków Antkowi?

- A usmaż, jeno słoniną nie szafuj.

- Żałujecie to?

- Zaśby. Ale co za tłusto, to może być i Antkowi niezdrowo”.

Wzruszająca jest ta troska żony o zdrowie męża. Oczywiście, omaszczone ziemniaki dla chłopca ciężko pracującego przy orce to strawa zdrowa, ale czy dość kaloryczna? W tym czasie Żuławiak nie żałował sobie słoniny, szynki, mięsiwa, sera żółtego, śmietany... W grudniu u Dycków urządzano świniobicie: „Zaszlachtowaliśmy sześć świń, dwie ważyły od 370 do 380 kg”. Toż to istne hipopotamy! Specjalnie tuczono je na słoninę. Schodzili się krewni

i sąsiedzi na świeżynkę. A wcześniej w listopadzie zanotował: „Zabiliśmy 43 gęsie. Nie były zbyt ciężkie, ponieważ ważyły razem 337 kilogramów. Każda z nich ważyła troszkę mniej niż 8 kg”. Mięsa spożywano tu więcej niż w przeciętnym dworze szlacheckim w Polsce.

Jedzono tłusto aż do przesady. Charakterystyczne dla kuchni żuławskiej było przygotowywanie typowych dań prostej kuchni chłopskiej, np. kartofli ze zsiadłym mlekiem w wersji bogatszej. Mleko zastępowała śmietana, dodawano boczek lub szynkę, która w innych regionach była luksusem a w kuchni chłopskiej w ogóle nie występowała. Max Rosenheyn w „Reise-Skizzen aus Ost- und West-Preußen” („Szkice z podróży po Prusach Wschodnich i Zachodnich”) z 1858 r. pisał: *[Żuławiak jest] Tłusty jak gleba i dobre jedzenie jest dla niego główną potrzebą. Mieszkaniec Wysoczyzny pije wodę lub sfermentowany napój, Żuławiak maślanek. Tamten je wieprzowinę smażoną, on gotowaną, przedtem przez kilka dni moczoną w śmietanie. Nawet służbę domową się tutaj dobrze żywi. Rano dostaje się gęstą kartoflanek, w lecie maślanek, ser i chleb. W południe dużo tłustych potraw i mięsa.* Proszę to porównać ze sceną, kiedy ranny parobek Kuba w czasie wesela Boryny próbuje zabrać się za smakołyki przyniesione mu przez Józkę:

„Wziął się ostro do kielbasy, ale nie mógł, nie chciało mu się zupełnie, rosło mu w ustach.

- Mój Jezus, tyle kielbasy, tyle mięsa... a nie mogę... całkiem nie mogę.

Darmo próbował, oblizywał, wachał, nie mógł, ręka mu opadła bezsilnie, chował więc pod słomę, nie puszczając z garści.

- Mój Boże, tyła tego, że nigdy w życiu nie miałem, a nie mogę.

Żalność ścisnęła mu duszę i lzy pociekły po twarzy, płakał rzewnie, aż się zanosił, jak to dzieciątko ukrzywdzone”. - Biedaczyna, parobek umierający w stajni wśród zwierząt, może tylko paść oczy. Za życia nigdy tyle mięsa nie miał. Teraz jest już za późno – umrze i nawet nie skosztuje tych rarytasów. Nie dane będzie mu najeść się do syta. Symboliczna scena.

W czasie lektury raptularza Dycka uderzyło mnie kilka rzeczy – ilości produktów sprzedawanych i kupowanych przez niego oraz ogromna ilość wyjazdów. On, jego rodzice i krewni bez przerwy podróżują, wręcz trudno im usiedzieć w domu. W ciągu roku naliczyłem przeszło siedemdziesiąt wzmianek o podróży. Bardzo dużo jest wypraw związanych z prowadzeniem gospodarstwa: po drewno, po prosiaka, żeby sprzedać ser, kupić konia, zgodzić pracowników do budowy domu, ale mnóstwo wyjazdów (wozem, wierzchem, łodzią, parowcem czy pieszo) to wizyty towarzyskie. Wszyscy się odwiedzają, bo to ślub, narodziny, odwiedzanie chorych, pogrzeb, srebrne wesele. Są też inne okazje – koncert, wybory do Reichstagu, nabożeństwa, spotkania z okazji urodzin cesarza, czy po prostu po to, żeby pograć w karty, potańczyć. Oto charakterystyczny wpis: *20 lutego. Pogoda była taka sama jak wcześniej. Oczyszciliśmy koniczynę. Poszliśmy wszyscy do Pipersów, gdzie było sporo towarzystwa. Tańczyliśmy do muzyki granej na pianinie, zagraliśmy też w karty, cztery partyjki. Wróciliśmy dopiero o drugiej godzinie. 22 lutego. Wiatr wiał z zachodu, była odwilż. Cięliśmy w ciągu dnia sieczkę. Roboty gospodarskie są wykonywane, pracy się nie zaniedbuje, ale jest karnawał i można balować nawet do późnej nocy, aby następnego dnia wrócić do zajęć.*

Nikomiu nie przeszkadza, że jest zima. Gdy zajdzie potrzeba to się jedzie, nawet dwa razy dziennie do Nowego Dworu. Dyck mieszkał koło Rybiny, pokonywał więc trasę około 30 kilometrów. A przecież wypuszcza się jeszcze dalej. Wspomina kilka razy o wyprawach parowcem do Gdańska. Może imponować jego wyprawa z dnia 4 maja. Pojechał specjalnie po to, żeby zobaczyć wystawę rolniczą. To nie tylko ciekawość, ale raczej dbałość o podniesienie wydajności gospodarowania, poprawienie jakości upraw, unowocześnienie parku maszynowego. Dowodzi tego ten opis: *Poszliśmy najpierw zobaczyć maszyny parowe, potem obejrzelśmy wiele rolniczych sprzętów, jak na przykład: grabie, maszyny do koszenia, maszyny do robienia siewki oraz do oczyszczania ziarna, młyny do robienia śrutu, cylindry do oddzielania plew od zboża, wiele rodzajów pługów, bron.*

A tymczasem chłopci w Lipcach siedzą w domach. Włodzimierz Próchnicki zauważył trafnie: „[...] w powieściach Prusa [„Placówka”] i Reymonta zauważamy wyraźną tendencję dośrodkową: wieś jest tu wszystkim i wszystko jest we wsi. Poza tę granicę - miejsca zamieszkania, urodzenia i śmierci - bohaterowie „Chłopów” przedostają się rzadko: na jarmark, do sądu lub nieokreślonego dokładniej wojska. To raczej świat zewnętrzny przychodzi do Lipiec, które leżą na drodze wędrowców żebraków, agitatorów ludowych. Czasem wieś staje się celem wyprawy przedstawicieli władzy - urzędników albo strażników. [...] Gdzieś dalej, całkowicie poza terenem akcji, leżą pobliskie wsie. Ich mieszkańcy, przychodzą do Lipiec do kościoła lub do karczmy, a w wyjątkowym wypadku z sąsiedzką pomocą przy pracach w polu. Lipce to przestrzeń realna, bliska; [...] [a także] samowystarczalna. Jest w niej wszystko: kościół i karczma, cmentarz, młyn i wiatrak, dwór i chałupy, ogrody i łąki, sady, drogi i ścieżki, i przede wszystkim – pola”. („Świat Reymontowskich Chłopów”)

Żuławiacy za to ciągle podróżują, handlują, załatwiają interesy, odwiedzają się, są ciekawi świata. Chłopi z Lipiec siedzą w domach, świat ich nie bardzo interesuje, jest groźny, nieoswojony, liczy się tylko gromada i surowe prawa, w niej rządzące. Gdyby ich spytać, co to jest pianino, to pewnie nie wiedzieliby. A Dyck kupuje taki instrument do swego nowego domu. Stać go na to i jest potrzebny, bo dzięki niemu można uczyć dzieci muzyki, można tańczyć przy jego dźwiękach a poza tym podkreśla status społeczny. Dyskutuje ze znajomymi o koncercie, na którym byli razem. W karczmach organizowano koncerty, teatrzyki, występy. W cerkwi w Cyganku zachowały się dokumenty należące do organisty. Są tam nuty, ale też role ze sztuki, którą wystawiano amatorsko. Życie kulturalne kwitło. W zaborze rosyjskim chłop nie brał udziału w wyborach, bo i wyborów nie było. Jeszcze tego brakowało, żeby wieśniacy zajmowali się polityką. W „Szkicach węglem” Henryk Sienkiewicz przedstawia ich zacofanie. Oto jak opisuje ich znajomość współczesnej polityki. W czasie pobytu w karczmie chłopci dyskutują na aktualne tematy:

- „- Przestalibyście się o to swarzyć, kiedy nie mata o co! - rzekł wójt.
- A ja powiadam, że Francuz nie da się Prusakowi - mówi Gomuła uderzając pięścią o stół.
- Prusak, psia jucha, chytry! - odparł Rzepa.
- To co, że chytry? Turek pomoże Francuzowi, a Turek je namocniejszy.
- Co wy wieta. Namocniejszy jest Harubanda [Garibaldi]!
- Musiśta wstali do góry... plecami. A wyśta skąd wyrwali Harubandę?
- Co go miałem wyrwać? A bo to ludzie nie gadali, że pływał po Wiśle ze statkami

i z mocą wielgą? Ino mu się piwo w Warsiawie nie spodobało, bo zwyczajny doma lepszego, to się i wrócił.

- Nie bluźnilibyście po próżnicy, Kuźden śwab to je Żyd.
- Przecie Harubanda nie śwab.
- Ino co?
- Ba? co? musi: cysarz, i basta!”

Dyck notuje: „30-go lipca. U Lemona zostały przeprowadzone wybory do Reichstagu [niemieckiego parlamentu]. Pełniłem funkcję protokolanta. Oddano 12 głosów na Albrechta Sucemina i 8 głosów na starostę Granatzky’ego”. Jednak jeśli opuścimy Lipce i przeniesiemy się do wsi w zaborze austriackim lub pruskim, to obserwacje będą inne. Wincenty Witos pochodził z ubogiej rodziny, jego rodzice posiadali jedynie dwie morgi ziemi rolnej, zamieszkiwali w jednoizbowej chacie, przerobionej ze stajni. A przecież doszedł do wielkich stanowisk, już w czasach przed odzyskaniem niepodległości był posłem do austriackiego parlamentu. No, ale w Lipcach czytają już gazety, to początek edukacji obywatelskiej. Może i po książki kiedyś sięgną. Kuba „[...] jął opowiadać, jaku go to ksiądz wezwał na pokoje, jaku tam piękne, że tyła ksiągów. [...]

- A gazety to co dnia stójka przynosi - dorzuciła Hanka.
- Bo w gazetach piszą, co się dzieje we świecie... ozwał się Antek.
- I kowal z młynarzem trzymają gazetę.
- I... to i taka kowalowa gazeta! - rzekł urągliwie Boryna.
- Takutka sama kiej księża - powiedział ostro Antek.
- Czytałeś? Wiesz?
- Czytałem i wiem, a bo raz!
- I nie zmańdrzałeś nic z tego, że się zadajesz z kowalem.
- La ojca to ino ten mądry, co chocia z półwłóczek ma abo i ogonów krowich z mendel”.

I choć Boryna nie ceni zbytnio edukacji, to jego syn Antek myśli już inaczej. W niejednej wsi polskiej urodził się wtedy przyszyły uczonec, pisarz czy polityk. Wspomniałem już Witosa, ale galeria chłopów, którzy poszli śladem Andrzeja Radka z „Syzyfowych prac” jest bogata: Maciej Rataj, Jalu Kurek, Stanisław Pigoń, Julian Przyboś...

Wielkim wydarzeniem była dla mieszkańców Lipiec wyprawa na jarmark do Tymowa. „Hanka z Józką pognały maciorę i podpasionego wieprzka, a Antek powiózł dziesięć worków pszenicy i pół korczyka czerwonej koniczyny”. Boryna z oszczędności idzie na targ piechotą, po cichu licząc, że ktoś go podwiezie. „[...] jakoż i zaraz tak się stało, bo tuż za karczmą dopędził go organista, jadący bryczką w parę tęgich koni.

- Cóż to, na piechty, Macieju?
- La zdrowia... Niech będzie pochwalony.
- Na wieki. Siadajcie z nami, zmieścimy się! - proponowała organiścina.
- Bóg zapłać. Doszedłbym, ale jak powiadają, zawsze milej duszy, kiej ją wóz ruszy - odrzekł sadowiąc się na przednim siedzeniu, plecami do koni”. Doprawdy wzruszająca jest ta troska o zdrowie wśród mieszkańców Kongresówki.

Jeśli przyjąć, że do worka wchodzi 50 kg zboża, to mowa o 500 kg pszenicy, pół korca to 64 litry koniczyny. Za maciorę Boryna chce 35 rubli, choć kupujący grymaszą i proponują „Trzydzieści papierków, powiadają, że niedopasiona, bo ino w gnatach gruba, a nie w słoni nie”. Antek targuje się z Żydami, którzy za zboże chcą dać sześć i pół rubla, bo „pszenica ze śniedzią”. On zaś twierdzi, że „pszenica czysta jak złoto” i nie zgadza się na obniżenie ceny, stanowczo żąda 7 rubli. Wieczorem „[...] wyjechali z miasta Borynowie; sprzedali wszystko, co mieli, nakupowali różności i użyli jarmarku, co się zowie. [...] podpili sobie wszyscy niezgorzej” i wracali zadowoleni.

I takie to było Borynowe bogactwo, gdy tymczasem Dyck notuje:

5 II - „zawiozłem ser żółty 100 kilogramów po 21 marek, mieliśmy 302 kilogramy”,

8 II - „wyplacono mi 420 marek [za wałacha]”,

15 II - „zapłaciłem 65 marek za ziarno owsa oraz groch. Jeden korzec owsa kosztował 3 marki 25 fenigów”

2 V - „Otrzymałem od taty 1200 marek odsetek”.

4 VI - „Gustav Schulz kupił osiem wołów za 240 marek, potem oddał mi 600 marek”.

19 VI - „Cornelsen kupił krowy [...] Ważyły 685 kg. Za sto kilo należało się 10 talarów, wszystko razem wyniosło 68 talarów i 15 groszy”.

25 VIII) - „Wiebs dał mi odsetki za 12 600 marek na trzy lata”.

19 IX - „Piepers kupił u nas jednorocznika za 222 marki”

5 X - „wysłałem 459 kilogramów sera żółtego do Martina Wedhorna. 100 kilo sera kosztowało 24 marki”.

Widać, że ser podrożał o 3 marki. Kupiec Wedhorn odebrał jeszcze 9 XI 23 sztuki sera ważące 402 kilo i 5 korców jęczmienia. Żuławski chłop nie tylko produkował mięso, zboże i nabiał – on jeszcze umiał nieźle handlować. Prowadzi też transakcje finansowe, mowa dwa razy o odsetkach. Ta gospodarność, skwapliwość, zapobiegliwość procentowała i zamożność żuławskiego chłopca rosła. Stać go było na rzeczy zbytkowne – pianino, baldachim, malowany nowy wóz. Na Żuławach najwymowniejszym znakiem bogactwa były domy podcieniowe, istne chłopskie rezydencje. I nieprzypadkowo wprowadzano tu przepisy przeciwko zbytkowi. Ta kraina naprawdę była chlubą Prus, w której płacono podatek katastralny siedem razy wyższy niż na Kaszubach. W relacji niemieckiego podróżnika Abrahama Hartwicha z podróży po Polskich Prusach (z roku 1772) czytamy, że bogactwo żuławskich gburów wprost kłuło w oczy a kapłani krytykowali w swych kazaniach noszenie luksusowych ubiorów z jedwabiu i atlasu oraz złotych i srebrnych ozdób.

W „Chłopach” wiele miejsca zajmuje opis świąt kościelnych, obrzędów. Kalendarz rolniczy jest zespolony z kalendarzem liturgicznym. Heinrich Dyck jest mennonitą. Pilnie odnotowuje wizyty w kościele, pisze kto miał kazanie (u mennonitów nie ma kapłanów, kazania są wygłaszane przez członków wspólnoty), kto grał na organach. Ale nie rozwodzi się na temat religii, o zwyczajach wspomina tylko raz. 31 grudnia zapisał z żalem: „Po drugiej stronie Wisły [Elbląskiej] szło wielu noworocznych śpiewaków (kołędników). Niestety żaden do nas nie przyszedł”.

Hauskampe, w którym gospodarzył Dyck leżało przy drodze z Rybiny do Groszkowa, w miejscu, gdzie droga odbiega od Szkarpawy. Na mapie wojskowej z 1969, która nosi jeszcze pieczętkę POUFNE EGZ. NR 431, w tym miejscu widnieje napis Chałupki, ale chyba nikt tej nazwy dziś nie używa. Gdy patrzę na dawne niemieckie, bardzo dokładne mapy Żuław zadziwia mnie, jak wszystko na nich jest ponazywane, każdy rów, kanał, grupka zabudowań ma swą nazwę.

Chwała Markowi Stokowskiemu za przywiezienie tego dziennika ze Szwecji od potomków żuławskiego chłopca. Edycja dziennika H. Dycka została starannie przygotowana, zadbano o polskie nazwy wzmiankowanych miejscowości, ale zabrakło jednego uściślenia - autor kilka razy wspomina rzekę Wisłę. Opisuje m.in. wyprawę trzeciego stycznia do Żuławek po to, żeby zobaczyć, czy rzeka się zatrzymała, to znaczy zamarzała. Ale wiele razy używa skrótu myślowego – pisze Wisła, a w rzeczywistości chodzi mu o Elbinger Weichsel, czyli Wisłę Elbląską, dziś zwaną Szkarpawą. Tyle gwoli ścisłości.

Korciło mnie, żeby w tytule zamiast „jest” użyć czasu przeszłego, ale po namyśle postanowiłem nie zmieniać formy zastosowanej przez Wyspiańskiego. Na Żuławach po eksodusie dawnych mieszkańców, po potopie, po dziesięcioleciach socjalistycznych eksperymentów w rolnictwie coś się zmienia. Są bogaci rolnicy, panowie na setkach hektarów. Mam nadzieję, że doczekamy się spełnienia marzenia z wiersza „Żuławy” Czesława Miłosza:

*Człowiekowi jak życzyć? Niech będzie szczęśliwy.
Niech własną ręką stworzy niestworzone dziwy,
Nie złoto, niechaj gwiazdę marzenia wyorze.
W ciemnozielony ogród niechaj myślą zmieni
Kraję płaską wziętą z wody i płomieni*

Teodor Sejka

ZAMEK PANA FEUDALNEGO GÓROWAŁ NAD CAŁĄ OKOLICĄ

O WIELKICH DZIEJACH MAŁEGO BENOWA

Któżby się przejmował jakimś zdaniem, które w odległych szkolnych latach było materiałem ćwiczebnym do wyodrębniania części mowy i części zdania? Nie wiem, czy ktoś w życiu dorosłym zapamiętał przynajmniej jedno takie zdanie, bo trudno sobie wyobrazić, by mogło ono na stałe zadomowić się w ludzkiej jaźni, a tym bardziej, by takie zdanie mogło zdobyć sobie rangę aktywnego bohatera czyjśgoż życia. A taką właśnie karierę zrobiło w moim życiu zdanie, które stanowi tytuł niniejszego artykułu.

Po raz pierwszy zetknąłem się z nim, gdy w piątej klasie benowskiej szkoły z panem Januszem trudziliśmy się nad rozbiorem logicznym i gramatycznym zdań. Spośród wielu zdań, ono jedno okazało się jakieś takie pasujące do krajobrazu Benowa, organizujące wyobraźnię, pełne plastyczności i kolorytu. I tylko ono jedno na stałe przyłgnęło i usadowiło się w mojej świadomości w sposób nieusuwalny, nie podlegający wymazaniu do dnia dzisiejszego. Nasze współlistnienie ugruntowało się w tym momencie, gdy jego wyobrażeniowa treść sprzęgła się z topografią konkretnego miejsca we wsi Benowo w powiecie kwidzyńskim. Miejsce to było na trasie naszych wycieczek klasowych nad Wisłę, w odległości 1 kilometra od wsi w kierunku zachodnim, po lewej stronie drogi, wtedy polnej, dziś asfaltowej. W pewnym oddaleniu widać tam niewielki pagórek porośnięty drzewami i krzewami. Lekko górujący nad bezkresem łąk i pastwisk, w bliskim sąsiedztwie rzeki Liwy, od początku sprawiał jakieś niezwykle wrażenie. Jego widok za każdym razem emanował nastrojem tajemniczości, uśpionego życia, jakiegoś zapadłego pod ziemię świata, miejsca, gdzie kiedyś musiało dziać się coś niezwykłego. A my, po wielekroć, idąc tędy, nie wiedzieć czemu, przechodziliśmy obok tego miejsca tak obojętni nie uświadomieni przez nikogo, jakby jacyś profani wobec świętości. To tu właśnie miałem doświadczyć niewytłumaczalnej iluminacji, podczas której jakby odsłoniła się mi-



Pieczczę Benowa, fot. archiwum

gawka aparatu mojej świadomości. Wyobrazeniowa treść owego zdania z lekcji gramatyki jakby dopasowała się i uzupełniła siłą wrażenia wywołaną mijanym miejscem .

Owoce tego uzupełnienia było przekonanie, że to właśnie na tym pagórku stał kiedyś ten zamek „który górował nad całą okolicą”. To moje emocjonalne doświadczenie uzupełnione ilustracjami i wiadomościami szkolnymi o osadzie w Biskupinie musiało wtedy odcisnąć w moim mózgu bardzo głęboką i trwałą matrycę wyobrazeniową. Toteż, ilekroć przechodziłem obok tego miejsca, do pracy przystępowała moja wyobraźnia, która animowała i jakby wskrzeszała krzątanię, zapachy i dźwięki tego zapadłego w ziemię życia i świata. Starła się przedrzeć przez szczelną zasłonę tajemnicy, by dostrzec tam ludzi z innej epoki, ich codzienny byt, emocje, tembr głosu ich rozmów i śmiechu. Wtedy to meldowało swą obecność to zdanie i towarzyszące mu poczucie poznawczego niedosyту, nastrój wyraźnego zawodu, że nigdy, nikt z prowadzących nas nauczycieli nie podejmuje próby opowiedzenia nam o tym wzgórz, że za każdym razem przejdziemy obok niego tak obojętni, pozostawszy bez szans na poznanie jakiejś ważnej tajemnicy. Oczywiście wtedy, jako chłopiec nie miałem zielonego pojęcia, że żyjemy na ziemiach dawnego Państwa Krzyżackiego. A tym bardziej nie mogłem wiedzieć, tak jak i wielu dorosłych nie wiedziało, że Benowo było jednym z najważniejszych jego centrów gospodarczych. Zresztą wówczas władze nie przykładają żadnej wagi do tzw. regionalizacji wiedzy historycznej. Było zaledwie 10 lat po wojnie i polityka oświatowa i społeczna na plan pierwszy wysuwała zadania związane z repolonizacją na terenach poniemieckich z integracją ludności w jednolite społeczeństwo. Przekonywano nas wtedy, że powróciliśmy na rdzenne ziemie piastowskie i nigdy w szkole nie słyszałem o Prusach jako o pierwotnych gospodarzach tych ziem.

Tak więc żyłem w tej nieświadomości, stąpając po tej ziemi przez bardzo długie lata i musiało mi wystarczyć to, czego dostarczała mi własna wrażliwość i intuicja, a których dźwignią było zawsze to sławetne zdanie z lekcji gramatyki. Jego tajemniczy podszept towarzyszy mi do dziś, gdy mijam to miejsce. Wciąż zdumiewa mnie ów fenomen niezwykle psychologicznego doświadczenia, w którym intuicja nie wiele, albo wcale się nie myliła, wskazując mi miejsce, gdzie drzemie ukryty tak niezwykle potencjał zdarzeniowo-historyczny. Dziś zdaję sobie sprawę, że cała tamta niezwykła sytuacja z dzieciństwa żyje we mnie dzięki mentalnej więzi i wdzięcznej pamięci o pięknej i bogatej osobowości mojego nauczyciela. Dzięki zdaniu o zamku postać pana Janusza wciąż pozostaje dla mnie żywa i wciąż działająca w wiecznym uobecnieniu, razem z tamtymi odległymi szkolnymi laty.

Mijały lata, zdążyłem dorosnąć, zmieniało się wszystko wokół, wymieniały się generacje społeczeństwa benowskiego. Tylko zadrzewiona kępa na zachód od wsi wciąż tajemniczo milczała, jakby nie pozwalając wyrzeć sobie głęboko skrywanej tajemnicy o własnej przeszłości. Wprawdzie w powszechnie dostępnych przewodnikach po Ziemi Sztumskiej można było przeczytać zdawkowe informacje o Benowie, ale były to teksty ogólnikowe, nie oddające ani kolorytu, ani dramaturgii tak odległej historycznej rzeczywistości. Zresztą, nie pamiętam by wtedy ktoś przejawiał zainteresowania tą tematyką. To głuche milczenie na temat benowskiej przeszłości przerywa dopiero twórcza inicjatywa ks. Michała Szolkiwicza. Przybył on do Polski z falą repatriantów z Wileńszczyzny i w roku 1960 naznaczony został proboszczem w Benowie. Urodzony w 1891 r. na Wileńszczyźnie. Wyświęcony

na kapłana w 1915 roku w Petersburgu. Wkrótce w Benowie dał się poznać jako kapłan wielkiej pobożności i gorliwości duszpasterskiej. W kontaktach z parafianami odznaczał się wielkim taktem, wysoką kulturą osobistą oraz piękną, trochę archaiczną polszczyzną: „Panie mo-dobrodzieju”, jako skrót staropolskiego zwrotu „mości dobrodzieju” było często używanym ozdobnikiem w jego wypowiedziach dialogowych. Ten zasłużony dla Kościoła i Ojczyzny kapłan w czasie wojny był kapelanem w oddziałach Armii Krajowej na Kresach Wschodnich, za co był odznaczony Krzyżem Walecznych. Tu w Benowie szybko rozpoznał sytuację ludnościową i problematykę przeszłości historycznej. Zafascynował się doniosłością i bogactwem faktów i wydarzeń w jakie obfitowała przeszłość tej ziemi, co skłoniło go do pionierskiego wysiłku napisania historycznej Monografii Parafii Benowo. Podjął się, jak sam przyznał, dzieła niezwykle trudnego z uwagi na swój podeszły wiek oraz na zbytnią odległość od centrów naukowych dysponujących odpowiednimi materiałami źródłowymi.

Niezwykła atrakcyjność tematu oraz traktowanie swego autorskiego przedsięwzięcia jako ważnego zadania duszpasterskiego były dla niego motywacją bardzo zachęcającą do pracy. Monografia była przygotowywana na stuletni jubileusz parafii przypadający na rok 1969. Autor dostrzegł w tym ważną szansę w trudnym dziele integrowania zróżnicowanej społeczności parafii. Spisanie miejscowej historii miało być elementem przełamującym niechęć i uprzedzenia pomiędzy ludnością autochtoniczną i napływową z różnych stron Polski oraz repatriantów z ZSRR. Autor, w swojej skromności zaznacza, że trudno byłoby w jego pracy szukać czegoś odkrywczego, co mogłoby wzbogacić stan wiedzy w omawianym temacie, gdyż nie jest on specjalistą historykiem. Jak pisze w przedmowie „Mnie zaś chodzi o coś bardziej skromniejszego... o zebranie w jedną narracyjną całość faktów już znanych, ale rozproszonych w pracach innych autorów i stworzenie z nich opowiadania dla szerokiego ogółu czytelników”. Miało to w zamyśle autora stanowić nową płaszczyznę kształtowania wspólnotowej tożsamości ludzi różnorodnego pochodzenia, zamieszkujących wspólne terytorium.

Monografia oparta jest na bogatej bibliografii, w dużej części niemieckojęzycznej, dostępnej w bibliotece uniwersyteckiej UMK w Toruniu i przekrojowo opisuje i objaśnia dzieje benowskiego dworu krzyżackiego, a także w sposób dość obszerny traktuje zagadkę Zantyra w Białej Górze, pierwszej na ziemi Prusów katedry chrześcijańskiej, związanej z działalnością ewangelizacyjną biskupa Chrystiana. My jednak zajmijmy się tu dziejami tajemniczego wzgórza, zwanego do dziś Kukrzyskiem. Autor informuje nas, że nazwa Kukrzysko jest pochodzenia bałtyckiego i ma wyraźne cechy pruskiego pochodzenia, z czego wnioskuje, że w czasach przed krzyżackimi istniała tu osada Prusów. Nazwa ta na język polski przekłada się jako pierwotna siedziba, dawne siedlisko, miejsce, z którego się pochodzi. Pisząc o miejscu lokalizacji tego miejsca (uroczyśka) autor zwraca uwagę, że leży ono tam, gdzie obie rzeki (Wisła i Stary Nogat) najbardziej zbliżają się do siebie. Tę zaś obserwację uzupełnia hipotezą Toeppena, że był czas w XIV, może w XIII wieku, kiedy w wyniku powodzi, lub na skutek interwencji człowieka, część wód Nogatu wchodziła do Wisły, co powodowało zubożenie Nogatu w wodę. Skutek był taki, że łożysko Nogatu, poniżej styku tych rzek, zwłaszcza latem prawie wysychało. Tak było do czasu usypania wałów ochronnych na brzegach Wisły. Obecnie Nogat (tj. Liwa) w tym miejscu (styku) skręca na wschód, opływa Kukrzysko od północy, przecina szosę i tuż za mostem (na szosie) płynie w stronę Bia-

łej Góry. Przyznam, że już od dawna zadziwia mnie opisywany tu przez ks. Szkołkiewicza fakt. Zawsze zdumiewało mnie, że tak nagle rzeka za Kukrzyskiem zdecydowanie skręca na wschód, oddalając się od Wisły, by tuż za mostem znów skręcić pod kątem prostym i skierować się w stronę Białej Góry. Dlatego nie mogę się oprzeć przypuszczeniu, a nawet pewności, że pierwotnie Nogat (czyli Liwa) musiał w tym miejscu (styku) być dopływem Wisły, gdyż dalszy jego bieg jest wyraźnie sztucznie ukierunkowany przez interwencję człowieka. Przemawiałby też za tym fakt, że w miejscu pierwszego skrętu Liwy można zaobserwować wyraźne obniżenie terenu, jakby rowu ciągnącego się w stronę wału wiślanego.

Nietrudno domyślić się, że Krzyżacy mieliby bardzo praktyczne powody, by przebudować ten ciek wodny obok własnego tak strategicznego gospodarstwa. Misiało im przecież zależeć na uczynieniu z Liwy żeglownej drogi dla taniego transportu produkowanych w Benowie materiałów i żywności do swojej stolicy w Malborku. Tymczasem literatura naukowa jakoś nie chce zwrócić uwagi na ten zagadkowy aspekt. Nie znalazłem też na ten temat żadnej wzmianki w internecie. Dopóki więc nie zainteresują się tym problemem zawodowi historycy, niech mi wolno będzie mieć w tej kwestii swoją własną amatorską hipotezę.

Ale przecież miało być o zamku w Benowie. Chciałem przecież zweryfikować swoje własne przeczucia na ten temat, pochodzące jeszcze z dzieciństwa - czy zamek stał tu naprawdę. Z monografii ks. Szkołkiewicza dowiadujemy się, że benowski dwór krzyżacki posiadał około 300 hektarów ziemi i był nastawiony głównie na hodowlę koni. Nazwane są istniejące tu budynki gospodarcze oraz kaplica pod wezwaniem św. Mikołaja, że jeszcze w 1665 roku były tu spichrze na zboże, a benowianie pamiętający czasy sprzed I wojny światowej wspominali, że stał tu wiatrak i gospodarstwo Rainera. Mowa wciąż jednak o folwarku i gospodarowaniu. A co z zamkiem, który mógłby tu „górować nad całą



okolicą”? Czyżby moja intuicja pobudzona zdaniem na lekcji gramatyki miałyby okazać się bałamutna i pusta?

Wreszcie jednak w narracji ks. Szołkiewicza trafiam na ukryty trop zamku w Benowie. Pisze on, że w 1416 roku Krzyżacy zbudowali we dworze nowy dom mieszkalny z muru pruskiego dla wielkiego mistrza i jego świty, który przyjeżdżał na polowania do Benowa. Jednocześnie zwraca uwagę na odnośny, dający wiele do myślenia sarkastyczny przypis Bernarda Schmidta, badacza tych terenów, że: „także pałace i zamki nazywają się tylko domami”, co ze strony krzyżackiej było z pewnością próbą semantycznego wykrętu i sprytnego obejścia nakazów reguły zakonnej ascezy. Nie mogli więc nazywać swej rezydencji pałacem, czy zamkiem. Ciekawa rzecz, że prawie po pięćdziesięciu latach od powstania pracy ks. Szołkiewicza, na tego samego Schmidta, powołuje się zawodowy historyk - archeolog dr Adam Chęć, podając, że Schmidt zaliczył Benowo do zamków (Ordenshaus), podczas gdy inne interesujące nas założenia określił jako dwory (Hofe) i stwierdził jednoznacznie, że „może to dobitnie świadczyć o znaczeniu i wielkości Benowa.” A więc wiarygodność mojej intuicji w świetle historycznych faktów została uratowana i faktycznie nie zawiodła, wszak był taki czas, kiedy naprawdę stał tu prawdziwy zamek, który „górował nad całą okolicą”! Wprawdzie nie zachował się żaden opis jego wyglądu, kształtu i wystroju, ale od czego jest wyobraźnia.

Zainteresowanie historią Benowa przez profesjonalnych badaczy zawdzięczamy pracom archeologicznym prowadzonym w latach 2001- 2003 przez grupę studentów UMK z Torunia pod kierunkiem dra Adama Chęcia. Toruńscy archeolodzy dokonali tu 9 wykopów. W ostatnim z nich, obok wzgórza na polu, na głębokości kilku metrów pod ziemię natrafili na szczątki większej budowli. Były to, najprawdopodobniej spichrze zbożowe z czasów pokrzyżackich, gdy wójtostwo sztumskie miało w Benowie swoje spichrze. Pisze o tym Wojciech Szramow-



Kościół w Benowie, fot. W. Bielecki

ski, że spichlerz w Benowie należał do dóbr miejskich nadany Sztumowi w 1553 roku przywilejem przez króla Zygmunta Augusta. Spichlerz miał 100 stóp długości i 50 stóp szerokości i był położony nad Starym Nogatem w miejscowości Benowo, należącej do starostwa. Tę właśnie budowlę odkryli toruńscy archeolodzy, a gdy ją wówczas zobaczyłem, nie mogłem wyjść ze zdumienia, że miejsce, które znałem od dzieciństwa mogło skrywać tak okazałą budowlę i tak głęboko, może nawet cztery metry pod ziemią. Gruba warstwa ziemi co roku rodziła benowskim rolnikom buraki i pszenicę, a w swej głębi przechowywała taką niespodziankę.

Przez całe wieki niemal musiała się napracować królowa polskich rzek, by tak skrzętnie przykryć przeszłość tej ziemi. Badania wykazały, że w XVI wieku spichlerz ten został strawiony przez pożar, o czym świadczyła warstwa spalenizny. Na całym terenie badań znaleziono liczne fragmenty ceramiki naczyniowej i budowlanej, kości zwierząt, wędzidła, osetki, monefy i kafle określone na okres późnego Średniowiecza i okres nowożytny (XIV- XVII w.). Na jednej z gotyckich cegieł uwiecznił się odcisk łapy psa z XIV wieku. Opublikowane przez dra Chęcia materiały z przeprowadzonych badań zawierają szczegóły opowiadające o codziennym życiu benowskiego dworu; o wizytach i noclegach wielkich mistrzów, o popisach błazna Wolfa przed Konradem von Jungingenem, o przekazywaniu drobnych kwot uczniom, o kupowaniu przez niego poziomek od miejscowych ludzi. O tym, że wielcy mistrzowie zatrzymywali się tu podczas podróży ze Sztumu do Międzyzłęża za Wisłą, podczas których korzystali z przeprawy promowej na Wiśle. Najwyżsi dostojnicy zakonnicy przyjeżdżali tu często na polowania do pobliskiej Puszczy Sztumskiej. Nie trudno więc wyobrazić sobie, że benowska rezydencja musiała być okazała i luksusowo wyposażona, jak przystało na prawdziwy zamek.

Nazwa miejscowości Bönhof po raz pierwszy na kartach dziejów pojawia się w spisie inwentarza krzyżackiego z roku 1376. Kilka zachowanych inwentarzy informuje o przekazywaniu przez kolejnych zakonnych mistrzów lasu swej funkcji następnemu: *"W roku pańskim 1381 na Wszystkich Świętych przekazał brat Johan von Velde urzędowi w Benowie, bratu Johannowi von Beke."* - i tu następuje wyczerpujące wyliczenie przekazywanego inwentarza. I tak np. w 1376 roku było tu 169 koni, 112 krów, a w roku 1399 - 109 starych kobył, 63 młode kobyły 2 i 3-letnie, 21 koni do wozów, 43 sztuk bydła, 43 świnie, 80 owiec oraz 15 kóz. Inwentarze wymieniają też zabudowania gospodarstwa, jak: obora, kuchnia, piekarnia, kaplica, łaźnia, piwnica oraz słodownia. Są też wzmianki o przekazywanych beczkach miodu.

Dr A. Chęć podaje też, że w Benowie były sprzyjające warunki do wypasania świń, które karmiono żołądziami i orzeszkami buczynowymi zbieranymi w pobliskiej puszczy. Zaś na rozległych polach uprawiano zboża. Wskazuje też na niezwykle ciekawe pochodzenie nazwy gospodarstwa zakonnego. Niemieckie określenie Benowa to Bönhof - jest prawdopodobnie zniekształconą formą od Bienenhof, co oznacza Pszczeli Dwór lub Folwark i wskazuje na produkcję miodu, chociaż według Schmida nazwa wywodzi się od słowa Bärenhof (Niedźwiedzi Dwór), jakoby miałyby tu mieć miejsce zagroda dla niedźwiedzi schwytych w puszczy i tu oswajanych.

O randze i znaczeniu Benowa w Państwie Krzyżackim świadczą ważne urzędy funkcjonujące przy folwarku. A więc wspomniana już rezydencja Mistrza Lasu, zarządcy terenów leśnych (Waldmeistera), którego zadaniem było administrowanie obszarami Puszczy

Sztumskiej, ciągnącej się od Sztumu aż po Kwidzyn. Leśniczowie ci byli członkami konwentu malborskiego, ale rezydowali na stałe poza stołecznym zamkiem. Tak właśnie było w Benowie, gdzie na miejscu mogli oni zarządzać gospodarką leśną; ścinką i zwózką drewna, tartakami i warsztatami ciesielskimi, gospodarką pszczelarską, polowaniami, zbieraniem czynszów, a także w ograniczonym zakresie - sądownictwem.

Funkcję Waldmeistera pełnił brat zakonny, który podlegał krzyżackiemu wójtowi sztumskiemu oraz wielkiemu komturowi w Malborku. Znanych jest 15 nazwisk Waldmeisterów urzędujących w Benowie. Do dzisiaj zachowała się pieczęć krzyżackiego nadleśnictwa z Benowa, którą przechowuje Muzeum Miasta Torunia. Pieczęć jest okrągła z wizerunkiem drzewa i napisem w otoku: *Waldmeister benhoufen* (Mistrz leśny benowski).

O strategicznym położeniu Benowa świadczy też istnienie urzędnika pełniącego funkcję zakonnego dozorczy dróg. Bowiem przez Benowo przebiegała bardzo ważna trasa ze Sztumu przez Wisłę do miejscowości Międzyzłęże, gdzie, jak podaje Franciszek Mamuszka przeprawiano się do siedziby krzyżackiego komornictwa tj. niższego urzędu administracyjnego, a przejazd przez Liwę (Stary Nogat) odbywał się przez most zbudowany obok dworu. Niestety, reliktyw owego mostu nie udało się odnaleźć toruńskim archeologom, o czym informuje dr Chęć w swoim sprawozdaniu. Benowo było więc punktem obronnym strzegącym tej drogi, a zakonny dozorca odpowiadał za jej stan, za stan mostu i przeprawy na Wisłę. Ponadto położenie dworu dawało możliwość utrzymywanie kontaktu z zamkami w Gniewie i w Kwidzynie przez system sygnałów świetlnych wysyłanych nocą z wież zamkowych.

Jakże nie zadumać się nad historycznym fenomenem wsi, którą się znało od tylu lat, o jej niezwykłej przeszłości i o tych licznych pokoleniach mieszkańców Benowa, którzy na tych



Wprowadzenie biskupa Józefa Drzyzgi do kościoła w Benowie w 1970 r., fot. archiwum

polach uprawiali zboża i buraki, wypasali swoje bydło. Tu upływało całe ich pracowite życie i odeszli do wieczności nie poznawszy historii swojego skrawka ziemi. O historii, która dla nas współczesnych odsłoniła swe tajemnice, najpierw w monografii ks. prał. Michała Szolkiewicza, a po kilku dziesięcioleciach przez prace archeologiczne i publikacje dra Chęcia. Obydwa te źródła akcentują fakt, że w połowie XIX wieku przeniesiono wieś na inne miejsce z powodu dotkliwej powodzi, która miała miejsce w roku 1829. Ks. Szolkiewicz pisze o częstych zmaganiach mieszkańców z wylewami Wisły, że np. w XVI wieku Wisła zalewała te tereny aż 50 razy, a w 1829 roku woda zabrała aż 23 chaty i „benowianie wszystko stracili, ale sami zdołali się uratować”. Klęska ta zdecydowała o tym, że „zbudowali nową wieś na piaszczystym wzgórzu, pod Borem Królewskim, gdzie obecnie stoi”. Czy nie brzmi to dumnie i dostojnie? Czy nie dowartościowuje to współczesnych jej mieszkańców?

Autor monografii wspomina o powszechnym współczuciu, jakie okazywali powodziarom ich sąsiedzi, z których największym dobroczyńcą miał się okazać ks. Franciszek Penkert, proboszcz z Pogorzalej Wsi. Obdarzony charyzmatem uzdrawiania, leczył poszkodowanych ludzi ziołami, które sam gromadził, a za usługę nic nie brał. Jak pisała ówczesna lokalna prasa: „Poznał nas jako sąsiad najbliższy i umiłował nas... Jemu zawdzięczamy niejedną ulgę w doczesnej nędzy, a przede wszystkim w duchowych potrzebach, widząc bowiem opuszczenie nasze, wskutek wielkiej oddali od sztumskiego kościoła...nie przestał pracować nad tem, aż nam wybudował w roku 1869 drewnianą kaplicę i kapelanią (plebanię).” Kaplica ta musiała być budowana gdzieś „na stronie”, w lesie, a potem, pod osłoną nocy przetransportowana do wsi w ścisłej konspiracji z uwagi na wrogość władz niemieckich, które, mimo formalnych swobód religijnych, zadekretowanych w roku 1850 i 1854 nie dopuszczały do powstawania kościołów i parafii katolickich w takich miejscowościach, gdzie ludność polska siedziała zwartą masą, lub stanowiła większość. Nie zważając na grożące represje ks. Penkert dołożył wszelakich starań, by sprezentować benowianom tak upragnioną kaplicę. – „Kaplicę tę, z pewnych przyczyn, jednej nocy do nas przewieziono i nad rankiem ustawiono, tak, że zdziwieni mieszkańcy mniemali, iż im z nieba spadła” - jak odnotował „Warmiak”. Tak więc owej to, symbolicznej nocy narodziło się życie benowskiej parafii, dla której, staraniem ks. Penkerta, w następnym roku 1870, udało się „wyarendować stałego kapłana”. Sto lat później, w roku 1970, jubileusz tej parafii organizował czcigodny ks. prałat Michał Szolkiewicz i uczcił tę rocznicę napisaniem monografii swojej parafii.

Wyobraźnia podpowiada nam, że w miejscu, gdzie obecnie stoi okazały, neogotycki murywany kościół pod wezwaniem Najświętszego Serca Pana Jezusa, pewnej nocy, przed 145 laty w Benowie ustawiono małą, drewnianą kapliczkę, która jednoczyła poszkodowanych benowian, gdzie odnajdywali pociechę i ożywiali swe nadzieje w Bogu. Musiała ona jednak nie wystarczać potrzebom benowskiej społeczności katolików, skoro już w 1881 r. przystąpiono do budowy obecnego kościoła. Stuletni jubileusz parafii świętowano w dniu 16 sierpnia 1970 roku. Uroczystościom przewodniczył ordynariusz warmiński ks. bp. Józef Drzazga. To doniosłe wydarzenie zgromadziło okoliczne duchowieństwo i tłumy wiernych, a podczas uroczystości ks. biskup odczytał dekret o mianowaniu benowskiego proboszcza - prałatem.

Wieś Benowo znam od roku 1950, gdy zapisano mnie do pierwszej klasy miejscowej szkoły. W tej mojej „rodzinnej” szkole miałem później prawdziwą przyjemność, przez 5 lat,

pracować jako nauczyciel w latach 60. minionego wieku. Ze wstydem jednak muszę przyznać, że nawet wtedy nie miałem żadnej świadomości na temat historycznej przeszłości wsi, w której pracowałem. Ale żyło wciąż ze mną owo pamiętne zdanie o zamku, „który górował nad całą okolicą”. Ono jakby wciąż nie chciało pozostać czystą abstrakcją i odczepić się ode mnie, wciąż natarczywie domagało się realnych, materialnych desygnatów. I tylko ono, tak naprawdę, w jakiś pozaracjonalny sposób inspirowało moją wyobraźnię we właściwym kierunku, aż wreszcie dopięło swego. Wówczas bowiem jakoś nie było żadnego zaciekawienia historią własnej miejscowości, a wszelkie sygnały na ten temat były powszechnie lekceważone, jakby nie zasługujące na głębszą refleksję. Niestety, czas na regionalizację wiedzy historycznej przyszedł znacznie później, chyba o wiele za późno. Dobrze więc, że monografia ks. prałata Szolkiewicza znacznie wyprzedziła przełom w tej dziedzinie.

Dzisiejsze Benowo dzieli smutny los miejscowości dotkniętych wyludnieniem. I na nic się zda narzekanie nad jego społeczną i prestiżową degradacją, wszak walec negatywnych przemian lekceważy sobie nasze intencje i sentymeny. Warto jednak przypomnieć, że w czasach PRL-u Benowo było siedzibą Gromadzkiej Rady Narodowej, działała tu poczta, Dom Ludowy z salą taneczną i sceną, Biblioteka Gromadzka, przedszkole, zlewnia mleka, kiosk Ruchu, no i co najważniejsze - Szkoła Podstawowa, będąca prężnym animatorem życia kulturalnego w tym środowisku. Dziś niestety, próżno byłoby szukać w Benowie tych instytucji. W budynku szkolnym Eko-Inicjatywa zorganizowała „Zaułek Benowo”, inne budynki sprzedano w ręce prywatne. Dziś Benowo ma tylko sklep i remizę OSP, no i oczywiście swój najpiękniejszy klejnot - kościół parafialny, będący symbolem trwania i duchowej łączności wielu pokoleń parafian. Wzniesiony w latach 1881-1886 z wyższych potrzeb duchowych ludzi „Ad maiorem Dei gloriam” trwa niezachwianie, przetrzymawszy groźne czasy wojen i nieludzkich totalitaryzmów, wciąż jednoczy ludzi w ich troskach, potrzebach i w tęsknocie za transcendencją.

Dzisiaj, gdy patrzę na wieś z perspektywy wzgórza, gdzie przed wiekami stał krzyżacki dwór, przede mną roztacza się rozległa jej panorama na tle ciemnozielonej ściany lasu, pozostałości po Królewskiej Puszczy Sztumskiej. Z pociechą, dumą i nadzieją w tej panoramie dostrzegam strzelistą wieżę benowskiego kościoła - symbol ponadczasowości i tryumfu dobra nad złem, symbol ludzkiej godności naszych przodków, którzy ze swej głębokiej potrzeby obcowania z sacrum postawili tę dostojną i piękną świątynię. I chociaż z pokorą muszę przyznać, że czasy świetności Benowa przeminęły bezpowrotnie, to pocieszam się smutną refleksją nad symboliką flagi powiatu sztumskiego. Oto, w wydanej w Niemczech książce o powiecie sztumskim, obok wizerunku tej flagi znajdujemy następujące wyjaśnienie: „Godło powiatu sztumskiego od 1929 roku, przedstawia na czerwonym tle biały pas kasztelanii sztumskiej z trzema zielonymi szyszkami z godła nadleśnictwa Benowa. Projektował naczelny inż. bud. dr Szmid” (*Heimat zwischen Weichsel Nogat und Sorge*, 1982, s.24, tłumaczenie fragmentu Władysławy Thiel).

Gdy więc przechodzę obok budynku Starostwa Sztumskiego, przed którym dumnie powiewa flaga z trzema szyszkami, uświadomiam sobie, jak przewrotnie zadrwił sobie los z naszej lokalnej historii. No, bo zielone szyszki symbolizują historyczne nadleśnictwo w Benowie, ale samo Benowo, po reaktywowaniu powiatu sztumskiego w roku 2002 przydzielono do powiatu kwidzyńskiego, mimo że z Benowa do Sztumu jest tylko 8 kilometrów, a do Kwidzyna 30...

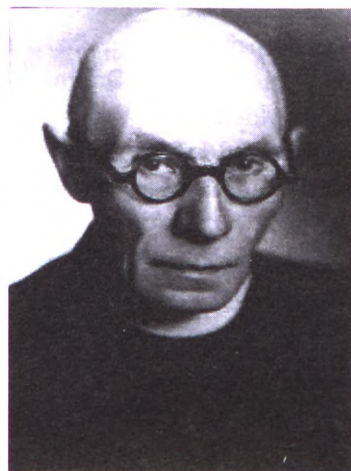
Kordian Kuczma

MIESZKAŃCY POWIŚLA W HISTORII SOPOTU

Na sukces każdej miejscowości wypoczynkowej pracują przybyszy z różnych stron. W przypadku powojennej historii „Riwiery Bałtyku”, podobnie jak całego Wybrzeża, byli to najczęściej repatrianci z Kresów i Małopolski. Jednak przed drugą wojną światową polską ludność miasta stanowili w przeważającej większości Pomorzanie i to nie tylko Kaszubi. Liczba wybitnych sopocian o powiślańskich korzeniach lub związanych w inny sposób z naszym regionem jest większa, niż można by się spodziewać.

KOŚCIÓŁ

O najwybitniejszym pracującym w Sopocie duchownym urodzonym w dawnym województwie elbląskim (konkretnie 4 czerwca 1889 r. w Miranach, czyli obecnych Mirowicach koło Sztumu) - księdzu prałacie Władysławie Łędze pisał już w numerze 3/2011 „Prowincji” Jan Kulas. Przypomnę więc tylko, że w II Rzeczypospolitej pracował on jako duszpasterz wojskowy, najdłużej jako proboszcz w Grudziądzu, gdzie otrzymał tytuł honorowego kustosa obecnie noszącego jego imię Muzeum Miejskiego. W szeregach 49 pułku strzelców kresowych wziął udział w wojnie z bolszewikami. W 1928 r. obronił pracę doktorską z archeologii na Uniwersytecie Poznańskim. Współpracował z Towarzystwem Naukowym w Toruniu, Poznańskim Towarzystwem Przyjaciół Nauk, Instytutem Bałtyckim i Polską Akademią Umiejętności, także w dziedzinie historii i etnografii. Kierował miejscowymi placówkami Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego i Towarzystwa Czytelni Ludowych.



Ks. Władysław Łęga, fot. wikipedia

W czasie II wojny światowej ksiądz Łęga ukrywał się przed hitlerowcami we Lwowie i pod Tarnowem. Po krótkim pobycie w Radzynie Chełmińskim, w październiku 1945 r. przybył do Sopotu, gdzie objął funkcje administratora parafii Najświętszej Maryi Panny „Gwiazdy Morza” i rektora kościoła św. Jerzego, a w sferze naukowej – prezesa Oddziału Gdańskiego Polskiego Towarzystwa Archeologicznego. Nadal zajmował się badaniami etnograficznymi, także w swoich rodzinnych stronach. Do jego najważniejszych publikacji należą: „Ziemia Malborska” (Toruń 1933), „Toruń i okolica w czasach przedhistorycznych” (Toruń 1933), „Grudziądz - dzieje i kultura” (Grudziądz 1950), „Legends Pomorza” (Gdynia 1958). Zmarł 2 sierpnia 1960 r. Od 2011 r. jego imię nosi jedna z ulic Malborka.



Walter Hoeft, fot. wikipedia

Tragiczną postacią był pracujący w latach 1933-35 jako wikariusz w parafii „Gwiazda Morza” Walter Hoeft. Urodził się 29 X 1906 r. w Rybinie na Żuławach. Jego ojciec Eduard, z zawodu urzędnik pocztowy, był Niemcem, matka Anna Polką. Kiedy ich syn ukończył naukę w uważanej za polską szkole przy Kaplicy Królewskiej, nie chciało go przyjąć żadne gdańskie gimnazjum. Rodzina musiała przenieść się do Wejherowa, co przyczyniło się do umieszczenia Eduarda na liście zdrajców narodu niemieckiego. Mimo, że zmarł w 1937 r., był jeszcze dwa lata później poszukiwany przez Gestapo.

Po ukończeniu seminarium duchownego w Pelplinie Walter został skierowany do pracy w Wolnym Mieście Gdańsku. W Sopocie zaopiekował się męskim i żeńskim kołem Stowarzyszenia Młodzieży Polskiej. Organizował naukę języka polskiego, zajęcia teatralne, muzyczne i sportowe. Stworzył VII Drużynę Harcerzy im. Płk. Leopolda Lisa-Kuli. Jego działalność narodowa rozwścieczyła lokalnych nazistów. W 1935 r. młody ksiądz musiał przenieść się do Pręgowa, a dwa lata później do parafii św. Franciszka w Asyżu w gdańskim Emaus. W 1938 r. został wikariuszem w kościele Chrystusa Króla, gdzie mógł powrócić do pracy wśród Polonii. Po zjeździe Stowarzyszenia Młodzieży Polskiej został aresztowany i dotkliwie pobity przez gestapo.

II wojna światowa zastała księdza Hoefta na regeneracyjnym urlopie w Wejherowie. Jego prośba o przyjęcie jako kapelana do I Morskiego Batalionu Strzelców nie została spełniona z wyjątkowo nieszczęśliwego powodu – braku mundurów. W tej sytuacji próbował dostać się na rowerze do Gdańska, jednak 14 września został aresztowany w Gdyni. Poprzez obóz przejściowy na Grabówku, więzienia w Gdańsku i Wejherowie trafił na polanę śmierci w Piaśnicy, gdzie wraz z innymi przedstawicielami pomorskiej inteligencji został rozstrzelany w dzień święta narodowego 11 listopada 1939 r. Jego rodzina zbiegła przed hitlerowcami do Generalnej Guberni, matka zginęła w powstaniu warszawskim. Postać Hoefta upamiętnia tablica pamiątkowa w kościele „Gwiazdy Morza”, jego nazwisko znajduje się również na pomniku poświęconym sopockim ofiarom nazizmu.

Interesującą biografią mógł poszczycić się pochodzący z Radomska ksiądz Romuald Pośpiech (1909-92), paulin pełniący w latach 1964-70 obowiązki proboszcza podmalborskiej parafii w Pogorzalej Wsi. Wcześniej pracował m.in. jako duszpasterz Polaków w Budapeszcie (1936-38), gdzie bracia z Jasnej Góry zostali przysłani, aby na Górze św. Gellerta założyć pierwszy węgierski zakon tej reguły, który niedługo po erygowaniu służył za schronienie uchodźcom wojennym. Pośpiech był również kustoszem sanktuarium jasnogórskiego (1941-52), przeorem klasztoru w Leśnej Podlaskiej (1940-41 i 1952) i na Skałce (1952-55) oraz prefektem Małego Seminarium Paulińskiego w Krakowie (1938-40). Po kolejnym pobycie w Częstochowie w 1957 r. przybył na Wybrzeże. Na początku sprawował funkcję wikariusza w parafii Niepokalanego Poczęcia NMP na gdańskim Dolnym Mieście, a w latach 1959-64 – w parafii św. Michała w Sopocie. Zmarł na Jasnej Górze.

ADMINISTRACJA

Intrygujący zbieg okoliczności sprawił, że na ważnych stanowiskach urzędniczych zasiadali należący do różnych pokoleń dwaj mieszkańcy Sopotu urodzeni w Bągarcie. Z tym, że w przypadku wiceprezydenta miasta w latach 1984-90 i prezesa klubu sportowego „Ogniwo” Jerzego Gudowskiego (1937-2000) była to miejscowość o tej nazwie położona w obecnym województwie kujawsko-pomorskim. Z Bągartu w powiecie sztumskim wywodził się natomiast pierwszy powojenny dyrektor Stoczni Gdańskiej, urodzony 26 IX 1907 r. Waław Czarnowski. Podejmując się tego odpowiedzialnego zadania, mimo stosunkowo młodego wieku dysponował już pokaźnym bagażem doświadczeń. Ukończył Gimnazjum Polskie Macierzy Gdańskiej oraz Wydział Budowy Okrętów i Samolotów tamtejszej Wyższej Szkoły Technicznej. Od 1932 r. opracowywał konstrukcje trałowców w Stoczni Modlińskiej, a od 1936 r. nadzorował budowę statków rybackich i handlowych dla Polski w Papienburgu i Gdańsku. Dwa lata później założył własne biuro techniczno-okrętowe w Gdyni.

W czasie II wojny światowej pracował fizycznie w tym mieście, trafił tam też do aresztu Gestapo. Kapitulacja hitlerowców zastała go w Generalnym Gubernatorstwie, przez pewien czas przebywał także w Odessie. Powrócił na Wybrzeże wraz z Morską Grupą Operacyjną. W czerwcu 1945 r. stanął na czele Stoczni nr 1, która po połączeniu ze Stocznia nr 2 19 X 1947 r. utworzyła Stocznia Gdańska, której dyrektorem naczelnym również został Czarnowski. To głównie dzięki jego energii zakład pracy szybko podniósł się z wojennych zniszczeń, jednak już w 1950 r. musiał z powodów politycznych ustąpić miejsca oficerowi UB Edwardowi Baczyńskiemu. Nadal sprawował jednak eksponowane funkcje: dyrektora Centralnego Biura Konstrukcji Okrętowych, głównego inżyniera Centralnego Zarządu Przemysłu Okrętowego (1951-53 i 1959-67). Między 1953 a 1959 powrócił do Stoczni Gdańskiej jako dyrektor techniczny. Był autorem wielu opracowań na tematy techniczne, publikowanych także za granicą. Z Sopotem łączył go fakt zamieszkiwania przy ul. Kopernika. Zmarł 21 listopada 1972 r., został pochowany w alei zasłużonych na gdańskim cmentarzu Srebrzysko.

Pod koniec życia w Sopocie zamieszkał długoletni działacz partyjny i urzędnik z województwa elbląskiego, wnuk pierwszego pozaborowego burmistrza Szubina Andrzej Małek (ur. 15 listopada 1934 w Damasławku). Z zawodu był inżynierem zootechnikiem, ukończył również podyplomowe studia z zakresu organizacji i zarządzania oraz stosunków międzynarodowych na Wyższej Szkole Rolniczej w Poznaniu. Karierę zaczął od kierowania Państwowym Ośrodkiem Unasieniania Zwierząt w Gdańsku. W latach 70. stał na czele Powiatowej Rady Narodowej i Komitetu Powiatowego PZPR (1973-75) w Malborku, był również zastępcą przewodniczącego Wydziału Rolnego Komitetu Wojewódzkiego w Gdańsku. Po reformie został sekretarzem KW PZPR w Elblągu (1975-81) i wiceprzewodniczącym tamtejszej Wojewódzkiej Rady Narodowej. Po zawieszeniu stanu wojennego powrócił do wyuczonego zawodu, obejmując Okręgową Stację Hodowli Zwierząt w Gdańsku.

W 1994 r. Małek zdobył w Sopocie mandat radnego. Przewodniczył klubowi Sojuszu Lewicy Demokratycznej. Przed śmiercią (zm. 30 kwietnia 2006) zasiadał również w radzie programowej Bałtyckiego Instytutu Studiów Strategiczno-Operacyjnych. Prawdopodob-

nie jednak będzie najbardziej pamiętany jako arcymistrz brydżowy. Uprawiał tę dyscyplinę sportu od 1956 r. W latach 1969-76 kierował gdańskim okręgiem Polskiego Związku Brydża Sportowego (w 2004 r. wyróżniono go złotą odznaką tego stowarzyszenia), natomiast 1978-89 – radą programową miesięcznika „Brydż”. W 1973 r. wchodził w skład ekipy, która zajęła trzecie miejsce w rozgrywanych w belgijskiej Ostendzie Mistrzostwach Europy, rok później uczestniczył bez większych sukcesów w olimpiadzie tej dyscypliny w Las Palmas (43 miejsce). W obydwu tych imprezach grał w parze z Adamem Dudzińskim. W 1969 r. wraz z Mieczysławem Goczewskim zwyciężył w turnieju z okazji Międzynarodowych Targów Poznańskich.

NAUKA I SZTUKA



Adolf Bielefeldt, fot. wikipedia

Dalekie związki z Żuławami miał jeden z architektów, którzy nadali Sopotowi jego obecne oblicze i jedyny z nich, którego grób przetrwał na tamtejszym cmentarzu komunalnym (dawnym ewangelickim) - Adolf Bielefeldt. Urodził się 12 I 1876 r. w westfalskim mieście Herne, jednak jego rodzina pochodziła z Szawałdu nad Nogatem. Ojciec przyszłego projektanta Hans dzierżawił dom zdrojowy i zajmował się z ramienia władz miasta budową sopockiej infrastruktury technicznej. Przebudował także własną willę na Park Hotel (obecnie na tym terenie znajduje się Wojewódzki Zespół Reumatologiczny).

Adolf po ukończeniu studiów na politechnice w Karlsruhe praktykował w firmie Roberta Curjela i Karla Mose-
ra, której dziełem obok wielu budynków użyteczności publicznej i kościołów w tym mieście jest również m.in. siedziba uniwersytetu i Dom Sztuki w Zurychu oraz Dworzec Badeński w Bazylei. Jego nauczycielem był zasłużony szczególnie dla Marburga i Fryburga Carl Schäfer, z którego szkoły wyszli również m.in. aktywni we Wrocławiu Max Berg i Hans Poelzig. Bielefeldt rozpoczął działalność nad Bałtykiem w firmie ojca. Usamodzielił się w 1905 r.

Jego biuro projektowe mieściło się najpierw przy obecnej ulicy Powstańców Warszawy, potem zbudował dla siebie willę przy ul. Mickiewicza. Do jego pierwszych klientów należał łódzki przemysłowiec włókienniczy Edward Herbst, który spędził w Sopocie ostatnie lata swojego życia. Architekt postawił na terenie jego posiadłości dom mieszkalny dla urzędników i stajnię. Do najbardziej znaczących dokonań architekta należą: ewangelicki kościół Zbawiciela (siedziba biskupa diecezji pomorsko-wielkopolskiej), hotel Eden (w czasach PRL zajmował go dom wypoczynkowy Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego), willa kolekcjonera dzieł sztuki Friedricha Basnera i obecny Wojskowy Dom Wypoczynkowy. Zaprojektował także pensjonat Seehaus (obecnie Magnolia), który miasto wykupiło na letnią rezydencję dla następcy pruskiego tronu Fryderyka Wilhelma. W latach 1909-10 brał udział w pracach przy nowym Domu Kuracyjnym.

W Gdańsku II wojnę światową przetrwały takie jego dzieła, jak: siedziba Powszechnej Rejonowej Kasy Chorych przy ul. Wałowej (obecnie mieści m.in. Sanepid) i poczta przy ul. Mickiewicza we Wrzeszczu. Nie istnieje już budynek Zachodniopruskiego Zakładu Ubezpieczeń na Hucisku, spalona w „noc kryształową” sopocka synagoga oraz pomnik 17 Pułku Pieszej Artylerii w Brzeźnie. Oczywiście podstawowym źródłem utrzymania Bielefeldta było projektowanie willi i domów czynszowych w różnych punktach Wolnego Miasta Gdańska. Oprócz działalności zarobkowej prowadził wykłady na Wydziale Architektury Wyższej Szkoły Technicznej, należał także do Stowarzyszenia na rzecz Zachowania Zabytków Budownictwa i Sztuki Gdańska. Zmarł w tym mieście 12 grudnia 1934.

Podobnych epizodów w biografii wybitnych mieszkańców Sopotu można doszukać się jeszcze więcej. Np. w uruchamianiu przemysłu olejarskiego na Żuławach po II wojnie światowej brał udział kierownik Zakładu Chemii i Technologii Tłuszczów Jadalnych Politechniki Gdańskiej profesor Henryk Niewiadomski. Pod koniec lat 40. zespołem teatralnym Związku Zawodowego Samorządowców w Nowym Dworze Gdańskim kierował zasłużony dla amatorskiej sceny wilnianin Józef Ładowski, z zawodu technik dentystryczny. Wszechstronnie utalentowany artysta (poeta, dekorator, muzyk) nie poddawał się dominującym ówczesnie trendom kulturalnym, co zmusiło go do zaprzestania prowadzonej m.in. w Stoczni Gdańskiej i sopockim oddziale Organizacji Młodzieży Towarzystwa Uniwersytetu Robotniczego działalności teatralnej. Z racji nieustannego nasilania się procesów urbanizacyjnych, temat na pewno zasługuje na dalsze badania.

Marek Opitz

MUZEUM ŻUŁAWSKIE – NOWE OTWARCIE

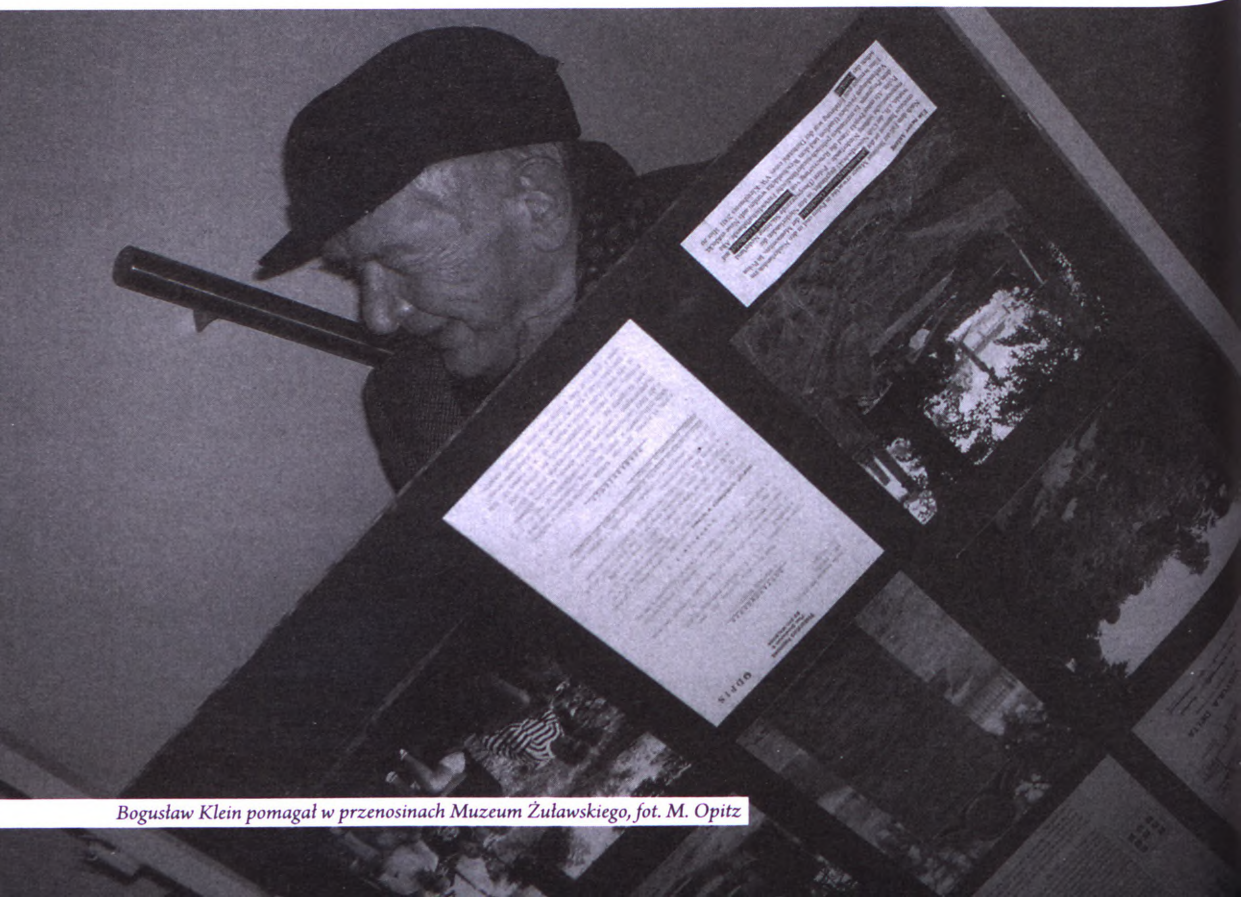
Fundusze unijne, determinacja samorządu Gminy Nowy Dwór Gdański i partnerstwo Klubu Nowodworskiego zdecydowały o nowym otwarciu Muzeum Żuławskiego. Muzeum założone przez Klub Nowodworski w 2011 roku doczekało się uznania go za najważniejszą atrakcję regionu. Z inicjatywy burmistrza Tadeusza Studzińskiego, z referatem promocji, którym kierowała Kamila Bartosiak, w partnerstwie merytorycznym Klubu Nowodworskiego rozpoczęto realizację projektu pn. „Żuławski Park Historyczny – adaptacja zabytkowej mleczarni w Nowym Dworze Gdańskim”. Koszt całkowity projektu wynosi 7 266 262 zł; wartość dofinansowania stanowi wartość 4 678 409 zł, to jest około 70 %; pozostałą część pokryła Gmina Nowy Dwór Gdański. Podczas renowacji natrafiono na wiele przeszkód, np. okazało się, że część obecnej sali konferencyjnej należy wymurować od nowa, ponieważ wątle mury nie utrzymałyby zaplanowanej nowoczesnej konstrukcji dachu. Walczono też o zachowanie każdego kawałka historycznej części budynku pozostawiając np. kolumny żeliwne,



Przenoszenie przez wolontariuszy eksponatów do nowego muzeum, fot. M. Opitz

to od nich sala konferencyjna nosi nazwę Dwukolumnowej. Wielkie uznanie należy się firmie EBUD z Bydgoszczy, która szybko reagowała na problemy i konieczność przeprojektowywania prac. Prace na obiekcie trwały od marca do grudnia 2010 r. W styczniu 2011 r. miał miejsce odbiór techniczny inwestycji. Uroczyste otwarcie nastąpiło pod koniec kwietnia. W kronice Klubu Nowodworskiego tak opisano to wydarzenie:

„Podczas ceremonii otwarcia Żuławskiego Parku Historycznego Jacek Michalski, Burmistrz Nowego Dworu Gdańskiego, Przewodniczący Rady Gminy Nowy Dwór Gdański Czesław Łukaszewicz oraz Magdalena Kaniewska z Departamentu Programów Regionalnych Urzędu Marszałkowskiego Województwa Pomorskiego dokonali przecięcia wstęgi tym samym otwierając nowy rozdział współpracy w historii Gminy Nowy Dwór Gdański i Klubu Nowodworskiego. Poświęcenia obiektu dokonał ks. Dariusz Juszczak, Proboszcz Parafii Niepokalanego Serca Maryi w Nowym Dworze Gdańskim. Podczas prezentacji działań projektu adaptacji zabytkowej młeczarni Leonarda Kriega Jacek Michalski podkreślił, że przekazanie obiektu Klubowi Nowodworskiemu to nowa jakość w podejściu do organizacji pozarządowych i inicjatyw obywatelskich. Ze strony Klubu prezes Marek Opitz przedstawiając program wydarzeń na rok 2011 zapewnił, że powierzone zaufanie przełoży się na dobrą działalność Żuławskiego Parku Historycznego. Ze strony Klubu Nowodworskiego został podjęty toast, tradycyjnym machandlem ze śliwką, za pomyslność współpracy między organizacjami pozarządowymi a samorządem Gminy Nowy Dwór Gdański. Uroczystość otwarcia była okazją do wręczenia podziękowań między innymi dla Bar-



Bogusław Klein pomagał w przenosinach Muzeum Żuławskiego, fot. M. Opitz

bary Chudzyńskiej za długoletnią opiekę na Muzeum Żuławskim i współpracę przy realizacji projektu adaptacji. Pani Konsul Honorowa Królestwa Niderlandów dziękując za dotychczasową współpracę z Klubem Nowodworskim przekazała Muzeum Żuławskiemu oryginalne saboty holenderskie. Licznie zgromadzeni goście mieli okazję zapoznać się z prezentacją przygotowaną przez Grzegorza Gołę o historii żuławskiego serowarstwa na przykładzie mleczarni Szwajcara Leonarda Kriega. Na zakończenie uroczystości udostępnione zostały ekspozycje, które już od 4 maja będą dostępne dla zwiedzających”.

Powstała zatem wizytówka miasta i regionu. Klub Nowodworski podpisał sześcioletnią umowę na zarządzanie obiektem. Niektórzy nazywali to eksperymentem, słychać było wiele głosów niedowierzania, czy stowarzyszenie sobie poradzi. Zarząd Klubu Nowodworskiego i burmistrz Jacek Michalski nie mieli tych obaw. Gmina Nowy Dwór Gdański w ramach kontynuacji projektu (pięcioletni okres po zakończeniu inwestycji) zobowiązała się do pokrywania głównych kosztów utrzymania (energia, ogrzewanie, woda, kanalizacja, ochrona, wywóz śmieci) oraz stworzenie dwóch stanowisk pracy w wymiarze 2 etatów. Bieżącą działalność i utrzymanie zapewnia Klub Nowodworski (zagwarantowanie działalności przez organizację wydarzeń, zapewnienie funkcjonowania Muzeum Żuławskiego, utrzymanie czystości, drobne naprawy, prowadzenie strony internetowej, obsługa księgową). Środki na tę obsługę pochodzą ze sprzedaży biletów do Muzeum Żuławskiego i wynajmu sali konferencyjnej. Wsparciem naszej działalności są również autorskie projekty Klubu m.in. z Funduszu Inicjatyw Obywatelskich, Fundacji Pokolenia, Programu Rozwoju Obszarów Wiejskich, czy Funduszu Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej w Gdańsku. Nieocenione wsparcie konkretnych wydarzeń otrzymujemy od lokalnych firm i osób prywatnych a także stowarzyszeniami i instytucjami – Ekoinicjatywy Kwidzyn, Lokalnej Grupy Działania Żuławy i Mierzeja, Regionalnego Zarządu Gospodarki Wodnej w Gdańsku, nowodworskich szkół, Gminnej Biblioteki Publicznej, Żuławskiego Ośrodka Kultury, Pomorskiego Towarzystwa Miłośników Kolei Żelaznych, Instytutu Oceanologii PAN, Parku Krajobrazowego Mierzei Wiślanej, Narodowego Instytutu Dziedzictwa, Instytutu Pamięci Narodowej, Stowarzyszenia byłych nowodworzan i Żuławiaków, Państwowej i Ochotniczej Straży Pożarnej.

Nowe otwarcie zaczęliśmy organizować na kilka miesięcy przed oficjalnym otwarciem, ustawiając na nowo ekspozyty, organizując biura i miejsca warsztatowe. Mimo, że w luksusowych warunkach, to jednak na znacznie zmniejszonej powierzchni trzeba było na nowo zakomponować nasze zbiory. Dziesiątki wolontariuszy przez setki godzin, zazwyczaj posilemni dobrą zupą (cebulową lub z brukwi na gęsinie), przenosili ekspozyty do nowych wnętrz.

Na parterze została wyeksponowana nasza relikwia – wał i koło paleczne wiatraka odwadniającego z Ostaszewa. W kontury kamieniczek została wpisana historia Nowego Dworu Gdańskiego z kilkoma unikatowymi ekspozytami – komin w gorzelnii Stobbe, skrzynki, butelki a także klucze od domu rodzinnego Heinricha Korelli na obecnej ul. Wejhera, które przetrwały ucieczkę na statku Gustloff. Na parterze usytuowaliśmy dwie makiety – przedwojennego Nowego Dworu Gdańskiego wykonaną przez byłego mieszkańca Żuław oraz nie istniejącego już fragmentu kolejki wąskotorowej w miejscowości Lichnowka, wykonaną przez znakomitego modelarza Andrzeja Sadłowskiego. Równie ważnym ekspozytem jest kamień młyński z największego młyna na Żuławach stojącego w centrum Nowego Dworu

Gd. należącego do rodziny Schlernger (obecnie to domy mieszkalne). Znalazło się również miejsce na wystawy czasowe – obecnie jest to wystawa intarsjowanych skrzyń żuławskich. Przy głównym wejściu można podziwiać, jak przystało na muzeum w dawnej mleczarni Szwajcara Leonharda Kriega, przemysłową prasę i formę do serów twardych.

Piętro to wystawa подарowana nam przez gminę mennonicką z Harlemu – *Na polskim polderze. Z dziejów mennonitów – niderlandzkiej mniejszości religijnej*. Zwiedzający mogą poznać historię narodzin mennonityzmu oraz dzieje ich osadnictwa na Żuławach z wieloma wyjątkowymi szczegółami. Jest to opowieść o Adamie Wiebe wynalazcy kolejki linowej – zastosowanej po raz pierwszy w Gdańsku do budowy szańców, Annie German i jej mennonickich korzeniach, słynnej po dziś dzień jałowcówce produkowanej przez mennonicką rodzinę Stobbe, znajdziemy tam też kilka sentymentalnych skarbów: zdjęcia otrzymane od Krystyny Weilandt, ostatniej mennonitki na Żuławach, między innymi zdjęcie portretu matki przestrelonego przez plądrujących dom Rosjan, jest wyjątkowa pamiątka od mennonickiego duchownego Arno Thima – ziemia z Żuław zamknięta w małej butelce po machandlu, przekazana mu przez jego wuja na łożu śmierci. Urzekające prostotą są makiety domów żuławskich, wnętrza mennonickiego kościoła czy polderu. Duże wrażenie robi zaaranżowana kuchnia z mnóstwem sprzętów kuchennych, przetworami i lodówką na tafle lodu. Wystawie towarzyszy małe lapidarium nagrobków a wśród nich najcenniejszy eksponat – nagrobek drewniany z Cmentarza 11 wsi w Żelichowie/Cyganku.



Uroczyste otwarcie Żuławskiego Parku Historycznego, fot. M. Opitz

Na poddaszu udało się odtworzyć dawny klimat uporządkowanej graciarni – nazywamy go „Strychem pełnym osobliwości”. Wśród wielu dawnych przedmiotów użytku codziennego jest tu zbiór elektronicznych urządzeń radioodbiorników, łącznic, projektorów, liczydeł, magnetofonów czy telefonów. Unikatem jest okazały zbiór maselnic stosowanych na Żuławach, sprzętów do prania, zbiór narzędzi stolarskich oraz akcesoria pszczelarskie. A wszystko zakomponowane z miejscem do prowadzenia lekcji regionalnych, kameralnych prelekcji czy spotkań klubowych. Strych ma jeszcze jedną osobliwość – nasze archiwum z ponad tysiącem książek i setkami dokumentów, zdjęć i gazet – już niebawem najciekawsze z nich znajdują się w bazie naszego portalu WikiDelta, który powstaje w ramach projektu Klubu Nowodworskiego „Żuławy. Lubię to!” Warto jeszcze odwiedzić naszą, jedyną w Polsce, ekspozycję Magazynek Strażnika Wałowego, gdzie można zapoznać się z dawnymi sprzętami niezbędnymi podczas powodzi oraz nauczyć układania wałów przy pomocy nowoczesnych i tradycyjnych technik.

Muzeum Żuławskie weszło w skład całego nowo wyremontowanego kompleksu, który posiada salę konferencyjną na prawie 100 osób, przeszkloną recepcję, gdzie eksponujemy wystawy czasowe, pomieszczenia na warsztaty ceramiczne i pracownię drewna. Cały kompleks znakomicie się uzupełnia i jest wygodnym narzędziem do realizacji naszej misji wypracowanej już w pierwszych dniach nowego otwarcia: „Żuławski Park Historyczny jest przyjaznym i nowoczesnym ośrodkiem wsparcia samorozwoju organizacji i osób na rzecz zaangażowania i kreatywności w odkrywaniu i upowszechnianiu wiedzy i tożsamości regionalnej. Poprzez wysokiej jakości odpowiedzialne, partnerskie i obywatelskie współdziałanie dla ochrony dziedzictwa naturalnego i kulturowego współtworzymy przyszłość Deltę Wisły”.

Zobligowani umową do zapewnienia określonej ilości korzystających z obiektu oraz przeprowadzenia odpowiedniej ilości wydarzeń, już w pierwszym roku działania znacznie te parametry przekroczyliśmy a w następnych latach niemal podwoiliśmy, co pokazują statystyki prowadzone na potrzeby sprawozdań z działalności dla Gminy Nowy Dwór Gdański:

W 2011 roku (od kwietnia do grudnia) roku Żuławski Park Historyczny odwiedziło 7745 osób, odbyło się 50 imprez i wydarzeń kulturalnych.

W roku 2012 Żuławski Park Historyczny odwiedziło 11422 osoby, odbyło się 120 imprez i wydarzeń kulturalnych. Przeprowadzono 55 lekcji muzealnych.

W roku 2013 Żuławski Park Historyczny odwiedziło 20098 osób, odbyło się 105 imprez i wydarzeń kulturalnych. Przeprowadzono 64 lekcje muzealne.

Do czerwca 2014 roku Żuławski Park Historyczny odwiedziło 9936 osób w tym czasie odbyło się 48 imprez i wydarzeń. Przeprowadzono 31 lekcji muzealnych.

Jednak nowe otwarcie to przede wszystkim wyzwolenie wielkiej energii członków Klubu Nowodworskiego, mieszkańców i organizacji pozarządowych. Od początku nowego otwarcia oprócz realizacji klubowych pomysłów nastawieni jesteśmy na wspieranie aktywności lokalnej co zaowocowało wieloma inicjatywami mieszkańców czy stowarzyszeń. Czasem

wystarczy z naszej strony niewielka pomoc i stajemy się świadkami wyjątkowych wydarzeń. Nasze tak różnorodne działania nie byłyby możliwe bez zaangażowania dziesiątków nowych wolontariuszy. W soboty i niedziele dyżury pełnią przeszkoleni wolontariusze, dlatego wreszcie w weekendowym, najdogodniejszym czasie zwiedzania, jesteśmy w stanie zapewnić dostępność ekspozycji. Zaangażowanie wolontariuszy to także warunek konieczny przy realizacji wydarzeń, np. podczas Europejskiej Nocy Muzeów, kiedy to zespół wsparcia i organizatorów powiększa się do 60-80 osób. Nasze działania, jakie mają miejsce w Żuławskim Parku Historycznym można pogrupować w następujące działy:

Ochrona dziedzictwa kulturowego Deltę Wisły: prowadzenie Muzeum Żuławskiego z jego filią Cmentarzem 11 wsi oraz Muzeum Opowieści, organizacja Europejskiej Nocy Muzeów, Dni Otwartych Żuławskich Zabytków, cykle wykładów historycznych, Pogotowie Konserwatorskie, Europejski Szlak Menonitów – współoperator szlaku.

Pracownia kuchni regionalnej: organizacja warsztatów i pokazów kuchni regionalnej, warzenia piwa, pieczenia chleba i serowarstwa zagrodowego, organizacja warsztatów i pokazów tłoczenia soku z historycznych odmian jabłoni; organizujemy też corocznie konkurs żuławskich nalewek, koordynacja instytucji Mistrzów Ceremonii Stobess Machandel,

Działania ochrony przyrody: działania Salwinia Ekoklubu – sprzątania rzeki Tugi, edukacja ekologiczna, organizacja Tuga BioBlitz – zawodów w badaniu bioróżnorodności rzeki Tugi.

Ochrona przeciwpowodziowa: edukacja przeciwpowodziowa – lekcje, nauka układania wałów przeciwpowodziowych, publikacje, organizacja seminariów i konferencji.

Działalność wydawnicza: *Roczniki Żuławskie, Niezbędnik powodziowy Żuławiaka, Poradnik dobrych praktyk ochrony żuławskich zabytków, Bioróżnorodność rzeki Tugi. Przewodnik Bioróżnorodności, Tuga - królowa rzek żuławskich, filmy - TUGA BIOBLITZ, „Naznaczeni krajobrazem. Dziecięce wspomnienia z Żuław Wielkich”, Na polderach i w podcieniach - krajobraz i architektura Żuław.*

Kalendarz Żuławski: www.kalendazzulawski.pl - informacja o żuławskich wydarzeniach w jednym miejscu.

Nasze wysiłki w prowadzeniu Muzeum Żuławskiego doczekały się uznania ze strony Marszałka Województwa Pomorskiego za prowadzenie Muzeum Żuławskiego, Prezesa Honorowego Pomorskiej Regionalnej Organizacji Turystycznej za prowadzenie Newslettera ŻPH, Fundację Polcul - za działania na rzecz ochrony dziedzictwa kulturowego, Kapitułę Nagrody Przyjaznego Brzegu za działania na rzecz ochrony rzeki Tugi, otrzymaliśmy też Nagrodę Bursztynowego Mieczyka i wspólnie z Gminą Nowy Dwór Gdański wyróżnienie Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego *Zabytek Zadbane*.

Aktualnie Żuławskim Parkiem Historycznym zarządza zespół pod kierunkiem Marioli Miki – Skarbnika Klubu Nowodworskiego i Marka Opitza - Prezesa Klubu Nowodworskiego, w którego skład wchodzi: Łukasz Kępski - Wiceprezes Klubu Nowodworskiego, Marta Ciechanowska – odpowiedzialna za promocję i edukację regionalną, Przemek Siwicz-

ki – regionalista i przewodnik, Marzena Bernacka-Basek – Sekretarz Klubu Nowodworskiego, Damian Marczałak – stażysta.

Nieocenionego wsparcia udzielają wolontariusze – pełniąc dyżury w Muzeum, biorąc udział w organizacji imprez i realizacji projektów. Do najaktywniejszych należą: Danuta Adamska-Grochowska, Filip Bebenow, Beata i Dariusz Brzozowscy, Magda Bukowska, Jola Bulak, Krzysztof Czocho, Wiesława i Jerzy Dominowie, Jerzy Fila, Krzysztof Gołębiowski, Kazimierz Głowacki, Grzegorz Gola, Janusz Goliński, Andrzej Grabowski, Maciej Grochowski, Radosław Grzybowski, Monika Jastrzębska-Opitz, Krzysztof Jaworski, ks. Dariusz Juszcak, Jarek Kałuża, Andrzej Kasperek, Dorota Kamińska, Katarzyna Kępska, Szymon Klein, Jarek Koszelak, Edyta Kozakiewicz, Ewelina Kujawska, Harry Lau, Sebastian Liban, Jacek Opitz, Małgorzata Owczarek, Dariusz Piasek, Maja Pietrasik, Tomasz Płocke, Violetta Przyborowska, Krystyna Puchała, Karolina Ressel, Anna Rubczak, Radek Samagalski, Katarzyna Sędek, Piotr Sosnowski, Krzysztof Szyluk, Ewa i Artur Wasielewscy, Kazimierz Zaniewski, Rafał Żak.

Należy się im wielkie uznanie i podziękowania za współpracę.

Wydaje się, że mieszanina pasji, otwartości, tolerancji, wytrwałości i zaufania zadziałała dobrze i będzie dalej wzbudzać energię do działania, zmiany otoczenia na lepsze, a także sprzyjać przejmowaniu odpowiedzialności za dziedzictwo kulturowe miejsca, które uznaliśmy za swoje. Największym zagrożeniem jesteśmy my sami – pomysłów mamy na kilka lat a doba ma tylko 24 godziny.

Zapraszamy do współpracy! Kontakt: Żuławski Park Historyczny Nowy Dwór Gdański ul. Kopernika 17, tel. 55 2475733 biuro@zph.org.pl biuro@klubnowodworski.pl. Nasze strony internetowe: www.zph.org.pl www.klubnowodworski.pl www.tuga.info.pl

Andrzej Kasperek

EUROPEJSKIE DNI DZIEDZICTWA NA ŻUŁAWACH

Dni Otwarte Żuławskich Zabytków są imprezą cykliczną, która już na stałe weszła do kalendarza. Co roku przyciąga ona wielu chętnych do zwiedzenia zabytków, które znajdują się w bliskiej okolicy i lepszego poznania swojej małej ojczyzny. Europejskie Dni Dziedzictwa są działaniem o podobnym charakterze, tyle że realizowanym w dużo większej skali. W większości państw europejskich ograniczają się do udostępniania zabytkowych budynków, które na co dzień pozostają niedostępne. Prywatne rezydencje, zamki i pałace, ogrody, galerie a także zabytkowe siedziby ministerstw, szkół, urzędów otwierają swe podwoje dla ciekawych. Często jest to jedyna okazja, żeby dostać się do ich środka.

W Polsce poziom społecznej znajomości wartości dziedzictwa jest bardzo niski – dotyczy to szczególnie terenów nazywanych potocznie Ziemią Odzyskaną, które znalazły się w jej granicach w wyniku postanowień traktatu jałtańskiego. Ich obecni mieszkańcy do dziś nie czują się na nich dostatecznie zdomowieni. Przeniesieni zostali tu często w wyniku



Wykład dra Dariusza Piaska w Cerkwi pw. św. Mikołaja w Cyganku, fot. archiwum ŻPH



Uczestnicy wycieczki po Żuławach (która odbyła się w ramach EDD) w Tujsku, fot. archiwum

konieczności dziejowej (tzw. repatrianci z za Buga) lub zmuszeni do tego siłą (Akcja Wisła), często czują się tu obco. Paradoksalnie dotyczy to także ich dzieci a nawet wnuków. To ogromny problem na Żuławach, gdzie doszło do stuprocentowej wymiany ludności.

Europejskie Dni Dziedzictwa (EDD) mają być narzędziem „do wzmocnienia społecznej współodpowiedzialności za stan zabytków. W ciągu kilku lat udało się organizatorom EDD, przy wsparciu władz samorządowych, dziesiątek organizacji pozarządowych, setek organizatorów poszczególnych wydarzeń oraz mediów ogólnopolskich i regionalnych, stworzyć własną formułę tego najstarszego programu kulturalnego na kontynencie. Europejskie Dni Dziedzictwa w Polsce to przede wszystkim program edukacyjny, wystawy, wycieczki, prelekcje, gry i konkursy przybliżające lokalnym społecznościom historię ich ziem. Nie można mówić o dziedzictwie i jego wartości, nie mówiąc o historii”. Tę historię, nawet trudną i drażliwą, należy ludziom przybliżyć. Dzięki obcowaniu z zabytkami wydarzenia z przeszłości stają się mniej odległe i bardziej zrozumiałe.

Narodowy Instytut Dziedzictwa zaprosił wszystkich zainteresowanych historią (szczególnie tą z najbliższej okolicy) w dniach od 13-14 oraz 20–21 września 2014 r. na wystawy, wycieczki, wykłady i gry miejskie. Po to, aby pokazać, iż przeszłość i jej pozostałości mają ogromny wpływ na to, kim jesteśmy. „Dziedzictwo – źródło tożsamości”, tak brzmiał temat przewodni tegorocznej edycji Europejskich Dni Dziedzictwa. Klub Nowodworski wraz Pomorskim Towarzystwem Miłośników Kolei Żelaznych, Żuławską Koleją Dojazdową, Parafią Greckokatolicką w Cyganku oraz redakcją Kwartalnika „Prowincja” i Urzędem Marszałkowskim Województwa Pomorskiego przygotowali dla mieszkańców Żuław szereg atrakcji.

21 września 2014 organizatorzy zaprosili swych gości na podróż po krajobrazie kulturowym regionu. Najważniejsze było wspólnie odkrywanie tajemnic żuławskiej tożsamości. O godzinie 11:15 z dworca kolei wąskotorowej w Nowym Dworze Gdańskim odjechała popularna ciuchcia. Niestety, wagoniki nie były zbyt wypchane pasażerami. Ale ci, którzy

zdecydowali się spędzić tę niedzielę na wędrowce po delcie Wisły na pewno nie żalowali. Było wiele osób spoza regionu. Być może miejscowi uważają, że już wszystko znają i wiedzą. Nic bardziej mylnego.

Pierwszym etapem było zwiedzanie grekokatolickiej Cerkwi pw. św. Mikołaja w Żelichowie/Cyganku, po której (w zastępstwie ks. Pawła Potoczno) oprowadzał historyk Łukasz Kępski, czyli właściwy człowiek na właściwym miejscu, nauczyciel, pracownik Żuławskiego Parku Historycznego, pasjonat regionu. W cerkwi odbył się też wykład dra Dariusza Piaska, znawcy historii Żuław, zatytułowany: „Czytanie żuławskiego krajobrazu”. Chętni zostali też zaproszeni do domu podcieniowego, który Marek Opitz przeniósł z Jelonek do Cyganka. Znajduje się on koło gotyckiego kościoła, dawniej katolickiego dziś grekokatolickiego, służącego społeczności żuławskich Ukraińców.

Kolejnym przystankiem był Tujsk. Tam w świetlicy wiejskiej miałem prezentację naszego kwartalnika. Dla wielu było to pierwsze spotkanie z „Prowincją”. Przybliżyłem zebranym specyfikę czasopisma, a także naświetliłem zadania, jakie spełnia ono w budowaniu tożsamości regionalnej. W Tujsku gościła nas Edyta Kozakiewicz. Jej sylwetkę przybliżała w numerze 14 „Prowincji” Aleksandra Paprot. „Edzia” jest zakochana w swej wiosce, to ona doprowadziła do zorganizowania obchodów 650-lecia założenia wsi. Opowiadała z pasją o swym ukochanym miejscu do życia. I choć jest osobą, która zamieszkała tam zaledwie kilka lat temu, to zrobiła dla Tujska bardzo wiele. Szkoda tylko, że jest tak osamotniona w swej społecznikowskiej pracy dla regionu.

W Rybinie odbyła się prezentacja działania mostu obrotowego. Jest on unikalnym zabytkiem dawnej myśli technicznej. Demonstrował i kręcił korbą Filip Bebenow z Towarzystwa Miłośników Kolei Żelaznych. Utrzymanie kolejki to wielki sukces grupy zapaleńców, którzy ocalili w ten sposób część naszej lokalnej historii. I znowu muszę wyrazić żal, że nie wszyscy rozumieją sens istnienia wąskotorówki. Tak samo, jak wielu nie żałuje rozwalających się domów podcieniowych, jest obojętnych na niszczące cmentarze i rozpadające się domy w stylu wzdłużnym.

Oj, nie jest łatwe życie miłośników historii naszej małej ojczyzny. Ciągłe jeszcze wielu nie uważa Żuław za swój dom, nie rozumie ich, nie chce poznać. A tylko wtedy, kiedy zrozumiemy specyfikę naszego regionu będziemy w stanie go pokochać. I temu służą Europejskie Dni Dziedzictwa.

Aleksandra Paprot

W POSZUKIWANIU TOŻSAMOŚCI ŻUŁAW I POWIŚLA



Uczestnicy wycieczki po gminie Markusy mierzą wysokość nagrobka w Stalewie, fot. A. Paprot

Żuławy i Powiśle to ziemie o przerwanej ciągłości kulturowej. II wojna światowa sprawiła, że dotychczas żyjąca na tych terenach ludność (głównie pochodzenia niemieckiego) musiała je opuścić, a ich miejsce zajęli nowi osadnicy z centralnej i południowo-wschodniej Polski oraz Kresów Wschodnich. Zmiana struktury społecznej obszarów ziem przyłączonych do Polski po 1945 r. (Ziem Zachodnich i Północnych) sprawiła, że w kolejnych dekadach, szczególnie po 1989 r., zaczęto odczuwać potrzebę poszukiwania, kształtowania i definiowania wyznaczników tożsamości nowych osadników i ich potomków.

Współczesne poszukiwania tożsamości Żuław i Powiśla przejawiają się głównie poprzez aktywność społeczności lokalnych, instytucji kultury oraz samorządów terytorialnych. Wdrażane są nowoczesne strategie rozwoju regionu, realizowana jest ściśle określona polityka regionalna i kulturalna, a liczne stowarzyszenia i organizacje przedstawiają własne wizje budowania tożsamości regionu i jego promocji. Zjawiska te skłoniły mnie do podjęcia badań naukowych na ten temat.

Od połowy lipca 2014 r. realizuję grant naukowo-badawczy pt. *Kreowanie tożsamości regionalnej oraz lokalnej na Ziemiach Zachodnich i Północnych (ze szczególnym uwzględnieniem Żuław i Powiśla)*¹. Jest on finansowany ze środków Narodowego Centrum Nauki w ramach programu PRELUDIUM. Projekt ten jest jednocześnie głównym elementem przygotowywanej przeze mnie w Instytucie Etnologii i Antropologii Kulturowej Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu pracy doktorskiej pt. *Kreowanie współczesnych tożsamości regionalnych oraz lokalnych na Żuławach i Powiślu*. Ma ona celu przyjęcie nowej – współczesnej perspektywy badawczej opartej na rozbudowanych metodach badań jakościowych (wywiady, obserwacje wydarzeń kulturalnych), które zostaną poparte badaniami ilościowymi (ankietowymi).

Głównym założeniem projektu jest uchwycenie realizowanych na Żuławach i Powiślu polityk tożsamościowych, które są tworzone w ramach ogólnych działań instytucji kultury. Według założeń decydentów mają one realnie wpływać na kierunki podejmowanej przez społeczności lokalne aktywności kulturalnej. Czy tak rzeczywiście jest? Jaka jest efektywność wdrażanej polityki kulturalnej wśród jej docelowych odbiorców – mieszkańców obu regionów? By to zdiagnozować, będę chciała dokonać także w swojej pracy analizy inicjatyw społecznych niezależnych od ogólnych polityk.

W ramach pilotażowych wyjazdów badawczych na Żuławy i Powiśle, które rozpocząłem we wrześniu, odwiedzam lokalne biblioteki i instytucje kultury. Tworzę kwerendy biblioteczne obejmujące wydawnictwa i publikacje dotyczące pośrednio i bezpośrednio interesujących mnie regionów. Gromadzę kontakty do tzw. liderów społeczności lokalnych, którzy wyróżniają się szczególnie wyraźną aktywnością na rzecz otoczenia lokalnego i dziedzictwa kulturowego własnego regionu. Są to często członkinie Kół Gospodyń Wiejskich, sołtysi wsi czy po prostu zwykli mieszkańcy działający na rzecz swojej miejscowości. Prowadzę

¹ Tekst został napisany w ramach projektu „Kreowanie tożsamości regionalnej oraz lokalnej na Ziemiach Zachodnich i Północnych (ze szczególnym uwzględnieniem Żuław i Powiśla)”. Projekt został sfinansowany ze środków Narodowego Centrum Nauki przyznanych na podstawie decyzji numer DEC-2013/11/N/HS3/04781.

wywiady (w oparciu o zestaw szczegółowych pytań) z przedstawicielami władz wojewódzkich, powiatowych i gminnych, z dyrektorami domów kultury, muzeów, izb muzealnych, a także z przedstawicielami organizacji pozarządowych. Ma to pozwolić mi na zbudowanie w miarę pełnego obrazu praktyk wpływających na kreowanie wybranej wizji regionu lub otoczenia lokalnego. Wyniki opisywanego projektu zostaną przedstawione w postaci monografii książkowej w drugiej połowie 2016 r.

Dotychczas przez wiele lat zajmowałam się tematyką powojennych osadników na Żuławach oraz aktywnością tamtejszych stowarzyszeń. Region Powiśla wybrałam do mojego kolejnego projektu badawczego nieprzypadkowo. Jest to teren sąsiedni, ma zbliżoną historię społeczno-kulturową, ale jego dzieje są nieco odmienne niż Żuław. Wystarczy chociażby odnieść się do wydarzeń z I połowy XX w. Znaczna część Żuław wchodziła w skład Wolnego Miasta Gdańska, natomiast na Powiślu w 1920 r. przeprowadzono plebiscyt decydujący o przynależności tych ziem do Polski lub Prus Wschodnich. Myślę, że te wydarzenia do dziś w pewien sposób wpływają na aktywność społeczną.

Zawsze ciekawił mnie temat tzw. Małej Polski, którą utworzono z pięciu miejscowości po 1920 r. na obszarze plebiscytowym. Dużą rolę odgrywała w niej wieś Janowo (obecnie powiat kwidzyński). Wiele razy słyszałam o Izbie Pamięci Narodowej, która powstała tam przy okazji obchodów 1000-lecia Państwa Polskiego w 1966 r. Izba jest podzielona na sześć sal, które obejmują ekspozycję dotyczącą plebiscytu w 1920 r., działalności szkoły (sala klasowa oraz pamiątki ze zjazdów pamięci w Janowie), sala przedstawiająca pamiątki z rocznic plebiscytu, a także sala z pamiątkami po byłych więźniach obozu w Auschwitz, np. po Janinie Tollik. Urodziła się ona w 1910 r. w Janowie. Potem zdobyła wykształcenie



Izba Regionalna w Janowie, fot. A. Paprot

artystyczne na Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie. Znana z działalności artystycznej – rysowała niezwykle przejmujące obrazy o tematyce obozowej, o głębokiej symbolice i znaczeniu. Jej twórczość wydaje się być jednak niedostatecznie doceniona przez społeczność lokalną. Pod koniec życia mieszkała w Warszawie, gdzie wcześniej pracowała jako naczelnik wydziału wzornictwa warszawskiej Cepelii. Zmarła w 1994 r. w Warszawie², a jej szczątki zostały pochowane na cmentarzu w Janowie. Na jej tablicy nagrobnej znajduje się inskrypcja: „Więzień nr 6804 obozu konc. Oświęcim-Auschwitz”. O tym, że rysowała i tworzyła informacji brak ...

Warto dodać, że w Izbie Pamięci znajduje się także wiele kronik szkolnych – od 1945 r. Jest to bogate źródło wiedzy na temat działalności tej placówki. Z kolei w budynku dawnej szkoły im. Józefa Piłsudskiego (powstałej w 1935 r.) otworzono Izbę Regionalną, która ma imponujące zbiory. Składa się z dwóch sal. W pierwszej z nich można znaleźć serwety z haftem powiślańskim, makatki, „strój powiślański”, przedmioty znalezione na pobliskich polach, podkowy etc. Druga sala wydaje się być bardziej uporządkowana. Znajduje się tam ceramika na dwóch regałach, kącik hafciarski z kołowrotkami, foremki do masła. W sali są też portrety (prawdopodobnie mieszkańców Janowa) oraz elementy wyposażenia domu (sofa, komoda, łóżka). Pod łóżkami z kolei leżą walizki, w których przechowywane są stare mapy oraz wycinki o zabarwieniu politycznym z przed- i powojennych gazet.

Przez wiele lat w Janowie silnie akcentowało się wszelkie wydarzenia i święta związane z tożsamością narodową – odbywał się tam m.in. Wielodyscyplinowy Zlot Pamięci Narodowej. Co ciekawe, do dziś dzieciom w tej szkole zwraca się uwagę na szczególny wymiar walki o polskość tych ziem. Na korytarzach wywieszono są m.in. informacje o żołnierzach wyklętych, zbrodni katyńskiej, a na innej ścianie wiszą prace plastyczne związane ze Świętem Niepodległości. Oddaje to dobrze charakter szkoły w Janowie, w której kładziony jest duży nacisk na edukację patriotyczną w odniesieniu do wydarzeń lokalnych. Nauczycielką, która opiekuje się Izbą Pamięci i Izbą Regionalną, jest Wiesława Szkutnik. Uczy w janowskiej szkole historii. Z wielkim entuzjazmem opowiada o wszelkich działaniach, jakie podejmuje z dziećmi. To ona przeniosła pozostałości z poniemieckiego cmentarza we wsi do izby – dzięki czemu zabytkowe nagrobki ocalały. Koordynowała także projekty dotyczące edukacji kulturowej w szkole i okolicy. Ma ciągły kontakt z mieszkańcami Janowa, którzy przynoszą jej często z domów stare dokumenty, gazety i archiwalia związane z miejscowością.

Badając Żuławę i Powiśle biorę również udział w różnych wydarzeniach promujących te regiony. Dzięki temu poznaję ciekawe osoby, które pasjonują się nimi. 18 października 2014 r. uczestniczyłam w wycieczce po gminie Markusy na Żuławach Elbląskich. Wycieczkę zorganizowało Stowarzyszenie „Kochamy Żuławę” we współpracy z wójtem Markus, Sołectwem Zwierzno i Klubem Seniora przy bibliotece w Zwierznie. W wycieczce wzięło udział 40 osób z różnych zakątków Pomorza i Polski. Część z nich to stali bywalcy wycieczek organizowanych przez SKŻ i sympatycy stowarzyszenia. Przewodnikiem wycieczki był Leszek Marcinkowski z PTTK Oddział Ziemi Elbląskiej w Elblągu. Co ciekawe, dopiero od 2008 r. jest on przewodnikiem. Wcześniej, bo od lat 70. XX w. pracował jako zootechnik

² Janina Tollik w: *Kwidzynopedia*, http://kwidzynopedia.pl/index.php?title=Janina_Tollik (dostęp: 18.11. 2014).

w gospodarstwie rolnym w Fiszewie, i właściwie nie interesował się regionem. Dopiero, gdy został przewodnikiem, zaczął planować trasy po Żuławach Elbląskich i zafascynował się tym regionem i poświęca wiele, nawet prywatnego czasu, na działania mające na celu promocję regionu. Trasa, którą zaplanował na czas wycieczki po gminie Markusy, obejmowała Markusy, Węgle-Żukowo, Nowe Dolno, Dierzgonkę, Zwierzno i Stalewo, a w tym: kościoły menonickie, ewangelickie i katolickie, domy podcieniowe, cmentarze, czyli to, co jest tak charakterystyczne dla Żuław. Uczestnicy wycieczki mieli okazję zwiedzić unikatowy dom podcieniowego w Markusach, w którym mieszka osadniczka przybyła na Żuławy w 1947 r. z Białej Podlaskiej. Na koniec wycieczki organizatorzy przygotowali dla zwiedzających poczęstunek w świetlicy wiejskiej w Zwierznie przygotowany przez miejscowy Klub Seniora i Koło Gospodyń Wiejskich. Jeden ze strażaków wygłosił podczas spotkania monolog o pracy strażaka, a panie z Klubu Seniora prezentowały swoje rękodzieło np. biżuterię frywolitkową oraz z koralików. Urząd z kolei podarowała uczestnikom pocztówki i inne materiały promocyjne prezentujące Żuławy Elbląskie.

W roku 2015 r. planuję kontynuować swoje badania i zgromadzić obszerny materiał etnograficzny, który pozwoli mi na określenie tego, w jaki sposób jest lub powinna być kreowana tożsamość Żuław i Powiśla. Czy powinna być to tożsamość regionalna czy lokalna, oparta o miejsce pochodzenia lub zamieszkania?

Jeśli ktoś z Państwa – czytelników „Prowincji” – zna osoby z Żuław i Powiśla, które działają na rzecz regionu i otoczenia lokalnego (promują dziedzictwo kulturowe, animują mieszkańców wsi i miast, pasjonują się lokalną historią, realizują ciekawe projekty społeczno-kulturalne itp.) to uprzejmie proszę o informację. A może to Państwo są takimi osobami? Zachęcam do kontaktu: aleksandra.paprot@gmail.com



Jerzy Kosacz

„DRZEWA UMIERAJĄ STOJĄC”

W lasach traktowanych jako fabryki drewna, drzewa ścinane są pokotem i już w następnym sezonie rosną tam ich młode sadzonki i to jest normalne. Nieco odmienny los czeka drzewa wyróżnione zaszczytnym uznaniem ich za pomniki przyrody. Te drzewa rzeczywiście „umierają stojąc”, jak w tytule sztuki przyjaciela Federico Garcii Lorki, hiszpańskiego autora Alejandro Casony (1900-1965), którą w swoim czasie rozślawiła w Polsce wiekowa aktorka Mieczysława Ćwiklińska.

Jak długo trwa stabilne trzymanie się podłoża przez uschłe drzewo, tak długo pozwala mu się zachować zajmowaną dotychczas przestrzeń. Gdzie pozwalają na to warunki, tam już padłe okazałe pomnikowe drzewa możemy podziwiać także leżące, aż do ich zmurszenia. Kwidzyński wykaz drzew uznanych za pomniki przyrody liczy 40 pozycji. Jak na miasto z 14 dzielnicami mieszkaniowymi o łącznej o powierzchni 21,82 km kw., to nie jest wiele. W otoczeniu miasta, w lasach na terenie Nadleśnictwa Kwidzyn, znajdują się 64 pomniki przyrody, z czego aż 49 obiektów to same dęby szypułkowe, w przeciwieństwie do miasta, w którym pomnikowy drzewostan jest bogaciej zróżnicowany.

Do zeszłego roku można było podziwiać w samym środku miasta parę pomnikowych drzew rosnących za ruiną byłego kina „Tęcza”, przy przesmyku pomiędzy ulicami Piłsudskiego i Słowiańskiej zwanym ulicą Tęczową. Prawdopodobnie, zostały one posadzone jeszcze w XIX w., gdy teren ten był małym parkiem za ówczesnym Kasynem Obywatelskim zwanym też „Pruskim Dworem”, aż do oficyn zabudowy przy dzisiejszej ul. Słowiańskiej. Miłorząb i buk rosły tu w wielce interesującej symbiozie kolorystycznej, widocznej szczególnie jesienią. Stożkowy pokrój miłorzębu z jego jasnożółtym listowiem bardzo efektownie prezentował się na tle kolumny buka purpurowego z ciemno bordowiejącymi jego liśćmi o tej porze roku. Niestety, jest to widok już bezpowrotnie miniony. Na tle żółciejącego obecnie miłorzębu dwuklapowego (*Ginkgobiloba*), buk (*Fagussylvatica*) odmiany purpurowej jest już martwy, i na tle swego sąsiada prezentuje się nagi bez listowia z uschłymi konarami. Otoczone stosownymi barierkami i oznaczone tabliczkami z godłem drzewa stoją obok piętrowego baraku handlowego z lat 70. ub. wieku, którego budowa w tym miejscu niewątpliwie skróciła ich żywot. Warto dodać, że kolebką miłorzębów są Chiny, gdzie zachowało się ich pierwotne stanowisko naturalne ze 167 drzewami o 20 m wysokości i ponad 120 cm pierśnicy. Są one w wieku powyżej 1000 lat, a kilka drzew jest w wieku do 3400 lat i wysokości 40 m. Stamtąd w XI wieku rozprzestrzeniły się przez Japonię na resztę świata. Kwidzyńskie drzewa podlegające ochronie stanowią zbiór dość różnorodny. Są tu dęby, wiązy górskie, cisy, lipy, a nawet wiekowa grusza na Bajkowym, i jeszcze jeden miłorząb w parku za Urzędem Miasta. Wykaz drzew pomnikowych powstał w Kwidzynie od 1993

r. i zawiera on drzewa, które ocalały z czasów, gdy Kwidzyn był nazywany miastem zieleni i młodzieży, które to miano zawdzięczał licznym parkom miejskim i zadrzewionym skwerom oraz kilkunastu szkołom średnim. Nie było wtedy stosownego ustawodawstwa ani wydziałów ochrony środowiska, a w mieście działał jedynie lokalny „Don Kichot” w osobie inż. mgr nauk przyrodniczych Olka Kuriaty, który w charakterystycznym sobie uniesieniu, np. przeganiał z Placu Plebiscytowego pracowników zieleni miejskiej, czyszczących plac z jakichś tam krzaków i zarośli. Olek okładał potem konarami wyciętych cisów biurka urzędników. Tłumaczył im, że już król Jagiełło zarządził ochronę cisów, lecz oni mieli własną ochronę, która wyrzucała Olka z urzędu. Cisy, choć nieco przetrzebione, jednak ocalały na placu.

Dziwnym trafem w wykazie pomnikowych drzew brakuje ponad 35 metrowego dębu szypułkowego z połowy ulicy Piastowskiej (równego temu z ul. Dębowej?).

Roman Niemczyk

TRAKTAT W SZTUMSKIEJ WSI NA TLE WOJEN POLSKO-SZWEDZKICH W I POŁOWIE XVII WIEKU

Z początkiem XVII wieku rozpoczęły się trwające kilkadziesiąt lat wojny polsko-szwedzkie. Konflikt ten zapoczątkowany został w wyniku sporów natury dynastycznej. Otóż tak zwane pacta conventa nakazywały i narzucały niejako Zygmuntowi III Wazie przyłącznie do Polski północnej Estonii (część Inflant). Król tego nakazu nie wykonał zaraz po elekcji, a dopiero wtedy, gdy Szwedzi odebrali Zygmuntowi III i jego potomkom prawo następstwa tronu.

W 1587 r., Zygmunt III Waza, na wolnej elekcji, mimo konkurencji trzech kontrkandydatów, został wybrany na króla Polski. Sytuacja była na tyle skomplikowana, że nawet doszło do wojny domowej. Jednak Zygmunt III dotarł do Krakowa i tam przyjął insygnia królewskie. W taki to sposób doszło do połączenia dwóch zupełnie obcych sobie państw pod względem narodowościowym, kulturowym, religijnym i ustrojowym.

Dlaczego doszło do wojny polsko-szwedzkiej? Otóż na genezę tych skomplikowanych wydarzeń przyczyniły się skutki unii dyplomatycznej i personalnej polsko-szwedzkiej. Kilka lat po elekcji Zygmunta III Wazy, Szwedzi obawiali się napływu katolicyzmu w swoim kraju; jednocześnie powołali na tron szwedzki stryja Zygmunta III, a mianowicie Karola IX Sudermańskiego. Zygmunt III Waza absolutnie nie zgodził się na taki wybór, ponieważ zamierzał prowadzić politykę dynastyczną, a ponadto realizacja pacta conventa dawały Polsce Estonię. Natomiast na takie rozwiązanie nie zgadzali się Szwedzi. W tym też czasie następował systema-



Król Zygmunt III Waza



Karol Sudermański

tyczny wzrost polityki ekspansywnej Szwecji, która m.in. dążyła do przeistoczenia Bałtyku w swój wewnętrzny akwen morski.

Już w 1600 r. Szwedzi rozpoczęli atak na Inflanty i tym samym rozpoczęła się wojna z Polską. W początkowej fazie tej wojny wojska szwedzkie miały przewagę, ale w bitwie pod Kircholmem w 1605 r. sytuacja odwróciła się na korzyść Polski. Wojska polskie dowodzone przez hetmana Karola Chodkiewicza odniosły tam zwycięstwo, głównie dzięki husarii. Zwycięstwo to nie zostało wykorzystane, a to ze względu na problemy wewnętrzne Polski, tj. rokosz sandomierski i wojnę z Rosją.

W 1621 r. następuje kolejny atak Szwedów, który zakończył się rozejmem w 1622 r. w Mitawie. Na mocy tego układu Szwedzi otrzymali znaczną część Inflant, a Polsce przyznano tylko tzw. Inflanty polskie oraz Kurlandię jako lenno.

Król Gustaw Adolf usiłował zrealizować plany szesnastowiecznych władców Szwecji, jakimi było uczynienie z Bałtyku wewnętrznego morza szwedzkiego. Kiedy w połowie 1625 r. Szwedom udało się zająć całe terytorium Inflant, przesunęli działania wojenne na obszar Prus Królewskich. Bezpośrednią realizacją zamierzeń Gustawa Adolfa było zaatakowanie w 1626 r. Pomorza Gdańskiego. Wojska szwedzkie zajęły port pruski w Piławie oraz terytoria nadmorskie z miastami Elblągiem, Malborkiem i Tczewem. Rozpoczęła się walka o ujście Wisły; Szwedzi w tym czasie zablokowali port gdański.

Pomimo bezpośredniego zagrożenia, w jakim znalazł się nadbałtycki interes narodowy Polaków, niestety Sejm nie zdołał powziąć żadnych wiążących decyzji, które mogłyby pomóc w skutecznym odprawieniu najeźdźcy.

W 1626 r. Szwedzi ponownie napadli na Polskę, tym razem wkroczyli na Pomorze Gdańskie i Prusy Książęce zarządzając blokadę Gdańska. Wtedy to Rzeczpospolita zdobyła się na ogromny wysiłek militarny, wojska polskie były dowodzone osobiście przez króla Zygmunta III Wazę i hetmana Stanisława Koniecpolskiego i wojska polskie odniosły kilka zwycięstw, największą przełomową bitwą była bitwa morska pod Oliwą 28 listopada 1627 r. Polakom udało się zadać poważne straty flocie szwedzkiej; z dwóch okrętów admirałskich, jakimi dysponowali Szwedzi, jeden został zniszczony, a drugi zdobyli Polacy. Jednak wojska polskie nie zdołały wypędzić Szwedów z Prus Królewskich, nawet przy pomocy posiłków wojsk austriackich. Chociaż wojskom szwedzkim nie udało się zdobyć Gdańska, to rabowali i niszczyli wzięte w posiadanie terytoria.

Szwedzi jednak nie rezygnowali z dalszej ekspansji przeciwko Polsce. Kampanii wojsk nieprzyjaciela nie powstrzymało nawet istotne zwycięstwo, jakie odniósł w bitwie



Król Gustaw Adolf

pod Trzcianem 26 czerwca 1629 r. hetman Stanisław Koniecpolski. Nieprzyjaciel został pokonany, kiedy dowódca w ostatnim natarciu włączył do ataku husarię. Dzięki skutecznej taktyce, oddziały Koniecpolskiego dwukrotnie były bliskie pojmania do niewoli króla Gustawa Adolfa.

Po przegranej bitwie pod Trzcianem, Szwedzi zgodzili się na pokojowe rozmowy. Pośrednikami w tych rozmowach byli dyplomaci z Holandii, Anglii i Francji, zaś rokowania te prowadzono przez dwa miesiące w Starym Targu. Były to niełatwe i trudne rozmowy, które zakończyły się podpisaniem rozejmu w dniu 26 września 1629 r. Pakt pokojowy miał obowiązywać przez sześć lat.

Postanowienia traktatu w Starym Targu były niekorzystne dla Rzeczypospolitej, gdyż Szwedzi zapewnili sobie m.in. prawo do pobierania cła w polskich portach nad Bałtykiem, a otrzymane środki przeznaczali na utrzymanie armii, która prowadziła działania zbrojne na terenie Niemiec. Na słabe efekty negocjacji strony polskiej wpłynęła niewątpliwie niekorzystna dla Rzeczypospolitej sytuacja międzynarodowa. Szwedzi byli pewni wsparcia Anglii oraz Holandii (państwa protestanckie) oraz katolickiej Francji. Natomiast Rzesza, w której trwała wojna trzydziestoletnia (protestanci walczyli z katolikami), liczyła na pomoc wojskową ze strony Gustawa Adolfa. Pomimo tego, że Polska odniosła wiele spektakularnych zwycięstw w walkach ze Szwedami, to w ostatecznym rozrachunku poniosła porażkę, ponieważ straciła znaczny obszar ziem nadbałtyckich.

Kolejny władca Polski z dynastii Wazów, Władysław IV Waza (1632 – 1648) również nie zrezygnował z dążeń do objęcia tronu szwedzkiego.

Jego roszczenia zaczęły mieć realne podstawy z chwilą, gdy po śmierci Gustawa Adolfa korona Szwecji trafiła w ręce jego córki Krystyny.

Podkreślmy raz jeszcze, że na przestrzeni lat 1626 – 1635 na terenie Prus Królewskich i Książęcych toczyła się wojna między Polską a Szwecją o ujście Wisły. Był to zaledwie fragment wielkiego konfliktu, jaki w tamtych czasach objął Europę, nazywanego „Wojną Trzydziestoletnią”, obejmującego lata 1618 – 1648.

Pod koniec rozejmu zawartego w Starym Targu zaczęła się gotować nowa wojna polsko-szwedzka. Udało się jednak porozumieć pokojowo. Elektor brandenburski bardzo bał się tego pokoju. Polacy żądali, aby Piławę oraz Klajpedę wyłączyć z lenna pruskiego i przekazać we władanie Rzeczypospolitej. W uchyleniu tego żądania pomógł elektorowi brandenburskiemu poseł francuski. Francja liczyła na to, że elektor brandenburski przystąpi do wojny wraz z Francją i Szwecją przeciw Habsburgom. Nie wie-



Król Władysław IV Waza

dzieli oni o tym, że elektor już podpisał pokój z cesarzem i nie będzie uczestniczył w wojnie.

Mimo tego, że Szwecja była już potęgą militarną, to po śmierci Gustawa Adolfa była uwikłana w wojnę trzydziestoletnią. Król Władysław IV Waza doskonale o tym wiedział i cały czas przygotowywał się do ostatecznej rozprawy ze Szwedami.

Na skutek oporu, jaki stawiała planom królewskim polska szlachta oraz niechęci ze strony magnaterii do wojny doszło w 1635 r. do podpisania 26-letniego rozejmu ze Szwedami w Sztumskiej Wsi.

Przed terminem upływu rozejmu strony podjęły rozmowy w celu jego przedłużenia. Miejscem tych rozmów stał się Pasłęk, w którym obradowano od stycznia do połowy lutego 1635 r. Wojny szwedzkie doprowadziły Sztumską Wieś, podobnie jak i inne miejscowości, do ruiny materialnej.

Aby uniknąć wybuchu nowych działań wojennych, podjęto pod naciskiem Francji i innych państw pertraktacje mające doprowadzić do ugody. Jako miejsce obrad wybrano Sztumską Wieś. Na jej północnym krańcu zostały zlokalizowane namioty dla przedstawicieli układających się stron oraz posłów państw zainteresowanych zawarciem ugody lub pośredniczących w obradach, z francuskim posłem Klaudiuszem de Mesmes hrabią d'Avaux na czele. Mieszkańcy Sztumskiej Wsi oglądali z daleka świetne orszaki takich dostojników polskich jak Jakub Zadzik, wielki kanclerz koronny i szeregu innych dygnitarzy, a także czołowych szwedzkich dyplomatów.

Na czele polskiej delegacji stał wspomniany już kanclerz Jakub Zadzik, któremu towarzyszyli Ernest Denhoff, Remigiusz Zaleski, Rafał Leszczyński, Jakub Sobieski i Krzysztof Radziwiłł. Stronę szwedzką reprezentowali Per Brahe, Herman Wrangel, Ake Axelson, Jan Nikodemus i Jan Oxenstierna.

Podczas rokowań okazało się, iż zawarcie pokoju jest niemożliwe, gdyż król Władysław IV nie chciał się zrzec pretensji do tronu szwedzkiego. W rezultacie rozmów zawarto rozejm, który miał trwać do 11 lipca 1661 roku.

Przez niespełna 4 miesiące, tj. od 24 maja do 12 września 1635 r. trwały trudne, a momentami dramatyczne rokowania grożące nawet wybuchem konfliktu zbrojnego. Zakończono je podpisaniem 26-letniego rozejmu. Podpisy zostały złożone na placyku między namiotami, prawdopodobnie pod gołym niebem. Był to traktat zawarty między Rzeczpospolitą, a Szwecją.



Glaz pamiątkowy upamiętniający podpisanie traktatu pokojowego w Sztumskiej Wsi.

Polska odzyskała zajęte uprzednio przez Szwedów i Brandenburczyków tereny w Prusach Królewskich, straciła zaś, niestety Inflanty. Istotnym postanowieniem tego traktatu jest również to, iż zapewnił on katolikom i ewangelikom swobodę praktyk religijnych. Szwedzi wycofali się z Prus i przestali pobierać cło, które na dwa lata otrzymał Władysław IV. Inflanty zostały podzielone.

Rozejm ten był de facto porażką Władysława IV i Rzeczypospolitej. Król znakomicie przygotował się do wojny, zreformował i wyszkolił wojsko. W chwili rozmów zmobilizowanych było około 21000 żołnierzy, w tym 12000 piechoty. Król zakupił 12 okrętów i przystąpił do organizacji floty kaperskiej. Na czele tej armii stał wybitny wódz hetman Stanisław Koniecpolski.

Ostateczne postanowienia traktatu w Sztumskiej Wsi:

1. Szwedzi zatrzymywali Inflanty na północ od rzeki Dźwiny oraz miasto Rygę, gwarantując jednocześnie swobodę kultu zamieszkującym te tereny katolikom.
2. Polska otrzymała z powrotem porty Tolkmicko, Elbląg, Braniewo, Piławę (Bałtyjsk) i Kłajpedę.
3. Szwedzi zrezygnowali z prawa do cła (na 2 lata otrzymał je król Władysław IV Waza).
4. Polacy zatrzymali tereny na południe od Dźwiny, czyli Kurlandię, Semigalię, powiat piltyński oraz Inflanty polskie.
5. Szwedzi obiecali zwrócić statki polskiej floty.
6. Król Polski Władysław IV zawieszał na okres rozejmu swoje pretensje do szwedzkiej korony (czyli do momentu, w którym miał osiągnąć wiek 66 lat).
7. Wielkie Księstwo Litewskie miało mieć pełną swobodę w handlu na rzece Dźwinie.

Takie były burzliwe dzieje wojen i traktatów podpisanych przez Rzeczpospolitą a Szwecją na ziemi sztumskiej w pierwszej połowie XVII wieku.

Janusz Namenanik

TRZY NAJSTARSZE RYSUNKI DZIERZGONIA

Znaczne zainteresowanie wystawą starej fotografii zaprezentowaną przez Dzierzgoński Ośrodek Kultury (lipiec 2014), utwierdziło mnie w przekonaniu, że mieszkańców naszego miasta fascynują ilustracje, przedstawiające widoki dawnego Dzierzgonia.

Za początek fotografii uważa się rok 1839, kiedy to Louis Daguerre przedstawił przed Francuską Akademią Nauk, zdjęcia wykonane techniką dagerotypii. Pierwsze zdjęcia Dzierzgonia pojawiły się pod koniec XIX wieku, a wydawane w tym okresie pocztówki, eksponowały widoki Dzierzgonia za pomocą rysunków, jak i zdjęć.

Z okresu znacznie poprzedzającego epokę fotografii znane są w chwili obecnej tylko trzy rysunki, które ukazują nasze miasto w dawnych odległych czasach. Pierwszy z nich pochodzi z 1587 roku, a jego autorem jest A. Möller. Kolejny i zarazem najbardziej znany z 1684 roku jest ryciną w książce J. C. Hartknocha. I trzeci ostatni, najmniej znany, powstał w latach 1826-28, jego autorem jest J.M. Guise.



Przyjęcie na tle zamku w Dzierzgoniu z 1587 roku autorstwa Antona Möllera, fot. archiwum

Ks. prof. Alojzy Szorc¹ w swojej pracy z 1998 roku pisał, że najstarszy rysunek Dzierzgonia pochodzi z 1684 roku i jest on jedyną znaną ryciną przedstawiającą nasze miasto w przeszłości. Jak na ówczesny stan wiedzy, bezwzględnie posiadał on rację.

Starszy o prawie sto lat rysunek naszego miasta opublikował w 2003 roku J. Tylicki². Zupełnie nam nieznany, najnowszy rysunek przedstawiający między innymi obiekty dawnej architektury miasta pochodzi z lat 1826-1828 i na jego trop współcześnie naprowadził w 2007 roku Mieczysław Hoffmann³, a został opublikowany w 2011 roku przez Seweryna Szczepańskiego⁴.

Pierwszy z rysunków zatytułowany: „Eleganckie przyjęcie na tle zamku w Dzierzgoniu” pochodzi z 1587 roku i jego autorem jest Anton Möller. Jego dokładnego opisu dokonał J. Tylicki⁵. Rysunek ten przedstawia przyjęcie na otwartym powietrzu w pobliżu zajmującego dużą część tła zrujnowanego zamku w Dzierzgoniu. Posiada on charakter szkicu z natury, co odzwierciedlone zostało także w napisie na odwrocie, mówiącym o „nabazgraniu” widoku przy „orzącym w polu plugu”. Niewykluczone, że powstanie dzieła wiązać można z wędrówką mistrza z Królewca do Gdańska na wiosnę 1587 roku.

Kompozycja stanowi również kapitalne źródło ikonografii nie istniejącej już dziś krzyżackiej fortecy wraz z podzamczem i ruinami kaplicy św. Anny na wzgórzu po lewej stronie.

Z rysunku korzystał Antoni J. Pawłowski⁶, dokonując na podstawie wykopalisk próby rekonstrukcji zamku w Dzierzgoniu.

Rysunek ruin na drugim planie nie jest jednak przedstawieniem czysto pejzażowym, gdyż na pierwszym planie ukazana została scena uczt z tańcami. Zarys ubiorów i sposób zachowania się biesiadników, dostojnie opróżniających kufle i sunących w tańcu przy dźwiękach muzyki szlachetnego instrumentu, jakim był wirginał⁷, świadczy o tym, że jesteśmy świadkami plenerowych rozrywek grupy postaci z wyższej warstwy społecznej, dodatkowo korzystających z usług trzech widocznych po lewej stronie muzykantów z gęśłami.

J. Tylicki twierdzi, że: „Znaczenie przedstawienia nie jest zupełnie jasne. Wyobrażenie biesiady mieszanego, dobrze odzianego towarzystwa pod otwartym niebem może wiązać się ze znanymi już wcześniej w Niderlandach rycinami ostrzegającymi przed występnyim życiem. Godna i pozbawiona większej emocji postawa uczestników zabawy wydaje się świadczyć, że mamy tu do czynienia z naśladownictwem przedstawień zażywania przez wyższe sfery czasu na łonie przyrody”.

¹ A. Szorc, *Dzierzgoń od początku do dni naszych 1248-1998*, Dzierzgoń 1998, s. 56.

² J. Tylicki, *Echa niderlandzkie w rysunkach niektórych nowożytnych artystów gdańskich i elbląskich*, [w:] *Niderlandyzm na Śląsku i w krajach ościennych*, Wrocław 2003, s. 256-276, ryc. na s. 259.

³ M. J. Hoffmann, *Inwentaryzacja założeń obronnych na ziemiach pruskich w pierwszej połowie XIX w.*, [w:] *Opuscula archaeologica. Opera dedicata in Professore Thaddeum Malinowski*, red. Z. Rybczyński, A. Gruszka, Zielona Góra 2007, s. 149-169.

⁴ S. Szczepański, *Sakralizacja obszaru pogranicza na przykładzie Pomezanii pruskiej*, [w:] *PRUTHENIA*, t. VI, 2011, Olsztyn 2011, s. 158.

⁵ J. Tylicki, *Rysunek gdański ostatniej ćwierci XVI i pierwszej połowy XVII wieku*, Toruń 2005, s. 181-182.

⁶ A. J. Pawłowski, *Próba rekonstrukcji zamku w Dzierzgoniu*, [w:] *Pogranicze polsko-pruskie i krzyżackie*, (red.) K. Grążawski, Włocławek – Brodnica 2003, s. 210-213.

⁷ Wirginał – mały klawesyn w kształcie podłużnej skrzynki bez nówek.

Uwagi dotyczące strony technicznej rysunku J. Tylicki określa w sposób następujący: „Czysta, pewna i rzadko przecinająca się kreska nawiązuje do współczesnego rysunku niemieckiego i do rycin niemiecko-niderlandzkich” A w innym miejscu pisze: „Papier kremowy, żeberkowany, piórko, czarny tusz, lekkie podrysowanie czerwoną kredką (zwłaszcza w partii budowli), lekkie lawowanie w brązie”. Określa rozmiar rysunku jako : 209 x 339 mm. Miejsce przechowywania to: Berlin, Staatliche Museen – Preußischer Kulturbesitz Kupferstichkabinett, nr inw. KdZ 17916, d. 48-1940 (nr inw. na odwrocie), sygnowany cienko czarnym tuszem u góry po lewej: AM [w ligaturze] 1587.

W prawym dolnym rogu tuszem znak własnościowy – WE w kursywie, prawdopodobnie odnoszący się do kolekcji Ehlersa. Na odwrocie inskrypcje autorskie czarnym tuszem. *Das verwüstete schloß Cristburg 3 meil, von Marienburg wie es an Zu schawen (wam man ein halb viertel weges. davon stehet im felde geschrabbeltd) in eile be idem pfluge in pflug. 1587;* niżej po prawej (obok nieczytelnych pokreślonych wyrazów) Anto: Möll: 1589. Na podklejeniach rysunku po brzegach późniejsze inskrypcje: 1801 WE P 67. N 86 (tuszem) oraz 4 : K. d. Z 17916 i 48 – 1940 (ołówkiem). Ponadto na odwrocie - w brązowym tuszu – pieczęcie: owalne, zbiorów graficznych państwowych muzeów w Berlinie z lat 1936-1945 z usuniętą swastyką, a także prostokątna z inskrypcją KUPFERSTICH /KABINETT/ BERLIN – DAHLEM (z okresu po II wojnie światowej).

J. Tylicki określa również aktualny stan zachowania obiektu: „Niegdyś złożony na czworo, pionowe zgięcia widoczne od strony lica. Lewy prawy róg naddarty, dolny poplamiony. Po brzegach przedarcia, na odwrocie poklejenia.”



Panorama Dzierżonia z 1684 roku wg J. Ch. Hartknocha, fot. archiwum

Historia: Pozyskany do obecnego zbioru w 1940 roku (stary numer inwentarza) ze zbioru Ehlersa (karta inwentaryzacyjna muzeum), do którego przypuszczalnie trafił w 1801 roku (drugi dawny numer inwentarzowy na odwrocie).

Drugi rysunek naszego miasta jest o blisko 100 lat młodszy od omówionej powyżej grafiki A. Möllera. Znajduje się on w części drugiej wydanej w 1684 roku książce Johanna Christopharta Hartknocha⁸. Ta siedemnastowieczna panorama Dzierzgonia stała się popularnym motywem graficznym, bardzo często wykorzystywanym w wydawnictwach dotyczących Dzierzgonia i jest zapewne doskonale znana czytelnikom. W książce Hartknocha rycina nosi tytuł: „Dzierzgoń, na dole miasto, wyżej na wzniesieniu stary, spustoszony i przeklęty zamek panów krzyżackich”.

Rycina ukazuje ruiny zamku i zadbanego miasta od strony południowej. Obraz ukazuje jedynie ruiny wieży na górze zamkowej od strony miasta z fragmentami murów obronnych warowni. A. J. Pawłowski twierdzi, że *„Możemy sądzić, że obraz zamku przedstawiony przez Hartknocha nie odpowiadał ówczesnej rzeczywistości, a był jedynie artystyczna forma autora, chcącego zapewne wyróżnić w ten sposób kwitnące u podnóża ruin zamku miasto Kiszpork”*. Podobnego zdania jest A. Szorc, który pisze: *„Jeśli chodzi o wygląd zamku dzierzgońskiego, to sama rycina jest mało prawdopodobna, bowiem źródła pisane z tego okresu nie pozwalają na wniosek, że był on w kompletnej ruinie, natomiast rysunek miasta może być pewnym odbiciem stanu faktycznego”*.

Panorama miasta robi wrażenie niepozbawionej szczegółów ilustracji, a jednocześnie budzi obawy o autentyczność przedstawienia. Ukazane są szczegóły architektoniczne najważniejszych wówczas obiektów, takich jak kościół o wysokiej wieży i sygnaturce, ratusz, z którego wieży zegar przypomina mieszkańcom o upływającym czasie, widoczne są również bramy miejskie (suska i malborska). Przedstawionych jest również kilkadziesiąt budynków w znacznej większości mieszkalnych, ale dostrzec można również budynki gospodarcze.

Mieszkańcy Dzierzgonia z łatwością dostrzegą, że ilustracja ta jest w znacznej mierze bałamutna. W XVII wieku ogromną rolę odgrywała konwencja przedstawień, pewien rodzaj schematyzmu widoczny na tej ilustracji jak i pozostałych przedstawieniach innych miast zawartych w książce Hartknocha⁹. Nie mamy podstaw do tego, aby podważać wygląd przedstawionych obiektów, natomiast ich usytuowanie budzi poważne zastrzeżenia. Dominującymi obiektami są kościół parafialny i ratusz. Kościół jest ukazany w rzeczywistości, stoi u podnóża wzgórz zamkowego i ma wieżę po stronie wschodniej, gdyż jest budowlą zorientowaną. Ratusz natomiast stał na rynku miasta (czyli po zachodniej stronie kościoła) i jego dłuższa ściana była nieomal prostopadła do dłuższych ścian kościoła. Rzędy kamieniczek sugerują jakieś uliczki. Wyraźnie oznaczono bramy wiodące do miasta i jest to jedyne znane nam przedstawienie tych obiektów, dlatego też musimy mu dać wiarę, iż właśnie w ten sposób wyglądała brama suska i malborska.

Mocno poszarpane wzgórze zamkowe budzi poważne zastrzeżenia, że zostało autentycznie przedstawione. Owszem, istnieją do dziś, dające rozpoznać się ślady usuwiska, ale tyl-

⁸ J.C. Hartknoch, *Alt und Neues Preussen*, Frankfurt 1684, s. 389.

⁹ Przykładem może być Elk (źle ustawiony kościół), Pasłek - odbiegająca od rzeczywistości lokalizacja budynków, a miasto pokazane zarówno od wschodu jak i północy, bałamutny prospekt Lidzbarka Warmińskiego i wiele innych.

ko od strony zachodniej. Również dość mało prawdopodobne wydaje się, aby budowano budynki mieszkalne na osuwającej się skarpie, co sugeruje nam rycina. Miasto nasze okala rzeka Dzierzgoń, co zostało fragmentarycznie zaznaczone, niemniej miejsce, w jakim ją przedstawiono odbiega od rzeczywistości.

A. Szorc zauważa: „*To dziwne, że są bramy, a nie widać murów, musiały one kiedyś istnieć, ale zapewne dość niskie, nie gwarantujące miastu obrony. Na linii tych murów ustawionych jest szczytem kilkanaście domów, a ich przedłużenie stanowi płot z żerdzi.*” Wpatrując się dokładnie w rycinę dostrzegamy jedynie cztery budynki ustawione szczytami do zewnętrznej strony miasta i stojące na przedłużeniu linii wyznaczonej przez płot, zbudowany nie z żerdzi (jak sugeruje się powyżej), a ze słupów mogących stanowić element palisady. Analizując inne ryciny prezentowane w książce Hartknocha możemy dojść do wniosku, że owe płoty stanowiły zapewne konwencję stosowaną w XVII wiecznych rysunkach i służącą jedynie do zaznaczania granic miasta.

Z większym przekonaniem można stwierdzić, czemu służyło przedstawienie pastuszka wspartego na kiju i dogłdającego pasących się zwierząt. Różne sceny pierwszoplanowe zawarte są również na rysunkach przedstawiających inne miasta. Wszystkie one świadczyły na ogół o jednym, charakteryzowały społeczność danego miasta. Scena z pastuszkami, świadczyć miała o znacznym powiązaniu mieszkańców naszego miasta z rolnictwem.

Większość grafik w książce Hartknocha jest sygnowana. Niestety, ale interesująca nas rycina Dzierzgonia nie jest podpisana. Było trzech rytowników miedziorytów, a mianowicie: Johann Ulrich Krauss, Christian Daniel Pietesch oraz Johan Jakob Vogel. Porównując i analizując poszczególne rysunki, nabrałem przekonania, że autorem dzierzgońskiej grafiki jest J. J. Vogel.

Trzeci, najmłodszy i zarazem najmniej znany rysunek Dzierzgonia wykonał Johann Michael Guise (1796 – 1861), porucznik wojsk pruskich z Torunia, który na zlecenie Militärbechönde Ost-und Westpreußen prowadził w latach 1826-1828 inwentaryzację średniowiecznych założeń obronnych w Prusach¹⁰. Przewędrował on pieszo w trakcie dwóch wypraw ziemie pruskie, dokonując inwentaryzacji przeszło sześciuset założeń obronnych w tym również Dzierzgonia. Omawiany rysunek naszego miasta prawdopodobnie powstał w trakcie pierwszej wyprawy, którą Guise odbył z Królewca do Torunia i z powrotem w okresie od 14 sierpnia 1826 roku do 30 maja 1827 roku. Wykonane przez niego szkice z rysunkami i opisami założeń obronnych trafiły w 1881 roku do Prussia Museum z Geheimes Staatsarchiv w Królewcu. Archiwalia te wraz z rysunkami i pisemnymi komentarzami Guisego zostały dwukrotnie powielone – w 1848 oraz w 1866. Obie kopie do końca 1944 r. znajdowały się w Prussia Museum w Królewcu i w drugiej połowie XX wieku przekazane zostały przez byłą ZSRR ówczesnej NRD. Obecnie znajdują się one wraz ze szkicem Dzierzgonia w archiwum Museum für Vor – und Frühgeschichte Berlin.

Jak widać na załączonej ilustracji, szkic jest wykonany na kartce poślódkiego już papieru, przy jego sporządzaniu użyto przypuszczalnie ołówka i rysika. Wszystko wskazuje na to, że przy użyciu zwykłego niezbyt ostrego noża (o czym świadczy nadszarpięcie papie-

¹⁰ M. J. Hoffmann, op. cit., s. 149-169.

ru z lewej strony kartki na 1/3 wysokości od góry), papier był cięty z większych arkuszy, natomiast czerwony ślad w prawym górnym rogu jest prawdopodobnie pozostałością po mocowaniu go do szkicownika. Kartki, na których wykonano rysunki były niewielkie i ich wymiary wynosiły 9 na 11 cm każda.

Sam rysunek w swoim głównym założeniu miał przedstawiać średniowieczne założenia obronne miasta, ale eksponuje on kilka samodzielnych elementów, które były charakterystyczne dla Dzierzgonia. Na samej górze w środku znajduje się naszkicowana panorama miasta położonego wśród wzgórz, z charakterystycznie wystającymi wieżami niektórych obiektów. Z lewej strony obok wieży kościoła parafialnego oznaczone jest symbolicznie wzgórze zamkowe, natomiast ze strony prawej daje się również rozpoznać wieża kościoła ewangelickiego, widać również zarysy dachów zabudowań miejskich. Rysunki posiadają wiele opisów, niestety w znakomitej większości są one rozmazane i nieczytelne. Znaczenia niektórych podpisów możemy się jedynie domyślać i w jakiś sposób je zinterpretować¹¹. Panorama miasta została podpisana jako: „Dzierzgoń w pobliżu Elbląga”. Istnieją trzy napisy prostopadle umieszczone w stosunku do panoramy i jeden z nich jako najbardziej czytelny można zinterpretować jako: „Kościół ewangelicki 1797”. Data ta jest zastanawiająca, gdyż konsekracja tego kościoła miała miejsce 3 czerwca 1792 roku.

W centralnej części rysunku rozmieszczone są kontury niektórych charakterystycznych dla miasta obiektów takich jak: kościół parafialny św. Katarzyny, ewangelicki kościół oznaczony literką „E” (*Evangelische Kirche*), kaplica św. Anny oznaczona jest literką „a” (*Annen Kapelle*), jedna z dwu istniejących wówczas bram miejskich (bliźniaczo podobnych), jest to przypuszczalnie brama suska, oraz wzgórze, u którego podnóża widnieje mały staw, z którego wypływa wijący się strumyk. Na wzgórzu stoi szubienica co wskazuje na to, że była to Góra Szubienicza jakże charakterystyczna dla Dzierzgonia.

Nieomal 1/3 rysunku zajmuje mozolnie naszkicowany plan miasta.

Nie wiemy, czy Guise dokonywał jakiś pomiarów na terenie miasta, ale bezsprzecznie starał się zachować proporcje pomiędzy poszczególnymi częściami nakreślonego planu, w którym to umieścił hipotetyczne poziomicę. Jego praca zapewne nie była łatwa, gdyż obojętnie na jakim z siedmiu wzgórz otaczających miasto by się nie znalazł, to z żadnego z tych miejsc nie otrzymałby widoku na całe miasto. Taka jest specyfika dzierzgońskiego terenu. Najpełniejszy widok uzyskać można było ze Wzgórza Zamkowego, ale należało się po nim przemieszczać.

W swym głównym założeniu szkic miał stanowić dokumentację walorów obronnych miasta. Dlatego też wyraźnie zaznaczono wzgórze i wzniesienia terenu oraz rzekę Dzierzgoń, która również stanowiła naturalną przeszkodę wodną. Wyraźnie daje się rozpoznać rynek miasta wraz zaznaczonym na nim ratuszem. Szczególni mocno podkreślono Wzgórze Zamkowe, oraz wzgórze cmentarne wraz z kaplicą św. Anny oraz przejście ze Wzgórza do

¹¹ Na to, że sporządzone ołówkiem rysunki J. M. Guisego wymagają poprawienia i ponownego nakreślenia tuszem, zwracał już uwagę generał lejtnant von Jaski, który na początku lat trzydziestych XIX w. zapoznał się z nimi w Geheimes Staatsarchiv w Królewcu. Niestety, plany naniesienia poprawek nie doczekały się realizacji. W wyniku tego już w latach dwudziestych XX w. odręczne notatki zamieszczone na poszczególnych kartach były słabo czytelne; por. H. Crome, *Johann Michael Guise, sein Leben und sein Werk, Sitzungsberichte der Altertums-gesellschaft Prussia*, 1927, t. 27, s. 63.

kaplicy. Ze strony północnej obiekty te posiadały głęboką fosę, która jest na rysunku rozpoznawalna. Od strony zachodniej widoczna jest nieistniejąca już dziś „młynówka”, stanowiąca sztucznie utworzone rozgałęzienie rzeki, przy której stał młyn zamkowy. Z prawej strony rysunku zaznaczono wzgórze, które od południa otaczała rzeka. Należy przypuszczać że w średniowieczu stanowiło ono jakiś osobny bastion na razie nie opisany i nie zbadany. Być może miejsce to służyło jako schronienie dla okolicznych mieszkańców w razie zagrożenia (tzw. liszka).

Zupełnie osobne zagadnienie stanowi umieszczony w prawym górnym rogu wizerunek Potrimposa. Nie jest on narysowany w wielkości proporcjonalnej w stosunku do innych prezentowanych obiektów, widocznie autor chciał go szczególnie uwypuklić i nadał mu znaczenie wręcz herbu miasta, gdyż ta figura mimo swego niewątpliwego uroku stanowiła pewien zagadkowy ewenement wśród innych zabytków miasta i dotychczas wśród znawców przedmiotu budzi ożywione dyskusje¹².

Na omawianym rysunku wykonanym przez Guisego figura Potrimposa posiada inskrypcję, ale w dużej większości nieczytelną. Da się odczytać z dużą pewnością podpis *Potrimpos* oraz w górnej części liczba „3”. S. Szczepański zinterpretował „3” jako oznaczenie rysunku, a następnie „E” jako jej lustrzane odbicie, które wskazywało by na lokalizację figury. Twierdzą, że ta interpretacja mija się z prawdą. Powyżej wspominałem, że literka „E” *Evangelische Kirche*, czyli kościół ewangelicki, natomiast umieszczony symbol nad figurą „3” oszacowaną przez Guisego wysokość figury wynoszącą 3 stopy pruskie (czyli około metra). W rzeczywistości rzeźba miała wysokość 1,18 m. Generalnie dla stopy stosuje się skrót „ft”, ale spotyka się również zapis z użyciem apostrofu np. „3’”. Wiemy, że autor rysunku posiadał specyficzny stosunek do tej pruskiej figury. „Z pisemnego sprawozdania z pierwszej podróży wynika niezbitnie jakie myśli ogarniały Guisego podczas realizacji zadania. Odbierał on mianowicie Prusów jako nację bohaterów, która zginęła za wiarę przodków”¹³.

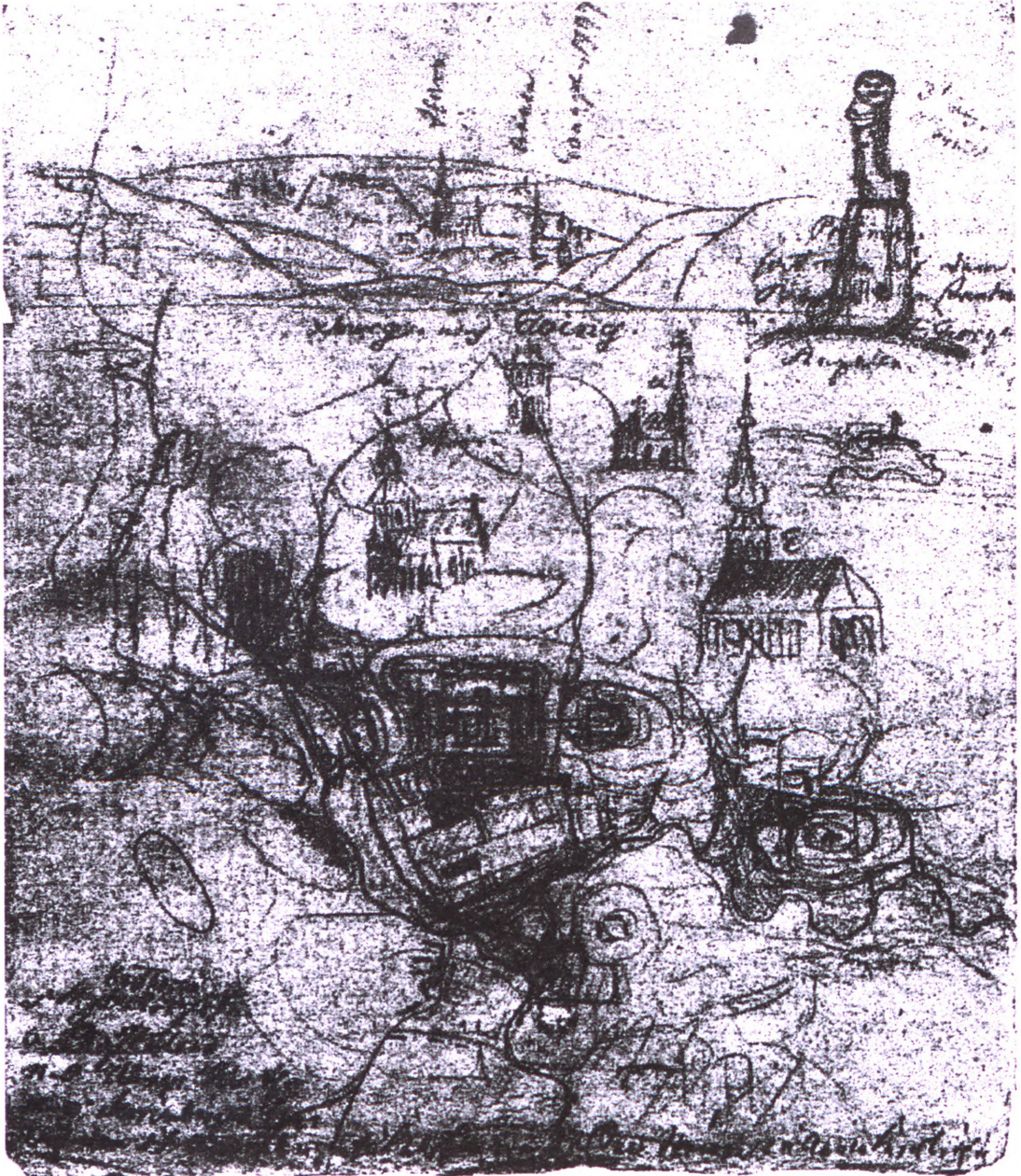
Z tego też powodu nadał pruskiej figurze Potrimposa specjalne znaczenie w swej pracy, umieszczając go na czołowym miejscu i nadając mu znaczną wielkość. Figura jest umieszczona na postumencie, mającym w swym czole zaznaczona przyporę, taka znana jest nam z niektórych średniowiecznych świątyń. Trudno nam spekulować, czy w momencie oglądania figury przez Guisego faktycznie stała ona na postumencie, czy też jest on jedynie wizją autora.

Być może przekaz Guisego jest głębszy. W trakcie pobytu w Dzierzgoniu, zainteresowany pruską figurą zapewne wypytywał o nią mieszkańców naszego miasta, którzy udzielili mu swojej opinii na temat jej wcześniejszej lokalizacji. Guise na pewno figurę oglądał wmurowaną w ścianę klasztoru reformatów. Wersje, jakie istnieją na ten temat to określenie, że pochodzi z byłego zamku krzyżackiego, jak i ta, że została ona znaleziona na pobliskim wzgórzu. Na swoim rysunku przedstawił on obie wersje, umieszczając figurę na kawalku ściany z kaplicy zamkowej (tak odczytuję postument), co następnie umieścił na wzgórzu. Zapewne nieczytelne napisy przy figurze by nam wiele wyjaśniły.

¹² S. Szczepański, *Baby pruskie w kontekście osadniczym wczesnośredniowiecznej Pomezanii*, [w:] Rocznik Olsztyński, t. XIX, Olsztyn 2014 [w druku].

¹³ M. Hoffmann, op. cit, s. 155.

Rekapitulując te rozważania na temat trzech najstarszych rysunków Dzierzgonia wypada przypomnieć ich lokalizację. Otóż dwa z nich (Möllera i Guisego) znajdują w berlińskich muzeach, natomiast trzeci rysunek Hartknocha (jako rycina w książce) można znaleźć bliżej, bo w zbiorach elbląskich.



Dzierzgoń 1826, Guise

tet Plebiscytowy. Od 1 grudnia zaś rozpoczęto wydawanie pisma pod tym samym tytułem, lecz będącego właściwie mutacją „Gazety Olsztyńskiej”. Pismo przez dwa lata stało się organem założonego 30 listopada 1920 r. Związku Polaków w Prusach Wschodnich¹. Sygnowano to w winiecie i informowano znacznie mniejszym krojem czcionek, że jest przeznaczona dla powiatów nadwiślańskich. W układzie rubryk i zawartości nie różniła się od „Gazety Olsztyńskiej”, poza tym, że w rubryce „Kronika” na pierwszym miejscu podawano wiadomości z Powiśla, potem z Warmii, a w końcu z Mazur. Zmienił się też redaktor odpowiedzialny, zamiast nazwiska dotychczasowego Bonifacego Chmielewskiego, pojawił się Kazimierz Jaroszyk oraz podano w stopce, że pismo ukazuje się drukiem i nakładem Joanny Pieniężnej. Adres redakcji i administracji, gdzie można



Seweryn Pieniężny

było zamówić ogłoszenia i przysyłać artykuły widniał: Olsztyn, Mühlenstrasse 2. Wszystko to nastąpiło w czasie jak Seweryn Pieniężny jako kierownik wydawnictwa (właścicielką wydawnictwa była jego matka Joanna Pieniężna) znacznie rozbudował oficynę. Przeniósł drukarnię z ulicy Dolnokościelnej do budynku przy Mühlenstrasse 2-3, czyli Młyńskiej, a dziś na placu Rybnym, sprowadził do Olsztyna nowe maszyny drukarskie i powiększył personel zatrudniony w drukarni. Odtąd oficyna nabrała charakteru profesjonalnego wydawnictwa, będącego w stanie zaspokoić wszystkie potrzeby Polaków w Prusach Wschodnich. Stanisław Pilarczyk został kierownikiem Polskiej Agencji Prasowej w Malborku². Nadsyłał artykuły do Olsztyna, następnie jako obywatel Polski musiał opuścić Prusy Wschodnie³. O jego pracy narodowej na Powiślu niezbyt pochlebnie napisała w swoich wspomnieniach Maria Donimirska⁴. Pilarczyk podjął pracę w przemyśle węglowym. Jeszcze po 1945 roku był stałym przedstawicielem PRL w Międzynarodowej organizacji węglowej (ECO) w Londynie. Do końca swego życia bardzo interesował się losami Polaków na Warmii i Powiślu.

„Gazeta Polska dla Powiatów Nadwiślańskich” ukazywała się w Olsztynie do końca 1922 roku. Zamiast uprzednich dwóch dodatków do pisma podstawowego: „Dla Młodzieży” i „Wieczory Rodzinne”⁵ dokładano „Gościa Niedzielnego” i „Gospodarza”, będącymi dodatkami do „Gazety Olsztyńskiej”. Przygotowaniem numerów do druku zajmowali się, początkowo Ludwik Łydko, a po jego wysiedleniu z Olsztyna, Kazimierz Jaroszyk i Antoni Szajek. Zamknięcia „Gazety Polskiej”, jak napisano w postanowieniu Komitetu Centralnego Związku Polaków w Prusach Wschodnich, miało mieć charakter okresowy, po poprawie sytuacji finansowej zamierzano ponowić druk gazety dla powiatów powiślańskich, ale nigdy to już nie nastąpiło.

¹ W. Wrzesiński, *Ruch polski na Warmii, Mazurach i Powiślu w latach 1920-1939*, wyd. II, Olsztyn 1973, s. 78.

² J. Baczewski, *Wspomnienia Warmiaka*, Warszawa 1961, s. 120.

³ S. Pilarczyk, List z Londynu do autora artykułu z 4 II 1978 r. por. T. Oracki, *Słownik biograficzny Warmii, Mazur i Powiśla XIX i XX wieku (do 1945 roku)*, Warszawa 1983, s. 255.

⁴ M. Donimirska, *Bóg dał nam czas próby*. Wstępem i przypisami opatrzył A. Lubiński, Sztum 2012, s. 84.

⁵ Por. T. Zienkiewicz, „Gazeta Polska dla Powiatów Nadwiślańskich”, w: *Z prac Polonistycznych Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Olsztynie*, Olsztyn 1981, s. 95-123.

Od 1923 roku „Gazeta Olsztyńska” stała się pismem, w którym drukowano wiadomości z Powiśla. Nadsyłali je do Olsztyna członkowie polskich organizacji jak: Związku Polaków w Niemczech, (Powiśle jako Okręg wszak stanowiło część IV Dzielnicy Związku), Związku Towarzystw Młodzieży w Prusach Wschodnich, Towarzystwa Kobiet Chrześcijańskich pw. św. Kingi oraz organizacji gospodarczych jak kółka rolnicze i banków. Zawsze zamieszczano bilanse trzech banków ludowych: ze Sztumu, Kwidzyna i Tychnowach. Większość informacji znalazło się w rubryce: „Z dalszych i bliższych stron”. Pismo służyło miejscowym Polakom., przyczyniało się do pogłębienia świadomości narodowej miejscowych Polaków, łączyło ich w trudnym trwaniu we wspólnocie, która starała się oprzeć z siłą wciskającej się germanizacji. Z początkiem 1923 roku na Powiśle dochodziła codziennie zwyczajna „Gazeta Olsztyńska”.

Szczególną publikacją w „Gazecie” był cykl artykułów księdza Walentego Barczewskiego „Geografia sztumskiego Powiśla”⁶, będąca zapewne w zamyśle kontynuacją „Geografii polskiej Warmii” w odniesieniu do trzech powiatów nadwiślańskich: sztumskiego, częściowo kwidzyńskiego i malborskiego. Napisał zresztą o tym we wstępie: „Jako appendix (czyli dodatek) do „Geografii polskiej Warmii” podajemy niniejszym geograficzny pogląd na polskie lub częściowo jeszcze polskie parafie Powiśla, należące do biskupstwa warmińskiego, a mianowicie: powiatu sztumskiego, dwie parafie powiatu kwidzyńskiego i dwie parafie malborskiego. Wiadomą jest rzeczą, iż to Powiśle do roku 1821 należało do diecezji chełmińskiej i dopiero orędzie Ojca świętego (tj. bullą de salute animarum) dostało się do biskupstwa warmińskiego. Historia tego Powiśla łączy więcej z Pomorzem, tak samo jego etnografia jego ciąży raczej do lewego Powiśla niż do polskiej Warmii. Dialekt tamtejszy różni się znacznie od warmińskiego, [...] nie zna wyrażen zino (wino), żetrz (wiatr), psiwo (piwo), siga (figa), przeciwnie znowu Warmiacy nie mają wyrażen: przyjeheli, śpieweli, piseli, wpedli itp.”⁷ Potem następowało opisanie parafii dekanatów: sztumskiego, kiszporckiego czyli dzierzgońskiego oraz parafii i ich powierzchni, znajdujących się w dekanacie malborskim. Autor podawał krótką historię każdego kościoła, nazwiska wyróżniających się proboszczów, liczby polskich i niemieckich katolików.

W „Gazecie” drukowano też wiersze nauczycieli polskich szkół z Powiśla: Franciszka Jankowskiego z Sadłuk pod pseudonimem Szczęsny Zapolski i Franciszka Jujki ze Starego Targu pod pseudonimem Lech Malbor.

Jedną z publikacji, poświęconą wydarzeniom na Powiślu, stała się przedmiotem procesu sądowego. Miało to miejsce w 1933 roku po objęciu władzy w Niemczech przez hitlerowców. Oto prezes rejencji olsztyńskiej oskarżył redakcję pisma za wydrukowanie artykułu przedstawiającego brutalną napaść bojówkarzy niemieckich na uczestników zabawy polskiej w Postolinie⁸. W artykule w „Gazecie” opisano skutki bestialskiego napadu trzydziestu uzbrojonych młodych ludzi w gumowe pałki i laski na spokojnych mieszkańców Postolina. Pobity został nauczyciel miejscowej polskiej szkoły Franciszek Piotrowski. Jego przewie-

⁶ Wiarosław [ks. W. Barczewski], *Geografia sztumskiego Powiśla*, „Gość Niedzielny”, dodatek do „Gazety Olsztyńskiej”, 1921, nr 46 z 12 XI; tenże, „Gazeta Olsztyńska”, [dalej GO], 1921, nr 278 z 1 XII; tenże, nr 279 z 2 XII; tenże, nr 281 z 4 XII; tenże, nr 282 z 6 XII.

⁷ Wiarosław [ks. W. Barczewski], *Geografia sztumskiego Powiśla*, „Gość Niedzielny”, 1921, nr 46 z 12 XI.

⁸ Brutalna napaść na uczestników polskiej zabawy, GO, 1933, 1933, nr 131 z 5 VII.

ziono do szpitala i został opatrzony przez lekarzy. Podobny los spotkał członka miejscowego koła Związku Towarzystw Młodzieży w Prusach Wschodnich Antoniego Lewickiego. Były to, według „Gazety”, konkretne dowody brutalnego napadu. Prezes rejencji uznał, że „przedstawione treści zawierają kłamstwa, przesadę i przekręcanie faktów”⁹. W niemieckim sądzie, zwłaszcza w okresie hitlerowskim można było podstawić świadków, którzy inaczej postrzegali tamte zdarzenia. W związku z tym sąd wydał wyrok niekorzystny dla „Gazety”. Wydał wyrok zawieszający przez dwa tygodnie począwszy od 10 lipca 1933 roku zakaz wydawania pisma. Nie zmieniły tego wyroku podjęte odwołania. Z tego powodu Związek Polaków w Niemczech zwrócił się 11 lipca 1933 roku do czytelników z następującym wezwaniem: „Do Szanownych Członków związku Polaków oraz Czytelników „Gazety Olsztyńskiej”: Już po raz trzeci w krótkim czasie zakazana została nasza „Gazeta Olsztyńska”. Jest to ciężki cios nie tylko dla samego wydawnictwa, lecz również i dla naszej organizacji. Gazeta zakazana została bowiem na 14 dni, od 10-23 lipca. Jesteśmy więc przez ten czas pozbawieni naszej codziennej strawy duchowej. Zakaz „Gazety” naszej nastąpił na skutek artykułów dotyczących zająć w Postolinie. Czytelników „Gazety Olsztyńskiej”, tego jedynego dziennika polskiego w Prusach Wschodnich, walczącego odważnie w obronie praw ludu polskiego, prosimy jak najusilniej o zachowanie wierności gazecie. Ponieważ Wydawnictwo „Gazety Olsztyńskiej” do czytelników odezwać się nie może, prosimy wszystkich dotychczasowych abonentów o odnowienie przedpłaty na miesiąc sierpień. Wydawnictwo „Gazety Olsztyńskiej” stratę czytelnikom wynagrodzi, przygotowuje bowiem druk bezpłatnej książki, Z braterskim pozdrowieniem Związek Polaków w Niemczech.”¹⁰ Pismo podpisał Franciszek Barcz, który wielokrotnie przebywał na Powiślu, także zabiegając tam o powiększenie liczby stałych abonentów „Gazety”. A książką, którą bezpłatnie podarowano stałym prenumeratom pisma była powieść Henryka Sienkiewicza „W pustyni i w puszczy”.

W tym samym 1933 roku odebrano członkostwo Związku Prasy w Niemczech Wacławi Jankowskiemu za rzekomą częste naruszanie hitlerowskiej ustawy prasowej, co łączyło się z możliwością pełnienia funkcji redaktora odpowiedzialnego pisma, w Olsztynie taką funkcję mógł tylko pełnić Seweryn Pieniężny. Redaktor Jankowski pozostał w Olsztynie do początku stycznia 1939 roku, wpierał Pieniężnego przy wydawaniu „Gazety Olsztyńskiej” i innych czasopism polskich. 5 stycznia 1939 roku otrzymał nakaz opuszczenia Prus Wschodnich jako osoba zagrażająca bezpieczeństwu granic III Rzeszy. W Olsztynie pozostał Seweryn Pieniężny jako redaktor i wydawca w jednej osobie. Wchodził również w skład gremiów kierowniczych Związku Polaków w Niemczech, brał udział we wszystkich ważnych działaniach społeczno-kulturalnych, podejmowanych na tych ziemiach. Łączył obowiązki działacza narodowego z codzienną pracą jako redaktora i wydawcy. Uchodził za serdecznego przyjaciela miejscowej ludności. Wraz żoną Wandą z Dembińskich, wywodzącą się ze Żnina, uczestniczył w różnych warmińskich uroczystościach rodzinnych. Żyli się z warmińskim zaściankiem i jej prostymi mieszkańcami. Sam był wszak Warmiakiem, urodzonym w Olsztynie, tyle że w rodzinie inteligenckiej.

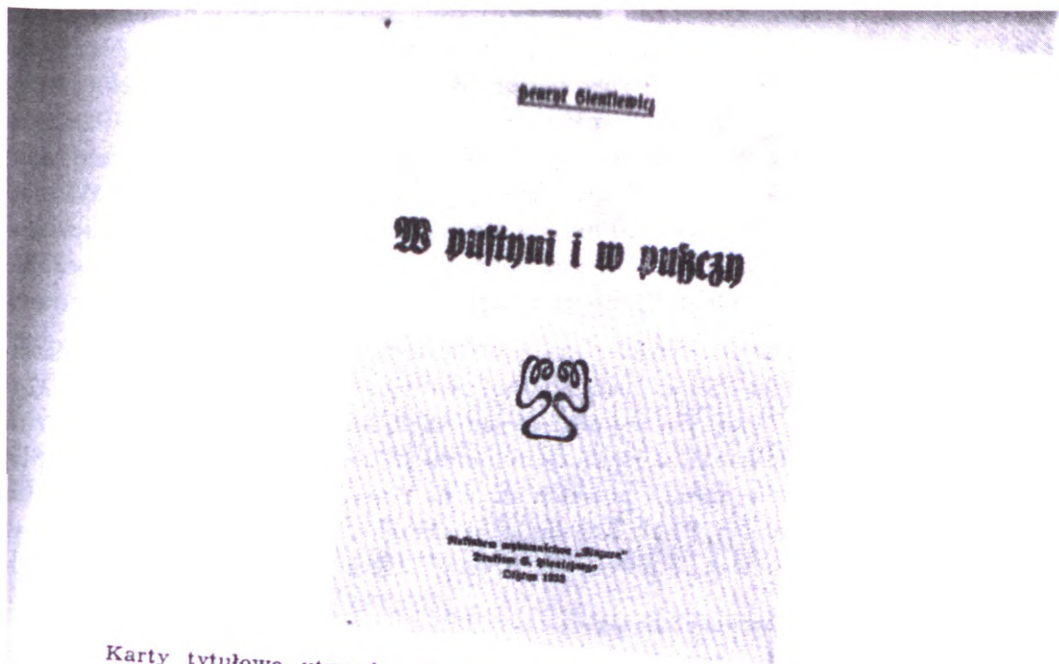
Seweryn Pieniężny był sprawnym dziennikarzem. Spособił się do tego zawodu u boku

⁹ O zakazie naszej *Gazety*, tamże, 1933, nr 147 z 24 VII.

¹⁰ Pismo Związku Polaków w Niemczech IV dzielnica Prusy Wschodnie z 11 VII 1933 roku w posiadaniu autora artykułu.

ojca i stryja Władysława, kierującego piśmieniem w latach 1905-1914. Pisał poważne artykuły wstępne i zabawne felietony jako „Kuba spod Wartemborka gada”. W gwarowym tekście wiązał wielką politykę z codziennymi sprawami mieszkańców Powiśla i południowej Warmii. Drwił w niemieckich urzędników i tym cieszył serca polskich Warmiaków i Powiślan. Bohater felietonu, niby wiejski parobek, był osadzony w realiach tamtej rzeczywistości. Parobkował u gburą w Łapce pod Wartemborkiem, czyli dzisiejszym Barczewem, ale widział więcej i dalej niż inni. W jego usta autor wkładał słowa i tematy, których ze względu na cenzurę, nie mógł podjąć w zwyczajnych artykułach publicystycznych. Bawił czytelników warmińskim humorem i gwarowymi wyrażeniami, takimi jak się między sobą porozumiewali.

Niemcy tak ocenili przydatność redaktora: „Zawodowe kwalifikacje Pieniężnego – ze stanowiska polskiej mniejszości - są bez wątpienia dobre, ponieważ potrafi nadać odpowiedni ton w swoich gazetach, który odpowiada umysłowości polskiej ludności (...) Wyróżnia się swoistym idealizmem i oddaniem dla sprawy polskiej”.



Karty tytułowe utworów Henryka Sienkiewicza, drukowanych w oficynie Pieniężnych

Na posterunku w Olsztynie do samego wybuchu wojny pozostał Seweryn Pieniężny, chociaż Niemcy wielokrotnie rozgłaszali, że już opuścił redakcję. Postanowił dzielić los ze swoimi rodakami. Był dość uważnym obserwatorem tego, co czynili hitlerowcy. Zresztą raz po raz w drukarni wybijano szyby. Zdawał sobie sprawę, co go tutaj może spotkać. Do opuszczenia Olsztyna namawiał go student Uniwersytetu Królewieckiego Wojciech Wawrzynek, o czym napisał w wydanym w 1965 roku „Pamiętniku Opolanina”. Pieniężny jednak pozostał na posterunku. Wciąż budził nadzieję na przetrwanie, mimo wciąż naciągających czarnych chmur. W artykule „Bez trwogi Bracia!”, wydrukowanym w ostatnim numerze dwusetnym pisma z 31 sierpnia 1939 roku napisał: „Czasy obecne, to czasy wielkich przeobrażeń i bojaźni o dzień jutrzejszy, o dalszą przyszłość. Złowrogie przeczucia ogarniają nas i naszych najbliższych. Nieraz brakuje nam wiary i opuszcza nas ufność, gdy groźnymi wypadkami historycznymi miotani bywamy jak bałwan morski, porwany huraganem, gdy widzimy przed sobą otchłań, pełną gniewu, złości i nienawiści, gdy czarno maluje się przed nami przyszłość. Zdaje się nam nieraz jakoby, Bóg o nas zapomniał. Gdy złość i nienawiść między narodami zdaje się triumfować, a przykazania Boże w błocie podeptane leżą, gdy duży odłam ludzkości uznaje i uprawia jedynie kult siły...” Dalej w artykule nawoływał miejscowych Polaków do zachowania spokoju mimo grożącego niebezpieczeństwa. Następnego dnia został aresztowany i po kilku dniach przetransportowany do hitlerowskiej kaźni w Hohenbruch. Tam w przededniu swoich pięćdziesiątych urodzin 24 lutego 1940 roku został wraz z nauczycielem Polsko-Katolickiej Szkoły Prywatnej w Unieszewie Janem Mazą i kierownikiem Rolniczo-Handlowej Spółdzielni „Rolnik” w Olsztynie Leonem Włodarczakiem rozstrzelany. W 1946 roku ich prochy sprowadzono do Olsztyna i uroczystie pochowano na miejscowym cmentarzu parafialnym św. Jakuba. Potem szczątki redaktora Pieniężnego przeniesiono do grobu rodzinnego na Cmentarz Komunalny przy ul. Poprzecznej.

Niezależnie od „Gazety Olsztyńskiej” na Powiśle docierały inne czasopisma wydawane przez olsztyńską oficynę Pieniężnych. Było to: dwutygodnik wydawany w latach 1924-1930 „Życie Młodzieży”, z którym współpracowało wielu młodych ludzi ze wsi pod Sztumem i Kwidzynie oraz kilkanaście ostatnich numerów „Małego Polaka w Niemczech” z lat 1938 i 1939 roku. Właśnie dzieci z polskich szkół na Powiślu nawiązały z tym ostatnim czasopismem bliskie kontakty. Pisały listy do Wujka Franka. Tym Wujkiem Frankiem był najpierw Franciszek Jankowski, a potem Jan Boenigk. Obaj byli nauczycielami polskich szkół na Powiślu.

Jan Makowski
Bronisław Lubiński
Adam Śmigielski

KRONIKA SZKOŁY W JANOWIE

Kroniki szkolne są ważnym źródłem do poznania przeszłości nie tylko danej placówki, ale również całej miejscowości. Obowiązek ich prowadzenia mieli kierownicy szkół zaborze pruskim już w połowie XIX wieku. W pozostałych zaborach taki nakaz także stopniowo wprowadzano.

Ciekawym dokumentem jest powojenna Kronika szkoły w Janowie. Janowo (gm. Kwidzyn) było jedyną wsią, jaka po plebiscycie 11 lipca 1920 roku została włączona do Polski. Wieś z przysiółkami nazywano „Małą Polską”. Tu zorganizowano dużą manifestację narodową 17 sierpnia 1930 roku w związku z rocznicą plebiscytu. Wzięła w nich udział również delegacja młodzieży z IV Dzielnicy Związku Polaków w Niemczech okręgu Ziemi Malborskiej. W rewanżu władze niemieckie odebrały uczestnikom paszporty. Zespoły młodzieżowe z Gniewu występowały z przedstawieniami na wolnym powietrzu z udziałem wielu widzów na granicy z państwem niemieckim, biegnącej niedaleko Pastwy. Polska działalność mieszkańców Janowa spotkała się z represjami po 1 września 1939 roku. W lesie szpegawskim zamordowano kilkunastu mieszkańców wsi. Miejscowości tej ciekawą książkę poświęcił Zygfryd Wendt „Katrynka-graniczna struga” (Kwidzyn 2006) oraz Kazimierz Przyborowski „Mała Polska” (Elbląg 1989), do których odsyłam zainteresowanych.

Nie zachowała się kronika przedwojennej szkoły. W roku szkolnym 1946/1947 prowadzenie Kroniki szkoły w Janowie (gm. Kwidzyn) rozpoczął jej kierownik, Jan Makowski. Pierwszy rok pracy odtworzył na podstawie relacji mieszkańców. Od 1 września 1950 roku Kronikę prowadził przez 10 lat Bronisław Lubiński, po nim Adam Śmigielski.

Kronika przechowywana jest w Izbie Pamięci Szkoły Podstawowej w Janowie. Oprócz niej znajdują się tam unikalne zdjęcia i dokumenty, które są ważnym źródłem do poznania historii szkoły i wsi.

Przygotowując Kronikę do druku, zdecydowałem się na dokonanie skrótów oraz dodanie kilku przypisów. Niektóre nazwiska zastąpiłem inicjałami. Poprawiona została interpunkcja.

Andrzej Lubiński

Druka wojna światowa z chwilą wkroczenia wojsk okupacyjnych spowodowała przerwę w nauce w języku polskim. Miejscowy nauczyciel kierownik Władysław Wysocki po odbyciu katorgi więziennej zmarł w 1942 roku, a nauczyciel Wojciech Reszka zmobilizowany jako podporucznik w 1939 roku prawdopodobnie poległ w kampanii wrześniowej. Niemcy wznowili naukę w roku 1940 wiosną, naturalnie w języku niemieckim. Początkowo był tu nauczycielem polakożerca Krauze, jednakże politycznie w duchu hitlerowskim za mało

czynny, więc ustępuje. Po nim obejmuje szkołę Krauze II, już pełnowartościowy partyjniak. Jednakże przed przesuwanymi się wojskami sprzymierzonymi (Armią Czerwoną) zwiął do Rzeszy.

W dniu 26 stycznia 1945 roku wkroczyła tu zwycięska armia Czerwona przyjmując pozycję frontową na przeciąg prawie dwóch miesięcy.

Z chwilą przejścia wojsk frontowych, tutejsza ludność na ten czas ewakuowana, wraca spieszenie do opustoszałych gospodarstw i buduje nowe życie. Już w dniu 20 kwietnia Inspektor Szkolny z Tczewa, Edward Jagusiak mianował Stefana Cieślewicza na stanowisko kierownika szkoły. W dniu 7 maja przy pomocy nauczycielki Zofii Cieślewiczówny rozpoczęto normalny tok pracy w szkole. Zapisano się 108 uczniów w wieku od 7-15 lat. Zorganizowano cztery klasy. Inwentarz szkolny zorganizowano z pozostałości, częściowo przywieziono z Ryjewa. Szkoła na szyby dostarczyło Starostwo Powiatowe z Tczewa.

Z PRZESZŁOŚCI JANOWA

Według opowiadań grunta Janowa należały do Białego Dworu pow. kwidzyńskiego. Starzy mieszkańcy opowiadają, że płacono czynsze do wspomnianego dworu. Rozwój wsi w znaczeniu dzisiejszym nastąpił z chwilą usypania wału wiślanego w roku 1850. Kościół zbudowano w roku 1872. W roku 1920 na podstawie plebiscytu gmina Janowo przypada do Polski. Przyczyniła się do tego postawa wszystkich mieszkańców, jednakże szczególnie przysłużył się wówczas Tadeusz Tollik.

ROK SZKOLNY 1946/1947

Z dniem 1 września 1946 roku powierzono kierownictwo szkoły Janowi Makowskiemu. Nadto uczył Stefan Cieślewicz i Halina Makowska. Szkoła realizuje program sześciu klas. Uczniów zapisanych 94. W szkole istnieją następujące organizacje: Szkolne Koło PCK liczące 63 członków, Spółdzielnia Uczniowska 89 członków.

W trosce nad szerzeniem oświaty wśród dorosłych w szczególności nad młodzieżą, która w czasie okupacji nie uczyła się po polsku prowadzono kursy wieczorowe dla 41 osób. Wśród uczestników w 40 % nastawienie do pracy było pozytywne, u reszty bierne.

W październiku z inicjatywy szkoły oraz miejscowej młodzieży zawiązało się Kółko Teatralne, które z kolei po utworzeniu świetlicy weszło do niej jako sekcja teatralna. Do tej pory żywotność zespołu była wielka. Odegrano następujące przedstawienia: „Popychadło” Jana Szukiewicza: w Janowie 15 listopada 1946, w Straszewie 23 listopada, Gniewie 15 grudnia. „Mundur swatem” w Janowie 6 stycznia 1947, „Zaloty na kwaterze” w Janowie 12 stycznia przy współudziale wojska z brygady wyborczej „Św. Germana” i „Trafł Marek na Marka” w Janowie 9 lutego. Zainteresowanie społeczeństwa występami było wielkie. Wspomniana świetlica rozwija swą działalność od 15 listopada 1946 roku pod opieką Urzędu Informacji i Propagandy z Tczewa. Zajmuje się wypożyczaniem książek przydzielonych z Centrali Bibliotecznej z Tczewa w liczbie 40 tomów.

Od 1 lutego 1947 roku posiada wynajęty lokal w budynku parafialnym w Janowie. Kierowniczką świetlicy jest nauczycielka Halina Makowska. Do zarządu należą: Franciszek Soelner, Kazimierz Czyżewski, Wiktor Lubowski, Henryk Pawłowski.

W dniu 5 marca 1947 wizytował tutejszą szkołę podinspektor szkolny Władysław Bala. Stan budynków szkolnych uznał za dobry, stan wychowania i ogólny poziom nauczania za zadowalający.

W dniu 6 czerwca 1947 r. odbył się triumfalny pochód prochów pomordowanych przez okupanta janowian w liczbie 18 osób, jakie odnaleziono w Lesie Szpegawskim. Działwa szkolna brała udział w uroczystym pochodzie i nabożeństwie. Przemawiał kierownik szkoły, witając prochy przy krzyżu. Udział społeczeństwa bardzo liczny.

ROK SZKOLNY 1947/48

Z dniem 1 sierpnia 1947 r. przeniesiony został nauczyciel Stefan Cieślewicz do Stępowy (Stążki) pow. Sztum. W dniu 1 września jego miejsce zajmuje nauczyciel, obywatel Józef Kajut. Miejsce Haliny Makowskiej zajmuje Jadwiga Klein. Z początkiem nowego roku szkolnego przyjęto 8 uczniów z Pastwy do klas V i VI. Stan uczniów 1 października - 102.

Dorocznym zwyczajem Komitet Rodzicielski organizuje gwiazdkę dla dzieci. Udanie odegrane Jasełka przez działwę szkolną, przemówienie okolicznościowe kierownika szkoły poprzedziły uroczysty opłatek przy suto zastawionych stołach w klasie dla działwy szkolnej. Choinka - moc kolęd i deklamacje mile nastrajały dzieci i rodziców zasiadających wspólnie przy stole wigilijnym.

W bieżącym roku szkolnym prowadzono systematyczne nauczanie młodocianych i dorosłych w ramach Państwowych Kursów. Słuchaczy w liczbie 46 podzielono na dwie grupy początkujących i kończących szkołę. Frekwencja i pilność w grupie była dobra. Pomimo ciężkich warunków, praca zawodowa, brak światła wyniki nauczania były dobre. Dziewięciu kandydatów zdało egzamin przed Państwową Komisją Egzaminacyjną w składzie: Feliks Dąbek, podinspektor z pow. Tczew, Stanisław Dąbrowski, kierownik szkoły z Tczewa, Jan Makowski, kierownik szkoły z Janowa i Józef Kajut z Janowa. Świadectwa otrzymali: Hilaria Lewicka, córka chłopa z Janowa, Eleonora Tollik, córka chłopa z Janowa, Urszula Kichler, córka chłopa z Janowa, Czesław Małkiewicz, milicjant, Stanisław Kwiatkowski, milicjant, Stefan Albrecht, uczeń kowalski, Małgorzata Kryniecka, córka chłopa z Janowa, Kazimierz Czaja, robotnik, Bronisław Krajewski, robotnik.

Młodzież szkolna bierze żywy udział w uroczystościach 1 Majowych. Akademia w szkole, objazd całej wsi przystrojonymi wozami dały wiele atrakcji młodzieży i licznie zgromadzonej publiczności. Młodzież szkolna wykonała część artystyczną programu. Przemawiał kierownik szkoły.

W roku 1947 miejscowość nasza dzięki ofiarnej pracy nauczycielstwa uzyskała I nagrodę w skali powiatowej a powiat czwartą w skali państwowej. Nagrodą jest komplet książek w ilości 100 tomów.

Uroczyste zakończenie roku szkolnego. Po mszy świętej młodzież i rodzice uczestniczyli w uroczystości szkolnej. Udatne przedstawienie „Kopciuszek” odegrane przez młodzież szkolną, przemówienia, deklamacje wykonane przez uczniów potrafiły podnieść serca i trzymać przez dwie godziny słuchaczy w miłym nastroju, aczkolwiek zupełnie poważnym. Zadowolenie rodziców i cicha radość dziecięca były prawdziwą oznaką osiągniętych wyników w pracy.

Żegnaliśmy 4 absolwentów klasy siódmej: Janinę Kichler, Jadwigę Kryniecką, Krystynę Pawłowską, Romana Skrajewskiego. Byli to uczniowie dobrzy, pilni i staranni. Celowała Janina Kichler jako wszechstronnie uzdolniona i bardzo pilna.

ROK SZKOLNY 1948/49

Z dniem 1 września otworzyły się znów podwoje szkoły. Uczniowie w liczbie 112 zapęłnili gwarem jej odnowione klasy. Realizować się będzie program 7 klas, obsada nauczycielska bez zmian.

W okresie wakacyjnym dokonano rozbiórki fundamentów starej ochronki a dawniejszej szkoły powszechnej. W fundamencie znaleziono monetę z 1853 roku. Dokonano też niwelacji nowego boiska położonego na północ od szkoły. Prace w większości wykonała młodzież szkolna, organizacja „Służba Polsce” oraz ofiarni obywatele pod osobistym kierownictwem i dozorem kierownika szkoły.

Uroczyste zakończenie szkolnego roku pracy nastąpiło 28 czerwca 1949 roku przy współudziale rodziców, przedstawicieli partii politycznych, Rady Gminnej i Zarządu Gminnego w Janowie. Dzieci przedstawiły obrazek z Wiosny Ludów 1848 pt. „Szandor Kowacz” Teodora Tomasza Jeża. Następnie przemawiali goście, kierownik szkoły, na koniec rozdano świadectwa. Uczniów na końcu roku było 105, z tych 13 otrzymało świadectwa ukończenia 7 klasowej szkoły podstawowej. Ogólna frekwencja wyniosła 93,61 %. Odbytych dni nauki 227...

23 marca odbyła się wizytacja szkoły przez Inspektora Szkolnego Edwarda Jagusiaka. Stwierdzono zadowalający poziom nauczania i wychowania. 1 maja rozegrano mecz piłki siatkowej z młodzieżą Związku Młodzieży Polskiej w którym wygrała drużyna szkolna. Jako czyn 1 majowy oparkaniła młodzież podwórze szkolne.

Wśród absolwentów opuszczających szkołę wyróżniła się zdolnościami i pilnością Kazimiera Radzikowska. Na własną prośbę zwalnia się koleżanka Jadwiga Klein, która swoim postępowaniem, pracą i miłym a serdecznym stosunkiem do uczniów zyskała sobie serca wszystkich uczniów, rodziców i kolegów.

ROK SZKOLNY 1949/50

Nową siłę do szkoły przydzielił Inspektor Szkolny - Ireneż Kluziak z Tczewa. 11 września szkoła i boisko przybrała odświętną szatę. Obchodzono uroczystości zakończenia prac zniwnych. Oprócz miejscowych gospodarzy przybyło ponad 800 osób z Kwidzyna i okolicznych wsi. Mnóstwo samochodów i furmanek wypełniło plac szkolny...

ROK SZKOLNY 1950/51

Pismem kierownika wydziału Oświaty Prezydium PRN w Tczewie został dotychczasowy kierownik tutejszej szkoły Jan Makowski na własną prośbę przeniesiony na równorzędne stanowisko w Subkowach. Na jego miejsce zostaje mianowany Bronisław Lubiński, dotychczas pracujący w szkole w Szprudowie. W 1935 ukończył gimnazjum typu klasycznego w Kościerzynie otrzymując świadectwo dojrzałości. Po odbyciu służby wojskowej wstąpił do Państwowego Pedagogium w Toruniu na wydział przyrodniczo- geograficzny

w 1938 roku. W czasie wojny został aresztowany i osadzony w obozie koncentracyjnym w Mauthausen, gdzie przebywał dwa lata. Po wojnie ukończył drugi rok studiów w Oliwie Gdańsku, otrzymując dyplom. Pracę nauczycielską rozpoczął 1 stycznia 1946 roku w Szprudowie.

Na własną prośbę została przeniesiona również nauczycielka tutejszej szkoły Irena Kluźniak do szkoły podstawowej w Suchostrzygach pow. Tczew. Na jej miejsce mianowano nauczycielkę Jadwigę Behrendt dotychczasową nauczycielkę w Gniewie. Do tej pory tam mieszka i do szkoły dojeżdża rowerem.

Nowy rok szkolny 1950/51 rozpoczęto uroczystie. Obecni byli nauczycielstwo, przewodniczący GRN Zygmunt Wiśniewski, sekretarz PZPR Stanisław Kadela, prezes Związku Samopomocy Chłopskiej Alojzy Rzepka oraz rodzice. Młodzież wysłuchała przemówienia radiowego ministra oświaty, kierownika szkoły oraz przedstawiciela gminnej organizacji PZPR i Komitetu Rodzicielskiego życząc działwie szkolnej pomyślnych wyników w nowym roku szkolnym. Realizować się będzie program 7 klas o trzech siłach nauczycielskich. Szkoła liczy 104 uczniów...

25 czerwca dobiegł końca rok szkolny. Po raz ostatni w sali rekreacyjnej zebrała się działy szkolna na rozdanie świadectw. Kierownik podsumował całokształt pracy w kończącym się roku szkolnym, po nim przemawiali sekretarz PZPR Stanisław Kadela, przewodniczący Prezydium GRN Zygmunt Wiśniewski oraz w imieniu Komitetu Rodzicielskiego Kazimierz Stybaniewicz, sekretarz Prezydium GRN w Janowie.

ROK SZKOLNY 1951/52

Decyzją kierownika Wydziału Oświaty został przeniesiony nauczyciel tutejszej szkoły Józef Kajut na własną prośbę na stanowisko kierownika szkoły w Łukocinie w pow. Tczew. Na jego miejsce mianowano Franciszka Urbaniaka nauczyciela z Gniewu pow. Tczew.

Komenda Powiatowa Organizacji „Służba Polsce” zorganizowała eliminacje wiejskich zespołów artystycznych w dniu 5 lutego 1952 roku. W eliminacjach tych wziął udział zespół młodzieży poza szkolnej kierowany przez kierownika szkoły. Zespół ten w eliminacjach zajął pierwsze miejsce. W marcu odbyły się eliminacje zespołów artystycznych na szczeblu wojewódzkim w Gdańsku, w którym zespół z Janowa zajął trzecie miejsce otrzymując w nagrodę piłkę i siatkę do siatkówki oraz 80-basowy akordeon.

W trosce o danie możliwości młodzieży ukończenia 7 klasy szkoły podstawowej zorganizowano kurs dla pracujących przygotowujący do ukończenia 7 klas. Nauczycielami na kursie byli B. Lubiński i F. Urbaniak. W wyniku egzaminu świadectwo ukończenia siedmioklasowej szkoły powszechnej otrzymało 13 kursantów.

ROK SZKOLNY 1952/53

W kwietniu 1953 roku zespół artystyczny z Janowa wyjechał do Warszawy aby wziąć udział w uroczystościach 1 majowych. Zespół wypełnił program akademii pierwszo-majowych w: Domu Słowa Polskiego, Głównym Zarządzie Koła Przyjaźni Żołnierza, Sztapie Głównym Urzędu Bezpieczeństwa i w jednej ze szkół warszawskich. Zespół składający się

z 30 członków¹ bawił 10 dni i brał udział jako grupa ludowa w strojach ludowych zamykając czołówkę zespołów sportowych. Młodzież wróciła zadowolona i pełna zapału do pracy artystycznej.

Z inicjatywy Prezydium RN w Gdańsku wniesiono na posiedzenie GRN w Janowie projekt przyłączenia gromady do powiatu kwidzyńskiego. Radni nie chcieli się na to zgodzić mimo, że projekt ten wnoszono kilkakrotnie stale był odrzucany. Dopiero kiedy pod presją zmuszono radnych członków PZPR do głosowania za, wniosek przeszedł. Ludność Janowa nie chciała przyłączenia do powiatu kwidzyńskiego, gdyż raził ją bałagan gospodarczy w tym powiecie i jaśnie pańskie stosunki panujące w Prezydium PRN.

Latem 1953 roku rozpoczęto prace organizacyjne przy zakładaniu Spółdzielni Produkcyjnej w naszej wiosce. Jerzy Michalski, sekretarz Powiatowego Komitetu ZSL, przyjechał do Janowa i zawiązał komitet organizacyjny, w skład którego weszli: sekretarz POP PZPR Stanisław Kadela, prezes Samopomocy Chłopskiej Alojzy Rzepka, Józef Śmietanka i Michał Marut z małżonką. Ci ostatni już dawno domagali się założenia spółdzielni, gdyż na skutek ich złej gospodarki doprowadzili swoje gospodarstwo do takiego stanu, że dalej już gospodarować nie mogli. Spółdzielnię zakładano środkami przymusu. Urząd Bezpieczeństwa wykorzystując to, że Alojzy Rzepka, będąc pijany, wykrzykiwał na ulicy przeciw komunistom, wezwał go i pod groźbą aresztowania zmusił do zorganizowania spółdzielni produkcyjnej. W tych warunkach Spółdzielnia powstała a wstąpili do niej sami bankruci gospodarczy, którzy dalej już gospodarować nie mogli, jedynie Franciszek Smentek, Kasper Juszczyżyn, Izidor Justa oraz Hinc nie przystąpili do spółdzielni. Zarząd Spółdzielni, który wybrano na ogólnym zebraniu utworzyli: Józef Śmietanka - przewodniczący, Stanisław Kadela - księgowy, Wiktor Ruszkowski - członek zarządu. Spółdzielnia swoją bazę utworzyła w gospodarstwie byłego niemieckiego właściciela Dirksena.

25 czerwca 1953 zakończono uroczyście rok szkolny. Szkołę ukończyło 22 uczniów.

ROK SZKOLNY 1953/54

Pismem Kierownika wydziału Oświaty w Tczewie został nauczyciel tutejszej szkoły Franciszek Urbaniak na własną prośbę przeniesiony na stanowisko kierownika jednoklasowej szkoły w Jeleniu pow. Tczew. Na jego miejsce mianowano Jana Szwaczkę. Nowo przybyły nauczyciel pochodzi z kieleckiego pow. Jędrzejów wieś Klemenice. Do Liceum Ogólnokształcącego uczęszczał w Wodzisławiu. Nauczyciel liczy 19 lat, jest synem rolnika.

Decyzją Przewodniczącego WRN przyłączono jako gminę do powiatu kwidzyńskiego z dniem 1 stycznia 1954 roku.

W marcu 1954 roku odbyły się w Kwidzynie eliminacje zespołów artystycznych w których zespół Janowo zajął pierwsze miejsce zdobywając proporzec przechodni Ministerstwa Kultury i Sztuki oraz dyplom. Bronisław Lubiński kierownik szkoły i zespołu otrzymał po-

¹ Dzięki informacjom uzyskanym od Anny Szramki i Felicji Kucharskiej udało się ustalić niektórych uczestników: Zofia Tiedtke, Janina Witczak, Lidia Cieślewicz, Melania Szramka, Stefania Skrzoska, Wanda Skrzoska, Anna Kucharska, Krystyna Delewska, Krystyna Wojtaszewska, Felicja Radzikowska, Zofia Ruszkowska, Gertruda Brzezińska, Janina Kichler, Henryk Albrecht, Franciszek Smentek, Benedykt Lipka, Waclaw Kolpocz, Ryszard Kucharski, Witold Szramka, Paweł Muchliński, Bronisław Frymarski, Franciszek Sobisz. Ten ostatni grał na akordeonie. Anegdota głosiła, że czego nie potrafił wygrać to wygrywał. (Rozmowa z październikiem 2014 r.)

dziękowanie za pracę nad podniesieniem poziomu ruchu amatorskiego na wsi. Zespół wystawił do eliminacji sztukę pt „Tor przeszkód” oraz pieśń w wykonaniu chóru i tańce.

Rok szkolny zakończono 25 czerwca, siódma klasę ukończyło 22 uczniów.

ROK SZKOLNY 1954/55

Wydział Oświaty Prezydium PRN zmienił swoim pismem stopień organizacyjny tutejszej szkoły, dodając jeden etat tak, że od tej pory szkoła będzie o czterech nauczycielach. Nowo mianowaną nauczycielką została Maria Szewczyk, która w tym roku ukończyła Liceum Pedagogiczne w Kwidzynie. Pochodzi z woj. białostockiego pow. Kolno jest córką rolnika. Jan Szwaczka z dniem 6 listopada został powołany do służby wojskowej w wojskach lotniczych do Świdwina a na jego miejsce mianowano Stefanię Cyrkot, rodzice jej zamieszkują w Gurczu pow. Kwidzyn.

Tutejsza Spółdzielnia Produkcyjna im. 26 Października gospodaruje nędznie. Członkowie nie wszyscy wychodzą do pracy, każdy dba tylko o swoją działkę przyzgodową a w dodatku zarząd dopuszcza się malwersacji. Sprawę bierze w swoje ręce prokurator, który w tutejszej szkole przesłuchał około 40 świadków w wyniku czego księgowy spółdzielni zostaje aresztowany. Na podstawie wyroku sądu w Kwidzynie przewodniczący spółdzielni i księgowy zostają skazani na 9 miesięcy więzienia.

Ponieważ kierownik zespołu obywatel Bronisław Lubiński stwierdził, że za swoją bezinteresowną pracę z zespołem nie ma uznania, a przeciwnie odczuwa nawet „obstrzał” ze strony Komitetu Powiatowego PZPR i Prezydium PRN w Kwidzynie, a przyczyną było to, że nie chciał się zgodzić na to, aby etat kierowniczkę Gromadzkiej Biblioteki obsadziła szwagierka sekretarza POP, obywatela Kadeli, obywatelka Zofia T., która od 1949 roku nie przeczytała nawet jednej książki. Kierownik szkoły odsunął się od pracy w zespole i zespół się rozpadł.

5 grudnia 1954 odbyły się w tutejszej szkole wybory do Rad Narodowych. Akcją wyborczą kierował Komitet Frontu Narodowego, przewodniczącym wybrano Bronisława Lubińskiego. Wybory przebiegały sprawnie. Przewodniczącym PRN został Zygmunt Wiśniewski, sekretarzem Melania Szramka, zastępcą przewodniczącego Bazyli Kominko z Gurcza.

25 czerwca 1955 zakończył się rok szkolny, siódmą klasę ukończyło 12 uczniów.

ROK SZKOLNY 1955/56

Nauczycielka tutejszej szkoły Stefania Cyrkot pismem Wydziału Prezydium PRN w Kwidzynie została przeniesiona do Gilwy pow. Kwidzyn na jej miejsce mianowano Barbarę Rutkowską. Jest córką rolnika. Liceum Pedagogiczne ukończyła w 1955 roku w Lęborku. Jest specjalistką wychowania fizycznego...

W dniu 15 stycznia odbyła się uroczystość choinkowa w której wzięli udział rodzice i dziatwa szkolna. „Dziadek Mróz” obdarzył dzieci słodyczami a dzieci popisywały się śpiewem, tańcami i deklamacjami.

Młodzież szkolna przeprowadziła zbiórkę złomu uzyskując 2070 zł, przeznaczono ją na wycieczkę samochodami na Wybrzeże. Dzieci zwiedzały Gdańsk, Oliwę, Gdynię wraz z portem.

25 czerwca zakończył się rok szkolny, siódmą klasę opuściło 21 uczniów.

ROK SZKOLNY 1956/57

Na własną prośbę przeniesiona została nauczycielka obywatelka Maria Szewczyk do Czarni pow. Kolno. Na jej miejsce mianowano Kazimierę Muzykę. Nowo mianowana ukończyła Liceum Pedagogiczne w Kwidzynie. Jej rodzice zamieszkują w Rozpędzinach, gdzie posiadają gospodarstwo.

W przygotowaniu do nowych wyborów do sejmu wybrano nowy Gromadzki Komitet Frontu Narodowego. Przewodniczącym został kierownik szkoły. Komitet zorganizował zebranie przedwyborcze w Janowie, gdzie odbyło się spotkanie z kandydatem na posła Florianem Wichłaczem², nauczycielem z Postolina pow. Sztum, w Pastwie, Gniewskim Polu i Gurczu. Same wybory w dniu 20 stycznia 1957 roku przebiegały w atmosferze radoszej i podniosłej. Głosowało 100 % uprawnionych do głosowania. Wybory różniły się od poprzednich tym, że były naprawdę wolne i demokratyczne.

Na podstawie uchwały podjętej przez walne zgromadzenie członków, Spółdzielnia Produkcyjna w Janowie rozwiązała się. Spółdzielnia zakładana była na niezdrowych fundamentach, środkami przymusu i dlatego swoją gospodarką dawała zły przykład a nieuprawiane pola rodziły tylko chwasty i przyczyniały się do biedy członków i całego społeczeństwa.

Z dniem 7 stycznia 1957 roku na żądanie wszystkich rodziców wprowadzono w tutejszej szkole nauczanie religii. Nauczycielem religii jest Ignacy Chmurzyński proboszcz tutejszej parafii.

ROK SZKOLNY 1957/58

W dniu 2 września 1957 rozpoczął się nowy rok szkolny. Do szkoły zapisało się 82 uczniów. Szkoła realizuje program siedmiu klas przy czterech nauczycielach. Powrócił po odbyciu czynnej służby wojskowej Jan Szwaczka, na własną prośbę przeniesiona została Kazimiera Muzyka na stanowisko nauczycielki szkoły podstawowej w Marezie pow. Kwidzyn.

3 października 1957 roku prof. Leon Niewiadomski dał występ pięknych bajek i pieśni polskich. W sali tutejszej szkoły zebrała się dziatwa szkolna z Janowa, Pastwy i Gurcza pod opieką nauczycieli. Występ był udany tym bardziej wartościowy, bo przypominał pieśni stare a piękne o których w ostatnich latach zapominało się.

W grudniu rozpoczęła się akcja przygotowawcza do wyborów Rad Narodowych. Na terenie gromady Janowo toczyła się ostra walka wyborcza. W skład prezydium wchodził: Zygmunt Wiśniewski jako przewodniczący i Melania Lipka jako sekretarz. W prezydium panowały kumoterskie stosunki, gdyż jego członkowie byli spokrewnieni z dużą częścią mieszkańców. Ulgi podatkowe udzielał przewodniczący swoim krewnym i tym którzy przychodzili z butelką wódki lub wina. Tego rodzaju postępowanie wywoływało niezadowolenie i zgrzyty nic więc dziwnego, że kiedy nadeszły wybory nikt z członków starego prezydium nie wszedł na listę kandydatów. W dniu 2 lutego 1958 roku odbyły się wybory a w wyniku ich do nowej Rady Narodowej weszli jako radni następujący obywatele: Wincenty Jankowicz, kołodziej z PGR Gniewskie Pole, Bronisław Lubiński, Józefa Śmietanka, gospodyni z Janowa, Izidor Justa rolnik z Janowa, Jan Czaja, pracownik Zarządu Dróg Wodnych, Antoni Jaroszyński

² Kampanię wyborczą na posła do Sejmu Floriana Wichłacza w pow. kwidzyńskim prowadził Bronisław Lubiński, który w czasie II wojny był z nim więziony w obozach koncentracyjnych Gusen-Mauthausen na terenie Austrii.

z Dużej Pastwy, rolnik, Ignacy Jaworski, rolnik z Gurcza, Roman Czajka, rolnik z Gurcza, Roman Pawłowicz, rolnik z Gurcza, Bolesław Miśkiewicz, rolnik z Gurcza, Tadeusz Ślęzak, kierownik PGR Gniewskie Pole, Jan Stasiński, rolnik z Gniewskiego Pola, Marian Drózdź, pracownik PGR Szalwinek, Wawrzyniec Dąchór, rolnik z Pastwy, Alojzy Rzepka, rolnik z Janowa. Na uroczystej sesji Rada wybrała skład Prezydium GRN w Janowie. W jej skład weszli Wincenty Jankowicz, przewodniczący, PZPR, Józefa Śmietanka, członek PZPR, Izydora Justa, członek, Zjednoczone Stronnictwo Ludowe, Bronisław Lubiński, członek, bezpartyjny.

Na terenie tutejszej gromady rozpanoszyło się pijaństwo. Dochodziło do tragicznych momentów. Pijany szofer wjechał samochodem w nurty Wisły. Ofiarą padła 16-letnia Krystyna Sagan była uczennicą tej szkoły, która utonęła. Na promie w pijanym stanie wbito nóż w serce przewoźnikowi obywatelowi Lucjanowi Szramce z Janowa, któremu uratowano życie jedynie dzięki bardzo szybkiej pomocy lekarskiej. Mieszkańcowi obywatelowi Józefowi Śmietance z Małego Pólka w stanie zamroczenia alkoholowego wypruł nożem jelita 26-letni obywatel L. M z Janowa. Młodzież 15-16-letnia upijała się. Sklepowa dopuszczała do tego, że sklep w którym nie wolno było pić alkoholu zamieniał się w najordynarniejszą knajpę. W tych warunkach kierownik szkoły postawił na posiedzeniu GRN wnioski o wprowadzenie zakazu sprzedaży wódki na terenie gromady Janowo uzasadniając to szkodami społecznymi i moralnymi. Rada wnioski przyjęła i z dniem 29 października 1957 roku zlikwidowano sprzedaż wódki. Na wiadomość o tym pijacy Janowa na czele z Alojzym R. rozpoczęli akcję zmierzającą do przywrócenia wódki. Zbierano podpisy, organizował wszystko mąż sklepowej. Cała zdrowa część społeczeństwa stanęła za wnioskiem Rady. Rzecz charakterystyczna, że przewodniczący Rady Zygmunt Wiśniewski, który na sesji Rady wnioski popierał i głosował za jego przyjęciem na zebraniu spółdzielczym, chcąc zjednać sobie ludzi (pijaków) w zbliżających się wyborach do Rad Narodowych, przyrzekał że „Nowa Rada będzie mogła wszystko naprawić i wódka wróci do Janowa”. Nic mu jednak ten chwyt propagandowy nie pomógł i nie został przewodniczącym Prezydium Gminnej Rady Narodowej³.

1 stycznia 1958 roku komisja remanentowa stwierdziła w tutejszym sklepie manko w wysokości 182 tys. złotych. Manko niespotykane do tej pory w sklepie wiejskim. Prokurator wydał nakaz aresztowania sklepowej Konstancji S. i jej męża Władysława.

8 lutego 1958 roku po dwunastu latach odbyła się w tutejszej szkole rejonowa konferencja nauczycielska. Wzięli w niej udział nauczyciele ze szkół: Mareza, Lipianki, Gniewskie Pole, Pastwa, Gurcz, Janowo. Nie przybyli na konferencję nauczyciele z Rozpędzin. Lekcję z fizyki w kl. VII przeprowadził Jan Szwaczka na temat „Działanie chemiczne prądu elektrycznego”. Lekcję z języka polskiego kl. I „Wprowadzenie litery „ż” przeprowadziła Barbara Rutkowska. Referat na temat „Metody nauczania czytania i pisanie w klasie pierwszej”

³ W styczniu 1958 roku w „Biuletynie Informacyjnym Komitetu o Działalności Gospodarczej i Kulturalnej” wydawanym przez Stowarzyszenie PAX ukazał się artykuł Jerzego Gaja „Wież bez wódki”. Autor opisał pijaństwo w Janowie w latach 1954-1957 i tragedie, jakie wynikały z szerzenia się tego nałogu. Władze powiatowe zaczęły szykanować kierownika szkoły, bo miał odwagę mówić prawdę w oczy dygnitarzom. Na przykład, owi dygnitarze zabrali z różnych szkół i świetlic 7 fortepianów i przeznaczili je na własny użytek. Protestował i przeciwko innym nadużyciom i kantom ówczesnych dygnitarzy gminnych i siedzą oni już w więzieniu. Napsuli oni sporo krwi i zmusili szykanami do rezygnacji ze społecznej i bezinteresownej pracy nad podnoszeniem poziomu kulturalnego we wsi. Zespoły świetlicowe jakie zajmowały wcześniej czołowe miejsca rozpadły się. Po Październiku 1956 r. kierownik przystąpił do reaktywowania zespołów, ale - nie jest to rzeczą łatwą.

wygłosił Zygmunt Jankowski z Lipinek. Po skończonej konferencji odbyło się koleżeńskie spotkanie w mieszkaniu tutejszego kierownika które trwało do godz. 22.

Wydział Finansowy Prezydium PRN w Kwidzynie przeprowadzając kontrolę przed przejściem Gromady przez nowe Prezydium GRN. Wybrane władze w Janowie stwierdziły nadużycia, których dopuściły się pracownicy - Melania L. i Teresa A. na sumę 35 tys. zł, fałszując dowody kasowe. Sprawa została skierowana do prokuratora. Winę w tym wypadku ponosi również były przewodniczący Zygmunt Wiśniewski, który nie umiał nie dopuścić do przestępstwa, chociaż jak sam twierdzi podejrzewał, że jego pracownicy robią jakieś „kanty”. Współwinny jest również Wydział Finansowy PRN, który przez trzy lata nie przeprowadził żadnej rewizji.

ROK SZKOLNY 1958/59

Na własną prośbę przeniesiona została nauczycielka Barbara Rutkowska na stanowisko nauczycielki w Technikum Wikliniarsko Koszykowym w Kwidzynie. Na jej miejsce inspektor Stanisław Rombel mianował Zofię Jastrzębską. Pochodzi z pow. Żuromin Uczęszczała do Liceum Pedagogicznego w Kwidzynie do klasy piątej. Przeniesiona została również na własną prośbę Jadwiga Behrendt do szkoły w Gniewie. Dopiero 16 września Inspektor Oświaty mianował nauczycielem kontraktowym Eugeniusza Grębskiego, który zamieszkuje w Podzamczu, jest synem rolnika. Ukończył Liceum Ogólnokształcące w Kwidzynie w roku 1957 roku, otrzymując świadectwo dojrzałości...



Absolwenci szkoły w Janowie w 1958 r. W pierwszym rzędzie siedzi Bronisław Lubiński, (drugi od prawej), fot. archiwum rodzinne A. Lubińskiego

ROK SZKOLNY 1959/60

Nowy rok szkolny rozpoczął się 1 września. Nauczyciel Eugeniusz Grębski został powołany do odbycia czynnej służby wojskowej a na jego miejsce Inspektorat Oświaty mianował nauczyciela Zygmunta Kurasia. Nowy nauczyciel ukończył Liceum Ogólnokształcące w Kwidzynie. Jest synem stolarza urodził się w Baranowiczach. W nowym roku zapisanych jest 97 uczniów. Grono nauczycielskie w 50 % niewykwalifikowane. Zofia Jastrzębska dokształca się w komisji rejonowej w Oliwie. Kolega Jan Szwaczka rozpoczął studia zaoczne w studium Nauczycielskim w Toruniu.

Z okazji Dnia Karty Nauczyciela Komitet Rodzicielski zorganizował uroczyste spotkanie z gronem nauczycielskim i dziatwą która wręczyła kwiaty i złożyła życzenia. Z okazji tego dnia ZMW Zarząd Powiatowy w Kwidzynie zorganizował spotkanie z nauczycielami współpracującymi z ZMW. W spotkaniu wzięło udział dwóch nauczycieli tutejszej szkoły obywatele Jan Szwaczka i Bronisław Lubiński. Za współpracę z ZMW przyznano kierownikowi szkoły nagrodę w wysokości 300 zł oraz wieczne pióro i książkę z dedykacją oraz specjalne podziękowanie na piśmie. Jan Szwaczka za pracę nad krzewieniem kultury fizycznej otrzymał dyplom. Za pracę na polu kulturalno oświatowym Minister Kultury i Sztuki przyznał nagrodę w wysokości 1000 zł Bronisławowi Lubińskiemu a szkoła otrzymała telewizor Tesla...

ROK SZKOLNY 1960/61

Z dniem 1 września kolega Bronisław Lubiński, dotychczasowy kierownik szkoły, został zdjęty ze stanowiska i zdał obowiązki nowemu kierownikowi Adamowi Śmigielskiemu, a sam pozostał nauczycielem tutejszej szkoły. Na miejsce Zofii Jastrzębskiej zatrudniono Danutę Śmigielską. Jan Szwaczka pozostał jako nauczyciel tej szkoły. Kierownik szkoły i jego żona zostali przeniesieni na własną prośbę ze szkoły w Kikole pow. Lipno.

1 września rozpoczął się nowy rok szkolny. Obecni byli nauczyciele tutejszej szkoły oraz przewodniczący GRN obywatel Wincenty Jankowicz oraz rodzice. Młodzież wysłuchała przemówienia ministra oświaty Władysława Tułodzieckiego. Szkoła ma realizować program VII klas przy czterech nauczycielach i liczbie 145 uczniów.

Młodzież szkolna przygotowała sztukę teatralną „Calineczka” brali w tym udział nauczyciele. Adam Śmigieński wyćwiczył sztukę, Zbigniew Dąbrowski przygotował dekoracje, Danuta Śmigielka wykonała stroje. Sztukę wystawiono 20 marca 1961 o godz. 14 dla młodzieży szkolnej, a o godz. 17 dla rodziców. Wystawiona była w sali Dąbrowskiego. Cieszyła się dużym powodzeniem wśród młodzieży i rodziców. Po wystawieniu sztuki odbyła się zabawa taneczna.

20 czerwca kierownik szkoły został powołany na ćwiczenia wojskowe do Stargardu Szczecińskiego. Smutny i może najbardziej ponury w dziejach tutejszej szkoły rok szkolny zakończyło dwoje nauczycieli - Śmigielka Danuta, kierowniczka szkoły i Jan Szwaczka.

22 czerwca klasę siódmą ukończyło 18 uczniów. Podczas wakacji przestawiono wszystkie piece w szkole. Obywatel Bronisław Lubiński wyprowadził się z Janowa do Postolina pow. Sztum 28 sierpnia, obywatel Jan Szwaczka rozpoczął pracę w szkole w Subkowach pow. Tczew.

Bogumił Wiśniewski

25 SIERPNIA 1939 R.

Dwudziesty piąty sierpnia 1939 r., *piątek*, to tylko - siedem dni - do rozpoczęcia drugiej wojny światowej – jaki był ten dzień?

O czym informowały poranne lokalne gazety? Czy pan Kowalski przy małej czarnej, mógł się dowiedzieć z przeczytanych artykułów o zbliżającej się wojnie? Czy padł na niego błąd strach przed nadchodzącą tragedią? A może Polacy nie wierzyli w możliwość wybuchu najstraszliwszej wojny w dziejach ludzkości. Sądzę, że strach na pewno był, gościł w wielu polskich domach, ale czy te obawy przed wojną są zauważalne w artykułach przedwojennych gazet. Może dziennikarze bili w propagandowy bęben, aby uspić ludzki rozum. Czy z ich treści wynikało, że Polska jest silną własną siłą? Czy tylko silna - siłą swoich sojuszników?



Strona tytułowa Kuriera Bydgoskiego, źródło Federacji Bibliotek Cyfrowych



Strona tytułowa Ilustrowanego Kurjera Codziennego, źródło Federacja Bibliotek Cyfrowych

Do zobrazowania sytuacji polityczno-gospodarczej ówczesnej Polski, wybrałem w tym celu trzy dzienniki wychodzące w różnych rejonach Polski. I jak zawsze w takich wypadkach, będzie to subiektywny wycinek rzeczywistości. Tym niemniej, a mam taką nadzieję, że zaprezentowane fragmenty depesz prasowych, uwypuklą atmosferę Polski kilka dni przed wybuchem wojny. Ocenia Państwo, czy w tych wycinkach przebija się narastający niepokój przed godziną „zero”, czy też nie.

Wybrane tytuły to: „Dziennik Poznański”, „Ilustrowany Kurjer Codzienny” z Krakowa, „Kurier Bydgoski” z Bydgoszczy.

ISKIERKI.

Heil Moskau!

Przysięgli na biblię Marksa, że nie spoczną, dopóki nie pomszą zniszczenia partji komunistycznej niemieckiej. Ci pierwsi. Postanowili wkroczyć na Kreml huczno,

przewróciłby się w mauzoleum.

Kłep byłby, kto by się dziwił na wiadomość, że jutro Rosja sowiecka przystępuje do paktu antykominternowskiego, a pewien pan H.



buńczuczno i armatnio po wypełnieniu programu Mein Kampf. Ci drudzy.

Zamiast pierwszego i zamiast drugiego jest to trzecie. Przybyli wprawdzie Niemcy na Kreml — ale przylecieli pocztowym pasażerskim samolotem. Z uśmiechem, „heil Moskau” na ustach.

Lenin gdyby nie był woskową figurką,

będzie zbierać osobiście na ulicach Berlina na rzecz byłych więźniów komunistycznych.

* * *

Powiedział wielki Schopenhauer: Jest rzeczą zastanawiającą, jak to w towarzystwie, zawsze dwóch urwipolców rozpozna się szybko i pokuma.

„**Masowe aresztowania działaczy polskich w Ziemi Malborskiej**” - pod takim tytułem poinformowano czytelników, iż [...] dokonała Gestapo masowych aresztowań wśród miejscowych Polaków, zajmujących przeważnie kierujące stanowiska w życiu społecznym, kulturalnym i gospodarczym¹. [...] Aresztowano m.in. Osińskiego prezesa Związku Polaków okręgu Ziemi Malborskiej, Jana Łęgę prezesa Polsko-katolickiego Tow. Szkolnego na Powiślu z Postolina, Jana Fiszera – kierownika Banku Ludowego w Sztumie, Kwidzyna i Pierzchowicach, [...] urzędnika Związku Polaków w Sztumie Potarzyńskiego, dyrektora okręgowego Mikołaja Dorsza w Sztumie, urzędniczkę Polsko-katolickiego Tow. Szkolnego na Powiśle, Aleksandrę Morawską, męża zaufania oddziału Sztum Związku Polaków w Niemczech, Włodarczaka, ochroniarzkę Wróblewską, gospodynię majątku polskiego Cygusy, Weronikę Klin, męża zaufania oddziału Z.W Mikołaja Pakalskiego oraz rolników Szreibera, Kwelę i Preussa [...] ². Nie omieszkało dodać, że Gestapo opieczętowało polskie placówki społeczne i gospodarcze.

Przy artykule „**Katastrofalne zderzenie się rowerzysty z autobusem**”, umieszczono informację, że „**8 Kaszubów osadzili Niemcy w obozie koncentracyjnym**”. W artykule podano: [...] Gestapo aresztowało ubiegłej nocy w powiecie bytowskim na Kaszubach kilku rolników Polaków [...] Na liście zatrzymanych i osadzonych znaleźli się: Ignacy Gotomski, Franciszek Orosta, Antoni Rutz, Augustyna Kliszczyńska, trzech braci Pawłowskich i Franciszk Siemiński, [...] których odwieziono w zamkniętych samochodach do obozu koncentracyjnego [...] ³.

Nie znalazłem żadnego oficjalnego stanowiska rządu Polskiego w sprawie nielegalnych aresztowań Polaków, które dokonywane były w całym Niemczech. Nie ustosunkowano się również do prześladowań Polaków w Niemczech, „**Z księgi tortur... Biją, aresztują, wysiedlają Polaków**”⁴. - mocny tytuł, ponownie nic poza tym nie wynikało dla ludności polskiej mieszkającej w sąsiednim kraju. Przedstawiono w nim m.in. zgotowaną przez faszystów gehennę Polaków w Saksonii. Nie omieszkało dodać, że odbywają siętakże: „**Masowe aresztowania Polaków w Gdańsku**”⁵.

W podobnej atmosferze „Dziennik Poznański”⁶ jak i „Kurier Bydgoski”⁷ informują, że Gestapo zamyka w więzieniach polskich działaczy społeczno-kulturalnych wyżej wymienionych terenach.

„**Rząd polski powziął decyzję dziś w nocy**”, [...] Dziś w nocy pod przewodnictwem premiera Składkowskiego odbyło się posiedzenie pełnego gabinetu ministrów. Nie potrzeba chyba dodawać, że na posiedzeniu tym omówiono wytworzoną obecnie sytuację polityczną, „która w niczym nas nie zaskakuje a przeciwnie zostaje Polskę przygotowaną na wszystko” [...] ⁸.

¹ Ilustrowany Kurjer Codzienny, Nr 234 z dnia 25 sierpnia 1939 r., s. 8.

² Tamże, s. 8.

³ Tamże, s. 14.

⁴ Tamże, s. 16.

⁵ Tamże, s. 17. Policja gdańska dokonała licznych aresztowań wśród Polonii gdańskiej. Aresztowania te posiadały charakter masowy.

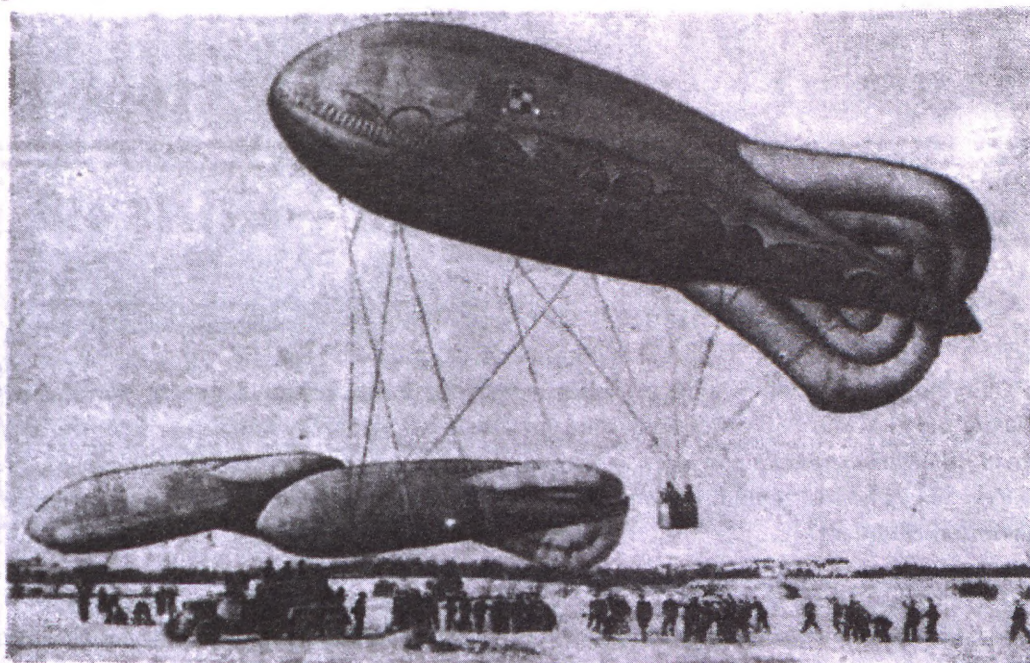
⁶ Nr 194 z dnia 25 sierpnia 1939 r., s. 2.

⁷ Nr 194 z dnia 25 sierpnia 1939 r., s. 4.

⁸ Dziennik Poznański, Nr 194 z dnia 25 sierpnia 1939 r., s. 1.

„ILUSTROWANY KURYER CODZIENNY” Nr. 234. Piątek, 25 sierpnia 1939 r.

Polskie balony zaporowe.



Nasze balony zaporowe podczas ćwiczeń.

Ilustrowany Kurjer Codzienny - źródło Federacja Bibliotek Cyfrowych

Przeddzień powyższego spotkania rządu odbyła się: „**Wspaniała manifestacja przyjaźni Stanów Zjedn. Dla Polski na Zamku warszawskim**”. Ta piękna uroczystość miała na celu: [...] przekazania Panu Prezydentowi Rzeczypospolitej przez ambasadora Stanów Zjednoczonych p. Drebel Biddle sztandarów dwudziestu przeszło Stanów i terytoriów Ameryki Północnej oraz listów od gubernatorów wszystkich ziem Stanów Zjednoczonych, stanowiący zbiorowy hold Ameryki dla Polski[...]⁹. Dalej na tej samej stronie dziennika, nie omieszkało dodać, że: „**Cudzoziemcy opuszczają Berlin. Wyjazd dziennikarzy amerykańskich, angielskich i francuskich**”. [...] W środę wyjechali z Berlina prawie wszyscy korespondenci prasy amerykańskiej, udając się częściowo do Hamburga, częściowo zaś do Paryża. To samo zrobili Francuzi i Anglicy. Przy czym - ci ostatni - dostali polecenie od swoich redakcji, aby [...] udali się do Warszawy, Moskwy, Budapesztu i Belgradu.[...]. Poinformowano również, że Ambasador francuski w Berlinie [...] zwrócił się do obywateli francuskich przebywających w Niemczech, aby opuścili oni terytorium Rzeszy do jutra wieczora [...].

Ale „**Naród brytyjski jest spokojny**” - w przemówieniu nadanym przez radio na Stany Zjednoczone, szef opozycji Izby Lordów wice-hrabia Sameul, głosił, że [...] **naród brytyjski**

⁹ Ilustrowany Kurjer Codzienny, Nr 234, z dnia 25 sierpnia 1939 r. s. 7. Przed rozpoczęciem uroczystości w Sali Essemblowej stanął pluton żołnierzy z oddziału zamkowego. Żołnierze ustawieni w pierwszym szeregu trzymali sztandary poszczególnych Stanów.

jest spokojny i zdecydowany i gotów jest stawiać czoło kataklizmowi, który może wybuchnąć jutro, w przyszłym tygodniu lub w przyszłym miesiącu [...] ¹⁰.

Tuż przed rozpoczęciem II wojny światowej w lokalnej gazecie poinformowano czytelników, o kondycji finansowej Banku Polskiego. Ujawniono jakimi rezerwami w drugiej dekadzie sierpnia, dysponuje nasza placówka, przy tej okazji robiąc oczywiście prezent wywiadowi niemieckiemu, [...] *zapas złota w zmniejszył się o 0,9 miliona do 443,3 miliona złotych, stan pieniędzy zagranicznych i dewiz powiększył się o 0,3 miliona złotych. Portfel weksli, warrantów, czeków i kuponów wzrósł o 23,3 miliona do 546,2 miliona zł., stan pożyczek zabezpieczonych zastawami powiększył się o 9,3 miliona do 185,6 miliona.* [...] *Zapasy polskich monet srebrnych i bilonu spadł o 2,9 miliona do 8,4 milionów złotych* [...] ¹¹.

Jedynie wytknięto sąsiadowi z zachodniej granicy, że: [...] zadłużenie płynne Rzeszy, według wykazów za maj wzrosło w porównaniu z kwietniem o 544 miliona marek i wyniosło z końcem maja 8 397 milionów [...] ¹².

Dalej nie ustawała celowa dezinformacja polityczna w Europie. Centralny komitet brytyjskiej partii komunistycznej wydał w tym czasie oficjalne oświadczenie: [...] *że zapowiedz rokowań niemiecko-rosyjskich o zawarcie paktu nieagresji jest zwycięstwem pokojowej polityki Sowietów nad zamysłami wojennymi państw faszystowskich i że " stanowi fiasko polityki zagranicznej Hitlera "* [...] ¹³.

A tymczasem, „**Gorączka opanowała Berlin**”

[...] *Koła obserwatorów zagranicznych w Berlinie reprezentują pogląd, że ten pośpiech podpisania paktu nieagresji, świadczy o pewnej gorączkowości posunięć dyplomatycznych Trzeciej Rzeszy w chwili obecnej. Panuje tutaj przekonanie, że terminy ważnych rozstrzygnięć międzynarodowych należy mierzyć już nie dni, ale na godziny. Większość obywateli francuskich i angielskich, którzy swą pracą związani są z Berlinem, wysłała w dniu wczorajszym swe rodziny do Francji i Anglii* [...] ¹⁴.

Nie zabrakło polskiego punktu widzenia na zawarty pakt sowiecko – niemiecki w Moskwie. „**Chłodne powitanie Ribbentropa. Nie było ani orkiestry, ani kompani honorowej. Ulicami przejeżdżał Ribbentrop w aucie pancernym**”. Ustalono jedynie, że: [...] *w tutejszych kołach politycznych przypuszczają, iż w rezultacie zawarcia sowiecko-niemieckiego paktu nieagresji nastąpi zmiana stanowiska Z.S.R.R.wobec niemieckiej aneksji Austrii i Czechosłowacji* [...] ¹⁵.

„**W. Brytania ostrzega stanowczo Hitlera przed agresją na Polskę. Ambasador Henderson zawiózł Hitlerowi uchwałę rządu angielskiego**”, w której to znalazło się ostrzeżenie przed konsekwencjami ewentualnej agresji przeciwko Polsce, [...] *i aby pozostawiać żadnych wątpliwości co do stanowiska Wielkiej Brytanii w tym wypadku* [...] ¹⁶.

¹⁰ Kurier Bydgoski, Nr 194 z dnia 25 sierpnia 1939 r. s. 5.

¹¹ Tamże, Nr 194 z dnia 25 sierpnia 1939 r. s. 4.

¹² Tamże, Nr 194 z dnia 25 sierpnia 1939 r. s. 5.

¹³ Nr 194 z dnia 25 sierpnia 1939 r., s. 5.

¹⁴ Dziennik Poznański, Nr 194, z dnia 25 września 1939 r., s. 3.

¹⁵ Kurier Bydgoski, Nr 194 z dnia 25 sierpnia 1939 r., s. 3.

¹⁶ Ilustrowany Kurjer Codzienny, Nr 234, z dnia 25 sierpnia 1939 r., s. 15.

Sztandary amerykańskie dla Pana Prezydenta R. P.



W środę, dnia 23 sierpnia, na uroczystej audiencji zostały wręczone Panu Prezydentowi R. P. przez ambasadora Stanów Zjednoczonych p. Drexel Biddle sztandary poszczególnych stanów, terytoriów i posiadłości Stanów Zjednoczonych A. P. w liczbie 23, ofiarowanych przez gubernatorów wymienionych terytoriów z okazji 20-lecia odzyskania niepodległości Polski.

Kurier Bydgoski - źródło Federacja Bibliotek Cyfrowych

I dalej: „**Flota angielska już zmobilizowana**” - [...] Mobilizacja wszystkich rezerw floty wojennej zakończona będzie dziś wieczór [...].

W tym gorącym okresie nie zabrakło również artykułu o możliwości wykorzystania wschodniej części Polski pod nowe zasiedlenie: „**Racjonalne osadnictwo żywołu polskiego na Kresach Wschodnich – to wzmożenie siły Państwa.**”

[...] zapas ziemi winien być użyty racjonalnie. Odnosi się to w pierwszym rzędzie do kresów wschodnich, gdzie parcelacja winna się przemienić w planowaną akcję osadniczą na rzecz ludności polskiej z terenów przeludnionych rolniczo na zachodzie kraju [...] ¹⁷.

Jako ciekawostkę przywołam artykuł, że „**Chińczycy śpiewają ... polskie kolędy. Mimo pożogi wojennej polscy misjonarze trwają na stanowiskach**” - [...] Zdaniem ks. Czaplī charakter polski nadaje się doskonale do warunków pracy misyjnej. Księża Polscy umieją dostosować się do środowiska i trafić do duszy chińskiej. Polskie pieśni religijne, m. in. kolędy, są śpiewane z zamilowaniem przez neofitów chińskich [...] ¹⁸.

Ale nie wszędzie było tak śpiewająco. W rubryce pt. z Polski Zachodniej, poinformowano rodaków dla pokrzepienia serc o wydarzeniu, które mało miejsce na Pomorzu, iż [...] Niemiec Willy Schlorf w Grzybnie pow. brodnicki, posiadał w mieszkaniu swym portret Hitlera. Oświadczono mu więc ze strony Polaków, iż „ponieważ tak bardzo tęskni za „führerem” powinien wziąć portret pod pachę i udać się do „waterlandu”, gdzie nie będzie potrzebował tęsknić”. Po usłyszeniu tych słów Schlorf schwycił portret i rozbiwszy szkło włożył go do pieca. Fakt ten

¹⁷ Tamże, Nr 234, z dnia 25 sierpnia 1939 r., s.21.

¹⁸ Tamże, Nr 234, z dnia 25 sierpnia 1939 r., s.6.

Sztandary na grób Nieznanego Żołnierza.



Sztandary amerykańskie zostają przesłane przed grób Nieznanego Żołnierza. Sztandary te wręczone zostały P. Prezydentowi przez gubernatorów poszczególnych stanów.

Sztandary Kurier Bydgoski - źródło Federacja Bibliotek Cyfrowych

dostarczył humoru okolicy, która śmiejąc się „twierdzi”, iż wojny z Hitlerem nie będzie, gdyż „führer” został spalony [...]”¹⁹.

Realia jednak były inne, maszyna wojenna była pod pełną parą. „Führera” spalono najprawdopodobniej dopiero w 1945 r. W tamtym czasie na terenie Polski, działali dywersanci, którzy dokonywali sabotaży oraz prowokacji. **„Bombowce niemieckie naruszyły granicę polską”**

[...] W środę o godz. 13 od strony Niemiec nadleciał niemiecki samolot bombowy 3 – motorowy, który szybował nad Boguminem miastem i Boguminem nowym. Zaalarmowano władze wojskowe i niebawem nadleciał polski samolot myśliwski, który zmusił niemieckiego bombowca do cofnięcia się z nad terytorium Polski. [...]”²⁰.

W powietrzu, na lądzie i na wodzie można było odnotować prowokacje. **„Prowokacyjne zachowanie się niemieckich rybaków. Próbowali łowić na polskich wodach terytorialnych.”** Wydarzenie rozegrało się między Dąbkami a Karwią. Siedem niemieckich kutrów rybackich, zapuściło się na polskie wody terytorialne. Doszło do zniszczenia sieci polskich rybaków. Dopiero pojawienie się statku strażniczego z Władysławowa przepłoszyło intruzów na niemieckie wody terytorialne²¹.

Jednak nie na wszystkich odcinkach granicy dochodziło do zamieszek. O dziwo: **„Sowiety wycofały swe wojska z granicy polskiej”**

¹⁹ Kurier Bydgoski, Nr 194 z dnia 25 sierpnia 1939 r., s. 8.

²⁰ Ilustrowany Kurjer Codzienny, Nr 234, z dnia 25 sierpnia 1939 r., s. 17.

²¹ Dziennik Poznański, Nr 194, z dnia 25 września 1939 r., s. 6.

[...] Agencja Havasa podała z Warszawy wiadomość powtórzoną przez wszystkie wielkie dzienniki europejskie, że Rosja Sowiecka przerzuciła wszystkie swoje wojska znad granicy polskiej na daleki Wschód [...] ²².

Na zakończenie zajrzyjmy do Londynu. „**Spekulacja w City przy dostawach sprzętu wojennego. Jak zaopatrują się Niemcy w surowce i dewizy**”.

[...] Cały szereg koncernów przemysłowych nastawionych na wykonywanie zamówień zbrojeniowych – wykazuje nadmierne zyski! Badania ujawniły, iż prym wiodą zwłaszcza zakłady produkcji płatowców i różnych akcesoriów dla samolotów bojowych. Tak np. koncern „Aircraft Components” zwiększył swe zyski o 320 procent w 1939 r. w porównaniu z ubiegłym rokiem, a o 500 procent porównaniu z rokiem 1937. [...].

[...] Wielkie koncerny zbrojeniowe w mieście stali, Sheffield, ugina się pod ciężarem zamówień, przy czym największe zyski wykazują wytwórnie pocisków i płyt pancernych. [...].

[...] Jak się okazuje, City londyńskie jest obecnie „bombardowana” również zamówieniami ... niemieckimi na dostawy surowców dla przemysłów zbrojeniowych, jak w pierwszym rządzie miedzi i gumy.[...].

[...] Równocześnie znaleźli się w City angielscy finansisci, wykupujące patenty niemieckie na fabrykację namiastek surowców, jak ołowiu i cyny[...] ²³.

W tym zakresie, pieniądze nie znają granic.

Materiały do napisania artykułu czerpałem z: Federacji Bibliotek Cyfrowych.

²² Tamże, Nr 194, z dnia 25 września 1939 r., s. 3.

²³ *Ilustrowany Kuryer Codzienny*, Nr 234, z dnia 25 sierpnia 1939 r., s. 22.

Leszek Sarnowski

OSTATKI PRL-u W SZTUMSKIEJ PZPR

Istotą komunistycznej codzienności- przynajmniej z perspektywy zwykłych ludzi- nie był brak demokracji, ograniczenie politycznych, religijnych, seksualnych, czy wszelkich innych swobód, strach przed niewidocznym obliczem totalitaryzmu ani nawet wyraźnie rzucające się w oczy długie kolejki i na wpół puste sklepy, tylko stałe, codzienne poniżanie zwykłego ludzkiego rozumu. Komunistyczny koszmar polegał na repetytywności upadlania jednostki ludzkiej w sytuacjach codziennych, na nieodgadnionej mistryce zakazów, na niemożności dialogu i interweniowania, na codziennym waleniu głową w ślepy mur absurdu. Albowiem codziennego życia się nie przeżywało, tylko wszystko się załatwiała. Ludzie przypominali spoconych zawodników, którzy biegną swój życiowy dystans z obciążeniem dwukrotnie cięższym niż oni sami. Nic dokładnie nic nie szło gładko, nic a nic nie mogło by załatwione bez tarć i męki: drzwi najczęściej były zamknięte. – (Dubrawka Ugresić Nikogo nie ma w domu, Kraków 2008).



Wizyta Edwarda Gierka w Czerninie w 1974 r., fot. H. Lipski

Kłamstwo, manipulacja i przemoc. To trzy najważniejsze, zdaniem klasyków, filary totalitarnego państwa komunistycznego. Z doświadczenia małomiasteczkowego, można by jeszcze dodać nudę, szarość i brak perspektyw. Ale też powszechna służba zdrowia, praca i mieszkanie dla wszystkich, równość, braterstwo no i, zgodnie z doktryną, byt kształtujący świadomość. Takim państwem była PRL, choć wszystkie te elementy występowały z różnym natężeniem, w różnych okresach i miejscach. O ile w dużych miastach istotę komunizmu można było niemal na co dzień doświadczać, o tyle w Polsce gminnej było nieco inaczej. Była apatia i beznadzieja. Przynajmniej w oficjalnym rytuale, bo na co dzień bywało rozmaicie. I wesoło i smutno. Popularny w ostatnich latach boom na PRL-owskie pamiątki i sentymenty, nie wynika, moim zdaniem, z gloryfikacji systemu, bo aż nadto dał się on we znaki większości. Upraszczając można powiedzieć, że to sentyment do czasów młodości, które chętnie się gloryfikuje, upiększa i mitologizuje.

Polska Ludowa miała być państwem dobrobytu. Rzeczywistość nie sprostала jednak tym zapewnieniom i oczekiwaniom. Poza okresem względnego dobrobytu w latach 70-tych, można powiedzieć, że PRL był jednak państwem permanentnych braków i reglamentacji. Pierwsze kartki na mięso i środki czystości pojawiły się w latach 40-tych i 50-tych. W 1976 roku wprowadzono tzw. bony towarowe na cukier. Miesięcznie każdy Polak mógł kupić 2 kilogramy cukru. To, że Gierek nie wprowadził innych kartek nie świadczy o tym, że pozostałe produkty były ogólnie dostępne, gdyż wiele z nich można było kupić jedynie w tzw. sklepach komercyjnych, a część dóbr konsumpcyjnych można było nabyć po odstaniu w kolejkach lub po znajomości. Od kwietnia 1981 roku na 3 miesiące wprowadzono kartki na mięso i przetwory mięsne oraz masło, mąkę, ryż i kaszę. System ten obowiązywał jednak dłużej, bo ponad osiem lat. Dodatkowo wprowadzono bony na papierosy, alkohol, kawę, czekoladę, benzynę, proszek do prania, a nawet buty. W sklepach nie brakowało tylko octu i win owocowych rodzimej produkcji, z dużą zawartością siarki.

W 1971 roku oszczędnego i skąpego Władysława Gomułkę zastąpił „europejski” i szczodry Edward Gierek. Pokazywał się jako nowoczesny przywódca - dobry pan, solidny gospodarz, zatroskany zwykłym człowiekiem, ale też hojny dla społeczeństwa. Jeździł, rozmawiał, troszczył się, szukał kontaktu z szarym człowiekiem czyli pokazywał, że partia nadal z ludem. Mimo, że został szefem partii po masakrze grudniowej 1970 roku, dawał nadzieję na zmianę. Jak się okazało, oznaczało to jedynie kolejną rozsadę na szczytach władzy, z której niewiele wynikało. Nowa epoka, po początkowym zachwycie i względnym dobrobycie zaczęła oznaczać życie z dnia na dzień i brak nadziei na dorobienie się czegokolwiek. Partyjne zjazdy, konferencje, plena transmitowane przez telewizję oznaczały nowomowę, którą ludzie już nawet zaczęli rozumieć, choć nie za bardzo chcieli jej słuchać.

Gierek skwapliwie korzystał z zachodnich kredytów, ale najcenniejsze co miał, to był kredyt zaufania społecznego, porównywalny w jakimś sensie z oczekiwaniami i nadziejami jakie towarzyszyły Gomułce w 1956 roku. W drugiej połowie lat 70-tych ten entuzjizm zaczął zanikać, bo kredyty, przede wszystkim te w twardej walucie trzeba było zacząć spłacać. Kończyła się idylla, zaczynała udręka codzienna, udręka wystawiania w kolejkach za produktami pierwszej potrzeby. Coraz dłużej czekało się na mieszkania, pralki, lodówki, telewizory. Wiele artykułów gospodarstwa domowego, niezbędnych do wygodnego życia nie można było kupić

normalnie w sklepach, ale jak wówczas mawiano - „upolować”, „załatwić”, czy „wystać” w coraz dłuższych kolejkach. Jednego dnia udaje się kupić kawę, innego kawałek mięsa czy wędliny. Pogarszały się warunki pracy w wielu zakładach, brakowało materiałów do produkcji. A w mediach sielanka, zgodnie z ówczesnym hasłem i radosnymi zapowiedziami, że Polska rośnie w siłę, a ludzie żyją dostatniej. Łatwy i przyjemny socjalizm obiecany przez rządzących zaczyna pokazywać swoją prawdziwą twarz - braków i niedostatków. A na tym tle zaczynały coraz bardziej razić i drażnić przywileje klasy uprzywilejowanej, ludzi władzy, ludzi nomenklatury.

Okres panowania Edwarda Gierka to także czas reformy administracyjnej. Pierwszy etap to ustawa z 1972 roku. Zlikwidowano najmniejsze jednostki administracji czyli gromady i osiedla, a w ich miejsce wprowadzono gminy. W 1973 roku zmieniono ordynację wyborczą do rad narodowych, wprowadzając nowy zapis, że wybory odbywają się w oparciu o program Frontu Jedności Narodu (FJN). Tutaj kierowniczą rolę odgrywała również PZPR. Na podstawie nowej ordynacji jedynie FJN miał uprawnienia do zgłaszania list wyborczych i nie można było w jednym okręgu wyborczym zgłaszać kilku list kandydatów. Oczywiście pozorem demokracji był fakt, że na listach FJN było więcej kandydatów niż miejsc do obsadzenia. Na tych listach oprócz działaczy PZPR znajdowały się również osoby zgłaszane przez stronnictwa sojusznicze, czyli Stronnictwo Demokratyczne i Zjednoczone Stronnictwo Ludowe, a nawet bezpartyjni. W tym samym roku wprowadzono zapis o jednoosobowych urządach wojewodów, prezydentów i naczelników miast, powiatów i gmin. Tak scentralizowana administracja miała jedynie realizować politykę rządu, czyli partii w terenie, i była przy tym łatwa do kontroli z Warszawy. Rady narodowe miały jedynie funkcje doradcze. Ostatnim etapem



Partijni aktywiści witają defiladę mieszkańców Sztumu z okazji 1 Maja, fot. archiwum autora

zmian było uchwalenie przez sejm ustawy o dwustopniowym podziale administracyjnym kraju. Liczba województw została zwiększona z 17 do 49. Zlikwidowano powiaty. Zwieńczeniem tych działań była zmiana konstytucji, w której zapisano, że PRL jest państwem socjalistycznym, „umacnia przyjaźń i współpracę” ze Związkiem Radzieckim, a PZPR pełni rolę „przewodniej siłą społeczeństwa w budowie socjalizmu”.

A CO W SZTUMIE?

Sztum, po reformie administracyjnej w 1975 roku z województwa gdańskiego, trafił do nowego województwa elbląskiego. Podobnie jak na szczeblu centralnym, także w Sztumie kierowniczą siłą w gminie była Polska Zjednoczona Partia Robotnicza (PZPR). Najwyższą władzą miejskiej organizacji partyjnej była Konferencja Sprawozdawczo-Wyborcza PZPR. Konferencja wybierała na czteroletnią kadencję członków Plenum Komitetu Miejsko-Gminnego PZPR oraz organy partyjnej kontroli. Plenum pełniło władzę najwyższą między kolejnymi Konferencjami, wybierało Egzekutywę Komitetu Miejsko-Gminnego PZPR oraz pierwszego sekretarza partii. Posiedzenia członków Plenum odbywały się co najmniej raz na kwartał. Egzekutywa pełniła funkcję władzy wykonawczej między kolejnymi posiedzeniami Plenum, określała kompetencje i zakres obowiązków sekretarza komitetu.

Na II Konferencji Sprawozdawczo-Wyborczej PZPR w Sztumie 20 października 1975 roku wybrano nowe władze partyjne, które zgodnie z nowym podziałem administracyjnym podlegały Komitetowi Wojewódzkiemu PZPR w Elblągu. W skład Komitetu Miejsko-Gminnego PZPR wybrano wówczas następujące osoby: Zenon Burny, Henryk Bieliński, Kazimierz Chyliński, Karol Czapski, Edward Grochowski, Stanisław Hadrysiak, Edmund Hoppe, Krystyna Jankowska, Stanisław Karwan, Jan Kołodziejcki, Czesław Konefał, Edward Kiełpiński, Michał Kubik, Józef Łaskawski, Mieczysław Mazur, Stanisław Obrośliński, Helena Mielczarek, Kazimiera Podolak, Eugeniusz Rykowski, Antoni Staszyński, Józefa Szychalska, Zygmunt Suliborski, Henryk Ścisłowski, Waldemar Tyszyński, Henryk Wojnowski, Alfons Wróblewski, Jan Zaniewski, Gerard Zasadzki, Renata Dutko, Bronisław Szymański, Adam Kumek, Józef Mazurkiewicz, Zbigniew Kowzan.

W skład władzy wykonawczej czyli Egzekutywy PZPR weszli: Waldemar Tyszyński, który został I sekretarzem, Jan Zaniewski - II sekretarz, sekretarze - Karol Czapski i Gerard Zasadzki oraz członkowie: Michał Kublik, Henryk Ścisłowski, Edward Grochowski, Mieczysław Mazur, Henryk Wojnowski, Eugeniusz Rykowski oraz Kazimierz Chyliński, który jednocześnie pełnił funkcję Naczelnika Miasta i Gminy.

Za najważniejszą część programu działania PZPR w Sztumie uznano, że: musimy nadal troszczyć się o awangardowy charakter partii, by składała się ona wyłącznie z ludzi cennych, zaangażowanych ideowo, przodujących w naszym społeczeństwie. Za cele nadrzędne uznano doskonalenie kadr i pracę ideową, podnoszenie autorytetu partii, realizowanie i przekraczanie planów produkcyjnych w rolnictwie i przemyśle.

Propaganda sukcesu zaczyna coraz bardziej stawać się rzeczywistością. Najważniejszym jej zadaniem było ugruntowanie wśród ludności przekonania o słuszności gierkowskiej koncepcji budowy drugiej Polski, dzięki czemu PRL miała stać się światową potęgą gospodarczą. Na-

rzędziem najbardziej skutecznym miała być oczywiście telewizja. W latach 70. na szeroką skalę zaczęto emitować najlepsze filmy amerykańskie. To był też czas kultowych polskich seriali takich jak Janosik, Daleko od szosy, Czterdziestolatek, ale też ambitnego Teatru Telewizji, Kabaretu Olgi Lipińskiej, czy w końcu nadawanego od 1974 roku w wolne soboty słynnego Studia 2. Ludzki wizerunek partyjnej elity władzy realizowany był między innymi przez tak zwane „gospodarskie wizyty” najwyższych władz w terenie, opisywane i transmitowane przez media regionalne i ogólnopolskie. Także do Sztumu trafił Edward Gierek. 26 sierpnia 1974 roku wizytował Kombinat Rolny „Powiśle” w Czerninie.

24 listopada 1977 roku odbyła się Miejsko-Gminna Konferencja Sprawozdawczo- Wyborcza PZPR. Wybrano partyjne władze na kolejną, czteroletnią kadencję. W skład Komitetu weszli: Zenon Burny, Henryk Bieliński, Kazimierz Chyliński, Henryk Białkowski, Karol Czapski, Leokadia Ćwirko, Edmund Daniszewski, Bolesław Grabowski, Edmund Hoppe, Jan Jakus, Janina Jarczyńska, Krystyna Kasińska, Leon Kowalski, Jerzy Kostka, Zbigniew Kowzan, Edward Liss, Mieczysław Mazur, Tadeusz Makulski, Stanisław Obrośliński, Halina Pasternak, Zygmunt Pawłowski, Kazimierz Piszser, Roman Przybylak, Roman Przybyszewski, Mariusz Radtke, Edward Raichel, Mieczysław Ruszczyk, Henryk Ścisłowski, Waldemar Tyszyński, Alfons Wróblewski, Jan Zaniewski, Gerard Zasadzki, Bogdan Śliwiński, Józefa Sychalska, Antoni Staszyński, Władysława Thiel, Adam Zarański, Monika Walczykowska.

Na wniosek Komitetu Wojewódzkiego, w wyborach jawnych jednogłośnie wybrano sztumską Egzekutywę w składzie: Waldemar Tyszyński - I sekretarz, Bolesław Grabowski, Gerard Zasadzki, Jerzy Kostka, Henryk Bieliński, Kazimierz Chyliński, Leokadia Ćwirko, Tadeusz Makulski, Mieczysław Mazur, Kazimierz Piszser, Mieczysław Ruszczyk, Edward Rajchel, Jan Zaniewski. W uchwale kończącej konferencję wytyczono kierunki działań: dalszej poprawy



Front Jedności Narodu buduje drugą Polskę, zgodnie z zaleceniem Edwarda Gierka jedno ze spotkań w Sztumie, fot. archiwum autora

jakości partyjnych szeregów, umacniania moralno-politycznej jedności narodu, wzrostu efektywności, między innymi poprzez oszczędność paliwa i energii, obniżanie materiałochłonności, pełne zagospodarowanie odpadów, umacniania dyscypliny i zwiększenia liczby mieszkań.

W połowie roku 1978 sztumski komitet PZPR rozpoczął ofensywę skierowaną do kadry kierowniczej sztumskich zakładów pracy. Zarzucano dyrektorom, że za słabo angażują się w rozbudowę partii w zakładach pracy, a to przecież z partyjnej rekomendacji zdobyli swoje stanowiska. Powołano dwa specjalne zespoły, które miały przeprowadzić z dyrektorami rozmowy uświadamiające. Skala problemu była chyba spora, bo do akcji zaangażowano również towarzyszy z komitetu wojewódzkiego z Elbląga. Oni mieli rozmawiać z ośmioma dyrektorami największych zakładów: Kombinat Rolny, Centrala Nasienna, PBR-ol, GS, Mleczarnia, ZK, POM, SHiUZ. Z pozostałymi 71 dyrektorami rozmawiać mieli działacze sztumskiego Komitetu. Rozmowy dotyczyły trudności w zakładzie, pracy partyjnej organizacji, efektywności gospodarowania, inwestycji i warunków pracy. W protokołach partyjnych nie ma niestety śladu jakie były efekty tych rozmów. Można się domyślać, że pozytywne, bo w przeciwnym wypadku indagowany dyrektor, gdyby nie podjął żadnych działań i zobowiązań stracił by pracę. Partia liczyła wówczas 1638 członków i kandydatów. Pod koniec grudnia skreślono 37 osób, a przyjęto 20. W połowie lipca nowym pierwszym sekretarzem sztumskiej PZPR został Jan Oleksa.

NOMENKLATURA

Bardzo ważną cechą systemu komunistycznego w PRL była zasada tak zwanej nomenklatury, czyli system obsady stanowisk kierowniczych w państwie. Według niego, każdy kandydat na stanowisko musiał uzyskać tak zwaną rekomendację partyjną ze strony odpowiedniego szczebla kierowniczego PZPR, niezależnie od tego czy dyrektor bądź kierownik pochodził z wyboru czy był mianowany. System ten był hierarchiczny, gdyż obsada najwyższych stanowisk państwowych - posłów, ministrów, premiera, dowódców wojskowych, prokuratora generalnego czy prezesa Sądu Najwyższego, ambasadorów, a nawet szefów centralnych organizacji młodzieżowych i związkowych - znajdowała się w gestii Biura Politycznego KC PZPR. Stanowiska kierownicze niższej rangi, w województwach, powiatach, gminach, były obsadzone z rekomendacji odpowiednich komitetów PZPR - wojewódzkich, powiatowych, gminnych. I tak, z protokołów egzekutywy sztumskiej organizacji wynika, że nie tylko dyrektorzy wszystkich przedsiębiorstw, ale także ich zastępcy, a nawet główni księgowi, w takich firmach jak ZPO Jantar, POM Górki, PZU, Pomet, PBROL, PGKiM, dyrektorzy szkół wszystkich szczebli, a nawet szefowie takich zakładów, które w założeniu miały pewne formy samorządności czyli różnego rodzaju spółdzielnie, takie jak Gminna Spółdzielnia „Samopomoc Chłopska” czy Spółdzielnia Rzemieślnicza, byli rekomendowani przez partyjnych działaczy Komitetu Miejsko-Gminnego PZPR. W styczniu 1979 rekomendowano Janusza Sosnowskiego na zastępcę prezesa mleczarni do spraw skupu i handlu, w marcu Janusza Michałkiewicza na stanowisko zastępcy dyrektora PBROL i Alfonsa Poćwiardowskiego na stanowisko prezesa Spółdzielni Rzemieślniczej, w październiku na kierownika zakładu wylęgu drobiu rekomendowano Ryszarda Świądra. Za niesubordynację karano. Skrytykowano na przykład Henryka Zaboronka, dyrektora PGKiM, bo stosuje własną politykę kadrową, zatrudniając zastępcę dyrektora bez

uzgodnienia tego z KMig PZPR. Ponadto stwierdzono, że sytuacja wewnątrz zakładu nie jest prawidłowa, stosunki międzyludzkie nie są właściwe. Tow. Zaboronka cechuje partykularne interesy w sprawach polityki kadrowej. Jego błędem było to, że na stanowisku swojego zastępcy zatrudnił Zdzisława Lewickiego, który nie uzyskał akceptacji egzekutywy. Na wniosek sekretarza PZPR Jana Oleksy, dyrektora Zaboronka ukarano partyjną naganą, a Lewickiego zwolniono. Nomenklatura działała.

W Polsce takich stanowisk objętych nomenklaturą było ok. 270 tysięcy. Nomenklaturowe stanowiska były nagrodą za gorliwość i lojalność członków partii. W 1979 roku było w Polsce ponad trzy miliony członków PZPR.

WŁADZA TOTALNA

Od partii zależało w zasadzie wszystko. Poza mianowaniem zaufanych ludzi na stanowiska, zakłady pracy musiały zdawać kwartalne sprawozdania na temat nie tylko funkcjonowania partii w firmie, ale także wykonania planów produkcyjnych czy inwestycyjnych. Akceptowano również budżet gminy oraz plany gospodarcze „samorządu lokalnego”, choć trudno nazwać samorządem ówczesne struktury administracji lokalnej.

Władze partyjne zajmowały się właściwie wszystkimi problemami mieszkańców gminy. Zatwierdzano na przykład plan społeczno-gospodarczy gminy Sztum na 1979 rok, czyli de facto budżet. Można by zapytać, po co zatem radni gminy, i jaka była ich rola? Otóż radni byli potrzebni, mieli wykonywać swoje obowiązki, a rolą partii było je kontrolować i ewentualnie rozliczać.

Władze partyjne przyjmowały także relacje samorządów mieszkańców dotyczące akcji odśnieżania, rozpatrywane były skargi dotyczące, na przykład Urzędu Miasta i Gminy. Analizowano nieobecność w zakładach pracy, a także jak starsi pracownicy opiekują się młodymi. Pytano, dlaczego na polach niektórych rolników jeszcze nie zebrano zbóż, albo dlaczego za późno prowadzą podorywki jesienne, dlaczego promocja uczniów w szkole w Nowej Wsi (aż 14% niepromowanych) odbiega od przeciętnej. Okazało się, że przyczyną tego był fakt, że znaczna część dzieci w szkole zakwalifikowana była do szkół specjalnych, ale na ich przeniesienie nie chcieli się zgodzić rodzice. Za słabą promocję zwolniono jednak dyrektora szkoły Mieczysława Kowalczyka, a w jego miejsce powołano Marię Wajdę.

Na posiedzeniach partyjnych źle oceniano ówczesne szkolenia WUML-u czyli Wieczorowego Uniwersytetu Marksizmu-Leninizmu, bo aż 16 osób zrezygnowało i słaba była frekwencja. W maju natomiast dobrze oceniono działalność tzw. Grupy Aktywu PZPR, która powstała pod koniec 1977 roku. Aktyw partyjny tworzyła grupa 33 działaczy z różnych zakładów pracy. Głównym celem ich działania było uaktywnienie pracy partyjnej i ożywienie niektórych zakładowych organizacji partyjnych, bo, jak się okazało, nie wszystkie dobrze działały. Ważnym celem było także skupienie jak największej liczby ludzi wokół Komitetu PZPR. Każdy z członków Aktywu miał pod opieką jedną lub kilka zakładowych organizacji partyjnych i miał za zadanie monitorować jej działania.

Partia prowadziła również tak zwane rozmowy wychowawcze. Na egzekutywie w dniu 24 października 1979 roku sekretarz Jan Oleksa rozmawiał z szefem jednej z POP na temat jego

pijaństwa- Były przeprowadzane rozmowy z wieloma osobami, które patrzą na całą sprawę obiektywnie i faktem jest, że wy towarzyszu O. pijecie alkohol w godzinach pracy. Przestraszony działacz zaprzeczył tłumacząc, że ja nie piję alkoholu, to są insynuacje. Piją na mieszalni pasz, ale nie tyle co dawniej. Oceniając z kolei kampanię wyborczą z września i października za najpoważniejsze problemy zgłaszane przez mieszkańców uznano: brak masła, mięsa i wędlin, kaszy, powideł, budyniu, kisielu, papierosów i wyrobów czekoladopodobnych (o tym co to jest czekolada już chyba zapomniano), a także opału. Analizowano także rozwój i aktywność organizacji młodzieżowej ZSMP. Jej szefowa Leokadia Ćwirko tłumaczyła wówczas, że koła młodzieżowe źle działają przede wszystkim na wsi, bo na przykład w Białej Górze i Postolinie nie mają gdzie działać, bo nie ma miejsca, w Pietrzwałdzie ludzie są skłóceni i jedni działają przeciwko drugim. Natomiast skrytykowano dyrektora Jana Skamarskiego ze szkoły w Barlewiczkach, bo tamtejsza organizacja partyjna podjęła samowolną uchwałę, żeby w szkole nie było ZSMP. Dyrektor został wezwany do komitetu i udzielono mu partyjnej nagany.

PARTYJNE SZEREGI

W połowie listopada 1979 roku doszło do kolejnych zmian personalnych na szczytach sztumskiej władzy partyjnej. I sekretarz Jan Oleksa został powołany do Wojewódzkiej Rady Związków Zawodowych (WRZZ) w Elblągu na stanowisko inspektora do spraw pracy i spraw socjalnych. Na jego następcę zaproponowano Mariana Karzarnowicza. Oficjalne przejście przez niego władzy nastąpiło 20 listopada 1979 roku na III Konferencji Sprawozdawczo-Wyborczej PZPR w Sztumie. Uczestniczyło w nim około stu delegatów. W referacie programowym stwierdzono, po raz kolejny, że Partia jest siłą motoryczną wszelkich działań społeczno-gospodarczych w naszym kraju, przewodzi i kieruje nie tylko w skali państwa ale również w mikroskali gminy, miasta, zakładu pracy. Podsumowano stan liczebny partii. Do PZPR w mieście i gminie Sztum oraz na terenie działania Kombinatu Rolnego „Powiśle” w Czerninie w ciągu dwuletniej kadencji od 1977 roku liczba członków partii wzrosła z 1513 do 1699. Robotników było 833, chłopów - 45, pracowników umysłowych - 523, pozostałych - 298; kobiet - 375, mężczyzn - 292. Nie wszystkie organizacje partyjne w zakładach pracy działały właściwie. Najlepiej działały w Zakładzie Karnym (22 nowych członków), Pomecie (9 nowych) i Zasadniczej Szkole Zawodowej (9). Nie przyjęto nikogo do partii, między innymi w SP 2, Ośrodku Kultury, Gościszewie, Nowej Wsi, Koniecwałdzie, Gronajnach, Uśnicach, PWiK. W tym czasie udzielono 20 kar partyjnych, skreślono 40 osób za łamanie zasad statutowych. Andrzej Małek z KW PZPR w Elblągu, pochwalił, że partia sztumska bardzo dobrze działa i jest przodująca w województwie elbląskim, liczba członków rośnie, choć nadal za mało jest chłopów, młodzieży i kobiet. Leokadia Ćwirko przestrzegła, że partia musi być czujna na każdym kroku, szczególnie troszczyć się o młodzież, która zaczyna pracę, bo młody pracownik podejmując pierwszą pracę po otrzymaniu poborów jest wciągany w różnego rodzaju imprezy, co nieraz kończy się niekorzystnie dla tego pracownika.

Sztumska partia za najważniejsze zadania do realizacji uznała: doskonalić formy i metody pracy Komitetu oraz POP, rozwijać szeregi partyjne poprzez pozyskiwanie dla partii ludzi najwartościowszych, cieszących się zaufaniem i szacunkiem w środowisku i zakładzie pracy, doskonalić jakość szeregów partyjnych, podnosić rangę zebrań partyjnych, pogłębiać działania

na rzecz utrzymania ścisłych więzów z ludźmi pracy drogą wysłuchiwania opinii społeczeństwa, poprzez konsultacje i narady umożliwiające kontakt osobisty, podejmować działania na rzecz doskonalenia form pracy z kadrą nomenklaturową i rezerwową przez systematyczne szkolenie i indywidualne rozmowy oraz czuwanie nad odpowiednim naborem ludzi do pracy w komórkach personalnych, upowszechniać zasady marksizmu-leninizmu, doskonalić formy propagandy partyjnej, utrzymać rytm produkcji, by każdego miesiąca wykonywać 9% planu rocznego, wzmacniać dyscyplinę pracy.

Najważniejszą kwestią ma III Konferencji były wybory sztumskich władz partyjnych. W pierwszej kolejności wybrano 38-osobowy Komitet Miejsko-Gminny PZPR, czyli Plenum w następującym składzie: Henry Bieliński - naczelnik ZK, Zenon Burny, Leokadia Ćwirko, Aleksander Dyląg, Eugeniusz Gilis, Bolesław Grabowski, Edward Grochowski, Edmund Hoppe, Stanisław Hromiak, Krystyna Jankowska, Zdzisław Juszcak, Marian Karzarnowicz, Jan Kołodziejski, Jerzy Kostka, Józef Kotlarz, Leon Kowalski, Zbigniew Kowzan, Marek Krawczykowski, Paweł Krauze, Tadeusz Krzyżak, Michał Laskiewicz, Tadeusz Makulski, Józef Mazurkiewicz, Jan Nowak, Teresa Nowak, Stanisław Obrośliński, Alojzy Pelowski, Tadeusz Sosnowski, Krystyna Stefanowska, Tadeusz Surdyka, Walenty Turzyński, Władysław Wawrzaszek, Czesław Wróblewski, Jan Ziarko, Jan Zaniewski, Czesław Zakrzewski, Adam Zarański, Gerard Zasadzki. Zastępcami członków zostali: Jadwiga Caban, Paulin Wituch, Kazimierz Cegłowski, Hanna Hryniewiecka, Krystyna Kasińska, Tadeusz Luberda, Józef Mirowski, Benedykt Nowak, Bogdan Śliwiński. Pierwszym sekretarzem jednogłośnie został wybrany Marian Karzarnowicz, który był jedynym kandydatem. W skład nowej Egzekutywy, oprócz niego weszli: Bolesław Grabowski, Jerzy Kostka, Henryk Bieliński, Leokadia Ćwirko, Jan Kołodziejski, Józef Mazurkiewicz, Walenty Turzyński, Stanisław Hromiak, Aleksander Dyląg (sekretarz organizacyjny), Gerard Zasadzki (sekretarz do spraw ideowo-wychowawczych), Tadeusz Makulski (sekretarz do spraw rolnych), Jan Zaniewski (Komisja Kontroli Partyjnej). Szefem Komisji Rewizyjnej PZPR został Andrzej Lipiński.

KONIEC DEKADY

Rok 1980 w Sztumie nie zapowiadał żadnych zmian. Stabilizacji ciąg dalszy. O reżyserowanej euforii Banku Miast już zapomniano. Zmęczenie codziennymi brakami na konsumpcyjnym rynku doskwierało tu niemal wszystkim. Każdy jednak jakoś sobie z tym radził. Jedni lepiej, inni gorzej. Pani z „metrażu” odłożyła kupon bawelenki lub ładny dywan. Pani w mięsnym przeoczyła przy wykładaniu na ladę kawałek soczystej wołowinki, cielęcinki lub schabiku. Zdrobnienia były wskazane, pokazywały prawdziwą więź łączącą unizonego klienta z władczą sklepową, dawały wrażenie bliskości, a na pewno tworzyły klimat czułego współudziału w „opozycyjnym” procederze. W warzywniaku udało się „zabezpieczyć” (odłożyć pod ladą) cytryny i pomarańcze, a w spożywczym kilka paczek kawy marki „Arabica” lub wedlowską bombonierkę z prawdziwą jeszcze czekoladą w środku, a nie z najsmutniejszym symbolem PRL-u - „wyrobem czekoladopodobnym”. I jakoś się kręciło. Po kurczaki jeździło się do Gdańska, bo w Sztumie nie było. Cały dzień się stało w kolejce. Banana jak się udało kupić to dziecko dostawało kawałek, reszta do lodówki, na porcje.

Władze partii krytykowały w tym czasie przede wszystkim małe upartyjnienie wśród pracowników szkół z terenu gminy. Dużo uwagi poświęcono złej pracy partii w Liceum Medycznym, gdzie nie działała organizacja młodzieżowa ZSMP, a POP (Podstawowa Organizacja Partyjna) z tej szkoły, ze względu na małą liczbę członków, połączyła się z organizacją partyjną w ZOZ-ie. Krytykowano również zbyt małe zorganizowanie młodzieży w SP 2. Władze krytykowały poziom upartyjnienia wśród nauczycieli, bo do partii należy zaledwie 38%. Najlepiej sytuacja wygląda w szkole w Gościszewie, najgorzej w Nowej Wsi, bo tam nikt nie należy do partii. Mimo wszystko stopień upartyjnienia był wysoki, bo na przykład pracownicy, którzy zatrudnieni byli na stałe, wszyscy należeli do partii. Najważniejszym celem na kolejne miesiące miało być zwiększenie liczby członków partii w przedszkolach. Bolesław Grabowski stwierdził, że należy również skupić się na pracy z młodzieżą w szkołach ponadpodstawowych, bo uczniowie powinni wychodzić ze szkoły z legitymacją członkowską (PZPR - przyp. aut) i świadectwem maturalnym jednocześnie.

W lutym gazety partyjne informowały o rozpoczynającym się właśnie VIII Zjeździe PZPR. Budujemy solidarnie, ofiarnie i wytrwale Polskę silną, bezpieczną i zasobną- krzyczał z trybuny zjazdowej Edward Gierek I sekretarz KC PZPR. I dodawał, że obowiązkiem wypływającym z naszej ideologii jest wyraźne odgraniczenie słusznych dążeń do poprawy warunków życia od egoizmu i żądzy bogacenia się za wszelką cenę. Odrzucamy sposób życia i postawę moralną zawężającą cele i treści ludzkiego działania jedynie do motywów i dążeń materialnych. Czyli zdecydowane „nie” dla konsumpcji, co w sytuacji powszechnego niedoboru wydawało się dość oczywiste i w słowach „Pierwszego” podbudowane ideowo, tym bardziej, że jak mówił dalej- „kadry naszej partii i państwa są ofiarne i rzetelne, skromne i uczciwe, ale „zdarzają się jednak jednostki, których postępowanie budzi sprawiedliwe potępienie społeczne. Zdarza się też pobłażliwość i osłanianie demoralizacji i nieuczciwości. Musimy położyć temu zdecydowanie kres.”

To mogło cieszyć i nieść ukojenie zmęczonemu społeczeństwu, ale ku rozpaczy towarzyszy, jak pokazały kolejne miesiące, ukojenia nie niosło. Edward Gierek został oczywiście ponownie pierwszym sekretarzem partii, w otoczeniu wytrawnych i sprawdzonych towarzyszy takich jak- Wojciech Jaruzelski, Zdzisław Grudzień, Henryk Jabłoński, Stanisław Kania, Jan Szydłak, Kazimierz Barcikowski, Józef Pińkowski, Mieczysław Jagielski czy Edward Babiuch. W następnych miesiącach ideowe wskazówki VIII Zjazdu przekuwały się w konkretne postulaty do realizacji, czyli więcej serów i białka dla ludu, dochody miały się zwiększyć, produkcja przemysłowa i rolna również, a w ciągu pięciu lat miało powstać 1,7 miliona mieszkań. Partia miała umocnić socjalistyczny patriotyzm, a ludzie partii być bardziej wrażliwi na sprawy ludu pracującego. Rzeczywistość, jak zwykle, niestety nie sprostała tym życzeniom.

W tym czasie, na przykład w Sztumie z uwagi na przedłużającą się budowę kotłowni, wstrzymano budownictwo mieszkaniowe. Kotłownia miała być gotowa w 1979 roku, ale jej realizacja w 1980 roku była zaawansowana jedynie w 15 procentach. Trochę lepiej było z kolektorem z rur azbestowych, choć inwestycja też była o rok spóźniona. Obie te budowy miały być efektem Banku Miast, ale i tym razem rzeczywistość była nieco inna od partyjno-telewizyjnych zobowiązań.

Na posiedzeniu egzekutywy PZPR w Sztumie w dniu 4 marca zatwierdzono wniosek Komendy Wojewódzkiej MO, by na stanowisko zastępcy komendanta powołać sztumianina Jerzego Sobkowiaka. Rozpatrywano również wniosek organizacji partyjnej z Urzędu Miasta i Gminy, by uchylić karę partyjnej nagany prawnikowi z Urzędu Józefowi Tymcowi z 1977 roku. Naczelnik Miasta i Gminy Bolesław Grabowski przyznał, że Józef Tymiec jest sprawnym prawnikiem, ale „nadal pokazuje swoje czarne oblicze”, twierdząc na przykład, że w Polsce nie mówi się całej prawdy o agresji Związku Radzieckiego na Afganistan i że na zebraniach partyjnych nie warto dyskutować, bo nie mówi się całej prawdy. Ponadto, zdaniem partyjnych działaczy, Tymiec „podaje również informacje, które nie znalazły potwierdzenia ani w naszej prasie, ani w innych środkach masowego przekazu”, i że jego postawa polityczna jest wroga, bo jest on „prawdopodobnie wielkim sympatykiem KOR-u”. Henryk Bieliński z Zakładu Karnego stwierdził, że „z tego wynika że Tymiec wcale się nie zmienił i nadal sieje pieniactwem politykę”. Mimo zmasowanej krytyki Bolesław Grabowski stwierdził, że kara powinna zostać anulowana, a on „podejmuję się obserwować go i jeżeli podobne sytuacje się powtórzą to wtedy podejmiemy jednoznaczną decyzję. Będę uważał na niego szczególnie na każdym zebraniu”. Z kolei szef POP i komendant Komisariatu MO Waldemar Turzyński uznał, że „skończyło się tolerowanie KOR-owców. Byliśmy poprzednio zależni od zachodu, teraz sytuacja się zmieniła. My po pionie milicyjnym również zwrócimy na niego uwagę”. Po tej dyskusji i pomimo zastrzeżeń egzekutywa jednogłośnie zatwierdziła wniosek partyjnej organizacji przy Urzędzie o zatarcie kary Józefowi Tymcowi, zapowiadając, że będzie obserwowany.

Na posiedzeniu plenarnym Komitetu Miejsko-Gminnego PZPR w Sztumie w dniu 28 maja 1980 wiodącym tematem był referat przygotowany przez egzekutywę pod wymownym jak na owe czasy tytułem - O wyższą efektywność pracy ideowo-wychowawczej sztumskiej organizacji partyjnej i jej oddziaływanie na społeczeństwo w świetle uchwał VIII Zjazdu i III Miejsko-Gminnej Konferencji Sprawozdawczo-Wyborczej. Za najważniejsze dla członków PZPR uznano doskonalenie działalności ideowo-wychowawczej, pogłębianie socjalistycznego patriotyzmu, łączącego w sobie tradycyjne wartości i cnoty obywatelskie z nowoczesnym, mądrym rozumieniem dobra Polski i umiejętnością podkreślania tego codzienną pracą, całą swoją postawą. Wytyczne do pracy partyjnej polegać miały na tym, by podkreślać historię ruchu robotniczego, więź ze Związkiem Radzieckim, bo walka ciągle trwa, gdyż wróg nie śpi, a główny front walki ideologicznej przebiega w sferze świadomości. Dlatego zadaniem całej partii jest ciągła praca nad wykorzenieniem ze świadomości konserwatywnych poglądów politycznych i ideologicznych, sprzecznych z zasadami budownictwa socjalistycznego i godzących w jedność narodu, a podsycanych przez przeciwników socjalizmu, ale również rozwijanie w zakładach pracy dyscypliny pracy, przeciwdziałanie naruszeniom norm prawnych i moralnych i przede wszystkim zwalczać zjawiska osiągnięcia bezprawnych korzyści z dostępu do deficytowych dóbr, łapownictwo, kumoterstwo i klikowość, a także spekulacje, w tym mieszkaniami. Uznano, że członkowie PZPR to najwybitniejsza i najaktywniejsza część społeczeństwa, dlatego jest szansa, że ich wpływ na społeczeństwo będzie duży. Sztumska organizacja partyjna liczyła wówczas 1742 członków i kandydatów. 52% stanowili robotnicy i chłopci. W latach 1978-80 przyjęto 101 osób, a skreślono z różnych względów 35 osób.

Problemem, na który działacze partii zwracali uwagę, był fakt, że nie we wszystkich zakła-

dach pracy jest równe upartyjnienie, Najlepsza sytuacja pod tym względem była w rolnictwie i gospodarce komunalnej, najmniej osób chętnych do wstępowania w partyjne szeregi było osób w handlu. Zwracano uwagę, że trzeba to zmienić, a także to, że wśród działaczy partyjnych dominują pracownicy administracji, a ponadto szkolenia partyjne często prowadzi się mało atrakcyjnie. Wnioski były jednoznaczne- należy częściej spotykać z ludźmi, wzmocnić rolę agitatorów PZPR. W tym czasie w Sztumie było 40 agitatorów, ale też narzekano, że nie byli w pełni wykorzystywani. Poza tym należy więcej pracować z młodzieżą i zachęcać ją do wstępowania w szeregi ZSMP i ZHP. W tym czasie do organizacji tych należało prawie 1600 osób.

W dyskusji nad referatem Leokadia Ćwirko, przewodnicząca sztumskiego ZSMP stwierdziła, że adaptacja młodych pracowników w zakładach pracy przebiega dobrze, ale trzeba ich bardziej wychowywać w duchu PZPR. Dyrektor Zespołu Szkół Bogdan Śliwiński z zadowoleniem stwierdził, że w szkole młodzież bardzo aktywnie działa w organizacjach takich jak: HSPS (Harcerska Służba Polsce Socjalistycznej), TPPR (Towarzystwo Przyjaźni Polsko-Radzieckiej), TWP (Towarzystwo Wiedzy Powszechnej), współpracują z działaczami ruchu robotniczego ze ZBOWiD-u (Związek Bojowników o Wolność i Demokrację), a także bardzo angażują się w organizowane przez partię czyny społeczne.

Na posiedzeniu plenarnym obecny był Wojciech Włodkowski, kierownik Wydziału Pracy Ideowo-Wychowawczej KW PZPR w Elblągu. Podziękował sztumskiej organizacji partyjnej za bardzo aktywną działalność, choć przyznał, że nie jest łatwo, bo występujące trudności natury obiektywnej i subiektywnej, które wpływają na efektywność naszej pracy, jak: aktualne trudności gospodarcze, napięta sytuacja międzynarodowa i nasilająca się działalność niewielkich grup w naszym społeczeństwie. Trudności gospodarcze, pogarszająca się koniunktura na rynku, fakt konieczności z roku 1979 zaciągnięcia długów na przyspieszony rozwój-to wszystko powoduje konieczność prowadzenia polityki oszczędnościowej. Konieczna jest regulacja cenowa ze względu na podrożenie artykułów zagranicznych. Należy zatem nasilić pracę ideowo-wychowawczą, szczególnie wśród młodzieży, aktywizować i mobilizować wszystkich-samorządy mieszkańców, bratnie stronnictwa polityczne, bo jak oświadczył w 1985 roku będzie lepiej bo przewidujemy zrównoważenie salda importu i eksportu.

W POCHODZIE I CZYNIE SPOŁECZNYM

Ważnym elementem partyjnej propagandy był tzw. czyny społeczne, zaplanowane odgórnie, a realizowane przez różne grupy społeczne i zawodowe, bądź przez mieszkańców. Były to różnego rodzaju nieodpłatne prace, które miały służyć poprawie warunków życia lokalnej społeczności. Taka forma społecznej aktywizacji pojawiła się już w połowie lat 50-tych. Góracym zwolennikiem czynów był Władysław Gomułka, ale i dla ekipy Edwarda Gierka była to ważna forma partyjnego rytuału. Media partyjne wiele miejsca poświęcały relacjonowaniu czynów społecznych. Nie mogło w nich zabraknąć najwyższych władz partyjnych, które dawały przykład. Szczególnie Gierek lubował się w takich spektaklach. W latach 70-tych organizowano tzw. niedzielę czynu partyjnego. Brali w nim udział członkowie PZPR, stronnictw sojuszniczych – SD (Stronnictwa Demokratycznego), ZSL (Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego), a także wielu bezpartyjnych, którzy często nie mogli odmówić udziału na „prośbę”

któregoś z partyjnych działaczy. Po raz pierwszy partyjny czyn niedzielny zorganizowano 30 września 1973 roku, po raz ostatni 30 września 1980 roku. Dla władzy partyjnej był to element, jak byśmy dziś powiedzieli, troski o dobry wizerunek partii, która daje dowód, że ma ścisły związek ze społeczeństwem i ma rozeznanie w jego lokalnych potrzebach. Z czasem jednak partyjni dygnitarze pokazywani we wszystkich mediach, w eleganckich garniturach, zamiast zachęcać do społecznej aktywności czy budzić szacunek, zaczęli śmieszyć i irytować.

Na majowym czynie społecznym w 1978 roku w Sztumie uznano, że frekwencja była niska, poza Nową Wsią, gdzie nikt z miejscowych się nie pojawił, mimo że celem czynu była budowa drogi do osiedla mieszkaniowego. Dla nieobecnych było oczywiste, że to nie do nich należy budowa infrastruktury, że to jednak rola władzy administracyjnej. Ale nie były to pierwsze kłopoty sztumskiej partii z mieszkańcami Nowej Wsi, gdyż analizując działalność partii uskarżano się wielokrotnie na słabe upartyjnienie tej właśnie wsi. W innych miejscach było jednak lepiej, bo na przykład w mieście zbudowano 400 metrów chodnika na ulicy Barczewskiego. Poza tym uporządkowano teren pod budowę żłobka w Sztumie, park w Gościszewie. Zakłady Odzieżowe Jantar zrobił 370 par spodni dodatkowo na lokalny rynek, a fabryka mebli i domek campingowy. Wartość czynu wyceniono na 2,4 mln zł, z czego wkład społeczny szacowano na kwotę 762 tys. zł. O tym, że czyny były wkalkulowane w funkcjonowanie administracji terenowej świadczy też fakt, że w kolejnych budżetach gminy, czy wcześniej powiatu planowano konkretne środki finansowe na ten cel.

18 maja 1980 roku „Głos Wybrzeża” donosił, że odbyła się kolejna niedziela czynu partyjnego: Dumą mieszkańców Sztumu jest zbudowany w ubiegłorocznym dniu czynu partyjnego bulwar nad jeziorem. Wczoraj ponad sto osób z miejscowych zakładów pracowało przy budowie przedostatniego odcinka bulwaru, który przedłużono o kolejne kilkadziesiąt metrów. Układano chodniki, niwelowano teren, sadzono drzewka. Innym ważnym zadaniem była również rozbiórka dwóch starych ruder przy ulicy Mickiewicza i Jagielly. W tym miejscu pracowało 120 osób. W przyszłości miał tam stanąć pawilon usługowy. „Doniosłe”, jak sugeruje gazeta, zadanie realizowali w tym czasie pracownicy PGKiM oraz funkcjonariusze Milicji Obywatelskiej. Pracowali w cegielni w Nowej Wsi. Wyprodukowali 10 tysięcy cegieł przeznaczonych na budowę żłobka przy ulicy Chełmińskiej, powstającego w ramach składek miejscowego społeczeństwa na Narodowy Fundusz Ochrony Zdrowia. W tym samym czasie ponad tysiąc osób pracowało na terenie kombinatu Rolnego Powiśle w Czerninie przy układaniu drogi do, zbudowanego również wcześniej w czynie społecznym, stadionu sportowego.

W tym czasie Edward Gierek z żoną, jak skrętnie relacjonowały media ogólnopolskie i regionalne, pracował przy porządkowaniu Ogrodu Botanicznego w Warszawie. Zadowolenie działaczy i sprawozdawców, a w społeczeństwie rosnące przekonanie o udziale w jakiejś fikcji i ciągłej pogoni formy za treścią, bo na przykład dla wielu ludzi nie było taczek, łopat i innych narzędzi, drzewka kilka dni później ktoś połamał, a liście na czas nie sprzątnięte przez służby komunalne rozwał wiatr, albo śmieci trafiły z powrotem do rowu lub nad brzeg jeziora. Ale najważniejsze, że zaliczono, odhaczono i sprawozdano. Szkoda, że przy okazji szlachetna i apolityczna idea czynu społecznego, nieco na tym ucierpiała, bo po raz kolejny mobilizowano społeczną aktywność do zadań, z których nie wywiązywało się należycie państwo lub samorząd. Rada Państwa pozytywnie jednak oceniła niedziele społecznego wysiłku. W 1979

roku wartość czynu w całej Polsce oszacowano na 19 miliardów złotych, czyli o 5 miliardów więcej niż w 1978. Uznano, że tą właśnie formę społecznej aktywności należy w dalszym ciągu rozwijać. Czyny miały też w pewnym sensie podtekst ideologiczny, bo nie przypadkowo organizowane były w niedzielę, która dla katolików, a ci stanowili zdecydowaną większość społeczeństwa, była dniem świątecznym.

Pod koniec kwietnia w Warszawie powstaje specjalny komitet do spraw rynku centralnego, gdyż coraz powszechniej, mimo partyjnych zapowiedzi ze zjazdowych mównic, że będzie lepiej, coraz powszechniej odczuwało się braki wielu towarów. Jak pisały partyjne gazety- w warunkach niepełnego nasycenia rynku pewnymi asortymentami towarów, występuje nadal z nadmiernym nasileniem, zarówno zjawisko spekulacyjne, jak też innego rodzaju nieprawidłowości, między innymi sprzedaż protekcyjna, odkładanie towarów itp. Przeciwdziałać można było właściwie w jeden sposób, poprzez zwiększenie produkcji i zaopatrzenia, ale nie było to wówczas takie oczywiste, bo Partia miała inny sposób, a mianowicie zaostrożenia „działań kontrolnych i prewencyjnych”.

Braki brakami, a świętować trzeba - oto 1 maja społeczeństwo znów entuzjastycznie wyszło na ulicę Sztumu. Za weteranami ruchu robotniczego defilowała młodzież szkolna. Za bogactwo wystroju kolumny oklaskami nagradzano uczniów szkół podstawowych, Liceum Medycznego, Zespołu Szkół Rolniczych w Barlewiczkach. Równie owacyjnie, z klasowego oczywiście punktu widzenia, przywitano tysięczną kolumnę pracowników Kombinatu Rolnego Powiśle w Czerninie. Pomysłowością wystroju zwracała uwagę grupa maszerująca pod transparentem Sztumskiego Ośrodka Kultury i Młodzieżowego Domu Kultury. Przemysł reprezentowały załogi Gdańskiej Fabryki Mebli, Obróbki Metalu i Drewna, Spółdzielni Jantar. Na honorowej trybunie ustawionej, jak co roku tuż przed komitetem partii mieszkańców pozdrawiali aktywiści PZPR oraz organizacji sojuszniczych. W pochodzie, jak relacjonowała prasa, uczestniczyło ponad siedem tysięcy mieszkańców i tyleż tysięcy przemarszom się przyglądało, choć można powątpiewać, zważywszy, że gmina liczył wówczas niewiele ponad osiem tysięcy. Nieobecności na tej oficjalnej imprezie nie można było w żaden sposób usprawiedliwić. Ile trzeba było twórczej inwencji, by wykpić się z niesienia czerwonej, sojuszniczej flagi. Uczniowie, którzy w czas chwycili biało-czerwone flagi byli szczęśliwi, nie z nadmiaru jakichś narodowych uniesień czy ambicji bynajmniej, ale przede wszystkim z tego, że nie była to flaga czerwona, kojarzona nie jak śpiewano w rytualno-partyjnych pieśniach, z robotniczą krwią, ale z radzieckim okupantem. Ot, taka mała forma gminnej kontestacji. Dyrektor, który nie dał rady przymusić uczniów by jednak chwycili dziarsko za sojusznicze transparenty musiał na drugi dzień tłumaczyć się w komitecie PZPR, dlaczego tak mało czerwonych transparentów pojawiło się na ulicach miasta. Niektórym uczniom trzeba było nawet obniżyć ocenę z zachowania, jeśli zdarzyli się tacy, co flag czerwonych nie za chętnie dźwigać chcieli lub nieść ich odmówili.

Krótko przed hucznymi obchodami majowego święta, choć już znacznie ciszej, wprowadzono podwyżkę cen benzyny. Słynna i najtańsza E 94 z 16 zł za litr wzrosła do 18zł. Rząd zapowiedział jednocześnie stopniowe wycofywanie się z kartek na cukier i zastępowanie ich ekwiwalentem pieniężnym. Kartki wprowadzono w 1976 roku, bo jak tłumaczyła wówczas władza, była słabsza kampania cukrownicza i masowo wykupowano cukier. Na naradzie

aktywu partyjnego w połowie maja w Gdańsku działacze PZPR ubolewali, że mimo zapewnień rządu i po wprowadzeniu centralnego rozdzielnictwa, w dalszym ciągu występują poważne braki w zaopatrzeniu. Narzekali również mieszkańcy wsi, że do ich sklepów trafia na przykład mniej zabawek dla dzieci i bielizny, a przecież ich potrzeby są takie same jak miastowych. Choć znane były w tym czasie, jak i w latach następnych, wycieczki z miasta do gminnych sklepów po meble, narzędzia, ubrania, bo w wielu miejscach zaopatrzenie było często znacznie lepsze niż w mieście, a to, mimo zapewnień partyjnych aktywistów, świadczyło o tym, że są poważne kłopoty nawet z dystrybucją, a także koordynacją gospodarki nakazowo-rozdzielczej.

Od 30 czerwca na terenie województwa gdańskiego zaczęły obowiązywać nowe ceny warzyw, ustalone odgórnie, a nie przez właścicieli straganów. Za kilogram ziemniaków trzeba było zapłacić 4 zł, za tyle samo kapusty kiszonej – 11 zł, orzechy włoskie łuskane – 340 zł, kalafior powyżej 10 centymetrów średnicy kosztował 10 zł, powyżej 20 cm – 16 zł za sztukę, kalarepa – 5 zł, pęczek pietruszki – 6 zł. Za mieszkanie w tym czasie w akademiku studenckim płacono się 120 zł za miesiąc.

Pewne zwiastuny nadchodzącego czasu buntu i niezadowolenia można już było dostrzec nawet w prasie partyjnej. 4 lipca 1980 roku w „Głosie Wybrzeża” Jerzy Olbrycht analizował listy „społeczeństwa” do partii. Z jego informacji wynikało, że w 1979 roku około 500 tysięcy Polaków pisało listy w sprawach osobistych lub ogólnokrajowych. Dotyczyły one głównie problemów mieszkaniowych, wyżywienia, świadczeń społecznych, stosunków w zakładach pracy. Listy, jak sugerował dziennikarz, były ostrzejsze w tonie i bardziej krytyczne niż zwykle. Krytykowano między innymi zbyt autorytarną kadrę kierowniczą zakładów, nie liczenie się z opiniami załogi, wskazywano na złą gospodarkę ziemią i nieprawidłowy rozdział



Najaktywniejsza młodzież sztumska z ZSMP na pochodzie 1 Maja, lata 70-te, fot. archiwum autora

środków produkcji, nieprzestrzeganie jawności przydziałów mieszkań i prywatny handel mieszkaniami spółdzielczymi, sugerowano zwiększenie wymagań wobec kadry kierowniczej i rzetelne rozliczanie się z powierzonych zadań. Efekty tych listów były jednak niewielkie, o czym redaktor już nie informował. W lipcu i sierpniu miało się okazać, że rządzącej partii coś umknęło, zabrakło czujności i być może umiejętności czytania choćby takich oficjalnych listów do partyjnych redaktorów. Zaczęły się strajki, które wówczas, zgodnie z zasadą nowomowy, nazywano „nieuzasadnionymi przerwami w pracy”. Nadchodził Sierpień 1980.

* * *

Sztumscy działacze partyjni, i pewnie wielu im podobnych w małych miastach i miasteczkach byli ideowcami, przynajmniej część z nich. Chcieli działać. Partia dawała im takie możliwości, niezależnie od ideologii, którą nie zawsze rozumieli, czy do końca akceptowali. Udawało im się nawet mentalnie połączyć antyreligijną utopię marksistowsko-leninowską z biblijnym przesłaniem. Zapisywali się też do partii, by awansować, bo zasada nomenklatury wykluczała bezpartyjnych na kierowniczych stanowiskach. Część wstępowała do partii, by zapewnić dzieciom dobrą przyszłość. Najbardziej znacząca część, dla świętego spokoju. PRL był ich państwem. W tym sensie byli zatem państwowcami, bo niezależnie jakie to było państwo, było ich państwem. Swoje wiedzieli, za partią nie zawsze przepadali, ale żeby dyrektor się nie czepiał przyjmowali partyjną legitymację, bo jakby jej nie wzięli to można było się spodziewać kłopotów z pracą, zapomnieć o lepszym stanowisku, nagrodach czy premią. Hipokryzja? Pewnie tak, ale przede wszystkim prawo mimikry, dostosowanie się, potrzeba bycia w grupie i wspólnocie. Kościół im tego nie dawał, był bardziej wymagający, choć rozgrzeszał i jeśli się wierzyło, dawał nadzieję. Na zebraniu partyjnym wymagano obecności i aktywności, czasem samokrytyki i pokajania, a przede wszystkim lojalności i akceptacji. Niezależnie od pewnej fikcji działań i zachowań, miało się poczucie, że uczestniczy się w specjalnym rytuale. Zebrania, narady, odprawy, operatywki, egzekutywy, plena, konferencje. Magia czynu i wspólnoty.

Dyrektorowi, sekretarzowi czy członkowi Komitetu, a już nie daj Boże, członkowi Egzekutywy, nie wypadało na przykład chodzić do kościoła, a rodzinnym uroczystościom, takim jak chrzty, śluby, a nawet pogrzeby, nadawać religijnego charakteru. Jeśli mimo wszystko „partyjnie” namaszczoneму dyrektorowi zależało na religijnym charakterze uroczystości korzystał z usług zaufanego proboszcza na przykład Gościszewie, który chętnie spowiadał partyjnych towarzyszy, chrzczył ich dzieci, czy udzielał innych sakramentów. Mniej ufni jeździli do Trójmiasta lub Elbląga. O tym, że takie zachowania wynikały z konformizmu, świadczą choćby obecne postawy wielu znamienitych działaczy partyjnych, nie tylko lokalnego szczebla. Dziś już dla nikogo nie jest niczym zadziwiającym, że dawny działacz widywany jest blisko ołtarza, nawet jeśli mentalnie lub formalnie sprzyja spadkobiercom PZPR. W państwie „demokracji socjalistycznej” było to jednak nie do pomyślenia, bo przecież obowiązującą wówczas zasadą było marksowskie hasło, że religia to opium dla ludu, zabobon i ciemnogród.

Źródła: „Głos Wybrzeża” i „Dziennik Bałtycki” z lat 1975-1980, Archiwum PZPR w Sztumie z lat 1975-1980, Archiwum Państwowe w Elblągu z siedzibą w Malborku.

Marta Chmieleńska-Jamroz

CZY ZNALEŻLI „INKĘ”?

Pod koniec września na Cmentarzu Garnizowym w Gdańsku dobiegły końca prace wykopaliskowe. Ekipa kierowana przez prof. Krzysztofa Szwagrzyka, pełnomocnika prezesa Instytutu Pamięci Narodowej ds. poszukiwań miejsc pochówku ofiar terroru komunistycznego, odkryła kilkanaście szkieletów, w tym dwa, które z dużym prawdopodobieństwem należą do Danuty Siedzikówny „Inki” i Feliksa Selmanowicza „Zagończyka”. W kilkudniowych poszukiwaniach uczestniczyli również mieszkańcy Malborka.

Przez dłuższy czas grupa pracowników naukowych IPN podejrzewała gdzie mogą spoczywać szczątki młodej sanitariuszki i jej starszego kolegi, jednak były to jedynie domysły. Sytuacja zmieniła się, gdy w jednym ze zbiorów archiwalnych odnaleziony został tajemniczy list. Jak się okazało, było to pismo pracownika więzienia do żony Feliksa Selmanowicza „Zagończyka”, w którym informowano ją o miejscu pochówku męża. List z nieznanых powodów powstał, ale nie został nigdy wysłany. Trudno domyślać się, po co pracownik więzienia miałby informować kogokolwiek o lokalizacji grobu, który komuniści chcieli jak najgłębiej ukryć, niemniej jednak list został napisany. Nigdy nie trafił do adresata i przeleżał wiele lat wśród innych dokumentów. Trafiono na niego przypadkiem i można powiedzieć, że to prawdziwy cud. Dzięki temu udało się zlokalizować prawdopodobna kwaterę więzienną na gdańskim cmentarzu i po ba-



Danuta Siedzikówna - Inka, fot. archiwum



Feliks Selmanowicz - Zagończyk, fot. archiwum

daniach przeprowadzonych za pomocą georadaru zlokalizowano teren, w którym prawdopodobnie spoczęły szczątki osób zamordowanych w więzieniu na ul. Kurkowej w Gdańsku.

Warto wiedzieć, że w miejscu tym wykonano wyroki na wielu żołnierzach podziemia niepodległościowego i przekopywany teren krył nie tylko dwa szkielety, ale kilkadziesiąt. Niestety, podobnie jak w większości wypadków, nikt nie wiedział o potajemnych pogrzebach, trudno więc było zlokalizować mogiły. Poza tym na terenie zajmowanym przez kwaterę więzienna powstały nowe pochówki - często, jak na Powązkach, były to mogiły katów - urzędników resortu bezpieczeństwa czy zasłużonych komunistycznych towarzyszy z PPR i PZPR. Ekipa, która przyjechała na gdański cmentarz zmierzyć się zatem musiała z bardzo trudnymi warunkami - pracowali bowiem wśród istniejących grobów. Dlatego wykopy możliwe były jedynie w miejscach, gdzie odległość pomiędzy grobami wynosiła co najmniej metr. Prace były bardzo mozolne i wyczerpujące. Uczestnicy wspominają ogromne ilości gruzu, które znajdowały się pod ziemią. W czasie prac miejsce odwiedzał także grabarz, który potwierdził, że w tym miejscu jest najgorsza kwatera i zawsze ma problem z wykopaniem mogiły. Opowiadał również, że miejsce to było pewnego rodzaju śmietniskiem, gdzie wyrzucano zwalę ziemi po równaniu terenu a także gruz ze spalonego starego miasta.

Na wieść o rozpoczęciu prac członkowie Stowarzyszenia Historycznego im. 5 Wileńskiej Brygady Armii Krajowej, mieszkańcy Malborka jako wolontariusze stawili się do pracy razem z ekipą Instytutu Pamięi Narodowej.



- Kiedy rozpoczęliśmy kopanie między mogiłami to pomyślałem, że nikt nie ma szans na odnalezienie naszych chłopaków – mówi Robert, wiceprezes Stowarzyszenia. - Jednak ta ciężka praca opłaciła się. Kiedy wykopano pierwsze szczątki czułem, że warto było. Nie zrobiło to na mnie jakiegos przerażającego wrażenia, ponieważ brałem już udział w podobnych pracach, jednak w tym przypadku szukaliśmy konkretnych osób – „Inki” i „Zagończyka”, którzy na zawsze mieli pozostać w bezimiennej mogile. Cześć z nas kopała między istniejącymi współczesnymi grobami a w tym samym czasie mała koparka zdejmowała warstwy ziemi z alejki prowadzącej do pomnika. W pewnej chwili operator sprzętu natrafił na zarysy trumien.

Te zarysy okazały się tak zwanymi „pół trumnami”, czyli skrzynkami pozbawionymi wiek. W takich pół trumnach chowano więźniów, którzy zmarli lub zostali zamordowani w więzieniach komunistycznych.

- Nie wierzyłem, że „Inka” mogła być pochowana w ten sposób – wspomina ten moment pracujący wówczas na cmentarzu Robert. - Sądziłem, że została bezładnie wrzucona do jakiegoś dołu. Okazało się jednak, że spośród czterech szkieletów jeden należy do kobiety, wówczas pojawił się cień nadziei. Dodatkowo szkielet posiadał damskie pantofelki i... wtedy pomyślałem, że może mamy „Inkę”.

Czaszka była w kawałkach i nie było widać, czy był to naturalny stan rozkładu, czy też nie. Następnego dnia szkielet został oczyszczony i ułożony na stole sekcyjnym, po oględzinach dokonanych przez patologów okazało się, że kobieta ma przestrzeloną głowę. Dodatkowo lekarz stwierdził, że w tylnej części czaszki nieżyjącej znajdował się niewyróżniony mleczny ząb, ofiara zatem musiała być bardzo młoda – ok. 17-letnia. W ziemi obok dziewczyny spoczywały szczątki mężczyzny w średnim wieku, a wiadomo, że Feliks Selmanowicz „Zagończyk”, stracony razem z „Inką” miał 42 lata. Prawdopodobieństwo odkrycia tych osób stało się bardzo duże.

Oczywiście zanim nie zostaną przeprowadzone badania DNA, nie jest możliwe podanie tożsamości odnalezionych osób. Prawdopodobieństwo, że odnalezione szkielety są szczątkami Siedzikówny i Selmanowicza jest jednak dosyć duże, ponieważ „Inka” była jedyną rozstrzelaną w Gdańsku kobietą.

Przyznam, że informacje o poszukiwaniach a następnie odkrycie kobiecego, a w zasadzie dziewczęcego szkieletu, zrobiło na mnie ogromne wrażenie. Z „Inką” jestem związana emocjonalnie przez jej miejsce urodzenia, bo była tak jak ja, Podlasianka. Danuta Siedzikówna „Inka” urodziła się w 1928 r. w Guszczewinie pod Narewką w bardzo patriotycznej rodzinie – jej ojciec Waclaw był zesłańcem, który z Syberii powrócił dopiero 1926 r. Po wkroczeniu Rosjan na wschodnie tereny Polski, w tym na Białostoczczyznę i do Narewki, NKWD aresztowało Waclawa Siedzika, który ostatecznie trafił ponownie na Sybir. Matka - Eugenia zaangażowana była w działalność podziemną. Po wybuchu wojny między Niemcami a Rosją działała w Armii Krajowej, niestety, Komitet Narodowy Białoruski, który prężnie działał w powiecie bielskopodlaskim doniósł na panią Eugenię do Gestapo. Kobieta została aresz-

towana i stracona w jednej z masowych egzekucji, prawdopodobnie pod Białymstokiem. Trójka dzieci wraz z babcią pozostała w Narewce, dwie siostry - Danusia i Wiesia wstąpiły do Armii Krajowej. Dziewczyny miały kilkanaście lat, Danką liczyła jedynie 15 wiosen, Wiesława była o rok starsza. Młody wiek nie był tu przeszkodą, dziewczynki wychowane w rodzinie o patriotycznym nastawieniu nie musiały długo się zastanawiać nad tym, czy służyć ojczyźnie. Warto także zdawać sobie sprawę z sytuacji jaka panowała wówczas w Narewce i okolicach.

Po okupacji sowieckiej w latach 1939-1941 przyszła kolej na okupację niemiecką. Charakterystyczne dla tej pierwszej okupacji było to, że mniejszość narodowa zamieszkująca tamte tereny była silnie skomunizowana i w chwili wkroczenia obcych wojsk do Polski, rozpoczęła współpracę z najeźdźcą. Białorusini tworzyli komitety rewolucyjne i „mścili się” na polskich sąsiadach pomagając przy wywózkach na Syberię oraz szpiegując i donosząc o każdym zaobserwowanym propolskim zachowaniu mieszkańców tych terenów. Po okresie wysługiwania się Rosjanom, po wkroczeniu Niemców wielu z tych działaczy zostało zamordowanych przez Gestapo, byli jednak i tacy, którzy w nowej okupacji upatrywali dla siebie kolejnej szansy. Po powstaniu Komitetu Narodowego Białoruskiego, którego koła znajdowały się między innymi w Narewce, Hajnówce i Białowieży, członkowie tego Komitetu rozpoczęli współpracę z Niemcami. Burmistrzem Narewki został członek KNB - Piotr Kabac, ten sam który później, w 1944 r. tworzył zręby władzy ludowej i był sekretarzem



Prace przy ekshumacji w Gdańsku, fot. M. Chmieleńska-Jamroz

Urzędu Gminy Narewka. Tego człowieka, który przyczynił się do aresztowania Eugenii Siedzik, kilka miesięcy później rozstrzelał oddział 5 Wileńskiej Brygady Armii Krajowej, który wkroczył do „wolnej” już Narewki, aby wykonać wyrok na tym i innych konfidentach sowieckich i niemieckich z czasów obu okupacji.

Wracając jednak do „Inki” - dziewczyna dotrwała do zakończenia działań wojennych i w 1944 r. pracowała w nadleśnictwie jako kancelistka. Pewnego dnia pod zarzutem współpracy z podziemiem niepodległościowym wraz z innymi pracownikami została aresztowana przez NKWD i UB, w drodze grupa aresztowanych została odbita przez oddział partyzancki i Danką nie mając do czego wracać, pozostała w oddziale. Przyjęła pseudonim „Inka”, który nawiązywał do jej przyjaciółki z lat dziecięcych. W ten sposób Danką została sanitariuszką w oddziale – najpierw Stanisława Wołoncija „Konusa”, później Mariana Plucińskiego „Mścisława” i wreszcie Zdzisława Badochy „Żelaznego”.

W 1945 r. starała się wrócić do życia cywilnego, jednak po pewnym czasie ponownie trafiła do lasu. I ponownie przydzielono ją do szwadronu „Żelaznego”. Zdzisław Badocha „Żelazny” jest zapewne dobrze znany w powiecie sztumskim, ponieważ to tu dochodziło do jego potyczek z siłami UB i MO. 10 czerwca 1946 r. „Inka” uczestniczyła w potyczce w Tullicach – choć wielu chciałoby inaczej, to dziewczyna była jedynie sanitariuszką i pomogła nie tylko swoim, ale też rannemu funkcjonariuszowi UB. Później zdarzenie to oraz fałszywe zeznania funkcjonariuszy ze Sztumu przyczyniły się do skazania jej na karę śmierci. Mimo młodego wieku i ciężkiego śledztwa nie załamała się i nie poprosiła komunistycznego przywódcy państwa, prezydenta Bolesława Bieruta o łaskę. Wyrok wykonano 28 sierpnia 1946 r. Wraz z nią zastrzelono innego żołnierza majora Zygmunta Szendzielarza „Łupaszki” - Feliksa Selmanowicza „Zagończyka”.

Poszukiwania na Cmentarzu Garnizonowym w Gdańsku zostały zakończone po niespełna dwóch tygodniach, wznowione zostaną wiosną. Przy okazji swego pobytu w Gdańsku, prof. Krzysztof Szwagrzyk na podstawie zdjęć i wstępnej zgody właścicieli terenu, zdecydował o możliwych badaniach georadarem wokół siedziby dawnego Urzędu Bezpieczeństwa w Sztumie. Być może te badania pozwolą ustalić miejsce pochówku dowódcy „Inki” - Zdzisława Badochy „Żelaznego”.

Emil Klingenberg

SENTYMENTALNE ODWIEDZINY

Działo się to w Sztumie, a dokładnie – w Sztumskiej Wsi. 20 września 2014 roku otrzymałem telefon z Brazylii. Zadzwoiła Pani Annemarie Dorseft. Mówiła po niemiecku. Zapytała, jakie ja znam języki. Powiedziałem, że polski i niemiecki. Ona powiedziała, że zna trzy: niemiecki, angielski i portugalski. Zapytała mnie też, czy znam miejscowości Lichtfelde i Brodsende. Odpowiedziałem, że znam i że po polsku nazywają się: Jasna i Brudzeny. Odparła, że chciałaby jeszcze raz te miejscowości zobaczyć. 83 lata temu, jako 10-letnia dziewczynka była w Jasnej u swoich dziadków. Oznajmiła mi też, że ma w tej chwili 93 lata, bardzo dobrze się czuje i w październiku chciałaby przyjechać do Sztumu. Dwa dni później zadzwoniła z informacją, że kupiła bilet na samolot z Brazylii do Frankfurtu nad Menem w Niemczech, stamtąd przyjedzie razem z córką pociągiem do Gdańska. Jak powiedziała, tak też zrobiła i 10 października przyjechały. Odebrałem je z dworca. Wcześniej, gdy pytałem, jak je poznam, odparła, że mam wypatrywać dwóch blondynek w okularach, jedna będzie z laską. Nie miałem żadnych problemów.



Emil Klingenberg z gośćmi z Brazylii, fot. archiwum autora

Pierwszego dnia objechaliśmy powiat sztumski, odwiedziliśmy Jasną i Brudzenty, które kiedyś należały do powiatu sztumskiego, obecnie leżą w powiecie elbląskim.

Pani Annemarie mówiła, że dziadkowie mieszkali w Jasnej na wybudowaniu, mowa kiedyś była o jakiejś górze. Odwiedziliśmy wieś, kościół i cmentarz. Spotkaliśmy jakąś starszą panią, której przedstawiłem moich gości. Kobieta ta od razu wskazała nam, gdzie znajduje się owa górka. Przy szosie z Budziszyna do Jasnej jest kilka gospodarstw, kiedyś podobno było pięć, teraz są trzy. Miejsce to nazywane jest Kamienną Górką – kiedyś na pewno Steinberg.

W Brudzentach nie mogła sobie przypomnieć, w którym miejscu jej krewni mieszkali. Mówiła, że przyjeżdżali tam pociągiem, do miejscowości Stare Dolno.

Potem byliśmy w Dzierzgoniu i na cmentarzach menonickich w Montowie i Barcicach. Pani Annemarie opowiadała, że w Brazylii, tam, gdzie mieszka, jest dużo rodzin menonickich z dawnego powiatu sztumskiego. Miasto, które obecnie zamieszkują nazwali Pomieren, od naszego Pomorza.

Następnego dnia pojechałem z nimi do Sopotu, bo kiedyś mieszkała tam jej ciocia, u której Annemarie była również 83 lata temu. Pamiętała molo. Przeszła je teraz całe, od początku do końca. Wspominała, że ciocia mieszkała niedaleko od morza, w kierunku Gdańska. Poszliśmy więc nad morzem, w kierunku Gdańska. Pamiętała, że ulicę, przy której stał dom cioci, kończyły szerokie schody zabezpieczone barierą. Okazało się, że dom stoi przy ulicy Lipowej i – jak niegdyś, tyle, że wtedy przy ulicy Szwedzkiej – opatrzony jest numerem 11. Płakała ze wzruszenia, że może oglądać to jeszcze raz, po tylu latach.

Trzeciego dnia do wieczora zwiedzaliśmy Gdańska i Tczew. Annemarie jest bardzo dokładna, nie spieszyła się zwiedzając wiele katolickich kościołów, choć jest ewangeliczką. To bardzo pobożna osoba.

Czwarty dzień spędziliśmy na zamku w Malborku.

Piątego odwiedziliśmy Krynicę Morską i Frombork. Stała nad Zalewem i zastanawiała się nad tym, o czym i ja często myślę: w styczniu 1945 roku Zalew był tak głęboko zamrznięty, że ludzie wozami zaprzężonymi w konie mogli przejechać aż do Mierzei, a stamtąd byli ładowani na statki i przewożeni najczęściej do Danii.

Dzień szósty to zwiedzanie sztumskiego muzeum i wizyta na cmentarzach menonickich w Stogach i Białej Górze.

Wreszcie siódmego dnia rano zawiozłem obie panie na dworzec w Tczewie, skąd odjechały przez Berlin do Frankfurtu nad Menem. Dwa dni później zadzwoniła z Brazylii, że szczęśliwie wróciła do domu.

TROCĘ O ŻYCIU ANNEMARIE

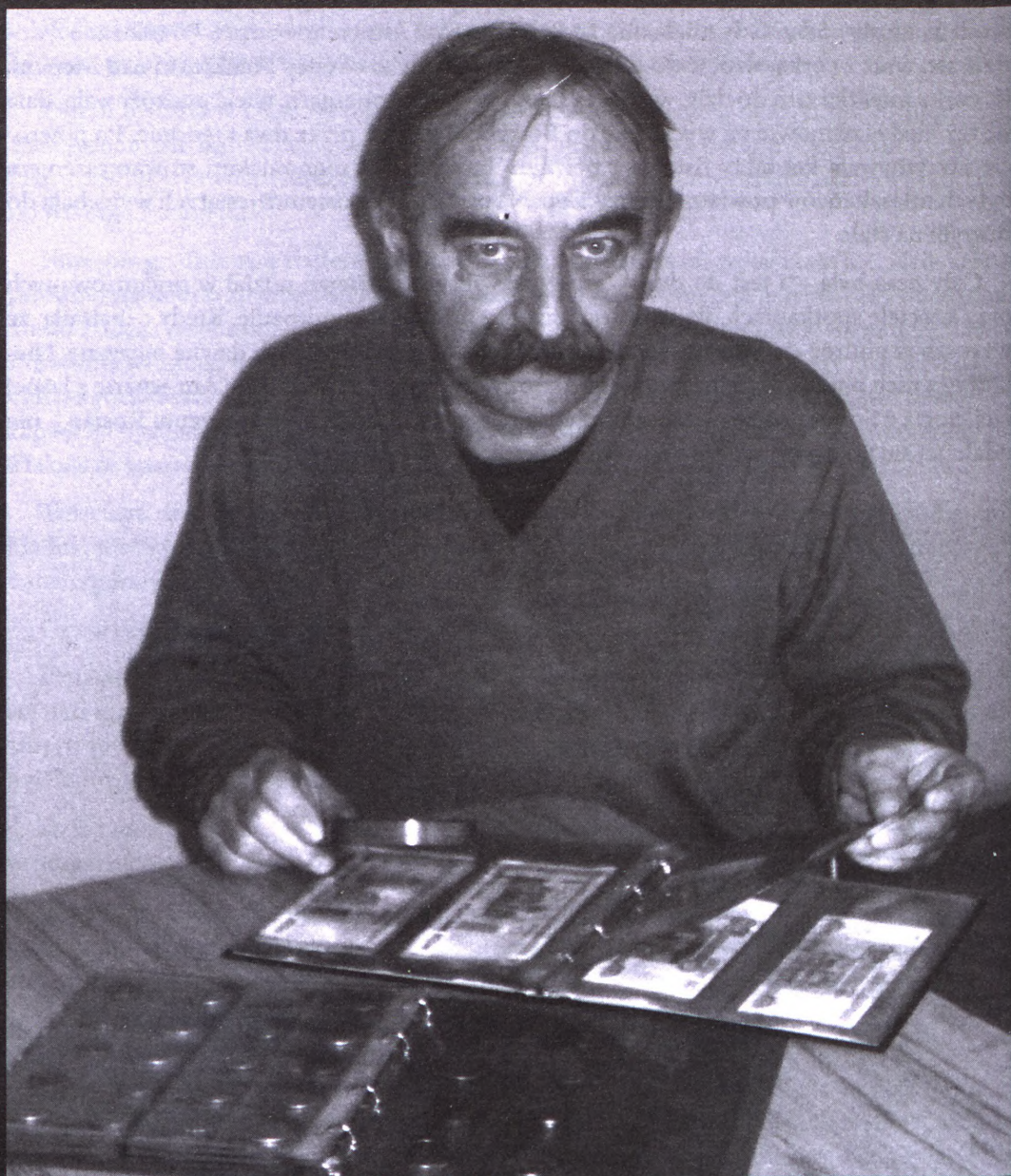
Jej matka pochodziła z Jasnej (powiat sztumski), w 1918 roku wyszła za mąż. Jej mąż pochodził z Brudzent Małych (dawniej również powiat sztumski). Dostał pracę w Berlinie i tam się przeprowadzili. Tam, w 1921 roku urodziła się Annemarie. Z rodziną mieszkała tam do czasów II wojny światowej. Jej ojciec jako żołnierz zginął w 1942 roku. Ona sama

zdała maturę, ale w 1942 roku nie mogła studiować. Pracowała jako pielęgniarka w szpitalu w Berlinie. Tam, wśród rannych żołnierzy poznała swojego przyszłego męża. Najpierw, po odzyskaniu zdrowia musiał znowu jechać na front, za pół roku przyjechał na urlop i wtedy wzięli ślub. Jej matka chorowała już wtedy. Zmarła w 1944 roku. Została sama, mąż, który wyjechał na front wschodni, nigdy już stamtąd nie wrócił. Po wojnie ta część Berlina, w której mieszkała, znalazła się w NRD. W 1947 roku razem z koleżankami Annemarie uciekła pod drutami do Berlina Zachodniego. Stamtąd wyjechała do Anglii, gdzie pracowała w szpitalu. Tam poznała starszego od siebie o 10 lat Anglika, za którego wyszła za mąż. Wkrótce urodziła im się córka. Gdy miała ona 18 lat, drugi mąż Annemarie zmarł. Po roku zdecydowała się, wraz z córką, wrócić do Niemiec. Zamieszkały w okolicy Frankfurtu nad Menem. Jej córka mieszka tam do dziś, wyszła za mąż, ma syna. Annemarie wiele podróżowała, dała się też kiedyś namówić na wycieczkę do Brazylii. Była tam przez dwa tygodnie. Po powrocie utrzymywała kontakty listowe z pewnym brazylijskim menonickim stowarzyszeniem byłych mieszkańców powiatu sztumskiego. Na początku lat osiemdziesiątych wyjechała do Brazylii na stałe.

Cały czas była – i jest do dziś – niezwykle aktywna. Bierze udział w organizowanych przy kościele spotkaniach dla seniorów, razem z nimi wiele podróżuje. Kiedy oznajmiła, że wyruszy w podróż do Sztumu, jej znajomi prosili, by pozdrowiła ich dawną ojczyznę. Niektórzy z nich pragnę również swoje stare strony odwiedzić. Dziadkowie Annemarie z Jasnej i jej ciocia z Sopotu najprawdopodobniej zginęli w 1945 roku, po wkroczeniu Rosjan – nie udało jej się nikogo odnaleźć po wojnie.

Marta Chmielińska-Jamroz

ZBIGNIEW CEMPA – PASJONAT Z MIKOŁAJEK



Zbigniew Cempa przy swoich zbiorach, fot. M. Chmielińska-Jamroz

O tym, że „prowincja” jest w każdym z nas, przekonuję się dość często, i o tym jeszcze, że my jesteśmy częścią niej samej. Prowincjonalni artyści czy działacze to wcale nie gorsi bracia i siostry tych nieprowincjonalnych, „miastowych” żyjących w metropoliach, lecz cenne osobowości nieskażone wielkomiejską chorobą. Być może zachwyty nad tymi ludźmi bierze się z pewnego porozumienia dusz, bo i ja wszak pochodzę z prowincji...

Dziś zatem opowiem o prowincjonalnym artyście, muzyku i kolekcjonerze – Zbigniewie Cempa z Mikołajek Pomorskich. Zbyszka poznałam w Gminnym Ośrodku Kultury w Mikołajkach Pomorskich, uczy tam śpiewu i gry na gitarze. Już przy pierwszym kontakcie widać, że muzyka to jego życie. Z takim samym entuzjazmem podchodzi do lekcji gry na gitarze, które prowadzi, jak i do pokazania dziewczynce prawidłowego układu rąk na flecie. Ale muzykiem wcale nie miał być.

MATURA Z PLASTYKI

Zbyszek Cempa jest absolwentem Liceum Ogólnokształcącego w Sztumie. Jak wspomina, dodatkowym przedmiotem na maturze, który wybrał, była plastyka. Myli się jednak ten, kto myśli, że wystarczy namalować jakąś pracę na ocenę – egzamin obejmował jedynie teorię z dziedziny sztuki i historii sztuki. Zbyszek po trzech latach nauki tego przedmiotu i wielkich zdolnościach do rysunków, wybrał właśnie ten przedmiot.

- Do dziś bardzo miło wspominam nauczycieli ze szkoły średniej i sam ogólniak – mówi Zbigniew Cempa. - Nauczycielka polskiego, pani Suchodolska zaszczerpiła we mnie miłość do teatru i sztuki, no i oczywiście pan Gerard Zasadzki, który uczył nas plastyki.

Z MUZYKĄ W SERCU I DUSZY

Po zdanej maturze na Akademię Sztuk Pięknych nie poszedł. Gdy się ma 19 lat, nie zawsze podejmuje się dobre decyzje, poza tym na ASP dostać się było dość trudno. Wybiera zatem zupełnie inny zawód – będzie optykiem. Ze śmiechem przyznaje, że powód, dla którego wybrał tę szkołę, był prosty – w Katowicach, gdzie mieściła się placówka, odbywały się wówczas najlepsze koncerty. Bo właśnie muzyka jest jego wielką pasją, ma też do niej serce, a ona odwzajemnia się tym samym. Zbyszek zatem gra, choć robił to już wcześniej, bo w liceum w Sztumie już grał w różnych zespołach, zawsze jednak w podziemiu. Młody Cempa wybiera studium policealne i tam jego kontakt z muzyką rozwija się na dobre.

- Chciałem grać tak jak „czarni”, jak najlepsi – mówi Zbigniew Cempa. - Stypendium, które otrzymywałem za dobrą naukę przeznaczałem na płyty z muzyką rockową. W Katowicach był taki rynek, gdzie można było kupić niemal wszystko. Śląsk był zagłębiem muzycznym, to mnie fascynowało, spotkałem wielu wspaniałych ludzi myślących podobnie jak ja.

Były lata 80., podobnie jak w całym kraju, tak i w Katowicach niezwykle popularne były koncerty w klubach, które kończyły wspólne muzykowanie - jam session. Zbyszek również próbował swoich sił i szło mu całkiem nieźle. Nieustannie ćwiczył i grał.

ZAMIAST DOBIERANIA OKULARÓW

Po powrocie w rodzinne strony bezskutecznie szukał pracy w wyuczonym zawodzie. Został zatrudniony w Kołozębieniu do pracy z dziećmi uczęszczającymi do Specjalnego Ośrodka

Szkolno- Wychowawczego, jego rolą była opieka nad uczniami po zajęciach. Oficjalnie jako kierownik internatu grał i uczył dzieciaki. Widział się w tej pracy, poczuł, że praca z dziećmi i młodzieżą może być jakimś spełnieniem. Przekwalifikował się więc i uzupełnił wykształcenie w kierunku pedagogicznym i muzycznym. Po powrocie z dwuletniej służby wojskowej rozpoczął pracę w szkole w Cieszymowie. Przepracował z dziećmi pięć i pół roku, niestety, z powodu problemów zdrowotnych zmuszony był odejść z pracy. Dostał rentę i reperował swoje zdrowie muzyką. Społecznie opiekował się młodymi zespołami z Mikołajek Pomorskich, pomagał im grać, doradzał i uczył. Później rozpoczął pracę instruktora w Gminnym Ośrodku Kultury. Początkowo uczył plastyki i gry na gitarze, jednak to właśnie muzyka była jego pasją i ostatecznie jedynie tą dziedziną się zajmuje. Dzieci, które uczy występują na uroczystościach, śpiewają i występują w kiluosobowym zespole gitarzystek klasycznych. Ponadto do zadań Zbyszka Cempy należy opieka nad zespołami rockowymi - ma ich klika, uczy i jednocześnie sam gra i to na wielu instrumentach.

MONETY ZBIERA OD PONAD 30 LAT

Kolejną pasją Zbigniewa Cempy są monety, kolekcjonuje je od ponad 30 lat. Pokazuje mi albumy pełne metalowych krążków, monety są współczesne i stare ułożone państwami, z których zostały przywiezione. Ani jednej z nich nie kupił, wszystkie zostały mu sprezentowane lub wymienił się z innymi kolekcjonerami.

- Nie sztuką jest wejść w internet i kupić sobie tę, czy inna monetę – mówi Zbyszek. - Nie o to jednak chodzi. Mam monety większości krajów świata ale oczywiście brakuje mi trochę.

Wszystkim znajomym przypomina, że jeśli będą mieli możliwość to prosi o przywiezienie monety z tego czy innego kraju, czasami angażuje w to rodziny i znajomych. Osoby, które same mają pasje wiedzą, jak wiele znaczy dla kolekcjonera kolejny egzemplarz do kolekcji.

- Niektórzy pewnie myślą o mnie, że jestem wariatem, ale to moja pasja – komentuje Cempa. - Proszę znajomych marynarzy, mam zaprzyjaźnionych uczniów, którzy wyjeżdżają zagranicę lub wyprowadzili się albo mają rodziny gdzieś daleko. Ostatnio też otrzymałem prezent od Krzysztofa Nowackiego, podróżnika z Malborka, który zwiedza świat rowerem. Podarował mi monetę z Jordanii i sprawił mi wielką radość, bo żadnej stamtąd nie miałem.

Wszystko zaczęło się od znalezionej przypadkiem monety pochodzącej z Brazylii, mały Zbyszek uczęszczający wówczas do szkoły podstawowej, znalazł ją i próbował oczyścić.

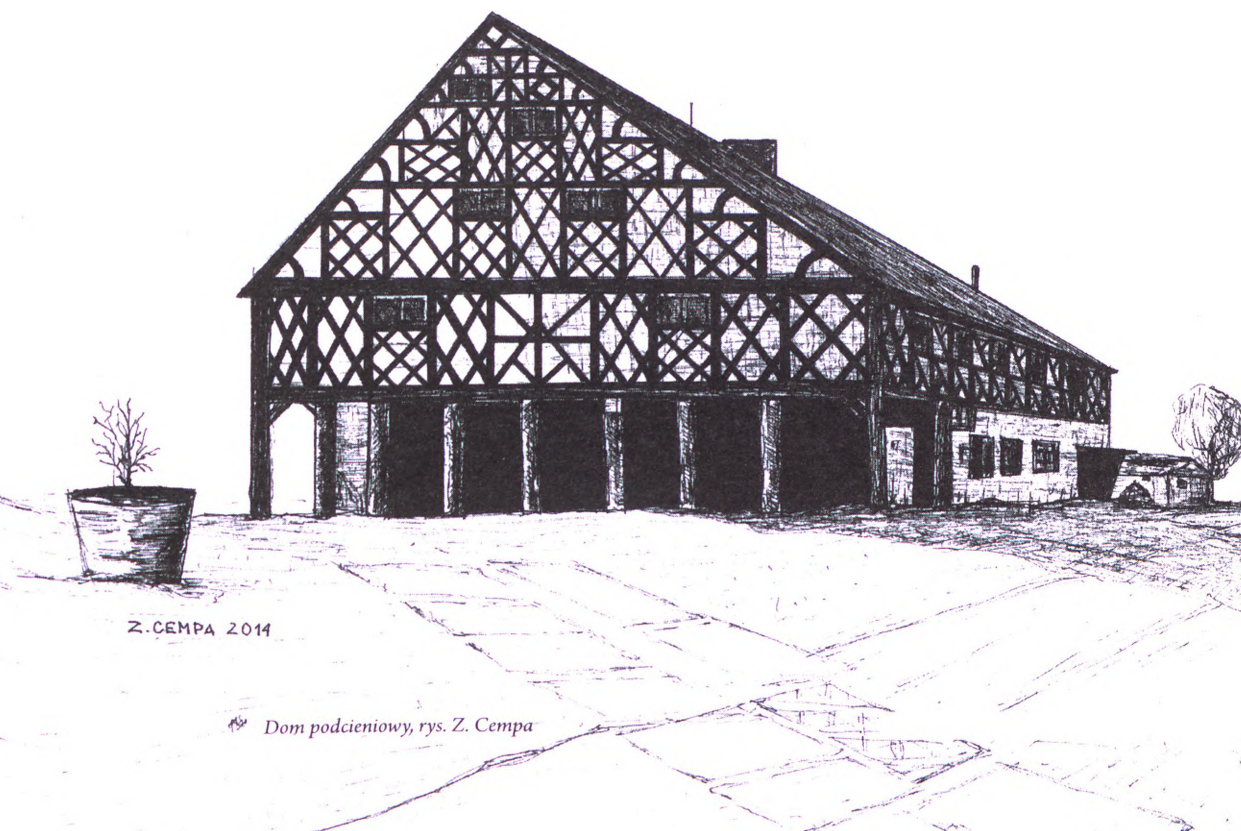
- Robiłem to papierem ściernym – wspomina dorosły Zbigniew. - To było głupie, ale wówczas tego nie wiedziałem. Bardzo chciałem wiedzieć, co to za pieniądz i gdy wyłonił się napis Brasil, nie wiedziałem nawet, gdzie to państwo leży. Zawsze jednak byłem dociekliwy i zacząłem poszukiwać informacji na ten temat, chciałem wiedzieć wszystko! Gdzie ten kraj leży, kto tam mieszka i jak wyglądają ludzie. Było to fascynujące, a pamiętajmy, że w latach 70-tych nie było łatwo o taką wiedzę. Myślę, że to właśnie wtedy połknąłem bakcyli, i tak trwa to do dziś.

Pasja kolekcjonerska to nie tylko dokładanie do albumów kolejnych egzemplarzy, zbieracz musi być na bieżąco ze zmianami politycznymi, gospodarczymi i orientować się świetnie w geografii. Zbyszek jednym tchem wymienia państewka w Oceanii, których nie ma w swoich zbiorach – Tonga, Palau, Vanuatu, Tuvalu, Kiribati - wielu z nich nie umiem powtórzyć. On zna nie tylko ich nazwy ale też system monetarny, historię i mennice, w których bije się pieniądze. O monetach Stanów Zjednoczonych również opowiada bez zająknięcia się, o różnych mennicach, wzorach i nowościach. Podobnie o innych krajach.

- Widzi pani tę pięciogroszówkę? To międzywojenna Polska, jedna z nich jest bardziej miedziana druga jakby mosiężna. Ta pierwsza bita była w Bazylei i pochodzi z 1923 roku - tłumaczy. - Albo tu. Trzy pensy, które pokazują, że w Anglii kiedyś był system szóstkowy. A z kolei w Szwajcarii, gdzie kraj jest bardzo stabilny monety nie zmieniły się od wojny.

Najcenniejszą i najstarszą w kolekcji Cempa jest francuska moneta z 1786 roku, prezentująca Ludwika VI. Egzotyczne pieniądze to również bariera językowa, jak bowiem rozszyfrować datę i nominał na monecie arabskiej, chińskiej czy japońskiej?

Zbigniew Cempa nie używa komputera, nie ma internetu i wszystkiego dowiaduje się z książek. Studiuje prasę i publikacje numizmatyczne, poszukuje wiedzy w książkach o kulturze chińskiej, islamskiej i innych, poznaje historię pieniądza i świata. No i oczywiście, jest na bieżąco z polityczną mapą świata, bo zmiany wciąż zachodzą i zmieniają się również pieniądze.



Dom podcieniowy, rys. Z. Cempa

A JEDNAK SZTUKA

Niektórym trudno jest pogodzić więcej niż jedną pasję, jednak Zbyszek Cempa jest przykładem tego, że można „łapać kilka srok za jeden ogon” i nieźle sobie z tym radzić. Poza muzyką i monetami trzecią pasją Cempy jest bowiem sztuka. Jak już wspominałam o ASP nie mógł myśleć, późniejszy zawód również był bardzo daleki od zamiłowań, jednak artysta wciąż drzemał w Cempie. Najpierw pomagał innym uczniom z klasy w wykonywaniu rysunków na ocenę, później rysował od czasu do czasu. W okresie pracy w Cieszymowie rozpoczął pracę z drewnem i jego rzeźby cieszyły się sporym zainteresowaniem.

- Wiele z nich pojechało do Niemiec – opowiada artysta. - Moje prace są również w USA, RPA, w Norwegii, Litwie i oczywiście w Polsce. Wykonałem między innymi Madonnę z Chrystusem, kapliczki, głowę Chrystusa i inne płaskorzeźby dla kościołów i kaplic. Pamiętam szczególnie pracę na głowę papieża metrowej wysokości, przygotowywałem ją z niewielkiego obrazka dostarczonego przez zamawiającego.

Poza płaskorzeźbami Zbigniew Cempa rzeźbi bębny – to połączenie obu pasji przynosi doskonale efekty, z których korzystają zespoły muzyczne, między innymi Zdrowa Woda, muzyk związany jest z Dzemem i malborską Etna.

ŻUŁAWY W KRESCE

Ściany w Gminnym Ośrodku Kultury w Mikołajkach Pomorskich zdobi wystawa „Ocalić od zapomnienia” prezentująca Mikołajki sprzed lat. Prace wykonał Zbigniew Cempa posługując się starymi zdjęciami dostarczonymi przez mieszkańców oraz tymi, które sam posiada. Nietypowa kreska, ciekawy sposób rysowania przyciąga uwagę osób, które pojawiają się w GOK-u. Mikołajki to rodzinna miejscowość Cempy, tu się urodził i mieszka wraz z rodziną. Ostatnio pracował także nad serią rysunków prezentujących Żuławy, część z kilkudziesięciu obrazków można obejrzeć w mikołajskiej Bibliotece Gminnej.

- W Żuławach urzeka mnie niepowtarzalność - mówi Zbigniew Cempa. - Każdy dom mimo tego, że wszystkie są podobne, jest inny. Zauważyłem te szczegóły dopiero, gdy rysowałem. Belki są różnie ułożone, detale konstrukcyjne, które nie są widoczne na pierwszy rzut oka. Zawsze interesowałem się historią tych ziem i menonitami a teraz odkrywam to na nowo.

Jak często bywało, tak i teraz Cempa rysował ze zdjęć. Korzystał z fotografii Karoliny Manikowskiej i Tomka Wąsika zamieszczonych w przewodniku „Żuławy rowerem” ich autorstwa. W ten sposób powstały rysunki domów podcieniowych w Kleciu, Świerkach, Orłowie oraz cippusy i stele z menonickich cmentarzy.

Miłość do rodzinnych stron zaowocowała także opowieścią o dziecięcych i młodzieżowych zespołach działających w Mikołajkach Pomorskich.

- Aż trudno uwierzyć, że minęło już 30 lat, odkąd pierwszy dziecięcy zespół dał koncert – mówi pan Zbyszek. - Napisałem o tym i historia ta znajdzie się w kolejnym tomie książki o Mikołajkach Pomorskich przygotowywanej przez ks. Karczewskiego.

Wspomniana książka będzie trzecim tomem opowieści o tej malowniczej miejscowości i prezentować będzie powojenne dzieje Mikołajek.

Piotr Piesik

NIGDY NIE JEST ZA PÓŹNO

ROZMOWA Z ANDRZEJEM PODOLSKIM, PASJONATEM
KONI I WĘDRÓWEK ROWEROWYCH



Andrzej Podolski (z prawej) przy Ścianie Placzu w Jerozolimie, fot. archiwum rodzinne

Tym, co robi, można byłoby obdzielić kilka osób. Biega, jeździ konno, podróżuje rowerem, jeździ na nartach, żegluj, pasjonuje się historią, przemierza górskie szlaki. Wkrótce zamierza skoczyć ze spadochronem. To wszystko w wieku, w którym niejeden mężczyzna przesiaduje godzinami w fotelu, zakładając miękkie kapcie. Andrzej Podolski jest tego stereotypu znakomitym przeciwieństwem. Mieszka w Sztumie.

Piotr Piesik - Jak starcza Panu na to wszystko czasu?

Andrzej Podolski - Wie Pan, dokopałem się kiedyś do dokumentów, podających że mój dziadek od strony mamy był członkiem PPS Frakcja Rewolucyjna. Organizacja słynna z niekonwencjonalnych poczynań, można powiedzieć - dynamiczna. Dziadek był skazany na Sybir, uciekł stamtąd aż do Ameryki. Taki niespokojny duch, pewnie coś po nim odziedziczyłem (śmiech).

Wystarczy trochę dobrej woli, chęci, może odpowiedniej organizacji... Tak naprawdę zacząłem swoją aktywność - bo tak to nazwę - 'dość późno. Chociaż pewnie początki biorą się przed wielu laty, kiedy jeszcze pracowałem w sztumskim „Pomocie” i organizowaliśmy tak zwane wyjazdy specjalistyczne. Odwiedzaliśmy najbardziej nowoczesne fabryki w Polsce, przyglądaliśmy się, jak pracują, przy okazji zwiedzaliśmy cały kraj. Do tego wycieczki, turystyczne rajdy samochodowe. Ale to się kiedyś skończyło, pochłonęły mnie sprawy zawodowe, prowadzenie własnej firmy. Kiedy tak patrzę wstecz, myślę że decydujące było zainteresowanie się konikami, miałem wtedy 36 lat i to mi pozostało do dziś.



Andrzej Podolski (w środku) z flagą Sztumu w Rzymie, fot. archiwum

Od tego dość daleko jeszcze do podróży konnych po kraju, rajdu konnego do Watykanu czy rowerowego do Ziemi Świętej?

- Tak, ale od czegoś trzeba było zacząć (śmiech). Konie to moja pasja do dziś, nigdy się jej nie wyzbędę. Zawsze interesowałem się też historią i wojskowością. Całkiem poważnie widziałem siebie w mundurze i niewiele brakowało, bym został zawodowym wojskowym. Tak się nie stało, zająłem się mechaniką i produkcją, lecz do munduru nadal mam sentyment. Z tego powodu brałem udział w wielu rajdach konnych, między innymi na pole bitwy pod Krojantami. Bardzo jestem dumny z przyznania odznaki 18 Pułku Ułanów Pomorskich, który wziął udział w słynnej szarży we wrześniu 1939 roku. W tym samym miejscu byłem konno.

Nie kusilo Pana nigdy uprawianie sportu jeździeckiego?

- Kiedy siada się po raz pierwszy na wierzchowca w wieku 36 lat to jakieś trzydzieści wiosen za późno, aby zająć się tym wyczynowo. Nie, dla mnie to przyjemność i pasja, nie sport. Owszem, wymaga to nieraz wysiłku i daje po ludzku w kość. Z drugiej strony pozwala zwiedzić kawał świata i wziąć udział w fantastycznych wydarzeniach. W 2000 roku pojechałem konno z Gniezna do Szprotawy przy okazji jubileuszu zjazdu gnieźnieńskiego z roku tysięcznego. Całe Bieszczady zjeździłem na konikach huculskich i naprawdę te piękne stroje całkiem inaczej wyglądają. Konno jeździłem nie tylko pod wspomniane Krojanty, ale również na pole bitwy pod Grunwaldem. Teraz rzadziej to robię, ponieważ obchody tych słynnych wydarzeń uległy komercjalizacji, nie ma już tej atmosfery co kiedyś.

Niezapomnianym wydarzeniem musiał być konny rajd do Watykanu, kiedy papieża Jana Pawła II wyniesiono na ołtarze?

- To prawda. Dzięki współpracy z wieloma przyjaciółmi zorganizowaliśmy grupę ludzi, którzy wyruszyli z Bratiana przez Częstochowę aż do Rzymu. Konno, aczkolwiek z odpowiednim zapleczem logistycznym. Jeden z kolegów jechał w stroju lisowczyka, inny huzara, jeszcze inny kościuszkowca czy ułana. Ja zabrałem szlachecką tradycyjną delię i żupan - strój polskiego szlachcica sporządzony według wszystkich reguł epoki. Nie liczyliśmy zrazu na to, że uda nam się dojechać konno do samego Rzymu, ale nikt nas nie zatrzymywał, wręcz przeciwnie. Ludzie na trasie traktowali nas niezwykle przyjaźnie, no i tak jechaliśmy coraz dalej. Dotarliśmy do samych granic Watykanu, wszędzie przyjmowani bardzo sympatycznie.

Jazda konna nie ustępuje innej pasji - podróżom rowerowym?

- Staram się godzić jedno i drugie. Kiedyś całkiem przypadkowo Krzysztof Skok, znany podróżnik, namówił mnie na wspólny wyjazd rowerowy do Ziemi Świętej. Przekonałem się, że to jest możliwe nawet bez specjalnego treningu przed wyprawą! Przejechaliśmy Europę, dotarliśmy do Jerozolimy. Bez żadnych nieciekawych zdarzeń, za to poznając po drodze kulturę innych narodów, świetnych i sympatycznych ludzi. Owszem, wymaga to pewnego przygotowania organizacyjnego, ale naprawdę każdy może podobnej wyprawy spróbować. Może do Ziemi Świętej nie teraz, kiedy na Bliskim Wschodzie trwa konflikt, ale w otaczającym nas świecie nie brakuje wspaniałych miejsc, które warto odwiedzić.

mopoczucie psychiczne o wiele lepsze. Największą wartość przynosi robienie w życiu tego, co się lubi.

Nigdy na trasie rajdu konnego czy rowerowego nie miał Pan myśli „po co mi to było” i chęci rzucenia wszystkiego, powrotu do domu?

- Dwa razy podczas podróży padłem bez sił, najbardziej pamiętam takie zdarzenie w Turcji. Pomyślałem wtedy jedynie, że szybko muszę uzupełnić pożywienie, żalu z wyjazdu nie miałem nigdy. Jechałem rowerem w temperaturze ponad 50 stopni Celsjusza, z prędkością powyżej 70 km/godz. Za to obejrzałem na własne oczy słynne, historyczne miejsca. Tego mi nikt nie odbierze. Oczywiście nikt nie robi się z czasem młodszy, ja również muszę oszczędzać kolana, dlatego rzadziej biegam. Ale nadal żegluję, jeżdżę na nartach a w przyszłym roku chcę zrealizować jeszcze jedno marzenie - skoczyć ze spadochronem.

Pewnie czasem pytają Pana - po co to wszystko?

- Zawsze odpowiadam tak samo - abym miał o czym wnuczce opowiadać!



Andrzej Podolski klęczy przed damą na polach Grunwaldu, fot. archiwum rodzinne

Magdalena Grodecka

KOMU WIĘCEJ PORUCZONO, OD TEGO WIĘCEJ WYMAGAĆ BĘDĄ

Zakładają na siebie trzydziestokilogramowe blachy oraz grube waciaki i chodzą w tym w upale. Walą się po głowach żelastwem i wydają na to całe oszczędności. Jedzą przez kilka dni kaszę z soczewicą ugotowaną nad paleniskiem wyrzekając się pizzy. Myją się pociągając za gruby łańcuch i wylewając na siebie wiadro zimnej wody. Walczą w imię ideałów i miłości. Od dwudziestu lat zgodnie utrzymują, że są zdrowi psychicznie. Czy tysiące ludzi bijących im brawo może się mylić?

OD MUZYKI DO RYCERSTWA

Fascynację historią mamy w sobie jak bezwarunkowy gen? A może kształtuje ją nasze otoczenie? Skąd biorą się tworzący tę historyczną kreację ludzie? To pytania dobre jak te o pierwszeństwo kury przed jajkiem czy genezę pierwszego pasowanego rycerza. W takich niejasnych okolicznościach i z przyczyn, których sami pewnie znają, spadło na ziemię sztumską dwoje



ludzi. Młode małżeństwo, na fali tworzącej się w latach 80. fascynacji wiekami zamierzchłymi, stworzyło osobliwy wówczas projekt. Jola i Arek, jako pełni pasji i zdolności animatorzy kultury, podjęli innowacyjne dzieło stworzenia zespołu muzyki dawnej. Silent Celtic Music szybko wypełnił gatunkową niszę i zespół muzykował obok dwóch wiodących kapel tego nurtu: White Garden, Open Folk czy Yorgi. Razem z Dzikowskimi zespół tworzył ich przyjaciel ze studiów Jacek Bruszkowski. Wieloletnie i liczne koncerty na średniowiecznych zamkach i turniejach rycerskich obudziły w muzykach inny rodzaj fascynacji – prawdziwie silne zainteresowanie średniowieczem w każdym możliwym aspekcie jego doświadczenia. W roku 1994 Arek wyraził chęć przystąpienia do grupy historycznej działającej na zamku gniewskim. Będący już wówczas Kasztelanem Zamku Gniew Jarosław Struczyński, jako przyjaciel entuzjasty, poradził aby ten założył swoją grupę. Ufny w zapał, wiedzę i charyzmę zapalonego do walki sąsiada Jarek, przekazał mu swoją wiedzę, wsparcie i w roku 1995 pasował go na rycerza.

Tak oto z muzyki zrodziła się ogromna pasja. Arek Dzikowski nie przypuszczał jeszcze wtedy, że swoją fascynacją kulturą średniowiecza zarazi tyle ludzi. Wraz z przyjaciółmi ze Sztumu założył grupę, do której, dzięki jego charyzmie i zaangażowaniu członków, dołączyło wielu entuzjastów średniowiecza.

DWADZIEŚCIA LAT PRZEMIAN I JEDNA IDEA

Okres wolności jaki przyniosły lata 90. ubiegłego stulecia umożliwiły w Polsce rozwój Ruchu Rycerskiego (w skrócie RR). Podjęta w latach 80. przez Hetmana Kapituły Rycerstwa Polskiego (KRP) Tadeusza Antoniego Pagińskiego próba zainicjowania RR w Polsce napotkała na opór władzy. Zakładanie podobnych stowarzyszeń było wówczas w naszym kraju zabronione. Próby wydobycia średniowiecznej pasji z głębi serca na praktyczne działania jako pierwsze udały się Zygmunтови Kwiatkowskiemu (Golub-Dobrzyń) i Jarkowi Struczyńskiemu (Gniew). Dodatkowo nobliwą fascynację podsycaly mnożące się filmy osadzone w epoce (adaptacje Robin Hooda czy Fantaghiro). Ich lekka fabuła o zabarwieniu przygodowym, baśniowość i romantyczna osnowa wzbudziły powszechną sympatię. Początkowo wiedza o kulturze materialnej tego okresu była niewielka. Inspiracją były raczej filmy i XIX-wieczne ryciny niż fachowe źródła do studiów nad dziejami epoki. John Collier czy Kevin Costner w jedwabnych rajtkach bardziej przemawiali do wyobraźni miłośników rycerstwa niż publikacje naukowe. Rycerze w początkowej fazie rozwoju RR w Polsce nosili czarne leginsy lub skórzane spodnie, glany i kolorowe tuniki z lumpeksowego aksamitu obszyte złotymi tasiemkami. W dalekim sąsiedztwie pozostawało to do faktycznego wyglądu średniowiecznego społeczeństwa, ale XX-wiecznym rycerzom zabawa ta przynosiła ogrom radości. Raczej mentalnie niż materialnie doświadczano wówczas prób przenoszenia się w średniowieczne realia. Pasowania rycerskie, turnieje, sztuka fechtunku czy obyczaj dworski zajmowały wówczas głowy pasjonatów.

W drugiej połowie lat 90. prekursorzy RR z Hetmanem KRP na czele rozpoczęli spisywanie rycerskiego kodeksu. W wiekach średnich żaden taki spis norm nie istniał, a zasady te towarzyszyły ówczesnym ludziom na zasadzie oczywistej codzienności, prawa zwyczajowego, przyjętego systemu prawideł. Święta Reguła Rycerska – po dwóch latach przygotowań – została podpisana w 1997 roku w Gdańskim Dworze Artusa. Jej mądra i uniwersalna treść jest skarbnicą wiedzy realizującą trudną sztukę życia. Każdy giermek z jej słowami na ustach

kroczy poprzez długą drogę do pasowania rycerskiego. Rycerz wspominając słowa „Komu więcej poruczono, od tego więcej wymagać będą” łatwiej realizuje zadanie bycia przykładem. Ogromna potrzeba rekonstrukcji historycznej wydobyla z archiwów tony źródeł, ukazało się mnóstwo publikacji naukowych podejmujących temat kultury materialnej i obyczajów epoki. Interdyscyplinarność badań naukowych dostarczyła wielu cennych informacji, przełamała stereotypy i nowym, jasnym światłem oświeciła średniowieczny mrok. Wiele publikacji przybliżyło trudne dla laika czytanie źródeł i powstało mnóstwo „czytelnych” danych wyrysowanych przez zbiór takich źródeł jak polichromie, płyty nagrobne, spisy inwentarza, artefakty z badań wykopaliskowych i wiele innych. Historia doświadczalna odpowiedziała na pytania, których nie dostarczały źródła. Tak uzbrojeni w wiedzę rekonstruktorzy doszli już do niemal perfekcji w odtwarzaniu epoki.

Z ŻYCIA BRACHTWA

Bractwo Rycerzy Ziemi Sztumskiej (BRZS) dostało od miasta już na początku możliwość użytkowania kilku pomieszczeń sztumskiego zamku.

- Nasza siedziba wtedy, przez okres tych dwudziestu lat, a także i dziś jest nam niezwykle pomocna – mówi Katarzyna Ciecierska, długoletnia członkini Bractwa i jej Kanclerz – Nie jest możliwe, abyśmy cały sprzęt trzymali w domach. Mamy pomieszczenie gospodarcze wypełnione namiotami historycznymi i ich długimi masztami, paleniskami do gotowania obiadów na kilkudniowych wyjazdach, skrzyniami z naczyńmi stołowymi i kuchennymi, wiadrami,



Sztumscy rycerze przed zamkiem w Malborku, fot. archiwum

lampionami i całą masą rzeczy, które pomagają nam przetrwać trudne warunki obozowe. W innym pomieszczeniu zorganizowaliśmy sobie warsztat, w którym sami produkujemy wiele naszych przedmiotów: robimy i malujemy tarcze, wykrajamy i szyjemy stroje oraz grube przeżywanice pod zbroje, wykonujemy niektóre elementy uzbrojenia, konserwujemy drewniane przedmioty, czyścimy zbroje. Największą z sal zaadoptowaliśmy na zbrojownię. Turyści oglądają ją zawsze z zaciekawieniem, a my chętnie oprowadzamy ich i opowiadamy historię zamku, Sztumu i średniowiecza.

- Jestem licealistą i należę do rycerskiej braci sztumskiej. W wakacyjny czas bardzo chętnie opowiadałem o historii zamkowych murów licznym turystom. Zmobilizowało mnie to do pogłębienia także swojej wiedzy i wnikliwego śledzenia literatury tematu – tłumaczy Dawid Trybański.

- Cała wystawa w zbrojowni – tłumaczy dalej Katarzyna Ciecierska – to oczywiście repliki, nasze zbroje, miecze, luki i obozowa część kuchenna, zaaranżowana i wyeksponowana jako edukacyjna atrakcja turystyczna. Mamy także malutki kapitularz, czyli sale obrad zarządu i miejsce przechowywania dokumentów oraz dormitorium – salę sypialną. Możliwość noclegu jest dla nas szczególnie istotna, bo Bractwo zrzesza ludzi z wielu miejscowości. Kiedy zjeżdżamy się na trening i warsztaty z Kwidzyna, Dzierzgonia, Malborka, Trzewa, Prabut i okolicznych wsi, to często tu nocujemy i kolejnego dnia dalej pracujemy. Są to zwykle weekendy.

Do tego wielu członków to studenci. Siedziba ułatwia im przyjazdy z Torunia, Gdańska czy Bydgoszczy.



- Studiuję historię na UMK w Toruniu – wyjaśnia Dawid Reschke, członek Bractwa – ale często przyjeżdżam w weekend do Sztumu. Zawsze jest chęć żeby potrenować fechtunek z przyjaciółmi, wyczyścić hełm, teraz konserwujemy namioty na zimę – to pochłania wiele czasu. Zwykle przyjeżdżam pociągiem w sobotę rano i wracam na uczelnię w niedzielę. Gdyby nie siedziba przyjazd byłby utrudniony, bo w jeden dzień nie da rady pokonać takich tras.

Członkowie stowarzyszenia wyjechali za pracą czy na studia do odległych miast, ale ciągle ściśle związani są z grupą.

- Wyjechałem na studia do Bydgoszczy i tam zostałem, mam mieszkanie i pracę. Każdą wolną chwilę jednak i zaoszczędzoną gotówkę poświęcam rycerstwu – mojej pasji – z radością w oczach mówi Patryk Łazuk, pasowany niedawno rycerz.

- Poza tym, ta siedziba – dodaje Kanclerz Bractwa- to nasz drugi dom. Zawsze chętnie tu przyjeżdżam. W Bractwie poznałam swojego męża. Jesteśmy w stowarzyszeniu ponad piętnaście lat. Mieszkamy w kawalerce w Kwidzynie i dzięki istnieniu siedziby mamy gdzie trzymać sprzęt bractwowy. Znajomi śmieją się z nas, że mamy go więcej niż prywatnych rzeczy codziennego użytku i że za pieniądze przeznaczone na rycerstwo kupilibyśmy auto. Może i tak, ale my kochamy to hobby. To nasze życie.

MIECZE Z OMET-u

Dziś Ruch Rycerski, funkcjonowanie i wygląd grup wyglądają inaczej niż na początku, kiedy to się kształtował.

- Kiedyś robiliśmy imacze do tarcz z kłamek od autobusów, a blacha rynien –wspomina Piotr Ciecierski, Marszałek Bractwa - Przydawała się do wykonywania rękawic zbroi płytowej.



W Bractwie Rycerzy Ziemi Sztumskiej są również białogłowy, i to z poczuciem humoru, fot. archiwum

To było zabawne i mieliśmy przy tym wiele radości. Dziś nie ma już takiej dowolności i staramy się być rzetelni w odtwarzaniu historii. Nie popadamy w skrajności, bo próba rekonstrukcji w 100% jest czystą hipokryzją i nie jest realna. Mimo to wkładamy w to wiele trudu i sprawia nam przyjemność wykonywanie czegoś metodą średniowieczną, mimo, że ogromnie wydłuża czas produkcji. Moja żona, która trwa ze mną w tej pasji, szła kiedyś stroje na maszynie. Dziś robi to ręcznie i choć niewyobrażalnie zwiększa to czas pracy, to znajduje w tym przyjemność. Staramy się poczuć średniowiecze, zwłaszcza kiedy kilka dni przebywamy w obozie rycerskim podczas jakiegoś wyjazdu. W strojach z epoki jemy dania także historyczne i spożywamy je z replik średniowiecznej ceramiki stalowo-szarej. Moje słowa pachną mordegą, ale ja tam naprawdę odpoczywam od codzienności.

Potrzeba wiedzy i rozwoju, ekonomia oraz rozwój badań zmieniły radykalnie RR przez te dwadzieścia lat. Kiedyś była to kreacja, zabawa w średniowiecznej atmosferze, realizacja wielkich ideałów, dziś – poważna rekonstrukcja. Dwadzieścia lat temu członkowie Bractwa przypominali nieco słowiańskie plemiona autarkiczne, których samowystarczalność marginalizowała rolę importów broni i innych przedmiotów. Sztumscy rycerze sami w latach 90. wytwarzali większość używanych przedmiotów.

- We własnym zakresie szyliśmy stroje, buty, kaletki, robiliśmy strzały czy meble. W mojej piwnicy funkcjonował warsztat płatnerski. Mieczy sami nie produkowaliśmy. Wpadliśmy na genialny pomysł, aby zlecić to sztumskiemu OMET-owi. Pracownicy zakładu wycinali na podstawie naszych rysunków kształt z grubej stali, szlifowali, a ponieważ każdy element był wykonywany osobno, na końcu trzeba było zespawać głównię, jelec i wszystkie części ze sobą. To był czas prób i eksperymentów, czasem nieudanych, ale zawsze cennych. Taka rekonstrukcja uzupełnia wiedzę historyczną o informacje, których nie odnajdziemy w źródłach. Mam na myśli najzwyczajszą wiedzę praktyczną. Moje wyobrażenie o wyglądzie rycerza biorącego udział w krucjacie zmieniło się kiedy założyłem na siebie takie uzbrojenie. Po włożeniu grubego aketonu, koszuli kolczej, herbowego wappenrocka pikowanego oraz podobnych osłon na nogi, moja postura radykalnie zmieniła się kreując mnie na tęgiego mężczyznę. Tworzące moje wyobrażenie o smukłym krzyżowcu w zwiewnej tunice heraldycznej ryciny, okazały się nie do końca wiarygodne. Dlatego właśnie współpraca nauk historycznych jest tak istotna. My także jesteśmy jej częścią, bo w najprostszy sposób możemy zweryfikować wiele źródeł. Ja swój pierwszy miecz zrobiłem z moim tatą, używając do tego piłki do metalu. Walczyłem nim 2-3 lata. Po wspomnianym okresie mieczy z OMET-u jeździliśmy pod Włocławek do kowala, który naprawiał ciągniki. Produkował miecze z przekuwania resorów od mercedesów. Potem pojawiły się genialne na ówczas „Zule” zwane tak od nazwiska ich producenta, pana Zulewskiego. My ich nie kupowaliśmy, bo były drogie, wszystkie wygraliśmy w turniejach. Później naszym dostawcą był uczeń Zulewskiego – Aladin Brwiński, który odchudził je i były lżejsze. W drugiej połowie lat 90., kiedy Bractwo przechodziło złote czasy swojego istnienia, a liczba członków stowarzyszenia wynosiła ok. 60 osób, zakupiliśmy sporą ilość tych „aladinów” – wspomina Arkadiusz Dzikowski, Mistrz Bractwa.

- Kiedyś Sztum to była potęga. Wygrywali wszystkie turnieje i chcieliśmy ich naśladować – opowiadają z entuzjazmem Łukasz i Piotr z Chorągwi Ziemi Chełmińskiej, dziś pasowani rycerze.

NIE ŻYJĄ W ŚREDNIOWIECZU...

Dziś BRZS liczy znacznie mniej członków. Należą do niej prawdziwi pasjonaci szczerze zaangażowani w działalność, zdobywanie wiedzy i trenowanie umiejętności. Nie znaczy to, że lista członków grupy jest zamknięta, przeciwnie. Każdy kandydat na członka przechodzi kolejno etapy członkostwa, bo jest to stowarzyszenie zhierarchizowane, tak jak system feudalny czy drabina dostojników Zakonu Krzyżackiego. Pierwszy etap to nowicjat, po zaliczeniu którego składa się przysięgę i staje członkiem – służebnym bratem lub siostrą. Wśród nich są giermkowie, rycerze, damy, dwórki, czeladź, Kapituła Bractwa składająca się z Mistrza, Marszałka, Kanclerza i Skarbnika oraz funkcyjni jak Szatny czy Szafarz. Nowi uczestnicy zabiegają o przyjęcie do pocztu rycerskiego. Tam – pod okiem rycerza – zdobywają wiedzę, umiejętności i wsparcie, a w zamian czynią wierną posługę. Członkowie Bractwa odtwarzają historyczne postaci tych ziem, przyjmują własne herby (jedynie na zasadzie odtwórstwa historycznego i przyjmując ich znaczenie jako symboliczne), albo występują w roli rycerzy zakonnych. Jak sami tłumaczą – mieszkamy na terenie Prus Krzyżackich. Dawniej było tu państwo Zakonu, a my zajmujemy się historią a nie polityką. Średniowieczna pasja nie pozwala jednak uciec całkowicie od dzisiejszych realiów. Bractwo jest stowarzyszeniem ujętym w rejestrze, także ich nie omija system i biurokracja. Wiedzą jak sobie poradzić z zaplaceniem faktury i wystawieniem rachunku. Na co dzień – niestety – nie żyją w średniowieczu. Można to raczej nazwać uciążliwym obowiązkiem odrywającym od osobliwych zajęć. Dzisiejsze realia nawet rycerzy zaadoptowały do globalnej rodziny ekonomicznego systemu. Spod stalowego parasola biurokracji nie wychylają zatem nosa i przykładownie odprowadzają podatki, terminowo płacą faktury czy przestrzegają coraz węższych zasad bezpieczeństwa przy organizacji imprez historycznych.



Ciasny jest imperatyw tych garnitur, i choć dużo większego nakładu sił potrzeba do zorganizowania turnieju, to przy podjętym trudzie zawsze dopinają wszystkie guziki.

Z obchodzonej w tym roku dwudziestej rocznicy powstania Bractwa, jego członkowie są szczególnie dumni.

- Okres ostatnich 20 lat to czas ogromnych przemian w Polsce. Niewiele jest takich organizacji, którym udało się przetrwać tak długi i trudny okres – stwierdza Mistrz Bractwa.

Czemu zawdzięczają taki sukces? Arkadiusz Dzikowski skromnie odpowiada, że chyba prawdziwej pasji tworzącej Bractwo ludzi. Ci jednak zgodnie wskazują charyzmatycznego przywódcę i założyciela grupy, jako odpowiedzialnego za tę żywą ciągłość działalności, sukcesy, inspirację i przyjaźń.

- Arek zaraził mnie umiłowaniem kultury średniowiecza. Dzięki temu poznałem przyjaciół, takich na zawsze. Potem fascynacja ta przerodziła się w pasję i poszedłem na studia historyczne. Dziś ja uczę młodzież w szkole i sprawia mi to wielką radość – wyjaśnia Krzysztof Lewandowski, rycerz pasowany.

Grupa opiekuje się także sztumskim Centrum Kultury Chrześcijańskiej ALYEM. Organizacja Bractwa – poza działalnością edukacyjną – niesie pożyteczną misję kształtowania młodych umysłów, budzi świadomość narodową i wychowuje w duchu patriotyzmu. Bractwu Rycerzy Ziemi Sztumskiej życzyć trzeba kolejnych 20 lat dokonywania dzieła przyjaźni i podsycania żarliwej pasji.



Arkadiusz Dzikowski w roli króla Kazimierza Jagiellończyka, fot. archiwum

Jarosław Denisiuk

CO PO NARRACJI? O TWÓRCZOŚCI ZBIGNIEWA CHROSTKA

Moje pierwsze spotkanie z malarstwem Zbyszka Chrostka wzbudziło we mnie zaciekawienie. Nie znałem biografii artysty, ale pobieżny ogląd materiału, który zaproponował na jeden z Salonów Elbląskich kazał mi myśleć, że nie mamy do czynienia z malarstwem artysty wykształconego malarsko, a bardziej może - wtedy myślałem – architekta. Okazało się, że moja wstępna intuicja jest słuszna, choć tróp architektury był mylny, gdyż Chrostek zdobywał wykształcenie jako rzeźbiarz, najpierw w słynnej zakopiańskiej szkole im. Antoniego Kenara, później w gdańskiej pracowni prof. Adama Smolana na tamtejszej PWSSP.

To wyczucie formy i oryginalny sposób formułowania kadru obrazu z jego wewnętrznym światłem charakteryzuje to malarstwo, które z tego też powodu bywa zestawiane z twórczością amerykańskiego malarza Edwarda Hoppera. Podobnie jak Hopper, dziergoński artysta powraca do tych samych tematów, ale również do wypróbowanych zabiegów kompozycyjnych, tak jakby proces malowania nie był skończony w jednym dziele i trzeba go ponawiać nieustannie. To sprawia, że Zbyszek Chrostek jest malarzem dla którego proces malowania ukazuje specyfikę malarskiego idiomu, które nazwać by można było po(st) narracyjnym.

Oznacza to, że zawarte w nim niedopowiedzenie odnosi nas do nie tyleż do realności, co do atmosfery, w której elementy architektury, czy zbliżająca się fala tsunami - wyciszone, pozbawione postaci ludzkich, oczyszczone ze zbędnego decorum, pozbawiane są szczegółów mogących nadać im efekt pełnej identyfikacji. Ale nie tylko. Powodem malarstwa zawsze pozostaje doświadczenie wzrokowe. W przypadku prac Chrostka wizerunki budynków są przetworzone twórczo i zsyntetyzowane. Dzięki temu artysta udaremnia uciekanie widza w zainteresowanie anegdotą, ale też w zwracanie większej uwagi na materię malarską i sam proces powstawania obrazu. W istocie - płótna artysty niechętnie zdradzają swój materialny wymiar, farba kładziona jest cienkimi warstwami, niemal wcierana w płótno, a kierunki, dukty posunięć pędzla - umiejętnie maskowane, widoczne są tylko przy bardzo uważnej lekturze prac z bliska. To sprawia, że Chrostek nie odsyła uwagi widza w stronę fizycznej obecności artysty przed płótnem, ale pozostawia widza sam na sam z malarstwem, pragnąc jakby, by twórczość nie tłumaczyła się ani przez narrację ani przez warsztat.

To, że jest w tym trudność, potwierdza pierwszy kontakt z dziełami artysty. Moment, w którym pojawia się pokusa zupełnie nieusankcjonowana tym co widać na obrazach, a odsyłająca do cech pozamalarskich, tj. jak alienacja artysty, melancholia, oniryczny nastrój – jest tym, który otwiera widza na słowo, prowokując do nadbudowy warstwy narracyjnej,

a który należy przezwyciężyć w sobie. Inaczej obraz wydałby się czymś niepełnym, niekompletnym sam w sobie, wymagałby uzupełnienia o komentarz.

W moim przekonaniu nie powinno się wikłać prac artysty w taki komentarz, który nie dotyka bezpośrednio tego, co w obrazie namalowane. Specyfika malarstwa Chrostka polega w dużej mierze na pewnym paradoksie, iż z jednej strony jego prace transcendują swój referencyjny wobec rzeczywistości wymiar, a z drugiej go wręcz wymagają, by w wyniku powstałego napięcia mogły wybrzmieć donośniej. Napięcie to jest przede wszystkim udziałem uwagi widza, jego oczekiwań wobec obrazu i ich weryfikacji podczas lektury oglądowej. Malarstwo autora choć realistyczne, to odbiega od realizmu w zakresie wpasowywania się w normy kodu, czy konwencji przedstawieniowej, które stwarzają jedność dzieła sztuki.

I tak, obraz z 2009 roku pt. *Blue Marine* już w pierwszym wrażeniu, jakie wywołuje, pozwala dostrzec nieuchwytnie dla słów, paradoksalne zależności. Z jednej strony bowiem, jest to scena bardzo nastrojowa, pod względem motywów możliwa, codzienna i niemalże banalna: błękitny, historyczny samochód, zaparkowany przy nadbrzeżu. Skromniej, jeśli chodzi o dobór motywów, być już nie może. Wszystkie elementy charakteryzuje jednak nasycenie znaczeniem: one oznajmniają – i jest to dla widza wiadome niemal od początku – znacznie więcej, niż to wynika z ich cech przedmiotowych, zyskując przez to pewną intensywność. Z drugiej strony sytuacja treściowa jawi się jako wyraźnie niepełna i przypadkowa. Samochód widzimy z jednej perspektywy, od tyłu, niemalże „wbity” w wysoki falochron. Ten zaś, jak i w głębi morze zajmujące niemal 4/5 horyzontu, sprawiają wrażenie czegoś dramatycznie uciętego, niepełnego.

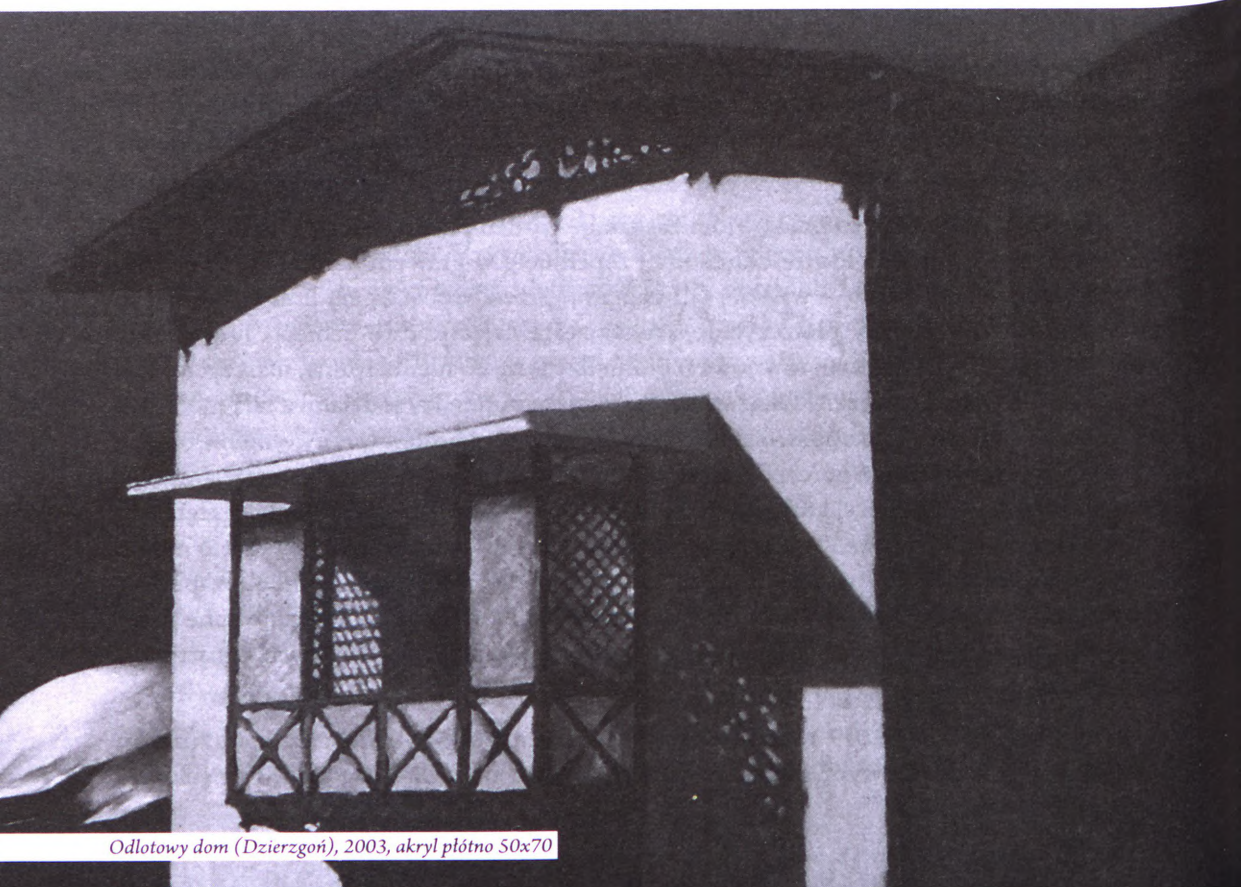
Gdyby patrzeć na obraz, jak na li tylko zawartość przedmiotową, to ma on charakter pasowej układanki – a jednak wszystko wydaje się w sposób konieczny uzupełniać, wzajemnie warunkować w takim sposobie, który nie dopuszcza żadnego uzupełnienia i której pełnia ulec może zniszczeniu przez choćby najmniejszą zmianę.

Bez tytułu z 2011 roku to praca, która zaskakuje bardzo przemyślaną perspektywą. Porzucone na brzegu morza łodzie, skłębione i zepchnięte w prawym narożniku, w obliczu zbliżającego się kataklizmu – wielkiej fali tsunami, przeciwstawiają się linii zadziwiająco spokojnej fali morskiej. W płaszczyźnie, artysta zestawiając te dwa napięcia linii tworzy moment niemalże kompletnej równowagi pomiędzy tym, co nieuchronne, niszczycielskie, a tym co nietrwałe, bo ludzkie. Okazuje się, że miejsce pomiędzy łodziami a falą może być rozstrzygające dla rozpoznania swoistości języka obrazowego i inicjować uwolnienie obrazu od naszych przyzwyczajęń percepcyjnych. Jest to obszar „wstrzymanego zainteresowania”, czyli taki element w obrazie, który wymyka się nieco logice perspektywy i relacji głębi wewnątrzobrazowej. Przestrzeń zostaje zakwestionowana i to w taki sposób, by dzieło mogło zostać „ukończone” przez widza, dopełnione przez niego, i w rezultacie mogło zapewnić klarowność komunikatu wizualnego. Jest to intencjonalne miejsce zaprogramowane przez Chrostka po to, by widz mógł odczytać wewnątrzobrazową narrację, zbudować konstrukcję następstwa wydarzeń.

Balkon z widokiem z 2011 roku jest przedstawieniem spoglądającej z balkonu, młodej kobiety w ujęciu profilowym. Postać w dziele Chrostka utrzymuje widza w napięciu po-

między potencjalną dyskursywnością łączącą się z iluzją przestrzeni i kwestionującymi ją warunkami obrazu. Mimowolnie podążamy bowiem za linią wzroku postaci, która odsyła nas ku krawędzi płótna. Docierając ku granicy, zmuszeni jesteśmy cofnąć „zawiedziony” wzrok i skupić swą uwagę na samej postaci, by powtórzyć po raz kolejny ten sam proces. Na skutek nieustannego odsyłania spojrzenia, zaczynamy dostrzegać elementy, które wcześniej były tylko tłem, po którym wodziliśmy wzrokiem. Staje się tak do momentu uświadomienia sobie tej oto prawdy, że wzrok kobiety nie odsyła nas poza dzieło, lecz bardziej poświadcza konieczność dokładniejszego przyjrzenia temu, co w głębi perspektywy obrazu.

Relacja ta wydarza się po to, by dostrzeżenie jej, mogło „otworzyć” obraz, ale też otworzyć „oczy” widza - wskazać sposób lektury dzieła. A w głębi zastajemy zderzenie linii wyznaczanych przez krawędzie architektury balkonów, poprawnie wyznaczonej w perspektywie, ostro odcinającej po skosie, niemalże przez połowę płótna sferę, którą artysta jedynie sygnalizuje, stosując klasyczne *sfumato*. Krajobraz górski, ledwie zarysowany, niemalże nieodcinający się od warstwy nieba to moment na płótnie, nad którym dłużej pozostawiamy wzrok. Nasze spojrzenie przemierza ten odcinek obrazu tylko po to, by napotkać konieczną granicę: krawędź płótna. Jest to również ten moment, gdzie dochodzi do konfliktu pomiędzy projekcją rzeczywistego świata w dzieło – wyznaczonego przez wzrok postaci i sugestię przestrzenności a warunkami obrazu. „Wydarzanie się” obrazu dzieje się zatem w napięciu pomiędzy tym co nieusuwalne w percepcji – czyli niepokojem „na co ona patrzy”?, nie-



Odlotowy dom (Dzierżoń), 2003, akryl płótno 50x70

możliwością zweryfikowania tego, a odsyłaniem uwagi kobiety ku specyfice dzieła. Ku jej dostrzeżeniu. Znów jedyną możliwością uzgodnienia tego napięcia jest sprowadzenie oglądu dzieła do lektury płaszczyzny. Do spojrzenia postaci ku temu, czego ona sama w danym momencie nie widzi.

Zasadniczo istnieją dwa przekonania na temat tego, czym jest obraz, jego budowa i sposób oddziaływania. Zgodnie z pierwszym z nich, maksymalnie upraszczając - „obraz pokazuje”. Tym „czymś” mogą być przedmioty, postaci, czy pejzaż. Widz w tym przypadku może kierować swoją uwagę przede wszystkim na to, „co” na obrazie zostało przedstawione. Zatem widzenie jest rozumiane w tym przypadku jako czynność rejestrująca.

Wydaje się jednak, że bliższe naszemu artyście jest przekonanie nieco inne, a mianowicie takie, w którym „obraz nie tyle pokazuje coś, a raczej pokazuje sam siebie. Wydawałoby się, że stosuję tu jedynie pewną grę słowną czy retorykę, jednak przywołane powyżej trzy przykłady prac Zbyszka Chrostka zawierają w sobie ładunek odsyłający uwagę widza nie tyle do sposobu malowania, co do pewnej esencji obrazowania. Chodzi tu o taką umiejętność, o takie skomponowanie płaszczyzny, w lekturze której dopiero znajdujemy okoliczność warunkującą dostępność dzieła. Chodzi też o wzbudzenie u widza takiego przeświadczenia, że obraz zanim „coś” pokaże, wymusi pozostanie wzroku widza na sobie, skupi uwagę nie na rejestracji, ale bardzo precyzyjnym zaplanowaniu wędrówki oka.

Zbigniew Chrostek to artysta od lat związany z elbląskim środowiskiem artystycznym - uczestniczy w Salonach Elbląskich, uczy rzeźby, malarstwa i rysunku w Liceum Plastycznym w Gronowie Górnym, kształcąc nowe pokolenia plastyków. Ukończył Liceum Plastyczne im. Antoniego Kenara w Zakopanem oraz gdańską PWSSP (obecnie ASP) na wydziale rzeźby. Dyplom w 1984 r. w pracowni prof. Adama Smolany. W latach 1986-2003 mieszkał we Wrocławiu, gdzie w 1989 r. otworzył na Starym Mieście galerię autorską. Od 2004 r. jest komisarzem Ogólnopolskich Plenerów Plastycznych w Woli Michowej w Bieszczadach, od 2009 r. w Pstrągowej na Pogórzu Strzyżowskim. Zorganizował ok. 30 wystaw indywidualnych w znanych galeriach polskich, np. w: Warszawie, Wrocławiu, Łodzi, Szczecinie, Opolu, Zakopanem, Gorzowie Wlkp., Kaliszu, Elblągu, również w Niemczech i Szwajcarii. Brał udział w wielu wystawach zbiorowych. W 2010 r. otrzymał Wyróżnienie Honorowe Jury XXIII Festiwalu Polskiego Malarstwa Współczesnego w Szczecinie a w 2012 r. międzynarodową nagrodę Merit Award w Palm Art Award 2012. Obecnie mieszka w Dzierzgoniu (woj. pomorskie).

Wacław Bielecki

Z NOTATNIKA MELOMANA

Na zakończenie lata i początek jesieni miałem sporo możliwości posłuchania dobrej muzyki na żywo. Oczywiście, wymagało to poświęcenia trochę czasu i wyjazdów po mojej muzycznej prowincji. Oto kilka relacji z niektórych koncertów i festiwali.

ZAKOŃCZENIE FESTIWALU ORGANOWEGO

Katedra w Oliwie, wtorek 26 sierpnia

Był to koncert na zakończenie 57 Międzynarodowego Festiwalu Muzyki Organowej. Grał znany nam z koncertu w Sztumie - Jerzy Kukła z Lublina. Koncert zaczął się tradycyjnie, od dzieł kompozytorów niemieckich z okresu baroku - „Toccaty d-moll” D. Buxtehudego oraz „Fantazji i fugi c-moll” J. S. Bacha. Dopiero po nich mogliśmy usłyszeć inne dzieła.

Tryptyk „Jordan” jest ostatnim utworem skomponowanym przez Bronisława Kazimierza Przybylskiego, zmarłego w 2011 r. kompozytora związanego ze środowiskiem łódzkim. Napisał on tę kompozycję po zwiedzeniu Doliny Jordanu. Dzieło to może być wykonywane na różnych instrumentach: akordeonie, klawesynie lub organach. W Oliwie usłyszeliśmy światowe prawykonanie w wersji na organy. Utwór składa się z trzech części i trwa około dziewiętnastu minut. Pierwsza, najkrótsza część „Morze Martwe” (ok. 3 min.) to powtarzający się wielokrotnie temat ze mszy za zmarłych „Dies Irae” („Dzień gniewu”), trzygłosowy kanon, grany w bardzo niskich, nieco chrapliwych rejestrach. Najdłuższa, druga część (ok. 12 min.) nazwana jest „Petra”. Kompozytor w muzyczny sposób odmalował martwe miasto wykute w skałach. Uczynił to przy użyciu specyficznego języka. Jest tu dużo kontrastów dynamicznych i agogicznych, kolorystyki i chromatyki. Melodie i akordy są najczęściej oparte o skalę całotonową. Jest to dość typowy muzyczny impresjonizm ze swoją programowością. Dla kompozytora najważniejsze było oddanie barw i wrażeń emocjonalnych. Najbardziej te impresjonistyczne odczucia słyhać w trzeciej części „Morze Czerwone” (ok. 4 min.), gdzie Przybylski próbuje oddać efekt migotania fal (coś jak u Debussiego). Motywy muzyczne wielokrotnie powtarzają się, chociaż są nieustannie nieco zmieniane, utrzymany jest jeden dość prosty schemat rytmiczny, ale na różnych dźwiękach i zmieniającej się kolorystyce (przypomina mi to konstrukcję niektórych utworów W. Kilara).

„IX symfonia organowa” op.45 Feliksa Nowowiejskiego wykonana została w Gdańsku po raz pierwszy. Po patetycznej „Toccacie”, następuje „Scherzo”, muzyczny żart, w którym temat podany jest w rytmie skoczego mazura, a kończący utwór „Finał” to improwizacja na temat najstarszej naszej pieśni religijnej – „Bogurodzicy”. Utwór ten, zgodnie z zapisem kompozytora, można wykonywać w dwóch wersjach, albo na organy solo, albo organy z zespołem instrumentów dętych blaszanych: 2 trąbki, 2 waltornie, 3 puzony, tuba i kotły. I tak został wykonany w Oliwie. Organistów towarzyszyła grupa instrumentalistów z Polskiej Fil-

harmonii Batyckiej. Muzyczna blacha zabrzmiała niezwykle czysto i świetnie, niemalże jak drugie organy. Coś, czego nie ma w partyturze, to były dzwonki organowe, które odezwały się na początku i na końcu improwizacji.

Wszystkie utwory zostały wykonane w sposób finezyjny i perfekcyjny, bo Jerzy Kukla bardzo dobrze zna organy oliwskie - instrument miliona barw – i potrafi je umiejętnie wykorzystać. Był to jego szósty występ w Katedrze Oliwskiej (w 2011 roku grał tutaj recital wyłącznie z utworami F. Liszta), a poza tym jest nie tylko organistą, ale i organmistrzem, który organom oliwskim poświęcił wiele czasu remontując barokowe organy. Ten wybitny organista w tym roku obchodzi potrójny jubileusz, 50 rocznicę urodzin, 30 lat działalności artystycznej i 25 lat od ukończenia studiów muzycznych.

Szkoda, że wykonane w Oliwie utwory nie są zapisane na płytach kompaktowych. Szczególnie dziwi mnie, że dotychczas nie zostały zarejestrowane wszystkie symfonie organowe Nowowiejskiego. Nie bardzo mogę pojąć, dlaczego mógł tego dokonać niemiecki organista Rudolf Inning, który w 1997 roku nagrał je na organach katedralnych w Bremie. Nota bene, symfonie zostały opublikowane w prowokacyjnie nazwanej antologii płytowej „Niemiecka (sic!) muzyka na Wschodzie”. Chodzi mi po głowie taki oto projekt: dziewięciu polskich organistów gra symfonie Nowowiejskiego na organach w różnych miejscowościach związanych z Nowowiejskim – Barczewie, Świętej Lipce, Olsztynie, Poznaniu, Krakowie, Bydgoszczy, Berlinie, Ratzbonie, Londynie. Byłby to piękny prezent dla muzyków i melomanów z okazji zbliżającej się w 2016 roku siedemdziesiątej rocznicy śmierci kompozytora „Roty”.

POWRÓT PANUFNIKA

Teatr Muzyczny w Gdyni, niedziela 7 września

Koncert pod tym tytułem został zorganizowany przez powstające w Gdyni „Muzeum Emigracji” i był związany ze 100-leciem urodzin przywracanego do publicznej pamięci kompozytora polskiego Andrzeja Panufnika.

Przed koncertem poszedłem się na wykład pt. „Andrzej Panufnik i jego widzenie muzyki”, który wygłosiła dr Katarzyna Szymańska-Stulka z Uniwersytetu Muzycznego Fryderyka Chopina w Warszawie. Spotkanie odbyło się w nowoczesnej salce konferencyjnej Info Boxu przy skrzyżowaniu ulicy Świętojańskiej i 14 Lutego. Pani doktor mówiła ciekawie. Posługując się prezentacją komputerową przedstawiała krótkie fragmenty dzieł kompozytora. Na wykład przyszło niewielu słuchaczy. Natomiast miałem kłopoty z uzyskaniem wejściówek na koncert w Teatrze Muzycznym, bo wstęp był wolny, a bezpłatne, numerowane wejściówki zafundowało Ministerstwo Kultury i Miasto Gdynia. Na dwie godziny przed koncertem okazało się, że wszystkie wejściówki zostały rozdane wcześniej. W końcu jednak udało się wejść na salę.

Podczas koncertu usłyszeliśmy cztery utwory Panufnika w wykonaniu Polskiej Filharmonii Bałtyckiej z Gdańska pod dyrekcją bardzo lubianego przez publiczność Jerzego Maksymiuka. „Muzyka jesieni” to utwór na orkiestrę smyczkową bez skrzypiec, ale też bez instrumentów dętych blaszanych. Z „dęciaków” są tylko 3 flety i 3 klarnety, do tego dochodzą fortepian, harfa, celesta i kotły. Utwór jest pomysłowo i przyjemnie zinstrumentowany.

Może się podobać, szczególnie jego pierwsza część, powtarzająca się na końcu. Jest w stroju nostalgiczny, bo powstał po śmierci przyjaciółki kompozytora.

Suita „Polonia” składa się z pięciu tańców polskich: marsza góralskiego, mazurka, krakowiaka, pieśni nadwiślańskiej i oberka. Melodie i harmonie trzymają się systemu dur-moll, ale są w specyficzny sposób zmienione, uwspółcześnione przez zmiany melodyczne i sporo dysonansowych akordów. Najbardziej motoryczny i głośny jest końcowy oberek.

„Kołysanka na 29 instrumentów smyczkowych i dwie harfy”, to zdaniem Jerzego Maksymiuka najważniejszy utwór skomponowany przez Panufnika. - *Uważam ją za najpiękniejszą z kołysanek jakie znam – mówił dyrygent do publiczności przed jej wykonaniem. - Melodia jest opleciona bardzo niezwykle, wyrafinowaną orkiestracją, kontrapunktami, ćwierćtonami. Mogę o tym utworze powiedzieć, że gdyby Panufnik napisał tylko ten drobny utwór, to i tak byłoby dla mnie wielkim kompozytorem. Tak samo jak Debussy za „Popołudnie Fauna”. Trudno go zagrać, bo akustyka sali jest nieprzychylna przez kurtyny, przez co dźwięk jest bardzo suchy. Melodia „Kołysanki” jest powtarzana i zwielokrotniona. Tam są takie jakby oczarowania w orkiestrze, tak jakby ktoś przez mgłę widział swoją ukochaną, ale przez mgłę, przez liście. Tam jest wszystko „przez”, „przez coś”. - Trudność moja i orkiestry polega na tym - tłumaczył dyrygent - jak to zrobić, aby uzyskać to, co dzieje się wokół melodii kołysanki, a dzieje się tam bardzo piękna, cudowna muzyka.*

Niestety, słaba akustyka sali Teatru Muzycznego w Gdyni nie pozwoliła na usłyszenie wszystkich tych subtelności, o których mówił Maksymiuk, niemniej sama melodia kołysanki jest czarująca i zapadająca w ucho, bo - jak to kołysanka - powtarza się wielokrotnie. Niestety, w składzie orkiestry nie było dwóch „tytułowych” harf, tylko jedna. Muzycy starali się bardzo, ale wykonanie dalekie było od doskonałości.

„Koncert skrzypcowy” Panufnika grany jest tylko z samą orkiestrą smyczkową. Składa się z trzech części, improwizowanego „Rubato”, „Adagia” w konwencji kołysanki oraz żywiołowego „Vivace” z polskimi melodiami i rytmami. Z wielkim temperamentem zagrała go Patrycja Piekutowska, skrzypaczka specjalizująca się w wykonywaniu muzyki współczesnej - wysoka i szczupła blondynka, ubrana w długą, szkarłatną suknię mieniącą się w świetle reflektorów. Na bis zagrała „Image 2” skomponowany przez Mariana Borkowskiego z Warszawy, krótki (ok. 3 min.), popisowy, współczesny utwór, wymagający specyficznych technik grania na skrzypcach. Na drugi bis solistka i orkiestra powtórzyli drugą, część koncertu, kołysankowe „Adagio”.

MISSA PRO DEFUNCTIS

Filharmonia Pomorska w Bydgoszczy, piątek 12 września

Koncert ten rozpoczął 52 Bydgoski Festiwal Muzyczny pod nazwą „Musica Antiqua Europae Orientalis”. W Filharmonii Pomorskiej zagrano tylko jeden utwór – „Missa pro defunctis” Romana Maciejewskiego. Ta monumentalna msza za zmarłych dedykowana jest: „Ofiarom ludzkiej ignorancji, ofiarom wojen wszechczasów, ofiarom kaźni tyranów, ofiarom ludzkiego bezprawia, ofiarom łamania Boskiego porządku natury”. Kompozytor pisał ją przez 14 lat, od 1945 do 1959 roku. Rękopis partytury ważył 25 kg. Orkiestra gra w zwiększonym składzie: 2 harfy, fortepian, celesta, dwie tuby, rozbudowana grupa instru-

mentów perkusyjnych – ksylofony, dzwonki i potężny bęben zwany tołumbasem. Jest to dzieło życia R. Maciejewskiego. Wykonawcami byli: Orkiestra Filharmonii Pomorskiej, Chór Filharmonii Narodowej z Warszawy i soliści: Iwona Hossa – sopran, Anna Lubańska – mezzosopran, Ryszard Minkiewicz – tenor, Piotr Nowak – bas. Dyrygował Tadeusz Wojciechowski.

Muzyka mszy napisana jest w stylu neoromantycznym, z prostymi na ogół melodiami i harmonią dur–moll. Tekst w języku łacińskim. W przedstawionej wersji msza podzielona była na 20 części i trwała bez przerwy 1 godzinę i 40 minut. Publiczność przyjęła wykonanie bardzo serdecznie, nagradzając wykonawców długimi oklaskami.

Mnie się też spodobała, szczególnie fragmenty śpiewane przez chór oraz niektóre części instrumentalne. Kompozytor starł się bardzo o urozmaicenie instrumentacji. Ciągłe stosowana jest tu zasada kontrastów dotyczących tempa i dynamiki - po częściach cichych i wolnych następują szybkie i głośne. Dyrygent przesadził, moim zdaniem, z dynamiką, nie dostosował jej do świetnej akustyki Filharmonii Pomorskiej. W wielu momentach było za głośno, zbyt silowo. Orkiestra skutecznie zagłuszała solistów. Wśród nich najbardziej podobała mi się Anna Lubańska (słyszałem ją ostatnio w Operze Białostockiej w roli Cześnikowej w „Strasznym Dworze” Moniuszki). Najślabzy był tenor. Części, które najbardziej wpadły mi w ucho to: początkowe „Requiem aeternam” śpiewane przez chór z akompaniamentem orkiestry, 4-głosowa fuga „Kyrie eleison” oraz późniejsza fuga „Tuba mirum” (chór, orkiestra i ksylofon), „Diesirae” (chór z orkiestrą), „Recordare” (mezzosopran z orkiestrą). Nie było programu koncertu, więc nie wiem dokładnie, które części oryginalnej mszy zostały w Bydgoszczy pominięte.

PANEL GOLDBERGOWSKI

Gdańsk, sobota, 13 września

Przed południem w Gdańskim Instytucie Kultury na Długim Targu nieopodal Neptuna zaczął się „Panel naukowy” z okazji Festiwalu Goldbergowskiego. W sali konferencyjnej na II piętrze było kilkunastu słuchaczy i prelegenci. Wystąpienia zaczął wybitny znawca historii Gdańska Andrzej Januszajtis (86 lat, ale w świetnej formie intelektualnej) od prelekcji i pokazu przezroczy pt. „Gdańsk i gdańszczanie w czasach Kolberga”. Następnie dr hab. Alina Ratkowska z Uniwersytetu Muzycznego Fryderyka Chopina w Warszawie mówiła na temat życia i twórczości elbląskiego wirtuoza wiolonczeli Johanna Benjamina Grossa. Prelegentka jest klawesynistka oraz pomysłodawczynią festiwalu. To dla tego referatu pojechałem do Gdańska, i nie żałuję, bo dowiedziałem się paru szczegółów z życia i twórczości Grossa (moja rozmowa z wykonawcami koncertu wiolonczelowego tego kompozytora ukazała się w ogólnopolskim dwumiesięczniku „Twoja Muza” nr 1 z 2012).

Agnieszka Kubiak z Biblioteki PAN w Gdańsku omówiła gromadzone przez 400 lat zbiory muzyczne w magazynach Biblioteki Gdańskiej PAN. Ostatnim prelegentem była Aleksandra Kajdańska z Uniwersytetu Warszawskiego, która przedstawiła referat o historii osiemnastowiecznych tańców w Gdańsku, ilustrując go osobiście bardzo interesującym pokazem figur i kroków tanecznych, np. menueta, angleza czy poloneza.

PIOTR MICHNA GRA RHEINBERGERA

Kościół św. Anny w Sztumie niedziela 21 września

W niedzielny wieczór zadzwonił telefon. Ksiądz Dziekan powiadomił mnie, że w kościele św. Anny za godzinę zacznie się koncert pochodzącego z Kwidzyna organisty Piotra Michny. Całkowicie mnie tym zaskoczył, bo byłem przekonany, że do koncertu nie dojdzie, jako że organista nie odezwał się od wiosny. Ledwie zdążyłem na początek.

Piotr Michna, piastujący funkcję organisty w kościele św. Mikołaja w Gdańsku, grał tylko muzykę Josefa Gabriela Rheinbergera, zapomnianego kompozytora niemieckiego z okresu romantyzmu. Koncert został podzielony na trzy części. W częściach skrajnych organista wykonał „Sonaty organowe”: c-moll i G-dur - Pastoralną. W części środkowej usłyszeliśmy siedem drobnych utworów, były to „Tria organowe”: g-moll, C-dur, a-moll, Des-dur, A-dur, przedzielone „Preludium c-moll” i „Fugą C-dur”, a na zakończenie – „Canzonettę g-moll”.

Utwory Rheinbergera to typowo romantyczna muzyka z pięknymi melodiami i klasyczną harmonią. Ich charakterystyczną cechą jest nasycenie kunsztowną polifonią, nie tylko w fugach kończących obie prezentowane sonaty. To muzyka piękna, delikatna, wręcz czarująca, co było podkreślane przez organistę świetnie dobranymi głosami. Akustyka naszego kościoła jest bardzo dobra. Organy elbląskiej firmy Terletzki-Wittek z 1901 r., zostały dobrze dostosowane do wielkości wnętrza i są doskonale słyszane, także w cichych fragmentach.

Wszystkie te utwory znane mi były z płyty (zob. moją rozmowę z organistą w „Prowincji” nr 2 z 2014 r.), dlatego teraz najbardziej byłem ciekawy, jak zabrzmiały na sztumskich organach, i co Piotr Michna powie po koncercie o sztumskich organach, albowiem bardzo długo szukał właściwego instrumentu do nagrania na płytę tej muzyki i znalazł go aż na Ziemi Lubuskiej w Gościkowie-Paradyżu.

- Grałem tutaj Rheinbergera troszeczkę inaczej niż na dużych organach – mówił organista - bo tu jest inna możliwość stopniowania dynamiki, a nie chciałem cały czas grać pleno (na wszystkich głosach razem – WB). - Chciałem pokazać różnorodność i niuanse. W poszczególnych utworach głosy mało gdzie się powtarzały. Może te piana były minimalnie różniące się, ale jednak były. Głosy organowe są tu piękne, a już flet z drugiego manualu to jest coś niesamowitego jeśli chodzi o brzmienie. Instrument ma jakieś usterki techniczne, gdzieś tam pedał „nie łapie”, klawiatura drugiego manualu jest ustawiona nieco do góry, ale naprawdę jest to świetny, piękny instrument. Naprawdę jestem zaskoczony. Granie na tych organach było dla mnie bardzo inspirujące, bo gra się lekko i z ogromną przyjemnością. Cenię sobie instrumenty historyczne. Przygotowując tutaj koncert trzeba się napracować, bo tu jest trochę inaczej. Miałem jednak poczucie, że w tym momencie dotykam historii. Gdyby usunąć usterki, to można by spokojnie nagrać płytę.

MESSA DI GLORIA

Kościół św. Antoniego Padewskiego w Gdyni, sobota 27 września

Msza „chwalebna” skomponowana przez dwudziestodwuletniego Giacomo Pucciniego w 1880 r. była głównym punktem programu koncertu rozpoczynającego festiwal „Gdynia Classica Nova”. To bardzo rzadko wykonywany utwór kompozytora kojarzonego zwykle z twórczością operową, z „Cyganią”, „Toscą”, czy „Madame Butterfly”.

„Messa di Gloria” śpiewana jest w języku łacińskim i składa się z pięciu części: „Kyrie, Gloria, Credo, Sanctus – Benedictus, Agnus Dei”, przy czym najdłuższą częścią, zajmującą jedną trzecią utworu jest „Gloria”. Msza przeznaczona jest na orkiestrę symfoniczną, chór mieszany i dwa głosy męskie: tenor i baryton. W Gdyni wykonawcami byli: Orkiestra Symfoniczna Filharmonii Bałtyckiej w Gdańsku, Chór Astrolabium z Torunia (dyrygent Kinga Litowska), Rafał Bartmiński – tenor i Paweł Nowacki – bas. Całością dyrygował maestro Tadeusz Wojciechowski. Tak się jakoś złożyło, że w ciągu trzech ostatnich miesięcy miałem możliwość wysłuchania trzech różnych koncertów, w trzech różnych miastach – Krakowie, Bydgoszczy i Gdyni - prowadzonych przez tego świętego mistrza batuty. Nie pierwszy raz słuchałem też chórzystów z Torunia. Ostatnio było to na koncercie z okazji powtórnego pochówku Mikołaja Kopernika we Fromborku. Wtedy śpiewali oni „Requiem” Mozarta pod batutą Krzesimira Dębskiego.

Jednym słowem, znani i znakomici wykonawcy, ale to co najbardziej mnie zaskoczyło podczas tego wieczoru, to akustyka świątyni na Wzgórzu św. Maksymiliana. Ten franciszkański kościół został otwarty w 1973 roku. Ma nowoczesną architekturę, strzeliste wieże, ale najbardziej rzuca się w oczy wewnątrz kościoła to, że bardzo wysoka główna nawa została zaprojektowana nie „wzdłuż”, tylko „w poprzek”, czyli jest znacznie szersza niż dłuższa, odwrotnie niż w większości kościołów. Wpływa to na akustykę kościoła, i to bardzo. Już pierwsze dźwięki zagranej na początku uwertury do opery „Moc przeznaczenia” Verdiego, pojawiły się jakby z wielkiej studni, czy beczki. We fragmentach granych cicho przez poszczególne instrumenty – obój, klarnet, flet – dźwięk był zniekształcony przez długi pogłos, ale dało się tego słuchać. Kiedy jednak grała cała orkiestra, i to głośno, to dźwięk „kotłował się”, dudnił i zlewał się tak, że trudno było wyłowić uchem jakąś sensowną harmonię. Przyznam, że dotychczas nigdy nie słyszałem koncertu w takiej akustyce. Podobnie było w czasie wykonywania mszy, szczególnie we fragmentach granych przez wszystkich wykonawców jednocześnie i w głośniejszej dynamice.

Wszystkie te wrażenia spowodowały, iż doszedłem do przekonania, że to wnętrze po prostu nie nadaje się do wykonywania muzyki przeznaczonej na wielkie zespoły orkiestrowe. Przypuszczam, że lepiej by tu brzmiała muzyka kameralna. Z tych powodów nie będę odnosił się do wykonania mszy przez orkiestrę, chór, solistów i dyrygenta. Moim zdaniem, grali dobrze, ale odbiór muzyki utrudniła specyficzna akustyka. Dodam, że koncert został ciepło przyjęty przez publiczność.

RECITAL GITAROWY ÁLVARO CÓRDOBY

Sala Kopernikowska na zamku w Olsztynie, poniedziałek 29 września

Álvaro Córdoba to ciekawy gitarzysta z Montevideo, stolicy Urugwaju, który na co dzień wykonuje inny zawód. Jest lekarzem neurochirurgiem. Jak mówił na zakończenie koncertu, w swoim życiu od samego początku łączył dwie sztuki: muzykę i medycynę. Na półtoragodzinnym recitalu złożyły się utwory na gitarę solo, od tych najdawniejszych po czasy dzisiejsze. Artysta zaczął koncert od wielkiej ciekawostki, „Hymnu z miasta Ugarit” w Syrii. Jest to najstarszy utwór muzyczny zapisany przed około 3500 lat pismem klinowym na glinianych tabliczkach przechowywanych w zbiorach Muzeum Narodowego w Damaszku. Potem usły-

szeliśmy chronologiczny przegląd utworów z kolejnych epok: ze średniowiecznej Hiszpanii - poświęcony św. Marii; cztery pieśni na lutnię kompozytorów z epoki renesansu, m.in. Praetoriusa i Vincenzo Galilei (ojca sławnego astronoma). Gitarzysta zagrał też dzieła J. S. Bacha – kilka „Wariacji Goldbergowskich” oraz „Gawota” z suity na wiolonczelę solo. To wszystko były transkrypcje na gitarę. Do nich trzeba jeszcze dodać opracowanie na gitarę pieśni Franciszka Schuberta oraz „Taniec słowiański nr 2” Antonina Dvořáka w oryginale napisany na orkiestrę.

Utwory pisane na gitarę zabrzmiały pod koniec recitalu. Najpierw muzyk zagrał „Wariacje op. 28” na temat popularnej francuskiej pieśni, skomponowane przez Fernando Sora, słynnego hiszpańskiego gitarzystę i kompozytora, zwanego Beethovenem gitary. Usłyszeliśmy też kompozycje południowoamerykańskie - Antonio Ruiza-Pipó i Regino Sainz de la Maza oraz tańce Argentyny i Urugwaju. „Chacarera”, to taniec ludowy oraz w podobnym stylu - „malombo”, taniec argentyńskich pasterzy bydła zwanych gauchos, odpowiedników amerykańskich kowbojów. Na bis było także dynamiczne „malombo”, jako żywo kojarzące się z flamenco.

W moim odczuciu, gitarzysta był najlepszy właśnie w utworach latynoamerykańskich, natomiast w utworach Bacha, a szczególnie Fernando Sora, zdarzały się różne niedociągnięcia, np. przy wykonywaniu szybkiego legato czy flażoletów. W sumie była to przyjemna muzyka i ciekawy wykonawca. Gotycka sala kopernikowska ma dobrą akustykę, w której gitara klasyczna bez nagłośnienia była bardzo dobrze słyszalna. Szkoda, że organizatorzy nie pookuślili się o lepszy mikrofon dla pani zapowiadającej koncert. Tłumaczyła ona z hiszpańskiego zapowiedzi gitarzysty o kolejno wykonywanych utworach. Niestety, drewniane, skrzypiące krzesła nie zapewniały odpowiedniego komfortu potrzebnego do słuchania muzyki przez półtorej godziny bez przerwy, ale czasem dla dobrej muzyki warto znieść takie niewygody.

PACO PEÑA FLAMENCO DANCE COMPANY

Filharmonia Pomorska w Bydgoszczy, środa 1 października

Przywołany w śródtytule zespół światowej sławy hiszpańskiego gitarzysty flamenco Paco Peña składa się z dziewięciu osób: trzech gitarzystów, dwóch tancerek i tancerza, dwójga śpiewaków - kobiety i mężczyzny oraz muzyka grającego na instrumentach perkusyjnych - tamburynie, dzwonie i drewnianym pudle z którego wydobywa dźwięki podobne do bębna. Oczywiście, we flamenco instrumentami są także klaszczące dłonie oraz nogi, na których tancerze mają założone specjalnie podkute buty wydające specyficzny tupot. Trudno sobie wyobrazić flamenco bez tupotu i klaskania. Do tego dochodzi oryginalny śpiew ściśniętym gardłem, z jakby arabską melodyką z charakterystycznymi melizmatami oraz kastaniety.

Gitary grające muzykę flamenco są zupełnie podobne do gitar klasycznych, z tym, że mają specjalne struny. Często skracają się je, zakładając na gryf specjalną poprzeczkę - kapodaster. Wtedy ich dźwięk staje się bardziej sprężysty i metaliczny. Są to gitary akustyczne z dźwiękiem odbieranym przez miniaturowe mikrofony umieszczone nad otworem rezonansowym i wzmacnianym przez elektryczne wzmacniacze i głośniki.

Ubiory tancerek są zgodne z tradycją Andaluzji, prowincji położonej na południu Hiszpanii, skąd wywodzi się flamenco – długie, szerokie suknie lub spódnice w jednobarwnych

kolorach - czarnym, czerwonym, białym. Mężczyźni noszą czarne spodnie i białe lub czarne koszule bez krawata, rozpięte pod szyją. Włosy kobiet są długie i fantazyjnie upięte, mężczyzn – krótkie i kręcone. Wszyscy noszą czarne półbuty.

Występujący tancerze poprzez taniec opowiadają krótkie historie przy akompaniamentach gitar: o niespełnionej miłości, zazdrości, namiętności, zdradzie, tragedii, powrotach i rozstaniach. W przedstawieniu są także momenty wypełnione solowymi popisami na gitarze Paco Peña oraz śpiewem i tańcem bez gitar, tylko z akompaniamentem klaszczących dłoni i stukotu butów. Tancerze i muzycy wywołują najróżniejsze emocje przenoszące się na słuchaczy. Paco Peña tak pisał o nich w programie przedstawienia: - *Sztuka we wszystkich swoich formach posiada potencjał umożliwiający w niektórych momentach osiągnięcie alchemii pomiędzy interpretatorem i widownią, pozwalającej przenieść widzów na tajemniczy poziom emocjonalności, sprawiający, że przestaje być dla nich istotne: kim są i gdzie się znajdują. Po prostu uczestniczą w wydarzeniu którego nie potrafią opisać. Spektakl zawiera składniki o charakterze uniwersalnym i ponadczasowym, zatem rozumiane i odczuwane przez wszystkich ludzi: czy to samotny głos śpiewaka flamenco, seksualność i namiętność tancerki, czy też unikalną fakturę gitary. Ten rodzaj sztuki zawsze posiada i odnajduje tajemnicze ścieżki do ludzkiej wrażliwości na całym świecie.*

Takich emocji łatwo się nie zapomina. I tak było na spektaklu w bydgoskiej filharmonii. Brawom na koniec przedstawienia nie było końca.



Wacław Bielecki

MUZYCZNA ESKAPADA DO LUBEKI I HAMBURGA

Życie miłośnika muzyki klasycznej na prowincji nie jest usłane różami. Powód jest oczywisty: chroniczny brak możliwości słuchania muzyki na żywo. Meloman z metropolii co piątek może pójść na koncert do filharmonii lub obejrzeć spektakl operowy. Miłośnik klasyki z prowincji już tak łatwo nie ma. Od najbliższej filharmonii lub opery dzieli go dziesiątka, a właściwie setki kilometrów. Nie zawsze można je łatwo pokonać, i tu nie chodzi tylko o dodatkowy czas i pieniądze. W niektórych porach roku wyjazd do metropolii jest szczególnie uciążliwy. Powstaje zatem pytanie: czy można być melomanem żyjąc na prowincji? Oczywiście, że można. W październiku odbyłem kilkudniowymuzyczny wypad do Lubeki i Hamburga.

MUZYCZNA LUBEKA

Lubeka od strony muzycznej to miasto słynnego organisty Dietricha Buxtehude. Przybył on z Danii do miasta nad rzeką Trave w 1667 r. i pracował tutaj przez 39 lat, aż do śmierci jako organista w największym w mieście kościele Mariackim (nb. na jego wzór został wybudowany kościół Mariacki w Gdańsku). Buxtehude znany z jest tego, że organizował w każdą niedzielę adwentu koncerty muzyczne zwane Abendmusiken (niem. Abend – wieczór). Sława Buxtehudego była tak wielka, że przyjeżdżali tutaj posłuchać jego gry liczni melomani i muzycy z odległych stron. Najbardziej znani, to wielcy kompozytorzy z okresu Baroku – Jerzy Fryderyk Haendel oraz Jan Sebastian Bach. W jednym z podręczników historii muzyki przedstawiona jest ilustracja, jak dwudziestoletni Bach wędruje w 1705 r. z Arnstadt w Turynii do Lubeki. Nie dość, że było to prawie 300 km, to idzie na piechotę, i często na boso, oszczędzając buty. Na ramieniu trzyma kij z zawieszonym na nim tobołkiem. Młody Bach znacznie przedłużył swój pobyt w Lubece. Otrzymał urlop na jeden miesiąc, a był aż cztery. Stało się to przedmiotem różnych spekulacji. Wielki znawca Bacha, Albert Schweitzer pisze, że Bach tak był oczarowany grą Buxtehudego, że całkiem zapomniał o powrocie. Natomiast mieszkańcy Lubeki opowiadają, że powodem tego nie było oczarowanie muzyczne, tylko miłosne. Otóż Buxtehude miał córki. Jedna z nich wpadła Bachowi w oko. Sędziwy Buxtehude szukał następcy na swoje stanowisko. Zgodnie ze zwyczajem powinien on posłubić najstarszą córkę mistrza, ale Jan Sebastian był zainteresowany młodszą i ładniejszą. Nic więc z tego nie wyszło i powrócił do Turynii.

Dietrich Buxtehude to postać, która nie ma swojego wizerunku. Nie zachował się żaden obraz przedstawiający tego organistę. W Muzeum Miejskim św. Anny w Lubece znajduje się sala poświęcona temu muzykowi. Mogłem tam zobaczyć obraz przedstawiający jakiś koncert domowy. Znaczący biografii kompozytora, między innymi Arndt Schnoor, kustosz zbiorów muzycznych w Bibliotece Miejskiej, nie potrafił nam jednak powiedzieć, która z postaci na obrazie to Buxtehude: czy to podpierający głowę zasłuchany mężczyzna sie-

dzący koło klawesynu, czy może muzyk grający na wioli (przodku wiolonczeli). Nie ma też organów, na których grał Buxtehude, bo razem z kościołem Mariackim zostały one zniszczone podczas alianckich nalotów w czasie II wojny światowej.

W jednej ze ścian wmurowana jest kamienna płaskorzeźba upamiętniająca pobyt Bacha w Lubece. W Bibliotece Miejskiej miałem możliwość oglądania niezwykle cennych zbiorów muzycznych. Są to pisane ręką Buxtehudego utwory. Najcenniejsza z zachowanych ksiąg, która szczęśliwie przetrwała najróżniejsze burze dziejowe, zawiera ponad setkę utworów tego kompozytora. Pierwsza z nich, kantata, zapisana jest nie nutami, tylko w postaci tabulatury, czyli systemu liter oznaczających wysokość i długość dźwięków. Mogłem też oglądać inne zabytki muzyczne, np. nuty zapisane ręką Carla Philippa Emanuela Bacha.



Fasada teatru w Lubece nocą, fot. W. Bielecki

Wieczorem w piątek, 10 października, w teatrze miejskim w Lubece grano „Kopciuszką” Gioacchino Rossiniego. Teatr posiada trzy sale. W największej, na 900 miejsc o świetnej akustyce, grywane są opery, w dwóch mniejszych przedstawienia teatralne. „Kopciuszek” ze znaczącym podtytułem: „czyli tryumf dobroci”, liczy sobie prawie dwieście lat i jest po „Cyruliku sewilskim” najchętniej wystawianym dziełem „łabędzia z Pesaro”, jak pisze się o Rossinim. W Polsce oglądać go można bardzo rzadko. Oryginalne libretto opery zostało nieco zmienione w porównaniu z baśnią Ch. Perraulta. Macochę zastąpił ojczym – zubożały baron Magnifico, ojciec dwóch córek. Nie ma też słynnego przymierzania pantofelka. Został on zastąpiony przez bransoletę. Twórcy opery obawiali się bowiem, że cenzura kościelna nie dopuści do tego, aby na scenie można było przymierzać buty, bo wtedy – o zgrozo – trzeba by było nieco podnieść paniom suknie i pokazać nogi. Jednak realizatorzy przedstawienia w Lubece, wbrew Rossiniemu, wrócili do wersji z pantofelkiem. Przymierzała go występująca w roli Kopciuszka Wioletta Hebrowska. To młoda polska śpiewaczka dyspo-

nująca mezzosopranowym głosem, o ciemnej, ciekawej barwie. Z łatwością pokonywała zawilosci koloraturowych arii, a szczególnie w najbardziej znanej z nich, pojawiającej się na zakończenie opery: „Non piumesta”. Może nie śpiewała tak, jak Cecilia Bartoli, ale wykonanie było przepiękne. Wioletta Hebrowska wywodzi się ze Szczecina i jest absolwentką Akademii Muzycznej w Poznaniu. W 2010 roku pojechała na konkurs do Lubeki, wygrała go i została zatrudniona w teatrze operowym, gdzie śpiewa ważne role w kilku operach.

Pod względem muzycznym oglądane przedstawienie bardzo mi się podobało. Dyrygent Andreas Wolffi orkiestra grali włoską muzykę tak jak trzeba – żywo, z lekkością i wdziękiem. Niezłe były głosy pozostałych śpiewaków – księcia, barona, jego sług i dwóch siostr. Jednak odbiór dzieła popsuty mi nieco zabiegi reżyserskie i inscenizatorskie. Odniosłem wrażenie, że przedstawienie zostało zrobione zbyt mocno pod publiczność. Jak wiadomo, „Kopciuszek” jest operą komiczną, czyli buffo. Jest to humor specyficzny, operowy. Na scenie jest wiele sytuacji wywołujących śmiech widzów: a to ktoś się poślizgnie i upadnie, albo zderzy się z inną osobą. Reżyser i scenograf zafundowali widzom, moim zdaniem, niezbyt wybredne,



Wioletta Hebrowska, jako Kopciuszek w operze Rossiniego

a czasem niesmaczny humor. Na przykład, w jednej ze scen zbiorowych pojawiają się kartki z napisami: „rzygam” i „sikam na ciebie”, co na widowni wzbudzało salwy śmiechu. Nie będę tego komentował.

Drugie przedstawienie, które obejrzałem w Lubece w niedzielę 12 października to „Tannhäuser i turniej śpiewaczy na Wartburgu” Ryszarda Wagnera. Byłem bardzo ciekawy, jak Niemcy wykonają to dzieło. Po raz pierwszy widziałem „Tannhäusera”, wstyd się przyznać, na początku lat siedemdziesiątych w Teatrze Wielkim w Warszawie. Wtedy zapadła mi w pamięci piękna uwertura ze słynnym motywem - „Chórem pielgrzymów”.

Akcja opery, do której libretto napisał sam kompozytor dzieje się w XIII wieku. Tannhäuser to rycerz i minnesinger – poeta i śpiewak, który bierze udział w turnieju śpiewaczym o rękę Elżbiety, siostrzenicy landgraфа Turynгии na zamku w Wartburgu. Występujący w tym konkursie inny rycerz, Wolfram von Eschenbach, sławi miłość dworską, czystą i obyczajną. Natomiast Tannhäuser opiewa miłość zmyslową i ujawnia, że zażywał takowej z boginią Wenus. Zgorszeni tym wyznaniem rycerze wyciągają miecze i tylko wstawiennictwo Elżbiety ratuje mu życie. Aby zyskać odpuszczenie grzechów Tannhäuser udaje się z pielgrzymami do Rzymu. Jednak tylko on nie uzyskuje rozgrzeszenia od papieża, który powiedział, że prędzej jego laska pielgrzymia zazieleni się liśćmi, niż tak ciężkie grzechy zostaną mu odpuszczone. Elżbieta cały czas czeka na Tannhäusera. Niestety, umiera z tęsknoty nie doczekawszy się jego powrotu. Jednak dzięki jej wstawiennictwu i modlitwie staje się cud: na laskach wracających z Rzymu pielgrzymich wyrastają świeże liście jako znak przebaczenia dla największych grzeszników. Wyczerpany trudami pielgrzymki i wyrzutami sumienia Tannhäuser także oddaje ducha.

W wielkim skrócie opisałem treść opery, aby skonfrontować ją z tym, co zobaczyłem w teatrze operowym w Hamburgu. Był to dla mnie szok. Reżyser dr Katharina Kost-Tolmein, jak to jest teraz modne, przeniósła akcję opery do czasów współczesnych. Elżbieta staje się ... Angelą Merkel, kanclerzem Niemiec, a rycerz Wolfram von Eschenbach to Wolfgang Schäuble, minister finansów poruszający się przez cały czas na scenie na wózku inwalidzkim. Inne postacie dramatu ucharakteryzowane są na przywódców partii działających obecnie w Niemczech. Chór pielgrzymów wracających z Rzymu przekształca się w grupę wyborców wrzucających kartki do głosowania do urny w postaci kosza na śmieci. Wszyscy, którym Elżbieta - Angela Merkel poda rękę na przywitanie, padają martwi na scenę. A Tannhäuser? To jakiś włóczęga, śmieciarz trzymający w rękach zamiast kija pielgrzymiego mop do sprzątnięcia, wykonujący czarną robotę - wyciąga trupy poza scenę. Wszyscy śpiewacy i chórzyci ubrani są we współczesne stroje, a akcja dzieje się we współczesnym otoczeniu, m. in. w jakimś klubie gdzie oglądamy taniec na rurze i tancerkę wykonującą pełny striptiz oraz w otoczeniu gdzie wisi wiele reklam: Mercedesa, Deutsche Post, Allianz, Commerzbank i in.

Od strony muzycznej orkiestra, chór i dyrygent Andreas Wolff spisali się bardzo dobrze. Jak zamknąłem oczy, to muzyka była prawdziwie wagnerowska. Dobrze wypadli wykonawcy głównych ról: obdarzona potężnym głosem Carla Filipic Holm (Elżbieta), Julia Faylenbogen (Wenus), Jeffrey Dowd (Tannhäuser), Steffen Kubach (Wolfram von Eschenbach).

Jednak najpiękniejsza aria z tej opery, wykonana przez tego ostatniego - „Pieśń do gwiazdy”, będzie mi się odąd kojarzyła, niestety, z inną gwiazdą ... olbrzymim logo firmy Mercedes.

To, co nie zostało zmienione w operze, to muzyka Wagnera, w tym intermezza grane na początkach kolejnych aktów, na szczęście bez żadnej akcji scenicznej. I tu nasuwają się pytania. Czy można tak dalece ingerować w dzieło operowe? Moim zdaniem, absolutnie nie. Słuchacz może popaść dysonans poznawczy, bo słyszy co innego, a na scenie dzieją się akcje nie mające nic wspólnego z tym, do czego muzykę ułożył kompozytor. Zupełna sprzeczność. Po co to „uwspółcześnianie” opery? Przecież nie jest to „Tannhäuser” według intencji Wagnera, tylko jego polityczna parodia, zupełnie nowy dramat według reżysera. Dlaczego nie uprzedza się o tak istotnej zmianie słuchaczy? Jest to, moim zdaniem, co najmniej obrażające. Ktoś, kto nie znał dotąd tej opery, nie jest w stanie pojąć jej sensu.

Tendencja do uwspółcześnienia oper pojawiła się dość dawno, także w polskich teatrach operowych. W Teatrze Wielkim w Warszawie oglądałem w ubiegłym roku „Latającego Holendra”, inną operę Wagnera, w reżyserii Mariusza Trelińskiego. Na scenie pojawił się wielki basen, a śpiewacy, chórzycy i tancerze taplali się w wodzie, która często lała się też z góry sceny. Śpiew był zagłuszany przez chłopot wody. Kiedyś w Gdańsku wystawiono „Fausta” Gounoda. Jest tam scena baletowa – „Noc Walpurgii” z przepiękną muzyką kompozytora. Reżyser wyciął ją, a zamiast tego wstawił współczesny taniec z muzyką rockową graną z płyt i tancerzy ubranych we współczesne stroje. Tenże sam reżyser w „Makbecie” Verdiego pokazał ludzi podchodzących pod zamek birnamski, ucharakteryzowanych na stoczniovców sprzed pomnika Trzech Krzyży, postawionym przed słynną bramą nr 2. Spowodowało to krytyczne głosy o upolitycznieniu dzieła Verdiego. Ale to wszystko drobiazg w porównaniu z polityczną inscenizacją „Tannhäusera” w Lubece.

MUZYCZNY HAMBURG

Wielki, dwumilionowy Hamburg to od strony muzycznej miasto kilku kompozytorów: Georga Philippa Telemanna i jego chrześniaka Carla Philippa Emanuela Bacha – najśłynniejszego syna Jana Sebastiana. Tenże syn był w swoim czasie bardzo znanym w całej Europie muzykiem, a jego sława była znacznie większa, niż ojca, który na sto lat został kompletnie zapomniany (teraz jest na odwrót). Akurat w 2014 r. przypada trzechsetna rocznica urodzin Carla Philippa Emanuela. W wielkiej krypcie pod najpiękniejszym chyba w Hamburgu w protestanckim kościele św. Michała znajduje się miejsce jego pochówku. Opowiadająca o nim przewodniczka przekazała nam pikantny szczegół z życiorysu muzyka. Otóż podobno ważnym źródłem dochodów Carla Philippa Emanuela nie była posada organisty, tylko utrzymywany przez niego ... dom publiczny.

Największym z kompozytorów związanych z Hamburgiem jest urodzony tu Johannes Brahms. Nie istnieje już dom w którym przyszedł na świat. W pobliżu jest pomnik upamiętniający to wydarzenie, a niedaleko przy placu jego imienia, postawiony jest drugi pomnik w formie jasnobrązowego sześcianu. Po jego czterech stronach wyrzyte są podobizny Brahmsa w różnych okresach życia – od młodości po starość. Kilkaset metrów dalej znajduje się niewielkie prywatne muzeum poświęcone Brahmsowi. Prawie wszystkie znajdujące

się tu eksponaty to reprodukcje z Instytutu Brahmsa znajdującego się w Lubece. Jest tu także stary, fortepian stołowy (nie skrzydłowy, tylko prostokątny), na którym grał Brahms. Właściciele muzeum zachęcają do jego wypróbowania. Oryginały pamiątek, nut, fotografii, przedmiotów znajdują się w Instytucie Brahmsa w Lubece. Stało się to w 1990 r., kiedy Renata i Kurt Hofmannowie, właściciele wielu pamiątek po Brahmsie przeprowadzili się z Hamburga do Lubeki i przekazali je do dyspozycji tego miasta. Tak się złożyło, że Brahms był w Lubece tylko jeden raz w życiu, kiedy dyrygował tutaj koncertem.

Instytut Brahmsa znajduje się w ładnej, stylowej Willi Eschenburg i należy do Wyższej Szkoły Muzycznej w Lubece. Po placówce tej oprowadzał nas znawca kompozytora dr Stefan Weymar. Z jego ust dowiedzieliśmy się wielu szczegółów z życia kompozytora, np. o jego, nazwijmy to, niechęci do kobiet, bo Brahms przeżył życie samotnie, słabej zdolności do kontaktów z innymi, co powodowało różne problemy z kierowaniem orkiestrą i muzykami.



Budynek opery w Hamburgu, fot. W. Bielecki

W sobotni wieczór 11 października byliśmy na „Carmen” Georga Bizeta w operze w Hamburgu. Gmach opery został niedawno gruntownie odnowiony i jest znacznie ładniejszy niż teatr w Lubece. Widownia mieści prawie 1700 foteli, jest więc prawie dwukrotnie większa, ale akustyka nie jest tak dobra jak Lubece. Podczas tego wieczoru wszystkie miejsca były zajęte, bo ktoś nie zna i nie lubi „Carmen”. Po „Traviacie” Verdiego jest to najczęściej wystawiane i oglądane dzieło operowe na świecie. Aż nie chce się wierzyć, że podczas premiery w Paryżu w 1875 r. poniosła ona całkowitą klępkę. Schorowany już kompozytor tak się tym przejął, że zmarł ze zgrzyoty w trzy miesiące po tym wydarzeniu w wieku 38 lat. Przyczyną niepowodzenia – jak dowodzą specjaliści - było to, że w operze przedstawiony jest świat zwykłych ludzi: robotnic fabrycznych, żołnierzy, przemysłowców i cyganów. Publiczność paryska nie była przyzwyczajona do bohaterów z niższych sfer. Poza tym, w dziele tym ma miejsce pomieszanie wielu gatunków, między innymi jest wiele scen nie śpiewanych, tylko mówionych, jak w operetce.

W oglądanej inscenizacji pod reżyserią Hansa-Petera Fringsa i Kerstin Schussler-Bach akcję, jakże by inaczej, uwspółcześniono, tzn. przeniesiono w lata siedemdziesiąte minionego wieku. Występująca w roli Carmen Cristina Damian, sopran, najpierw ubrana jest w fartuch robotnicy z fabryki cygar, a potem w desuss, jak kobieta z domu publicznego. Podobnie ubrane są jej dwie przyjaciółki Frasquita i Mercédès, które przez długi czas oddają się lesbijskim pieścizdom. Główny bohater kapral Don José (James Valenti, baryton) odziany jest w typowy, hiszpański mundur żołnierski. Słynny torreador Escamillo (Derek Welton, tenor), zanim w IV akcie przebierze się w odpowiedni strój, chodzi po scenie w jakichś koszmarnych czerwonych dresach i z fryzurą na wzór młodego Paula Anki. Normalnie ubrana jest Micaëla (Liana Aleksanyan, sopran), dziewczyna zakochana w Don Josém. Przemytncicy i cyganie noszą trochę udiwnione stroje współczesne, a w przemyście papierosów pomaga im widoczny na scenie samochód terenowy. Spodobał mi zabieg reżyserski w ostatnim akcie. W głębi sceny tłum odwrócony tyłem do widowni ogląda transmisję telewizyjną walki torreadora na arenie w Sewilli. W czasie, gdy torreador zadaje śmiertelny cios bykowi, co spotyka się z tryumfalnym rykiem oglądających, na przodzie sceny Don José wbija nóż w serce Carmen. Robi to z zazdrości i miłości do niestałej w uczuciach cyganki.

Muzyka Bizeta została pięknie wykonana przez orkiestrę grającą pod batutą Axela Kobera. Dobrze także śpiewają soliści i chóry. Szkoda wszakże, że reżyserzy nie pozwolili na spokojne wysłuchanie muzyki we wstępach do kolejnych aktów, przepięknych intermezzów, zakłócając je jakimś ruchem scenicznym. Czy cudowna muzyka Bizeta nie może się obejść bez chodzących po scenie chórzystów – dzieci i dorosłych?

REFLEKSJE NA ZAKOŃCZENIE

Oba miasta, Lubeka i Hamburg, mają dużo do zaoferowania melomanom. Przez kilka dni pobytu nie udało mi się odwiedzić wszystkich ważniejszych instytucji i ośrodków muzycznych w tych miastach. Nie byłem, np. w tamtejszych filharmoniach, ani w szkołach muzycznych, ani na organizowanych tu konkursach muzycznych i festiwalach. Nie udało mi się nawet podejść do budowanej w otocze wielkiego skandalu – najwyższej opery na świecie w Hamburgu położonej po drugiej stronie Elby. Jeśli chodzi o opery, to po estetycznym wstrząsie spowodowanym oglądaniem „Tannhäusera” w Lubece, dochodzę do wniosku, że przed udaniem się na spektakl trzeba uważniej zapoznawać się z intencjami reżysera. Jeśli jego ingerencja, tzw. uwspółcześnianie, idzie za daleko, to trzeba po prostu zrezygnować z oglądania spektaklu. Co w zamian? Pozostają wersje koncertowe w których nie ma akcji scenicznej, a tylko czysta, nieskażona dziwnymi pomysłami scenograficznymi muzyka, albo słuchanie nagrań płytowych.

Moja muzyczna eskapada byłaby znacznie skromniejsza, gdyby nie pomoc mieszkańca Lubeki, a 25 lat temu Sztumu - Józka Urbaniaka. Jego znajomość Lubeki oraz umiejętność symultanicznego tłumaczenia z języka niemieckiego na język polski była imponująca. Chciałbym w tym miejscu podziękować mu za te kilka dni naznaczonych muzyką i spędzonych razem.

Jacek Albrecht

SEZON OPEROWY W ELBLĄGU

Oto rozpoczął się kolejny już sezon operowych transmisji na żywo realizowanych przez Centrum Kultury Europejskiej w kinie Światowid w Elblągu. Dzięki wspaniałej inicjatywie, m.in. fundacji Blumberga ze Stanów Zjednoczonych, cały świat może od kilku lat oglądać transmisje z Metropolitan Opera w Nowym Jorku. Elbląg jako jedno z nielicznych miast w Polsce skorzystał z tej możliwości i należy mu się za to wielki szacunek. A ja mam przy okazji ogromne szczęście, że mogę niezbyt wielkim wysiłkiem oglądać przedstawienia operowe z najbogatszej bodajże sceny tego typu na świecie. A ma to znaczenie, ponieważ stać ją na eksperymenty zarówno w pokazywaniu klasyki gatunku, jak i dzieł powstających współcześnie, no i na najlepsze głosy. Odważne, nowoczesne inscenizacje i pełna widownia w N.Y. dowodzą, że sztuka operowa nie jest już jedynie historyczną ciekawostką, ale ciągle żywą, chociaż bardzo kosztowną, bo łączącą kilka dyscyplin twórczych, formą przekazu artystycznego. I ja ją lubię.

Pierwszym przedstawieniem obecnego sezonu był „Makbet” Verdiego. Odważna inscenizacja w konwencji rewolucji rosyjskiej, dla nas może nieco denerwująca, stała się w Ameryce, jak sądzę, ciekawym wzmocnieniem klimatu zbrodni, przyciągającej kolejne zbrodnie i losów ludzi, których psychika tego nie wytrzyma. Pomysł wydawał się początkowo całkiem dobry. Miał być łatwy skok na władzę i kasę, ale narasta tylko strach i terror, i jakoś nie cieszy. Makbet to tu taki mały Stalinec i jego kolejnymi czystkami, tyle że tutaj następuje w końcu skuteczny bunt z pomocą wojsk zewnętrznych, a Rosji nie udało się jednak skutecznie pomóc. Inscenizacja więc jest dosyć ciężka, o wielu podtekstach i skojarzeniach, szczególnie w Polsce. Za to z piękną, bardzo smutną arią Lady Makbet w końcowej części sztuki, gdy już traci zmysły, zaśpiewaną wspaniałym, ciepłym i miękkim sopranem przez Annę Netrebko. W sumie bardzo ciekawa, uwspółcześniona interpretacja szekspirowskiego dramatu, szczególnie, że w kierunku inscenizacji historyczno-naturalistycznej wszystko już chyba powiedział w swoim filmie „Tragedia Makbeta” Polański.

18 października odbył się drugi w tym sezonie przekaz spektaklu z MET. Tym razem było to, jakże różne od poprzedniego, „Wesele Figara” Mozarta. Jest to bowiem opera komiczna. Specyficzna muzyka Wolfganga Amadeusza nie każdemu też odpowiada. Melodyjne arie solowe i bogata instrumentacja na najwyższym poziomie wyparły jednak stopniowo na dalszy plan wielopiętrową intrygę będącą pretekstem do posłuchania dobrej muzyki. Reżyser umieścił akcję w dziewiętnastowiecznej Hiszpanii, a scenograf, jak zwykle w MET, stworzył intrygującą sugestię zamkowych wnętrz z wykorzystaniem w akcji sceny obrotowej. Trudne, bardzo wyeksponowane role głównych bohaterów zaśpiewali Ildar Abrazakov (Figaro) i Marlis Petersen (Zuzanna). Szczególnie w roli Zuzanny, narzeczonej Figara, niełatwo uniknąć komediowego banału, co jednak tym razem w pełni się udało. Marlis Petersen jest w pełni zaangażowana, dynamiczna, a jednocześnie czuć jej dystans, jakby przymrużenie

oka wobec wydarzeń scenicznych świadczące o wielkim także jej talencie aktorskim. Opera to bowiem specyficzne połączenie kilku dyscyplin artystycznych, wymagająca od wykonawców wielu talentów i dlatego tak trudno ją wystawić na najwyższym poziomie. Mamy tu muzykę orkiestrową i chóralną, solistów, reżyserię i scenografię teatralną, kostiumy i grę aktorską, często też balet i choreografię. A scenariusz przenoszący akcję, np. do współczesności pozwala ożywić dzieła starych mistrzów i przyciągać kolejne pokolenia widzów.

Są to jednak spektakle niezwykle kosztowne, wymagające udziału wielu utalentowanych uczestników i stać na nie jedynie bardzo bogate sceny w bogatych krajach. Mamy więc tu ogromne szczęście, że dzięki nieocenionej inicjatywie Elbląskiego Centrum Kultury i fundacji amerykańskich sponsorów możemy poprzez przekaz satelitarny uczestniczyć na żywo w spektaklach jednej z najbogatszych scen operowych świata, jaką jest Metropolitan Opera w Nowym Jorku, do czego gorąco zachęcam. Najbliższe spektakle to „Carmen” Bizeta, „Wesoła Wdówka” Lehára i „Opowieści Hoffmanna” Offenbacha.

Agnieszka Kolwzan

HOMO VIATOR

Janusz Ryszkowski, *Stacja przedostatnia*,
Towarzystwo Przyjaciół Sopotu, Sopot 2014,
str. 48.

„Chętnie jeszcze poboksuję się z życiem/
Nie rzucajcie jeszcze ręcznika między liny/
choć nieźle krwawię...” – tym stanowczym
stwierdzeniem rozpoczyna swój najnowszy
zbiór poetycki, *Stacja przedostatnia*, Janusz
Ryszkowski (Biblioteka „Toposu”, Sopot
2014). Dwukrotnie powtórzona w inicjują-
cym tom wierszu *** (*Brnę w śniegu po pas,
choć to koniec czerwca*) partykuła „jeszcze”
odciska piętno na kolejnych utworach, poka-
żując, gdzie znajduje się ich podmiot liryczny.

A stoi on dokładnie na „stacji przedostat-
niej” – czyli w miejscu, z którego widzi się
nie tylko całą przebytą dotąd trasę, ale i cel
wędrowki. Jeszcze w drodze, choć nie u kres-
su. Tym samym staje się on ucieleśnieniem
toposu „homo viator” – średniowiecznego
symbolu doli człowieczej.

Metaforyczne jego rozwinięcie stanowią
wszystkie kolejne wiersze zbioru. W spo-
rej ich części podmiot liryczny „ogłada się
za siebie”, patrzy wstecz, przywołuje wspo-
mnienia z odległej przeszłości. W wierszu
191?–19?? wskrzesza swoje dzieciństwo,
przywołując postać dobrodusznego „Sta-
rego woźnego z podstawówki”, który „Na-
ciskał dzwonek tak/ Aby ostatnia lekcja/
Kończyła się wcześniej/ Za to prawdziwe
życie/ Trwało dłużej”. Dzięki poczciwości
staruszka, którego roku urodzin ani śmierci
podmiot liryczny nie jest w stanie określić
(stąd zapewne te znaki zapytania w tytu-
le utworu), uczniowie zyskiwali odrobinę
więcej czasu na naukę prawdziwego życia.

Janusz Ryszkowski

Stacja przedostatnia



W galerii wspomnianych osób znajduje
się również najbliższa rodzina. W wierszu
Odwiedziny, lato 1951 podmiot liryczny
odtwarza moment, w którym jego matka
odwiedza swoją matkę w szpitalu: „*Mama
mnie nie poznaje/ Zapytała moja mama/
W separacie*”. Po wielu latach mężczyzna
doznaje swoistego *déjà vu*, przychodzi mu
bowiem pielęgnować w chorobie swoją mat-
kę, co wyznaje w wierszu *Odwiedziny, zima
2011* (stanowiącym dyptyk z poprzednim):
„*Za mamę od kilku dni/ Oddycha techni-
ka/ Dlatego nie wiem/ Gdzie naprawdę
jest*”. Historia zatacza koło.

Do przeszłości powraca także poprzez
miejsca. W utworze *Stacja Opalenie* wy-
znaje: „*Wdrapywałem się na wysoki nasyp/*

Spodziejając się/ Bóg wie czego”. Jednak widok dawnych terenów nie wnosi do jego życia niczego nowego, raczej podkreśla bezpowrotną przemijalność: „Na torowisku/ Którego przez roztargnienie/ Nie rozebrano/ Rosły już krzaki [...] Na porzewiałym kolejowym znaku/ Ktoś napisał/ AMEN”. Amen, słowo w chrześcijaństwie oznaczające „tak jest” i „niech tak się stanie”, staje się tu symbolem odchodzącego w niebyt świata, do którego powrotu być nie może.

Znajdując się na „stacji przedostatniej” podmiot liryczny widzi też cel, czy inaczej, kres swej podróży. Ma świadomość nieuchronności jego nadejścia. Dlatego część wypowiedzi lirycznych poświęcona zostaje ewokacji przyszłości. Życie pośmiertne opisuje wcielając się w umarłego. W wierszu *Jestem chwastem* zwraca się jako nieboszczyk do odwiedzającej jego grób ukochanej: „Kiedy plewisz chwasty, karmione moim ciałem/ To tak, jakbyś niszczyła to, co było złe we mnie”. Dostrzega analogię między wyrwaniem zielska a oczyszczaniem duszy, co w luźny sposób nawiązuje do wizji chrześcijańskiego czyścica, z którego dusza może się dostać również za sprawą modlitw żyjących do nieba.

W podobny sposób przemawia podmiot liryczny w utworze *Wyrzut*. Tu także przybrawszy postać zmarłego mówi do krzątającej się wokół jego grobu kobiety: „Będę szczerzy: wpięprza mnie ten facet,/ Często przychodzi pożyczać grabie,/ jakby nie mógł kupić swoich./ Zabiera ci tylko czas/ A ty przecież masz/ kwiatki do podlania/ i ciągle mnie”. Upomina bliską osobę, pragnie, by na cmentarzu nic jej nie rozpraszało, by swój czas poświęciła tylko mu, choć tak naprawdę jego szorstkie i wręcz brutalne słowa świadczą o tym, że rozpaczliwie chce być pamiętany.

A co tak naprawdę zostanie po człowieku, którego świeczka już się wypaliła? „*Zostanie po nas/ I po naszym świecie/ PESEL, NIP, kilka mejli/ I zapalona świeczka w necie*” (***) *Zostanie po nas...*). Pesymistyczna wizja, krańcowo przeciwstawna do horacjańskiego „*Non omnis moriar*”, ukazuje anonimowość śmierci jako cechę współczesną. Po człowieku zostanie tylko urzędowo nadany numer, przyporządkowany ciąg bezdusznych cyfr, nadal funkcjonująca poczta internetowa i... wirtualna świeczka. Można dostrzec tu zbieżność z wymową wiersza Wisławy Szymborskiej *Pisanie życiorysu*: „Bez względu na długość życia/ życiorys powinien być krótki. [...] Raczej cena niż wartość/ i tytuł niż treść./ Raczej już numer butów, niż do kąd on idzie/ ten za kogo uchodzisz”.

Podmiot liryczny wierszy Janusza Ryszkowskiego przebył już sporą część drogi, z perspektywy czasu obserwował nie tylko swoje zmiany, ale i przewartościowania, którymi karmi się współczesna rzeczywistość, szczególnie przejście od pojmowania człowieka jako istoty myślącej i czującej do postrzegania go jako bezosobowego produktu. Nie tylko miniony „ja” odszedłem w niebyt, ze mną skończył się dawny świat – zdaje się mówić podmiot liryczny.

Stacja przedostatnia Janusza Ryszkowskiego to pełen głębokich przemyśleń nad kondycją współczesnego człowieka zbiór wierszy, w którym prosta, choć niepozobawiona środków artystycznego wyrazu, forma nie przesłania treści. Osobistym, często autobiograficznym wątkom przydaje autor uniwersalnych, ogólnoludzkich znaczeń. Zanurzony w przeszłości zmierza ku nieznanemu...

Omówienie ukazało się na portalu internetowym pomorskiego magazynu literacko-artystycznego „*Latarnia Morska*”, <http://latarnia-morska.eu/>

Adam Langowski

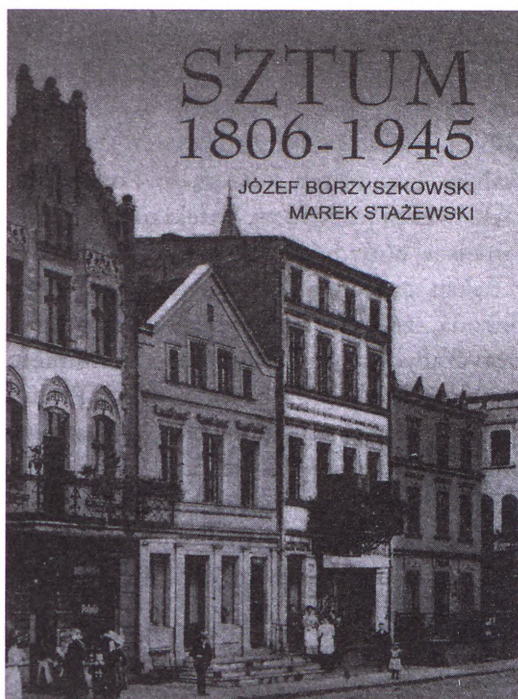
SZTUMSKA MONOGRAFIA

Józef Borzyszkowski, Marek Stażewski, Sztum 1806–1945, pod red. Janusza Ryszkowskiego, Sztum 2014.

Po wydanej w 2011 roku monografii dr. Wojciecha Szramowskiego „Dzieje miasta Sztumu w latach 1416–1772” sztumianie otrzymują kolejną publikację dotyczącą historii ich miasta oraz powiatu, obejmującą następne dwa stulecia. Jej autorami są naukowcy związani z Uniwersytetem Gdańskim – prof. dr hab. Marek Stażewski oraz prof. dr hab. Józef Borzyszkowski. Pracami redakcyjnymi kierował Janusz Ryszkowski.

Za początek rozważań przyjęto rok 1806, kiedy po upokarzającej klęsce w wojnie z napoleońską Francją rozpoczęto w państwie pruskim głębokie reformy. Jedną z nich dotyczyła nowego podziału administracyjnego, w tym utworzenia powiatu z siedzibą w Sztumie. Formalnie decyzję o powstaniu powiatu sztumskiego podjęto 21 lutego 1818 roku. Monografia kończy się na roku 1945, kiedy miasto zajęła Armia Czerwona, niszcząc jego zabudowę.

Książka składa się z dwóch części: „Miasto i gmina Sztum w latach 1806–1945” oraz „Życie społeczno-kulturalne i działalność polityczna Polaków Ziemi Sztumskiej w państwie prusko-niemieckim”. Pierwszą część przygotował prof. Marek Stażewski, który na podstawie dokumentów archiwalnych przedstawił okoliczności powstania powiatu sztumskiego, przybliżył ustrój i władzę Sztumu, omówił rozwój gospodarczy miasta, życie religijne, oświatę, kulturę oraz sport. Ukazał również zmiany zachodzące w życiu społeczno-politycznym Sztu-



mu w okresie cesarstwa, Republiki Weimarskiej, Trzeciej Rzeszy i II wojny światowej. Profesor Stażewski podkreśla, że Sztum otrzymał w przeszłości szansę na rozwój. Możemy zadać sobie pytanie: Jakim byłby miastem, gdyby w 1818 roku nie ulokowano w nim stolicy powiatu, a w 1883 roku nie uzyskał dostępu do komunikacji kolejowej? Jak wyglądałby obecnie, gdyby w 1913 roku nie sprowadzono do miasta III Batalionu 152. Królewsko-Pruskiego Pułku Piechoty Zakonu Niemieckiego, a w 1915 roku nie oddano do użytku Centralnego Więzienia dla Prus Wschodnich i Zachodnich? Opracowanie prof. Stażewskiego zawiera wiele faktów, które powinny zainteresować obecnych mieszkańców miasta i powiatu. Osoby robiące zakupy w sklepie należącym do jed-

nej z popularnych sieci supermarketów dowiedzą się, że na początku XX wieku działał w tym miejscu jeden z najważniejszych zakładów przemysłowych w Sztumie – młyn Funka, przekształcony później w Sztumskie Zakłady Młynarskie. Sympatycy piłki nożnej zwrócą uwagę na to, że do spopularyzowania tej dyscypliny przyczynili się żołnierze włoscy, którzy przed plebiscytem stacjonowali w sztumskich koszarach. Podobnych ciekawostek jest więcej. Dzięki nim budynki i miejsca, które być może mijamy dzisiaj bez refleksji, nabierają dodatkowego znaczenia. Szkoda, że we fragmentach opracowania dotyczących życia religijnego pominięto zupełnie kaplicę grobową rodziny Philipsonów, znajdującą się na terenie dawnego cmentarza ewangelickiego. Wymieniona budowla, choć bardzo zrujnowana, stanowi jeden z najbardziej charakterystycznych punktów w krajobrazie miasta, niewiele jednak o niej wiadomo.

W drugiej części monografii prof. Borzyszkowski koncentruje się na udziale Polaków z Ziemi Sztumskiej w polskim ruchu narodowym w państwie prusko-niemieckim. Autor stworzył swoistą galerię postaci, wśród których odnajdziemy członków zasłużonych rodzin ziemiańskich – Donimirskich i Sierakowskich, a także przedstawicieli innych warstw społecznych i zawodów – duchownych, nauczycieli, mieszczan oraz chłopów. Poczet wybitnych Polaków z Ziemi Sztumskiej otwiera Teodor Donimirski z Buchwałdu (Bukowa), którego aktywność wykraczała poza Powiśle i stawała go w szeregu czołowych działaczy narodowych Pomorza. Profesor Borzyszkowski oprowadza nas po polskich dworach, spółkach pożyczkowych, towarzystwach, szkołach, przedszkolach oraz gospodarstwach będących ostoją polskości na Ziemi Sztumskiej.

Często kieruje nas dalej, pokazując związki Powiśla z Ziemią Chełmińską, Pomorzem i Wielkopolską. Na koniec zwraca uwagę na potrzebę opracowania słownika biograficznego Powiśla lub Ziemi Sztumskiej.

Prezentowana monografia zawiera aneks w postaci wspomnień Otto Kammela, dawnego mieszkańca Sztumu, który opisuje dziecięce lata spędzone w tym mieście na początku XX wieku, oraz Karola Myszkę, przymusowego robotnika rolnego, pracującego w okresie II wojny światowej w gospodarstwie Waplewko w obecnej gminie Stary Targ, który został później jednym z pierwszych sztumskich milicjantów. Do książki dołączono także kalendarium, sporządzone przez Janusza Ryszkowskiego we współpracy z Andrzejem Lubińskim.

Najnowsza monografia Sztumu prezentuje się bardzo okazale. Na okładce zamieszczono pocztówkę z około 1915 roku, przedstawiającą wschodnią pierzeję Rynku. Widać na niej ówczesnych mieszkańców miasta, stojących przed stylowymi kamieniczkami i wpatrujących się w stronę miejsca, z którego wykonywano zdjęcie. Niektórzy ustawili się na schodkach kamienicy i wyraźnie pozują. Po wykonaniu fotografii rozeszli się zapewne do sklepów rozlokowanych na parterach kamienic, komentując całe zdarzenie. Prawdopodobnie część z nich opowiadała sobie wszystko po polsku, inni rozmawiali po niemiecku, a u niektórych słychać było charakterystyczny żydowski akcent. Taki był wówczas Sztum, zamieszkały przez kilka społeczności. Relacje między nimi zmieniały się w zależności od przekształceń ustrojowych i politycznych, jakie dotyczyły państwo pruskie, a później niemieckie. Pocztówka z okładki oraz inne dawne fotografie wykorzystane w książce pochodzą ze zbiorów Sławomira Michalika, Bogdana Popielarza

oraz Muzeum Prus Wschodnich Ellingen. Częściowo znamy je z wcześniejszych albumów poświęconych dawnemu Sztumowi. Są wśród nich jednak i takie, które zaskoczą niejednego czytelnika.

Publikacja „Sztum 1806–1945” stanie się zapewne od tej pory podstawowym źródłem wiedzy o przeszłości miasta i okolic. W tym

miejscu nasuwa się pytanie: Co dalej? Co z wydarzeniami po 1945 roku? Janusz Ryszkowski, redaktor omawianej monografii, w słowie wstępnym wyraża nadzieję, że również historia drugiej połowy XX wieku doczeka się opracowania i wydania. Trzymając zatem w rękę najnowszą książkę o Sztumie, czekamy z niecierpliwością na kolejną.

Leszek Sarnowski

WIĘZIENNE HISTORIE

Krzysztof Czermański, Więzienie w Sztumie w epoce totalitaryzmów 1933-1956, Wydawnictwo Bernardinum, Sztum - Pelplin 2014.

Krzysztof Czermański jest sztumianinem z urodzenia, absolwentem Wydziału Nauk Społecznych Uniwersytetu Gdańskiego, na specjalności resocjalizacja oraz Studiów Podyplomowych w zakresie Zarządzania Jednostkami Penitencjarnymi na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. W 1982 r. rozpoczął pracę w Zakładzie Karnym w Sztumie, najpierw jako strażnik, a później wychowawca. W latach 1992-2006 współorganizował kilkanaście edycji Ogólnopolskiego Przeglądu Sztuki Więziennej w Sztumie. Od 2002 roku był zastępcą dyrektora ZK w Sztumie, a od 2007 r. dyrektorem ZK w Kwidzynie. Od 2014 r. jest emerytem. Był organizatorem konferencji „Resocjalizacja przez sztukę - utopia czy szansa” (2001) oraz międzynarodowej konferencji „Twórczość więzienna w niektórych krajach UE” (2006). Artykuły zamieszczał m.in. w „Forum Penitencjarnym”. Trudno zatem by znaleźć lepszego niż



właśnie on, autora książki o sztumskim więzieniu. Mówiąc kolokwialnie, zna sztumski zakład karny od podszewki. Trudno, by też znaleźć odpowiedniejszy czas na napisania tej książki, bo właśnie w tym roku obcho-

dziliśmy stulecie tej arcyważnej placówki penitencjarnej. Dobrze, że autor, mimo wielu trudności i ciężkiej pracy nad tym dziełem, zdążył na czas.

Książka składa się z czterech rozdziałów i dwudziestu trzech podrozdziałów, z bogatą bibliografią, aneksem z planami więzienia, biografią niektórych więźniów, listą więźniów, którzy zmarli w więzieniu, a było ich sporo, bo aż 235 osób, szczególnie w latach powojennych. Autor nie przedstawił całej historii więzienia, bo skupił się na najbardziej dramatycznym okresie, czyli funkcjonowaniu placówki od jej powstania, poprzez czasy totalitaryzmów – faszystowskiego i komunistycznego.

Więzienie w Sztumie oddano do użytku w 1914 roku, dokładnie wtedy kiedy na wielu frontach Europy i świata ważyły się także losy naszego państwa. Sztumskie więzienie w momencie powstania było częścią pruskiej administracji. Było to Centralne i Młodzieżowe Więzienie dla Prus Wschodnich i Zachodnich, w którym osadzonych było czterystu więźniów. Pierwszym dyrektorem sztumskiego więzienia był Rautenberger. Pierwszym kapelanem ewangelickim - pastor Zottmaier, a katolickim - ksiądz Wilkowski. Zatrudniony był również jeden nauczyciel i lekarz. Podstawą funkcjonowania zakładu była pruska ordynacja więzienia z 1898 roku, która regulowała sposób wykonania kary w duchu panującego w kraju bezwzględного posłuszeństwa i dyscypliny, który nie przewidywał żadnych nagród, a jedynie kary. W latach trzydziestych, po dojściu do władzy nazistów, więzienie rozbudowano i przebywało tu ponad siedemset więźniów. W tym czasie, poza dorosłymi kryminalistami osadzano tu także więźniów politycznych, w znacznej części Polaków z Wolnego Miasta Gdańska. W czasie wojny

przebywało tu ponad tysiąc więźniów i było to największe więzienie w Prusach Wschodnich. Polscy więźniowie polityczni pracowali między innymi w cegielni w Nowej Wsi, przy karczowaniu lasów, a także jako pomoc niemieckim gospodarzom w czasie wzmoczonych prac polowych. W więzieniu osadzeni byli też kapłani, między innymi uznany za męczennika ksiądz Brunon Weichsel, wikariusz katedralny z Fromborka. Za sprzyjanie Polakom do sztumskiego kryminału trafił również werbista Paweł Sager. Po wyjściu z więzienia wcielono go do wojska, ale po wojnie ponownie trafił do Sztumu, dręczony tym razem przez władze komunistyczne. W Sztumie osadzony był też znany niemiecki karykaturzysta Emil Stumpp za narysowanie karykatury Hitlera w 1933 roku. Współpracował z najślynniejszym niemieckim reporterem Egonem Erwinem Kischem, który określił Stumppa jako „jednego z wielu nieustraszonych, jakich mieliśmy w naszym kraju w okresie strachu”. Stumpp zmarł w sztumskim więzieniu w 1941 roku.

W dniu 22 stycznia 1945 roku wszyscy więźniowie zostali ewakuowani. Cztery dni później miasto zajęli Rosjanie. Więzienie zostało przejęte przez NKWD. Więziono tu Niemców i Polaków, którzy w znacznej części byli później deportowani w głąb Rosji. W lipcu 1945 roku miasto i więzienie przejęły polskie władze, nadając mu rangę centralnego więzienia, podległego bezpośrednio Ministerstwu Bezpieczeństwa Publicznego. Docelowo przebywało tu dwa i pół tysiąca więźniów. Zatrudnionych było 267 funkcjonariuszy. Pierwszym naczelnikiem po wojnie był Mieczysław Butwiłowicz.

W 1948 roku zorganizowano bibliotekę więzienną, rok później wprowadzono

nauczanie i szkolenie zawodowe, a w 1956 roku utworzono pierwszy w okręgu pomorskim Ośrodek Szkolenia Więźniów. Więzienie było wówczas jednym z ważnych elementów stalinowskiego aparatu przemocy, gdyż, poza kryminalistami, jeńcami wojennymi, zbrodniarzami hitlerowskimi, więźniami byli również autochtoni oraz osoby współpracujące z antykomunistycznym podziemiem.

W 1948 trafili tu posądzeni o współpracę z majorem „Łupaszka” – Józef Preuss z Watkowic, Antoni Kurkiewicz i Florian Meller z Czernina. Za słuchanie Radia Wolna Europa wyroki odsiadywało tu dwóch rolników z Postolina, a za działalność w tajnym harcerstwie młodzi ludzie z Tczewa i Malborka. Wśród osadzonych znalazł się kontradmirał Marynarki Wojennej Adam Mochuczy i komandor Hilary Sipowicz, skazani za sabotaż na kilkunastoletnie wyroki. Za współpracę z niepodległościową konspiracją trafili tu między innymi Roman Pietras i Andrzej Junczys, byli naczelnicy więzień w Koronowie i Rawiczu.

Kary pozbawienia wolności odbywali w Sztumie żołnierzy podziemia niepodległościowego, a wśród nich Kazimierz Moczarski, ostatni szef Biura Informacji i Propagandy Komendy Głównej AK i znakomity pisarz. Więziennego terroru doświadczyli też księżą i zakonnicy - salwatorianin - Tomasz Ślusarczyk, werbista - Piotr Sager, rektor KUL - Antoni Słomkowski, a także kapłani grekokatolicki.

W czasach stalinowskich w sztumskim więzieniu zmarło lub zostało straconych

235 więźniów, choć nie były to formalne wyroki śmierci, bo takich w Sztumie nie wykonywano.

W 1957 roku, kiedy więźniowie polityczni byli rehabilitowani i wychodzili na wolność, do sztumskiego więzienia trafił jeden ze współodpowiedzialnych za stalinowski terror - wiceminister Bezpieczeństwa Publicznego, generał Roman Romkowski. Historia zatoczyła koło.

Takich historii jest wiele w monografii Krzysztofa Czermańskiego, która jest bezcennym źródłem do poznania naszych lokalnych dziejów. Mam nadzieję, że nie jest to ostatnie słowo Krzysztofa Czermańskiego, bo brakuje mi w tej książce ciągu dalszego historii więzienia, czyli rozszerzenia jej do końca panowania komunistycznego totalitaryzmu, czyli do roku 1990, kiedy to w więziennych murach osadzani byli działacze antykomunistycznej opozycji, tacy jak Adam Michnik, czy Jacek Kuroń, czy kiedy funkcjonariusze zakładu karnego zaangażowani byli do tłumienia buntu internowanych w Kwidzynie. Na szczęście świadkowie jeszcze żyją i źródłem jest o wiele więcej niż do historii początków zakładu.

Książką została bardzo starannie wydana przez Wydawnictwo Bernardinum w Pelplinie, przy współpracy rodziny autora, sponsorów, Ogólnopolskiego Stowarzyszenia Inicjatyw Oświatowo-Resocjalizacyjnych w Sztumie, zakładu karnego w Sztumie oraz Urzędu Miasta i Gminy w Sztumie i Starostwa Sztumskiego.

Listy do Redakcji

Kwartalnik PROWINCJA

Stowarzyszenie Inicjatyw Obywatelskich Taka Gmina w Sztumie

Szanowni Państwo

Już jakiś czas temu w naszych dość regularnych rozmowach na tematy, z grubsza rzecz biorąc, kulturalne (przynajmniej w założeniu i zamierzeniu, a w każdym razie u zarania) pojawiło się – trochę ni stąd ni zowąd, ale bardzo zdecydowanie-czasopismo zatytułowane dość enigmatyczne „Prowincja”, ale poświęcone bardzo konkretnie regionowi Żuława i Powiśla. Coraz baczniej i sumienniej, a niezmiennie z wielką życzliwością i zaciekawieniem przyglądamy się Państwa działalności, starając się nadążyć za imponującym jak na dzisiejsze czasy tempem wydawniczym, mało którą bowiem z tak zwanych „małych ojczyzn” stać dzisiaj na serwowanie swoim czytelnikom co kwartał dwustu stron- i to stron nie byle jakich.

Pełni podziwu dla wysokiego, a nawet, jak nam się zdaje, coraz wyższego poziomu proponowanych pozwolimy sobie zatem wciąż śledzić Państwa poczynania, mimo iż w ostatnim „wstępniaku” -niewątpliwie z powodu skromności (wrodzonej lub nabytej, nie nam wnikać we freudowskie meandry, nomen omen, członków Redakcji) – rzeczona Redakcja „Prowincji” raczyła wykluczyć nas, rodowitego sopocianina i gdańszczanina, z grona swoich czytelników, zwracając się li tylko do „powiślańsko-żuławskiej części jedenastu procent społeczeństwa”, nie imaginując sobie zapewne odbiorcy z tak odległych rubieży jak Trójmiasto. Niniejszym listem chcemy jedynie poświadczyc istnienie takiego tworu jak trójmiejski czytelnik „Prowincji”, a nade wszystko życzyć kolejnych udanych edycji czasopisma, którego wiernymi czytelnikami pozostajemy.

mecenas Tomasz Kopoczyński

prof. UG, dr hab. Tomasz Swoboda

Gdynia

Odpowiedź Redakcji

Jesteśmy bardzo zaszczyceni każdym Czytelnikiem naszego kwartalnika. Szczególnie cieszą Przyjaciele spoza naszego subregionu. W końcu rzecz najważniejsza i podstawowa, że wszyscy jesteście Pomorzakami, z urodzenia bądź wyboru. I to niewątpliwie nas łączy, oprócz jak mniemam zamiłowania do słowa pisanego i ciekawych historii lokalnych. Dziękujemy za przemiłe słowa uznania i motywacji do dalszej pracy. To zobowiązujące ale i przyjemne. Nie mieliśmy zamiaru oczywiście wykluczać Panów z elitarnego grona czytających Polaków, bo wysyłając co kwartał do Gdyni nasz kwartalnik, wiemy, że bezcenna dziś umiejętność czytania i tam jest nieobca. Jesteśmy dumni, że możemy się w tych wspólnych umiejętnościach doskonalić, choćby co kwartał, za skromną przyczyną Kwartalnika „Prowincja”.

Z pomorsko, a zatem kociewsko-borowiacko-żuławsko-powiślańskimi pozdrowieniami

Leszek Sarnowski, redaktor naczelny Kwartalnika „Prowincja”

Noty o autorach

Jacek Albrecht – ur. w 1951 r. w Łodzi. Od 1952 z przerwą 15 lat mieszkaniec Malborka. Konserwator zabytków architektury i artysta plastyk, autor książki popularno-naukowej *Tajemnice Malborka* i szeregu artykułów o tematyce konserwatorskiej, współwłaściciel firmy „Kopia”. Absolwent Wydziału Budownictwa Politechniki Koszalińskiej, Podyplomowego Studium Konserwacji Zabytków Politechniki Warszawskiej i Wydziału Edukacji Artystycznej ASP w Gdańsku. W 1989 przewodniczący Komitetu Obywatelskiego w Malborku oraz Klubu Obywatelskiego. Inicjator powołania pierwszej niezależnej gazety malborskiej *Nowiny Malborka*. Autor kilkunastu wystaw plastycznych w różnych miastach Polski. Uprawia malarstwo, grafikę i grafikę komputerową.

Wacław Bielecki – od 1947 r. mieszkaniec Nowego Stawu, a od 1974 r. - Sztumu. Absolwent pedagogiki Uniwersytetu Gdańskiego. Pracował jako nauczyciel w Szkole Podstawowej w Nowym Stawie i asystent w Katedrze Pedagogiki UMK w Toruniu. W 1980/81 roku redaktor naczelny tygodnika *Sztumska Solidarność*, a na przełomie lat 1989/90 członek kolegium redakcyjnego tego czasopisma. W latach 1990–1994 roku przewodniczący Rady Miasta i Gminy Sztum. Długoletni dyrektor Liceum Medycznego Pielęgniarstwa przekształconego w Wojewódzki Zespół Szkół Policealnych w Sztumie.

Krystyna Błaszczyk-Ryszkowska –ur. w 1957 r. w Dzierzgoniu. Absolwentka pedagogiki kulturalno-oświatowej WSP w Bydgoszczy. Pomysłodawczyni i przez kilka lat organizatorka Ogólnopolskiego Przeglądu Sztuki Więziennej w Sztumie, redaktorka albumu z dawnymi pocztówkami i zdjęciami Henryka Lipskiego *Sztum Stuhm*, antologii literatury więziennej *Oko judasza*. Mieszka w Sztumie.

Jan Chłosta –dr nauk humanistycznych, wiceprezes Towarzystwa Naukowego im. Wojciecha Kętrzyńskiego, autor ponad 30 książek i 500 artykułów, poświęconych przeszłości Warmii i Mazur, w tym piśmiennictwu (*Warmia i Mazury w literaturze polskiej i niemieckiej w latach 1945-1995*) leksykonów (*Słownik Warmii*), prac o Wydawnictwie *Gazety Olsztyńskiej* i ludziach z nią związanych, wydawca wierszy i prozy M. Zientary-Malewskiej, ks. W. Barczewskiego, J. Liszewskiego, K. Frenszkowskiego oraz zbiorów wspomnieniowych o ludziach regionu.

Marta Chmielińska-Jamroz –ur. w 1973 r. w Hajnówce na Podlasiu. Pracowała jako dziennikarka *Kuriera Porannego* i TV Podlasie. Jej teksty ukazywały się w *Niedzieli* i *Piśmie Kulturalnym*. Od 2010 roku mieszka w Malborku, współpracuje z *Dziennikiem Bałtyckim*, Radiem Malbork.

Andrzej Kasperek – ur. w 1958 r. w Stegnie. Prawie całe życie spędził na Żuławach. Po studiach na Uniwersytecie Gdańskim (seminarium Marii Janion), działalności w SKS, zakładaniu NZS i pracy w DKF „Żak” od ćwierć wieku oddaje się pracy nauczycielskiej w nowodworskim liceum. Autor tomu *Back in the DDR i inne opowiadania*, słowo/obraz terytoria, Gdańsk 2010, który znalazł się w Finale Nagrody literackiej Gdynia 2011. Aktualnie opublikował książkę poświęconą inspiracjom malarskim w twórczości Jacka Kaczmarskiego pt. *Galeria Jacka Kaczmarskiego. Skrzydło Wschodnie*. W 2013 roku jako pierwszy tom „Biblioteki Prowincji” ukazała się *Koronczarka*. Mieszka w Nowym Dworze Gdańskim.

Agnieszka Kołwzan – ur. 1984 r. w Wejherowie. Doktorantka Uniwersytetu Gdańskiego z dziedziny literaturoznawstwa. Artykuły naukowe opublikowała m.in. w tomie *Integralia. Wymiary studenckiej humanistyki*, pokonferencyjnej książce *Mężczyzna w literaturze i kulturze oraz serii Bestiarium*, recenzje m.in. w *Latarni Morskiej*.

Jerzy Kosacz – ur. w 1942 r. w Budślawiu (obecnie Białoruś). Absolwent Wydziału Nauk Politycznych Uniwersytetu Warszawskiego. Pracował jako robotnik w Stoczni Gdańskiej, bibliotekarz w Kwidzynie, nauczyciel akademicki w Państwowej Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych w Gdańsku, kierownik Biblioteki w Kwidzynie. Od 1980 przewodniczący MKZ „Solidarność” w Kwidzynie, współzałożyciel i redaktor *Biuletynu Związkowego MKZ NSZZ «Solidarność»* w Kwidzynie i *Poradnika Prawnego MKZ NSZZ «Solidarność»* w Kwidzynie. 12 XII 1981 zatrzymany, internowany w Iławie, zwolniony 18 I 1982, następnie zwolniony z pracy. W latach 1982-1990 prowadził własny zakład stolarski w Białkach k. Kwidzyna. Współorganizator Duszpasterstwa Ludzi Pracy przy katedrze św. Jana w Kwidzynie, m.in. pomocy dla represjonowanych. W latach 1984-1985 przewodniczący podziemnej MKK „S” w Kwidzynie, 1985-1989 członek TZR „S” w Elblągu; 15 XII 1985 aresztowany, osadzony w więzieniu w Kwidzynie i Elblągu, zwolniony 28 III 1986. 1991-2001 kierownik wydziału w Urzędzie Wojewódzkim w Elblągu; członek KZ „S” przy Urzędzie. Od 2001 na emeryturze. Odznaczony Krzyżem Semper Fidelis (2003), Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski (2006). Zajmują go małe formy literackie, publicystyka historyczna i grafika. Pisuje felietony w internecie. Mieszka w Sadlinkach.

Maciej Kraiński – ur. w 1950 r. w Gdańsku. Studiował filologię polską na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu i Uniwersytecie Gdańskim. Współzałożyciel pisma literackiego *Litteraria*. Założyciel i pierwszy prezes Koła Młodych przy ZLP w Gdańsku. Uczestnik strajku sierpniowego 1980 r. W latach 1999-2003 dyrektor Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej w Gdańsku. Prezes i założyciel Stowarzyszenia Gunthera Grassa. Pomysłodawca i współtwórca obchodów 80-tych urodzin noblisty w Gdańsku w 2007 r. W latach 2005-2006 współpracownik *Dziennika Bałtyckiego*. Współpracował także z miesięcznikiem *Punkt* i *Dziennikiem Londyńskim*. Wydał tomik poezji *Jelita* i współtworzył almanach poetycki *Nowy transport posągów*. Od 2009 roku tworzy Muzeum Tradycji Szlacheckiej w Waplewie Wielkim oddział Muzeum Narodowego w Gdańsku. W 2010 roku wydał książkę *Panowie na Waplewie*.

Emil Klingenberg – ur. w 1939 r. Piąty w kolejności Emil w rodzie. Sztumianin z pochodzenia i wyboru. Autochton po matce i ojcu. Obdarzony fenomenalną pamięcią gawędziarz, miłośnik mowy sztumskiej i historii, pasjonat literatury wspomnieniowej, zwłaszcza tej dotyczącej przedwojennych Prus - Wschodnich i Zachodnich. Przez całe swoje aktywne życie zawodowe pracował na własnym gospodarstwie rolnym w Sztumskiej Wsi, wielokrotnie nagradzany w dziedzinie hodowli. Obecnie na emeryturze. Ciągłe jeszcze ogromną radość sprawia mu... prowadzenie samochodu i poznawanie nowych ludzi oraz ich historii. W międzyczasie pisze wspomnienia i przekazuje tradycje rodzinne i regionalne wnukom.

Kordian Kuczma – ur. w 1986 r., doktorant nauk politycznych, pracownik wydawnictwa *Gazeta Finansowa* i portalu muzycznego *outrave.pl*, publicysta *Uważam Rze Historia*.

Adam Langowski –ur. w 1981 r. w Sztumie, absolwent LO w Sztumie, ukończył historię na UMK w Toruniu. Pracuje jako nauczyciel historii w Zespole Szkół w Starym Targu, wychował się w Ramotach w gminie Stary Targ. Mieszka w Sztumie.

Andrzej C. Leszczyński –nauczyciel akademicki filozofii, eseista. Autor wielu publikacji z zakresu antropologii filozoficznej, estetyki i etyki. Ostatnio wydał: *Ojciec człowieka Szkice afiniczne*, Gdańsk 2012, *Owoc tamtego grzechu*, Gdańsk 2013. Prowadzi warsztaty ekspresji i komunikacji. Mieszka w Gdańsku.

Andrzej Lubiński –ur. w 1952 r. w Gniewie, Absolwent LO w Sztumie i Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu (historia). Zainteresowania - historia regionalna Pomorza i Powiśla. Publikacje w *Komunikatach Mazursko Warmińskich*, *Roczniku Elbląskim*, *Studiach Elbląskich*, *Z dziejów Sztumu i okolic*. Współautor książki *Bank Spółdzielczy w Sztumie 1910-2010*. Uczestnik i wykładowca kilku sympozjów naukowych. Mieszka w Sztumie.

Janusz Moździerz –absolwent Liceum im. H. Sienkiewicza w Malborku oraz ART w Olsztynie. Był nauczycielem w Młodzieżowym Ośrodku Wychowawczym w Malborku. Debiutował jako laureat ogólnopolskiego konkursu na prozę współczesną opowiadaniem *Gdziekolwiek jesteś* w Almanachu Wyd. „Iskry” na początku lat osiemdziesiątych. Publikował prozę i poezję w *Tygodniku kulturalnym*. Elbląskie Towarzystwo Kulturalne wydało mu arkuusz poetycki pt. *Szare Tatuaze*. Jego opowiadania ukazywały się w *Akcencie*, *Autografie*, *Tyglu* i *Toposie* oraz w czasopismach regionalnych, a także w Polskim Radio w Szczecinie i Olsztynie. Współpracuje z prasą Wybrzeża; obecnie jako autor felietonów. Wydał 3 zbiory opowiadań: *Krzyk kani* (1999), *Konik polny* (2006) i *Dzikie trawy* (2007). Jest członkiem Stowarzyszenia Elbląski Klub Autorów SEKA. Mieszka w Malborku.

Janusz Namenanik – ur. 1952 r. w Dzierzgoniu. Absolwent Akademii Pomorskiej w Słupsku. W latach 1982–2003 był nauczycielem fizyki szkole. Od 2003 roku na emeryturze. Autor licznych opracowań z zakresu dydaktyki fizyki, które w latach 1987 – 1993 publikowane były na łamach *Fizyki w Szkole*. Zdobył I miejsce w ogólnokrajowym konkursie na opracowanie dydaktyczne nt. Domowe zadania doświadczalne z fizyki. Od grudnia 2010 roku publikuje na łamach *Dzierzgońskiego Informatora Samorządowego* artykuły będące szkicami z dziejów Dzierzgonia. W 2013 roku opublikował *Historię Dzierzgonia*. Obecnie mieszka w Łęborku.

Roman Niemczyk – ur. w 1952 r. w Dąbrówce Tczewskiej. Absolwent Uniwersytetu Gdańskiego Wydziału Ekonomiki Produkcji. Wykładowca rachunkowości w Powiślańskiej Szkole Wyższej w Kwidzynie oraz nauczyciel przedsiębiorczości w Wojewódzkim Zespole Szkół Policealnych w Sztumie. Ekspert oświatowy z zakresu przedmiotów ekonomicznych. W swoim dorobku naukowym posiada 50 napisanych książek oraz 58 artykułów naukowych o tematyce ekonomicznej. Z zamiłowania historyk amator, zajmujący się problematyką wczesnośredniowiecznej historii Pomorza Nadwiślańskiego. Autor *Zarysu dziejów Pomorza Nadwiślańskiego do II połowy XIV wieku*. Od 2006 roku na emeryturze. Mieszka w Sztumie.

Marek Opitz – prezes Klubu Nowodworskiego, fotograf regionu Żuław - wydał dwa albumy, jego zdjęcia delty Wisły są zamieszczane w wielu przewodnikach i folderach. Współ-

nie z przyjaciółmi założył Klub Nowodworski i Muzeum Żuławskie. W ramach działań stowarzyszenia udało się uratować wiele obiektów dziedzictwa kulturowego regionu - szczątki ostatniego na Żuławach wiatraka odwadniającego, kilkadziesiąt kamieni nagrobnych zgromadzonych w Żelichowie czy unikatowe sprzęty z żuławskich gospodarstw. Przywrócił regionowi legendy wydając je zebrane z dawnych kronik i archiwalnych zapisków. Nie wystarczyło mu tylko fotografowanie ginących zabytków - uratował dom podcieniowy przenosząc go z miejscowości Jelonki do Żelichowa pod Nowym Dworem Gdańskim; przywraca dawną świetność domowi podcieniowemu i daje mu nowe życie w postaci organizowanych w nim warsztatów, spotkań i uroczystości.

Aleksandra Paprot – ur. w 1988 r. w Malborku. Etnolog i kulturoznawca. Obecnie doktorantka w Instytucie Etnologii i Antropologii Kulturowej Uniwersytetu im. A. Mickiewicza w Poznaniu. Członkini Polskiego Towarzystwa Ludoznawczego oraz Sekretarz Sekcji Stroju Ludowego przy ZG PTL. Wiceprezes Stowarzyszenia „Kochamy Żuławy”. Od 2008 roku zajmuje się w swoich badaniach i projektach naukowych tematyką Żuław, a od 2012 r. także Powiśla. Jest laureatką III edycji konkursu „Polska wieś - dziedzictwo i przyszłość” organizowanego przez Fundację na Rzecz Rozwoju Polskiego Rolnictwa oraz „Konkursu na najlepsze prace dotyczące Żuław Deltę Wisły – edycja 2011 i 2012” organizowanego przez Stowarzyszenie Żuławy. Autorka prac i publikacji poruszających problematykę Żuław i Powiśla, w tym książki o jej rodzinnej miejscowości – *Stara Kościelnica. Dzieje żuławskiej wsi*.

Piotr Piesik – ur. w 1962 r. w Malborku. Przez dwadzieścia lat mieszkaniec Częstochowy, od 2009 roku ponownie w rodzinnym mieście. Absolwent nauk politycznych na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Dziennikarz. Pracował m.in. w tygodniku *Wiadomości Elbląskie*, częstochowskim oddziale *Dziennika Zachodniego*, radio „City” i telewizji „Orion” w Częstochowie. W latach 2000 - 2003 redaktor naczelny dziennika *Życie Częstochowy*. Obecnie redaktor prowadzący oddziału *Dziennika Bałtyckiego* w Sztumie. Zainteresowania: muzyka, historia Żuław i Powiśla, marynistyka, sporty motorowe. Z zamiłowania chórzysta, śpiewa m. in. w chorze „Lutnia” w Malborku.

Janusz Ryszkowski – ur. 1955 r. w Opaleniu. Poeta, krytyk literacki, redaktor, dziennikarz i regionalista. Ostatnio opublikował tomik wierszy *Stacja przedostatnia* (Towarzystwo Przyjaciół Sopotu 2014), *Morawscy – pięć pokoleń i pół. Patchwork historyczno-literacki z Powiśla i Kociewia* (Wydawnictwo Bernardinum 2014 - Biblioteka Kwartalnika Prowincja), redaktor książki Józefa Borzyszkowskiego i Marka Stażewskiego *Dzieje Sztumu 1806 – 1945* (Wydawnictwo Bernardinum 2014). Mieszka w Sztumie.

Leszek Sarnowski – ur. w 1959 r. w Barcinie na Kujawach. Absolwent historii Uniwersytetu Gdańskiego. Jako dziennikarz współpracował z *Gazetą Wyborczą*, *Dziennikiem Bałtyckim*, *Radiem Gdańsk*, *Radiem Plus*, *TVP Olsztyn*, *TVP Gdańsk*. Przewodniczący Komitetu Obywatelskiego „Solidarność” w Sztumie w 1989 roku. Redaktor naczelny *Sztumskiej Solidarności* i *Gazety Sztumskiej* w latach 1989-93. Wydawca i redaktor książki *Od „Solidarności” do społeczeństwa obywatelskiego* (2005). Założyciel Stowarzyszenia Inicjatyw Obywatelskich „Taka Gmina” w Sztumie, pomysłodawca, wydawca i redaktor naczelny kwartalnika *Prowincja*. Obecnie dyrektor Departamentu Kultury, Sportu i Turystyki Urzędu Miejskiego w Elblągu. Mieszka w Sztumie.

Teodor Sejka – ur. w 1943 r. w Beskidzie Niskim na Łemkowszczyźnie. Absolwent sztumskiego LO. Nauczyciel rusycysta. Doktorat na Uniwersytecie Gdańskim w 1984 r. na temat rosyjskiej prozy lirycznej. Artykuły w *Slavia Orientalis*, *Rykerzu Niepokalanej* i *Dzienniku Bałtyckim*. Mieszka w Sztumie.

Sylwia Stankiewicz (Markowicz) – emerytowana nauczycielka z Waplewa. Mieszka w Gdańsku, autorka książeczki o Sierakowskich pt. *Od Heleny do Izabelli*.

Mariusz Stawarski – ur. w 1961 r. Absolwent Wydziału Architektury Wnętrz Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych w Gdańsku. Od 1990 roku mieszka i pracuje w zamku w Malborku, gdzie zajmuje się wystawiennictwem i grafiką użytkową. Od 1986 roku zajmuje się malarstwem liryczno-groteskowym, wystawianym i nagradzanym w wielu krajach i zagranicznych konkursach – Grand Prix Satyrykonu 1998, Secend Prize Istanbul - Turcja. Mieszka w Malborku.

Zbigniew Stelmach – ukończył Liceum Ogólnokształcące w Ostrowi Mazowieckiej, studiował pedagogikę kulturalno-oświatową. Pracował w Zespole Szkół Rolniczych w Barlewickach koło Sztumu. Pod koniec lat osiemdziesiątych wyjechał do Niemiec. Debiutem poetyckim była niedawno wydana książka pt. *Poezje, z cyklami wierszy: Poetyckie inicjacje, Rajski ogród, Milej mej najmilszej*.

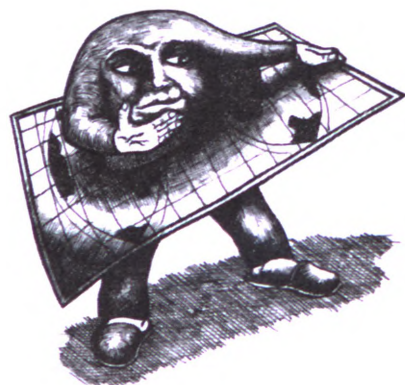
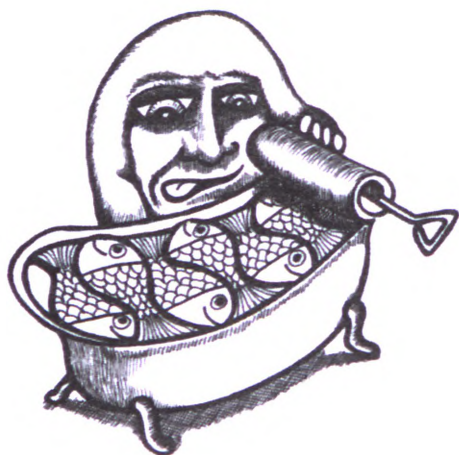
Marek Stokowski – ur. w 1957 r. w Warszawie. Absolwent Wydziału Polonistyki Uniwersytetu Warszawskiego. Kustosze w Muzeum Zamkowym w Malborku. Prowadzi unikalne w skali kraju gry edukacyjne i przygodowe dla młodzieży i dorosłych. Autor książek beletrystycznych i edukacyjnych. Członek Stowarzyszenia Pisarzy Polskich. Wydał m.in. *Dzień nad ciemną rzeką* (1996), *Sny dla dorosłych i dla dzieci* (1998), *Legends i opowiesci zamku Malbork* (2002, 2005), *Krzyżacy, ich państwo i zamki* (2003), *Błazen* (2004), *Noc tajemnic* (2005), *Samo-loty* (2005), *Stroiciel lasu* (2010). Mieszka w Malborku.

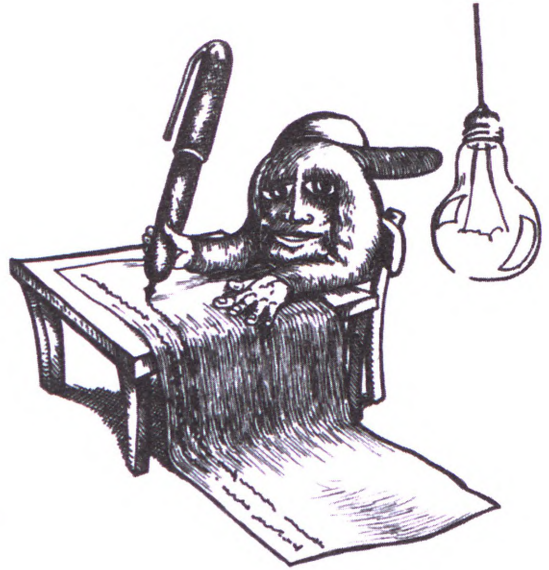
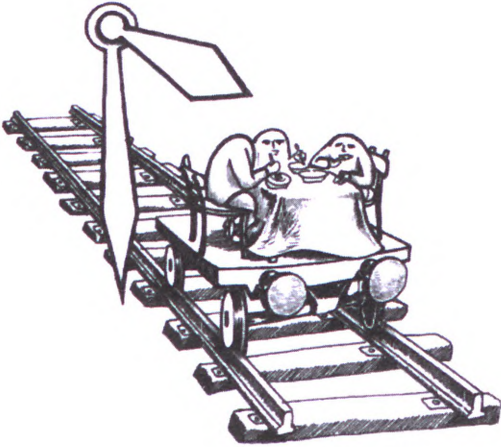
ks. Grzegorz Wąsowski – ur. w 1964 r. w Korszach. W 1989 r. święcenia kapłańskie w Seminarium Duchownym w Olsztynie, absolwent historii sztuki KUL. Od 2002 r. proboszcz parafii św. Jana Chrzciciela w Gronowie Elbląskim. Fotografik, plastyk, poeta. Parafianie wydali mu dwa tomiki wierszy - *Zapatrzenia, zasłuchania* (Sztum 2004), *Cztery pory słów* (Gronowo Elbląskie 2008).

Bogumił Wiśniewski – ur. w Kwidzynie. Ukończył archeologię o specjalności architektura zabytków na UMK w Toruniu. W latach 1994 – 98 był radnym Rady Miejskiej w Kwidzynie, a od 2001-2002 zastępcą burmistrza Kwidzyna. Znanca i miłośnika Kwidzyna i okolic. Obecnie pracuje w Urzędzie Miejskim w Kwidzynie. W 2006 r. zainspirował poszukiwania doczesnych szczątków błogosławionej Doroty z Mątów Wielkich oraz poszukiwania w kwidzyńskiej Katedrze p.w. św. Jana Ewangelisty, pochówków trzech wielkich mistrzów Zakonu Szpitala Najświętszej Marii Panny Domu Niemieckiego w Jerozolimie. Szczątki średniowiecznych dostojników zakonnych - jedynych w Europie – ostatecznie, a także miejsce pochowku bł. Doroty odkryto w 2007 roku. Mieszka w Kwidzynie.

Z GRAFICZNEJ TEKI PAULUSA

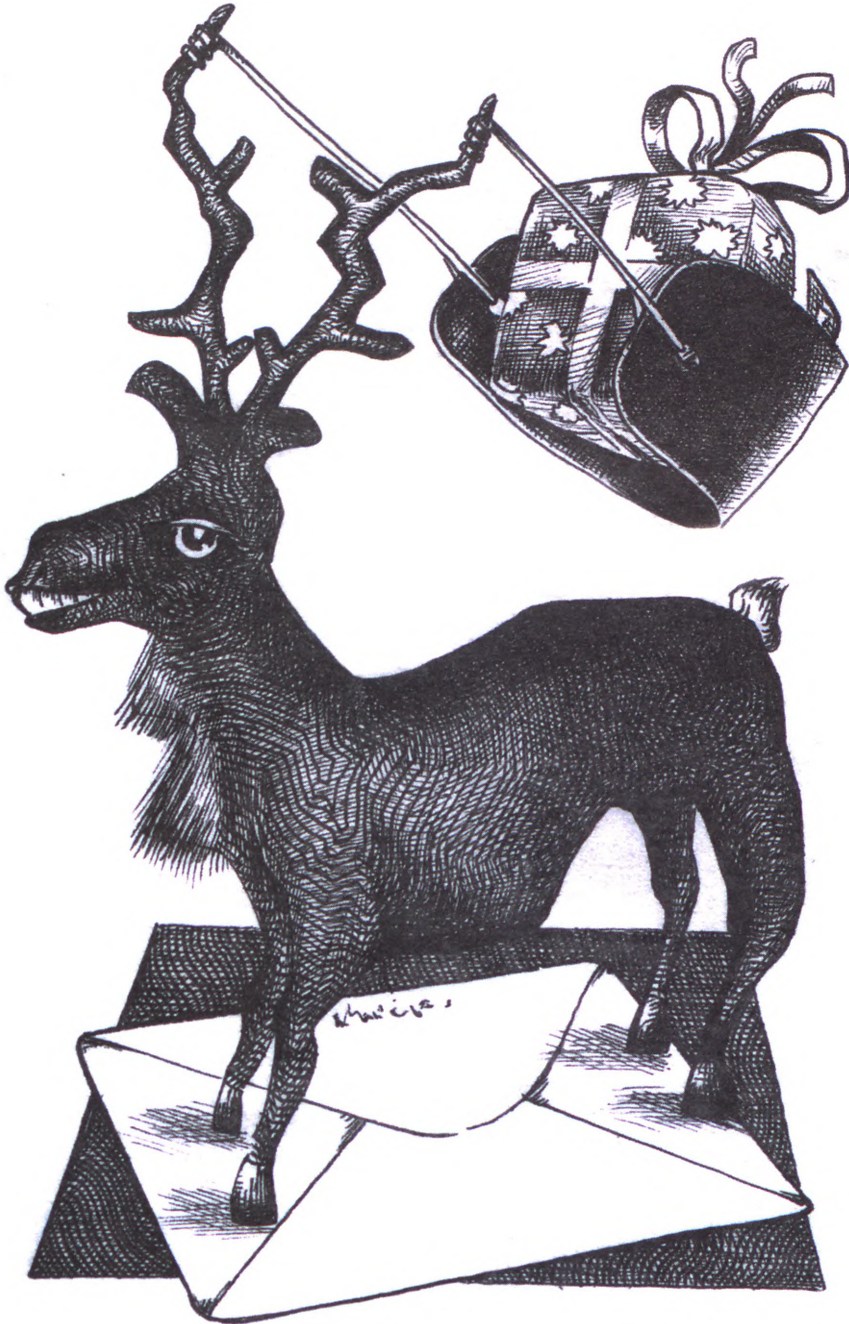
Paweł Paulus Mazur - malarz, grafik, graffiter i rysownik, autor kultowych podziemnych komiksów Twins. Aktor, reżyser, prozaik, poeta działający w grupie *Zlali mi się do środka*. Dał się poznać podczas ujawnień TotArt, w programach telewizyjnych i radiowych: *Brulion TV*, *Pętla Czasu*, *Dzyndzylindzy*, *Lalamido*, *Brzózka Show*, *Sprężyna Paulusa* i *Windą na szafę*, a także jako alternatywny muzyk grający w formacji *Gdańsk 2000*. Wydał kilka tomików poetyckich. Mieszka i tworzy w Gdańsku. Poniżej publikujemy kilka prac graficznych autora.







Z NAJLEPSZYMIZYCZENIAMIZYWIĄTECZNYMI



Zbigniew Chrostek

